



MIĘDZYNARODOWA INTRYGA  
KRYMINALNA I BOHATER,  
**JAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO!**

**WOJCIECH  
DUTKAN**

# **LUNATYK**

THRILLER POLITYCZNY W STYLU FREDERICKA FORSYTHA

## O książce

Rok 1986. ZSRR przeżywa głęboki kryzys gospodarczy. Sowieckie służby specjalne zdają sobie sprawę, że dni bloku wschodniego są policzone.

Ich najwyżsi funkcjonariusze, próbując zgarnąć dla siebie ile się da, planują w Nigerii supertajną operację Lunatyk, w której kluczową rolę ma odegrać Polak, oficer Służby Bezpieczeństwa.

Rok 1992. W polskim sejmie wybucha afery, kiedy okazuje się, że jeden z czołowych posłów, szanowany opozycjonista z czasów PRL-u, był przez lata tajnym współpracownikiem UB. Wkrótce nad Wisłą zostają znalezione jego zwłoki. Rodzina posła nie wierzy w oficjalną wersję mówiącą o samobójstwie.

Rok 2014. Max Kwietniewski, nowojorski detektyw – z polskim pochodzeniem i polską duszą – otrzymuje zlecenie znalezienia pewnego człowieka. Decydując się na przyjęcie go, nie ma pojęcia, do jakiego stopnia podróż do kraju jego matki i zmarłej żony rozdrapie jeszcze niezagojone rany. I zmusi go do zanurzenia się w polskie bagno.

**WOJCIECH  
DUTKA**

**LUNATYK**

Wydanie elektroniczne



# WOJCIECH DUTKA

(ur. 1979)

W marcu 2014 r. obronił doktorat na Wydziale Historycznym UJ w Krakowie. W 2014 roku był stypendystą Jewish Foundation for Righteous i Departamentu Stanu USA na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Publikował w najważniejszych polskich czasopismach naukowych: „Kwartalniku Historycznym”, „Przeglądzie Historycznym”, „Przeglądzie Humanistycznym”, „Czasach Nowożytnych”, „Klio”, „Kwartalniku Historii Żydów”, „Roczniku Historii Prasy Polskiej” i wielu innych.

Nakładem Wydawnictwa Albatros ukazało się sześć powieści jego autorstwa: Krew faraonów, Taniec szarańczy, Bractwo Mandylionu, Czerń i purpura, Kartagińskie ostrze oraz Lunatyk. W wolnych chwilach podróżuje. Lubi wino z Nowego Świata. Pisze następne powieści, jest też nauczycielem historii w programie matury międzynarodowej.

*Tego autora*

KREW FARAONÓW  
TANIEC SZARAŃCZY  
BRACTWO MANDYLIONU  
CZERŃ I PURPURA  
KARTAGIŃSKIE OSTRZE  
LUNATYK

Copyright © Wojciech Dutka 2016

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Redakcja: Marzena Wasilewska

Zdjęcia na okładce: Ysbrand Cosign/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-356-4

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em.eu](http://88em.eu)

# Spis treści

Prolog

## CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy. TAJNIAK

Rozdział drugi. ŚMIERĆ W STAMBULE

Rozdział trzeci. NOWOJORCZYK

Rozdział czwarty. LUDZIE ZE SKAZĄ

Rozdział piąty. TAJNY WSPÓŁPRACOWNIK

Rozdział szósty. DYPLOMATA

Rozdział siódmy. PORTRET KRÓLA LEOPOLDA

Rozdział ósmy. DEMONY PRZESZŁOŚCI

Rozdział dziewiąty. TRZECI MAJA

Rozdział dziesiąty. ZLECENIODAWCA

Rozdział jedenasty. POD NIGERYJSKIM SŁOŃCEM

Rozdział dwunasty. ZABAWY I KREW

## CZEŚĆ DRUGA

Rozdział trzynasty. NOWY POCZĄTEK

Rozdział czternasty. PROCEDURA

Rozdział piętnasty. JEGO EKSCELENCJA

Rozdział szesnasty. MÓJ BRAT KAIN

Rozdział siedemnasty. RACJA STANU

Rozdział osiemnasty. WIEŻA BABEL

Rozdział dziewiętnasty. ARCHIWISTKA

Rozdział dwudziesty. KWERENDA

## CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział dwudziesty pierwszy. PLUSKWA

Rozdział dwudziesty drugi. AFERA PODSŁUCHOWA

Rozdział dwudziesty trzeci. BANKIER

Rozdział dwudziesty czwarty. PIĘKNI CZTERDZIESTOLETNI

Rozdział dwudziesty piąty. NAJLEPSZA LOKATA

Epilog

Podziękowania

Przypisy



# Prolog

Lunatyk to inaczej chodzący we śnie. Taka przypadłość zdarza się dzieciom, a u dorosłych jest już chorobą. Lunatyk może wykonywać podczas snu różne czynności, nie wiedząc o tym, co robi. W roku 1990, kiedy Polska Rzeczpospolita Ludowa przedzierzgnęła się ostatecznie w Trzecią Rzeczpospolitą, to pojęcie zyskało nowe, metaforyczne, znaczenie.

W pewien słoneczny wiosenny dzień na wysypisku śmieci w Radiowie, na granicy Warszawy i Starych Babic, nieustannie płonęły stosy dokumentów zwożonych ciężarówkami z przepastnych archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pracownicy wysypiska dostali zakaz zbliżania się do płonących stosów. Nikt nie mógł fotografować, a wokół rozstawiono ubranych po cywilnemu tajniaków.

Pułkownik Służby Bezpieczeństwa patrzył beznamiętnie na trawione ogniem dokumenty. On wiedział, że palono tego dnia mało znaczące szpargały, akta osobowe pionków, podczas gdy prawdziwi rozgrywający mogli czuć się bezpieczni. Pułkownik podszedł do jednego ze stosów i odpalił hawańskie cygaro, jedno z ostatnich, jakie otrzymał w prezencie od kubańskich towarzyszy.

– Dobrze się pali to dziadostwo – mruknął pod nosem.

Wiedział, że najważniejsze akta są bezpieczne w kilku willach w Konstancinie. Teczki dawnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa PRL to władza. I trzeba używać jej przezornie, mając wciąż na smyczy tych, których złamano i którzy przysłużyli się systemowi.

Pułkownik wiedział też, że nowe niekomunistyczne władze Polski w rządzie premiera Mazowieckiego będą się poruszały bez tych teczek jak lunatyk, po omacku.

W zaparkowanym niecały kilometr od wysypiska samochodzie, mercedesie kupionym za dewizy w Niemczech Zachodnich, znajdowały sięteczki, które nie mogły spłonąć. Pułkownik otrzymał z Moskwy rozkaz zniszczenia ich, ale podejrzewając, że w innych czasach mogą się stać polisą ubezpieczeniową, nie wykonał go. Takich materiałów się nie niszczy, pomyślał. Dotyczyły one operacji Lunatyk, tajnej akcji służb radzieckich, polskich i enerdowskich, i miały zapewnić przetrwanie funkcjonariuszom tajnej policji. Stanowiły wiedzę, za którą już zginęli ludzie. Każdy, kto trafiłby na ślad operacji Lunatyk, musiał umrzeć. Pułkownik sądził, że wyczyścił archiwum ze wszystkich śladów po operacji. Już nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, co naprawdę się stało.

Mylił się.

Gdy w 1995 roku młody pracownik Urzędu Ochrony Państwa, Andrzej Skotnicki, przez przypadek znalazł w dokumentach tajnego współpracownika o pseudonimie Iluminator notatkę będącą jedynym śladem po operacji, nie wiedział, że odkrycie to zmieni życie nie tylko jego, ale też kilku innych osób na różnych kontynentach.

Operacja Lunatyk jeszcze się nie skończyła...

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Rozdział pierwszy

### **TAJNIAK**

Kraków, czerwiec 1986

Dzień był deszczowy i chłodny jak na tę porę roku. Wiśniak szedł Plantami. Mijał obojętnie szarych peerelowskich przechodniów. W gruncie rzeczy gardził nimi. Czuł się od nich lepszy nie tylko dlatego, że miał nowego poloneza, ale dlatego, że miał władzę. Szedł do krakowskiej siedziby Służby Bezpieczeństwa z poczuciem rutyny. Praca nie sprawiała mu już takiej przyjemności jak w stanie wojennym. Ale nawet teraz nie można było narzekać na całkowity zastój. Nie dalej jak dwa dni wcześniej koledzy dali wycisk jakimś dwóm gówniarzom z parafialnej oazy złapanym na roznoszeniu ulotek o Katyniu. Dostali po dupie tak, że przez najbliższe lata nie będą chcieli myśleć o żadnej działalności opozycyjnej. Solidarność była od pięciu lat rozbita i zdelegalizowana. Gówniarze, pomyślał, uśmiechając się do siebie pod wąsem, co oni mogą wiedzieć o życiu? On wiedział całkiem sporo. Skończone studia prawnicze, znajomość języków obcych, żadnych krępujących go więzów rodzinnych, stała i dobrze płatna praca, której się nie wstydził, liczne przywileje i poczucie absolutnej bezkarności, czegoż chcieć więcej?

Jak na syna upartego chłopca spod Kielc, Kazimierz Wiśniak zaszedł w SB dość wysoko. Z powodu pochodzenia czuł wdzięczność wobec władzy ludowej. Dała mu wszystko, o czym marzył. Nie był jednak ideowym komunistą. Każdy rodzaj niepraktycznego idealizmu miał w głębokim poważaniu. Był pragmatykiem i cynikiem. Idąc do pracy,

rozmyślał często nad przebiegiem kariery. Nigdy nie zaniedbał swoich obowiązków. Był wazelinierzem, tam gdzie wymagała tego sytuacja; nie tracąc poczucia pewności siebie, okazywał pokorę starszym w hierarchii oficerom, ale bywał też brutalny i bezwzględny – w zależności od potrzeb. Nade wszystko jednak pilnował kariery.

Zaczynał pracę w SB w czasie trwania protestów w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Śmiał się w duchu z tej gównianej studenckiej kolekcji opozycjonistów, jak mawiał o warszawskich studentach politechniki i uniwersytetu. Za rozpracowanie środowiska akademickiego dostał awans. Już nie musiał udawać kogoś innego, choć tamta gra operacyjna dostarczała mu dużo przyjemności. SB szybko przeniosła go z Warszawy do Krakowa, aby nikt go nie rozpoznał. Zmienił więc Departament Trzeci, zajmujący się opozycją, na Czwarty, który miał za zadanie walkę z Kościołem katolickim. Od Ursusa i Radomia minęło trochę czasu i nikt ze studentów aresztowanych wówczas w Warszawie nie dowiedział się, kto ich sypnął. Kraków okazał się bardzo trudnym terenem – wielki ośrodek uniwersytecki z głęboko konserwatywną elitą i potężnym Kościołem umocnionym przez kardynała Wojtyłę. Na szczęście ten koszmar był już za nim. Stan wojenny zamroził wszystko. Generał Jaruzelski – jak mawiano w esbeckich kręgach – twardo trzymał kraj za mordę. Służba Bezpieczeństwa miała gęste struktury, w każdej wojewódzkiej komendzie Milicji Obywatelskiej znajdowała się ich komórka nadzorująca pracę TW – tajnych współpracowników bezpieki. Wiśniak kierował w Krakowie komórką do rozpracowywania kleru i środowisk katolickich.

Pełnił funkcję łącznika między watykańskimi kontaktami operacyjnymi Służby Bezpieczeństwa i krajem. Odkąd kardynał Wojtyła został papieżem (w esbecji nie mówiono na niego inaczej niż „jebany Wojtyła”), SB

nieustannie wysyłała swoich agentów do Watykanu. Jednak po trzynastym maja 1981 roku, kiedy Turek Mehmet Ali Ağca strzelał do papieża, w SB zapanowała panika. Należało zadbać, by zniknęły jakiekolwiek powiązania między wynajętymi do tej brudnej roboty Turkami, nadzorującymi akcję służbami bułgarskimi, KGB – czyli zleceniodawcą zamachu – i polskimi służbami, które odpowiadały za sprzątanie: pozbywanie się świadków, niszczenie dowodów oraz likwidację kont. Wiśniak decyzją ludzi na najwyższym szczeblu został oddelegowany do tej roboty i najwyraźniej nie zawiódł, bo na początku 1982 roku z Moskwy przyszło polecenie, żeby awansować porucznika Wiśniaka na kapitana.

★

Zjawił się w pracy punktualnie. Wchodząc do budynku, pokazał legitymację, przeszedł przed szybą, za którą siedział uważny i gorliwy portier, i skierował się do swojego biura na drugim piętrze. Minał uśmiechając się do niego sekretarkę. Wiedział, że gdyby kiwnął palcem, poszłaby z nim do łóżka, ale nie lubił łatwych kobiet i łatwych spraw. Rzucił niedbale teczkę z papierami, ściągnął popelinowy płaszcz i powiesił go na drewnianym wieszaku z wyrytymi inicjałami jego imienia i nazwiska. Podszedł do okna, otworzył je, po czym zasiadł za biurkiem i zapalił pierwszego papierosa w pracy – caro. W przeciwieństwie do innych esbeków, których gabinety wypełniały się w trakcie dnia szaroniebieskimi chmurami dymu, on palił niewiele.

Usiadł na krześle i zaczął przeglądać leżącą na biurku „Trybunę Ludu”. Przerzucał ze znużeniem strony. Czytał, że rośnie produkcja, zwiększają się moce wydobywcze kopalni, buduje się coraz więcej statków, a młodzież uczy się coraz lepiej. Po jakimś czasie lekturę przerwała mu sekretarka.

– Towarzyszu kapitanie, macie rozmowę z Warszawą.

– A czego chcą?

– Pułkownik Gozdawa z MSW.

Powiedział, że odbierze w gabinecie. Gdy wyszła, siorbnął herbacianą lurę zaparzoną w szklance. Kiedy telefon zadzwonił na bezpiecznej linii, podniósł słuchawkę. Poznał ochryply, bardzo charakterystyczny głos Gozdawy.

– Jak żyjecie w tym waszym Krakówku?

– Dobrze, nie narzekam.

– Mecz oglądaliście? – zapytał Gozdawa.

– Tarasiewicz w słupek – odpowiedział Wiśniak, mając na myśli niewykorzystaną sytuację w dobrym meczu z Brazylią rozegranym przez drużynę Piechniczka na mundialu w Meksyku. – Ale niestety umoczyliśmy, cztery do zera.

– Kurwa, nie przypuszczałem, że będzie tak wysoko – rzucił pułkownik Gozdawa, zapalony kibic piłkarski.

– Towarzyszu pułkowniku, nie o meczu chcieliście mówić – przypomniał mu Wiśniak.

– Tak, to prawda. Towarzyszu, słuchajcie, jest sprawa, na której można dużo zyskać.

– Jaka?

– To nie na telefon. Chciałbym, żebyście przyjechali jutro do Warszawy. Powiem wam tylko tyle, że to będzie się dla was wiązać z wyzwaniem i awansem zarazem. Zgadzaście się?

– Jak mogę się zgodzić, skoro nie znam sprawy?

– Dowiecie się wszystkiego. Nie pożałujecie – powiedział Gozdawa i zakończył rozmowę.

Wiśniakowi nie było w smak spędzić kilka godzin w polonezie. Czego

oni, kurwa, w tej Warszawie nie wymyśla! – zaklął w duchu, ale uznał, że nie ma wyboru. Gozdawa zawsze był mu bardzo życzliwy. Nie odtrąca się ręki, która dobrze karmi. Obydwaj mieli wyjątkowe doświadczenie w sprawach trudnych. Po zabójstwie księdza Popiełuszki, dokonanym przez oficerów SB z pionu pułkownika Pietruszki, to właśnie Wiśniak i Gozdawa dostali rozkaz „posprzątania” po sprawie. Wyczyścili cały wydział z wszelkich dokumentów dotyczących zabitego duszpasterza Solidarności. Oficjalnie zabójstwo było wynikiem wybryku kilku krewkich i zatroskanych o los PRL-u oficerów, którzy postanowili „klesze dołożyć”. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że rozkaz zabicia księdza wydano na samej górze.

Zerknął na grafik. O dwunastej miał się spotkać w krakowskim ZOO z ważnym tajnym współpracownikiem, najlepszym, jakiego udało mu się zwerbować w ciągu całej pracy dla peerelowskiego państwa. Był to człowiek opozycji, z wybitną przeszłością – w stanie wojennym siedział w więzieniu, co uwiarygodniało go w oczach Solidarności. Agent Wiśniaka działał też blisko Kościoła, choć nie był duchownym. Miał do przekazania miesięczny raport. Nigdy nie spotykali się w krakowskiej siedzibie SB ani na komendach milicji. Wiśniak był na to zbyt ostrożny, a przełożeni, widząc jego bezwzględność, sukcesy w zwalczaniu opozycji i oddanie komunistycznej sprawie, zostawiali mu dużą swobodę operacyjną.

## Krakowskie ZOO, tego samego dnia

– Zawsze się zastanawiam, dlaczego wybiera pan na spotkanie to miejsce, przed wybiegiem lwów – zwrócił się do siedzącego na ławce mężczyzny, który czytał gazetę.

– Bo to drapieżniki – odparł tamten. – Tak jak my.



Wiśniakowi podobała się ta metafora. Skłonność do znajdowania w tej smutnej robocie odrobiny nieklamanej przyjemności łączyła ich. Odkąd w 1976 roku zwerbował tego lekarza, ich współpraca układała się modelowo. Właściwie trudno powiedzieć, czy go zwerbował, bo Władysław Skotnicki po prostu napisał do SB list, w którym proponował swoje usługi. Było to coś tak nieprawdopodobnego, że w krakowskim oddziale esbecji po przeczytaniu tego listu osłupieli. Skotnickiego przydzielono do porucznika Wiśniaka, taki był wówczas jego stopień.

Zaczęli rozpracowywać środowisko lekarzy współpracujących z Komitetem Obrony Robotników powstałym po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie. Po wyborze kardynała Wojtyły na papieża TW Iluminator (taki pseudonim wymyślił dla siebie Skotnicki) zajął się środowiskiem krakowskiego Kościoła. Szybko zdobył zaufanie swoją pobożnością i niechęcią do komunizmu. Wiśniaka i TW Iluminatora połączyła dziwna relacja, w której było tyle samo przyjaźni, co wzajemnej zazdrości.

Połączyła ich także sprawa Popiełuszki. Iluminator nie należał wprawdzie do kręgu najbliższych przyjaciół duchownego, ale miał do nich swobodny dostęp. Pomagał organizować wizyty w archidiecezji krakowskiej, w której ksiądz Popiełuszko z powodu swojego zaangażowania politycznego nie był zbyt lubiany, oraz na Śląsku. To właśnie od niego w październiku 1984 roku, w przeddzień porwania, wyszła informacja, jaką drogą Popiełuszko będzie wracał ze Śląska do Warszawy.

Władysław Skotnicki popatrzył na swojego oficera prowadzącego z lekceważeniem. Uważał się za lepszego tajniaka niż on.

– Raport jest w gazecie – powiedział.

– Potrzebuje pan pieniędzy? – zapytał Wiśniak. – Jutro muszę jechać do Warszawy.

– Nie, załatwimy to następnym razem. Osiem tysięcy złotych. W gotówce.

– Oczywiście.

Bezpieka regularnie płaciła Skotnickiemu, na jego prośbę w niezbyt wielkich sumach, aby w domu żona i dzieci nie zdziwiły się, skąd ma tyle pieniędzy. Bo Władysław Skotnicki w czasie, kiedy nie był TW Iluminatorem, starał się być mężem i ojcem. Miał dwoje dzieci – córkę i syna, a im w szarej rzeczywistości lat osiemdziesiątych nie mogło zabraknąć niczego.

## Warszawa, MSW, dzień następny

Pułkownik Gozdawa, esbek ze szkoły Moczara, był człowiekiem bezwzględny, o dużym poczuciu własnej wartości. Lubił dobre cygara, oczywiście kubańskie, dobrą wódkę i drogie dziwki. W resorcie się go bali. Cieszył się pełnym zaufaniem generała, a kontakty pułkownika z towarzyszami radzieckimi zapewniały mu niezależność. Odpowiadał za działanie departamentu współpracy z innymi policjami politycznymi bloku wschodniego, w tym za kontakty operacyjne z KGB oraz ze wschodnioniemieckim Stasi. Oprócz tego był partyjnym sybarytą, których w owym czasie w resorcie nie brakowało. Nawet jeśli kiedyś mógł się podobać kobietom, to teraz wyraźnie zaokrąglony brzuch, z trudem ukrywany przez o numer większy błękitny mundur MSW, nie pozostawiał cienia złudzeń co do kondycji pułkownika. Gozdawa miał orli nos, krótkie siwiejące włosy i rumiane policzki. Zaanonsowano przybycie kapitana Wiśniaka. Na widok gościa pułkownik wstał, podszedł do niego, po czym ruchem ręki zaprosił go do zajęcia miejsca przy stoliku, na którym stała popielniczka pełna niedopałków. Obaj zapalili. Gozdawa w przeciwieństwie

do Wiśniaka palił marlboro, kupowane zawsze za dewizy lub po prostu sprowadzane z Zachodu. Najchętniej napiłby się z kapitanem wódki, ale rozmawiali przecież w godzinach urzędowych, a Jaruzelski nie lubił picia w pracy. Wiśniak cały czas zastanawiał się, jaki jest cel jego wezwania do siedziby ministerstwa. Biurko Gozdawy było zawałone papierami. Czy on, kurwa, nie zna się na porządku? – zastanawiał się Wiśniak. Pułkownik siorbał herbatę posłodzoną trzema łyżeczkami cukru.

– Czy jesteście odważni? – Odchrząknął, chcąc przybrać nieco bardziej familiarny ton.

– Myślę, że tak – odrzekł bez wahania kapitan.

– Zastanówcie się dobrze. Od tej odpowiedzi dużo zależy. My tu, w resorcie, przypatrujemy się wam. Ja się przypatruję i sędzę, że byłbyś, Kazik, idealnym kandydatem.

– Do czego, towarzyszu pułkowniku? – Wiśniak nie miał odwagi przejść na ty.

– Nie macie rodziny, wasi rodzice nie żyją – kontynuował Gozdawa. – Mam tu waszą teczkę. Z zebranych dokumentów wynika, że nienagannie pełniliście służbę na tym trudnym froncie walki wewnętrznej, jaką Polska Ludowa stacza każdego dnia.

– Robię to, co robię. – Wiśniak nie lubił partyjnej gadki szmatki. Za Gierka dosyć się tego nasłuchał.

– Na jakie ryzyko moglibyście się zgodzić? – zapytał badawczo Gozdawa. – Gdybyście musieli wyjechać za granicę.

Wiśniak dopiero teraz przenikliwie popatrzył przełożonemu w oczy.

– Na duże – odparł, i ta odpowiedź podobała się Gozdawie.

– To bardzo dobrze. Obserwuję waszą zdolność do uczenia się języków obcych. Znacie francuski, niemiecki, angielski.

– Również rosyjski.

– Ten język wszyscy znają. – Gozdawa znowu odchrząknął. – Szczególnie wysoko oceniam waszą operację przeciwko klerowi w Krakowie. Macie duże doświadczenie w resorcie.

– Staram się, towarzyszu pułkowniku.

– Jak nazywała się ta operacja, którą tak zaskoczyliście krakowski kler?

– Zakrystia. – Ta operacja przyniosła Wiśniakowi pewną sławę w resorcie.

– No właśnie, Zakrystia. Opowiedzcie mi o niej. Ucieszcie mnie relacją o tym, jak kolejny pierdolony klecha zaczął nam jeść z ręki.

## Kraków, rok wcześniej

Ojciec Tymoteusz Morawski jak co tydzień szedł na spotkanie. Czuł się zbrukany. Codziennie, kiedy sprawował mszę świętą, chciał się schować pod ołtarzem, bo miał wrażenie, że o jego zdradzie wiedzą wszyscy. Coraz częściej pojawiały się myśli, żeby ze sobą skończyć. Czuł się zaszczuty i złamany. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że został zdrajcą? W czasie Świąt Wielkanocnych ludzie modlili się do Jezusa i przeklinali Judasza, apostoła, który wydał Pana. A teraz Judaszem był on. Zdrada parzyła mu sumienie jak rozżarzony węgiel dłoń.

Kilka miesięcy wcześniej ojciec Tymoteusz poczuł się bardzo źle podczas rekolekcji adwentowych. Myślał, że to grypa. Gorączka utrzymywała się tygodniami, osłabienie i bóle w okolicach węzłów chłonnych nie dawały mu wytchnienia. Poszedł do wskazanego przez przełożonego w klasztorze lekarza, a ten, przebadawszy go, dał skierowanie na cito na oddział onkologiczny. Diagnoza specjalistów brzmiała jak wyrok. Chłoniak. Całą nadzieję ojciec Tymoteusz pokładał w tym, że nowotwór

był jeszcze we wczesnym stadium i przy zastosowaniu odpowiedniej chemioterapii można go było pokonać. Ale w chwili, kiedy najbardziej potrzebował pomocy, dał znać o sobie cały dramat peerelowskiej służby zdrowia. Takiej chemii nikt w Polsce jeszcze nie stosował. Ksiądz wrócił załamany na parafię i upił się winem mszalnym. Znalazł go stary proboszcz.

– Księżu Tymoteuszu, co się księdzu stało? – spytał przejęty.

Tymoteusz przez chwilę patrzył na swojego zwierzchnika nieprzytomnym wzrokiem, a potem wyznał mu prawdę.

– Ksiądz powinien się więcej modlić – poradził mu proboszcz.

– Modlitwa wyleczy mnie z nowotworu?

– Pomieszało się księdzu w głowie. Bóg leczy wszystko. Musi ksiądz tylko znaleźć w sobie żarliwą i głęboką wiarę.

Tymoteusz miał wrażenie, że rozmawiają nie o jednej religii, ale o dwóch. Jego religia uznawała, że człowiek został stworzony w fizyczności, a więc rak był też częścią przyrody, której z kolei częścią był on. Tylko że on nie chciał umierać, wierząc, że Bóg dokona cudu, albo czekając, aż peerelowska służba zdrowia skaże go na cierpienia. Tymoteusz był jak niewierny Tomasz – nie uwierzy, póki nie zobaczy.

– Mimo to chciałbym się poddać leczeniu – odpowiedział proboszczowi. – To może mnie wyłączyć na jakiś czas z pracy w parafii.

– Proszę napisać podanie do księdza biskupa – odrzekł gniewnie proboszcz, który nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

I Tymoteusz napisał do biskupa, nie wiedząc, że idzie ścieżką nie do Pana Boga, ale w objęcia Służby Bezpieczeństwa. W szpitalu, na oddziale onkologicznym, pracowała pielęgniarka, która była wtyczką SB. Informacja o chorym na nowotwór duchownym była cenna, więc już wkrótce do parafii Tymoteusza zawitał ktoś, kto miał wystawić wiarę księdza na

poważną próbę. Zanim jednak do tego doszło, chory słabł z miesiąca na miesiąc, bezskutecznie czekając na chemioterapię. Czuł się zmęczony walką, a żarliwa modlitwa nie przynosiła mu ulgi. Ksiądz czuł, że stanął przed najtrudniejszą próbą w swoim życiu: jak zachować wiarę, mając świadomość nieuniknionego końca życia. A nie chciał być męczennikiem. Kochał Boga – tak przynajmniej mu się wydawało – tak jak można kochać kogoś, kogo nikt nigdy na oczy nie oglądał. Kochał Boga wiejskich kapliczek, nabożnego różańca, kochał Boga z niedzielnej oazy, dającego proste odpowiedzi na najbardziej złożone pytania. Teraz jednak ów Bóg milczał, a Tymoteusz z każdym dniem zapadał się w sobie, w swojej własnej małej pustce, na której dnie istniał tylko strach przed śmiercią, przed nieodwracalnym końcem. A chciał żyć za wszelką cenę.

Właśnie wówczas przyszedł gość. Władysław Skotnicki był cenionym działaczem katolickim i opozycjonistą. Został aresztowany jeszcze przed stanem wojennym po incydencie w Bydgoszczy w marcu 1981 roku, kiedy to milicja pobiła Rulewskiego. W czerwcu 1982, podczas stanu wojennego, wyszedł na wolność. Miał nieposzlakowaną opinię niezależnego działacza.

– Czy mógłbym prosić księdza o chwilę rozmowy? – zapytał uprzejmie po niedzielnej mszy.

– Tak, oczywiście, pójdziemy do mnie na plebanie – zaproponował ksiądz.

Pan Władysław sprawiał wrażenie osoby głęboko i nie na żarty zatroskanej stanem zdrowia swojego duszpasterza.

– Słyszałem o kłopotach księdza ze zdrowiem – powiedział, widząc, jak ksiądz wychudł.

– Dziewczyny z oazy za dużo mówią – rzucił trochę zirytowany Tymoteusz, choć wszyscy wiedzieli o jego chorobie.

– Proszę nie zaprzeczać. Na parafii słychać to i owo, a ja mam wiele znajomości wśród lekarzy. Sam jestem lekarzem. Rak nie musi oznaczać wyroku.

– Co to pomoże, skoro tyle miesięcy czekam na chemioterapię. – Tymoteusz westchnął.

– Ksiądz musi wzmocnić organizm. Myślę, że leczenie w Polsce księdzu nie pomoże, a tymczasem zachodnie szpitale radzą sobie lepiej z nowotworami. W Berlinie Zachodnim, na przykład, na pewno znalazłby się ośrodek, w którym by księdzu pomogli – powiedział Władysław Skotnicki.

– To jest możliwe? Można sobie, ot tak, wyjechać na leczenie? Pewnie trzeba mieć znajomości, których ja nie mam.

– Nieprawda, ma ksiądz mnie. – Skotnicki położył na jego stoliku nocnym kartkę. – Tam znajdzie ksiądz telefon do człowieka, który może pomóc. Przecież ksiądz jest taki młody, ma prawo żyć...

Gdy zostawił osłupiałego Tymoteusza samego, ten podszedł do stolika nocnego i zobaczył na kartce numer telefonu. Nie chciał wierzyć, że Bóg wysłuchał go w takiej chwili. Rano zadzwonił. Międzymiastowa szybko połączyła rozmowę. Telefon odebrał mężczyzna, który zaproponował mu wyjazd na leczenie do Niemiec w zamian za pewne informacje o innych księżach. Tymoteusz trochę się zdenerwował, ale uspokoiły go słowa, że nic się nie dzieje bez wiedzy jego przełożonych. Miał się regularnie widywać z wysłannikiem prymasa i przekazywać mu informacje. Ksiądz, z którym się spotykał, nie wzbudził jego podejrzeń – wylegitymował się, okazując list od prymasa Glempa z jego własnoręcznym podpisem. Dwa tygodnie później ojciec Tymoteusz wyjechał na leczenie do Berlina Zachodniego, a w SB założono jego teczkę – nadano mu kryptonim Augustyn.

## Warszawa, MSW, czerwiec 1986

Gozdawa nienawidził Kościoła jak większość esbeków zajmujących się zwalczaniem tej instytucji w Departamencie Czwartym MSW. Miał dobre zdanie o ludziach pracujących w tym departamencie. Kościołowi należało przypierdolić, tak jak Wiśniak zrobił to w Krakowie albo tak jak grupa operacyjna Piotrowskiego zatłukła Popiełuszkę. Był zachwycony rzecznikiem rządu, Jerzym Urbanem, który jako Jan Rem skutecznie ośmieszał kler. Wiśniak właśnie skończył opowieść o tym, jak zwerbował do współpracy księdza Morawskiego, który coraz lepiej wywiązuje się z powierzanych mu zadań. Dzięki niemu krakowska SB wiedziała bardzo dużo o zamierzeniach kardynała Macharskiego, następcy Wojtyły na tronie arcybiskupów krakowskich. Ksiądz Tymoteusz przez jakiś czas pracował jako sekretarz Macharskiego. W Warszawie pozyskanie go do współpracy uznano za duży sukces.

– Czy ten twój TW Iluminator dalej pracuje? – zapytał Gozdawa zza swojego biurka.

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku – odparł Wiśniak. – Dzięki niemu mamy stały wgląd do krakowskiej kurii, a odkąd Wojtyła wylądował w Rzymie, dzieją się tam ważne rzeczy. To mój największy sukces – oznajmił z triumfem w głosie. – Dzięki Iluminatorowi mamy dostęp do Macharskiego i pośrednio do całego episkopatu. Jest z nimi w jak najlepszych stosunkach.

Gozdawa szybko skojarzył ten kryptonim z nazwiskiem bardzo znanego opozycjonisty. Uśmiechnął się z satysfakcją. Opozycja była pewna, że działa przeciw systemowi, a tymczasem to system sterował opozycją.



– Towarzyszu pułkowniku, co to za misja, którą chcecie mi powierzyć?  
– zapytał Wiśniak.

– O tym dowiedzie się od towarzyszy radzieckich. Jedziemy do ambasady.

– Co proszę? – rzucił zaskoczony Wiśniak.

– Coście tacy zdziwieni? Jedziemy do radzieckich towarzyszy.

– To ich pomysł?

– Oczywiście – odparł Gozdawa. – À propos tego klechy z Krakowa... Morawskiego, nadaliście mu kryptonim Augustyn. Dobrze dla nas pracuje. Przekazałem dziś jego teczkę do generała Ciastonia. Ludzie generała i on sam ucieszą się z takiego agenta wśród reakcyjnego kleru.

– Zabieracie mi tę sprawę? – zapytał Wiśniak z nutą wyrzutu w głosie. – Obydwaj są dobrymi tajnymi współpracownikami.

– Nie przesadzajcie! Macie być mieczem i tarczą partii, tam gdzie partia zechce, byście dla niej pracowali. TW Iluminator oraz TW Augustyn należą do nas. To nie jest wasz prywatny folwark. To jest front walki z przeciwnikami systemu.

– Nie znacie Iluminatora – powiedział Wiśniak, spoglądając z obawą na szefa. – Jest niebezpieczny.

Pułkownikowi Gozdawie umknął jeden mały szczegół. Czytając materiały z teczki TW Augustyna, czyli księdza Tymoteusza Morawskiego, pił nad papierami słodką herbatę. Kilka kropel spadło na notatkę sporządzoną w celu przeniesienia w stan spoczynku kapitana Wiśniaka, który właśnie wstępował na nową drogę. Pułkownik zaklął siarczyście i nie chcąc zabrudzić czcionki w maszynie do pisania, odłożył notatkę na okno. Na czerwcowym słońcu szybko wyschła. Zawierała adnotację, że kapitan Wiśniak został przeniesiony do AKWARIUM, operacja Lunatyk. A potem

Gozdawa nie włożył tej kartki do teczki pracownika SB Wiśniaka. Przez zwykłe niechlujstwo pułkownika znalazła się w teczce TW Augustyna. Tego samego dnia odesłał obie do archiwum.

★

Przed budynkiem czekała czarna wołga. Wiśniak zauważył, że limuzyna ma dyplomatyczne numery rejestracyjne. Doszedł do wniosku, że Ruscy razem z wydziałem wewnętrznym, którym kieruje Gozdawa, musieli go rozpracowywać. Tylko po co? Musieli być pewni jego lojalności pod każdym względem. Wsiadał do wołgi pełen obaw.

Z powodu korka w Alejach Jerozolimskich jechali aż dziesięć minut. Radziecka ambasada w Warszawie była niewątpliwie największym budynkiem należącym do obcego państwa w PRL-u. Położony naprzeciw niej Belweder wyglądał nader skromnie.

Samochód wjechał na teren ambasady od ulicy Belwederskiej, przejechał przez parking wydziału konsularnego i skierował się do głównego budynku. Obydwaj oficerowie wysiedli i zostali zaprowadzeni do małej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze.

– Przyjechaliśmy w sam raz – mruknął Gozdawa.

W sali zaciemniono okna, szumiał podłączony do prądu projektor do przezroczy. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn – radziecki oficer i Niemiec w mundurze Stasi. Było za ciemno, by dostrzec stopień na epoletach. Gozdawa zignorował Niemca i podszedł do Rosjanina. Był to chargé d'affaires ambasady, pułkownik Wasilij Kuzniecowa, który tak naprawdę był utajnionym koordynatorem GRU<sup>1</sup> w Polsce. Radziecki wywiad wojskowy miał swoje interesy w Europie Środkowej i nie były to interesy zbieżne z oficjalnym stanowiskiem Michaiła Gorbaczowa.

Wiśniak szybko się zorientował, że spotkanie ma charakter roboczy i jest najwyraźniej tajne.

Zdziwiło go, że w pokoju jest także bardzo ładna kobieta. Brunetka, w znakomicie dopasowanym mundurze porucznika GRU, układała przezrocza. Gdy weszli do pomieszczenia, odwróciła się w stronę Wiśniaka. Na widok jej twarzy, pięknych oczu i wyraźnie rysującego się pod mundurem biustu od razu pomyślał o tym, że miałby ochotę ją przelecieć. Panuj nad sobą człowieku, ofuknął się po chwili. Kobieta uśmiechnęła się serdecznie do najstarszego rangą radzieckiego oficera, dała znak, że wszystko jest przygotowane, po czym wyszła.

Kuzniecowa gestem zaprosił Polaków, by zasiedli w wygodnych fotelach, po czym włączył projektor. Językiem roboczym był rosyjski, z którym Wiśniak radził sobie całkiem dobrze. Oficer GRU pokazał kilka nieoficjalnych statystyk, które zaskoczyły Wiśniaka. Bez ogródek przyznawał, że Związek Radziecki przeżywa kryzys, który porównał do poważnego zawału. Z wyraźną irytacją mówił o Gorbaczowie, którego program przebudowy gospodarki pierestrojka i jawność w życiu publicznym, czyli głośność, musiały mieć katastrofalne konsekwencje. Kilka zdań utkwilo Wiśniakowi głęboko w pamięci:

– Musimy przygotować się na działanie w zmienionych warunkach. Musimy przygotować nasze służby do gospodarki rynkowej. Amerykanie odcięli nam możliwości kredytowania w zachodnich bankach. Trzeba dać zdecydowaną odpowiedź.

Kuzniecowa mówił także dużo o Afryce. Dlaczego o Afryce? Tego akurat Wiśniak nie mógł zrozumieć, ale wyglądało na to, że radzieccy towarzysze kurewsko serio traktowali nowe otwarcie. Nie mieściło mu się to w głowie, że ZSRR jest na skraju przepaści. A skoro tak było, to na skraju przepaści

znalazła się również Polska Ludowa. Pomyślał o tym, jak długo sprzątałi z Gozdawą po sprawie Popiełuszki. Setki nadgodzin poświęconych na niszczenie lub fałszowanie stenogramów z podsłuchów telefonicznych, rozkazów operacyjnych, grafików esbeków i samego rozkazu zlikwidowania księdza. Na myśl o tym, że być może za to wszystko będą musieli zapłacić tacy jak on, po plecach przeszły mu ciarki. Na razie opozycja była rozbita, siedziała w więzieniach albo przebywała na emigracji, ale jeśli Związek Radziecki miałby nie przeżyć „stanu zawałowego”, to ludzie po prostu zmiotą władzę komunistyczną jak powódź, która niepowstrzymana miażdży i niszczy wszystko po drodze. Jesteśmy w czarnej dupie, przemknęło mu przez głowę.

Po chwili zauważył, że wyświetlona mapa Afryki nie pokazuje rzeczywistych granic, ale strefy wpływów. Egipt, Sudan, Etiopia – wszystko radzieckie. Strefy wpływów brytyjskich i francuskich pokrywały się z dawnymi koloniami. Wyjątek stanowiła Nigeria; ta była podzielona na pół: Zachód i ZSRR. Kuzniecowa szczegółowo nakreślił sytuację tego kraju – Nigeria dopiero co wyszła z bezlitosnej wojny domowej, która pochłonęła milion istnień.

– To dla nas szansa – powiedział enigmatycznie.

Po dwóch godzinach zaprosił Polaków i Niemca na obiad. Podano bliny z kawiozem i śmietaną oraz rosyjską zupę rybną. Dobre żarcie jak na kryzys, pomyślał Wiśniak. Przy posiłku dołączyła do nich kobieta w mundurze GRU. Była naprawdę atrakcyjna. Znowu pomyślał o tym, że chętnie by ją przeleciał, ale wiedział, że takie jak ona idą z facetem do łóżka, a potem beznamiętnie podrzynają mu gardło. Atmosfera spotkania przypominała mu akademicki wykład, ale Wiśniak był zbyt inteligentny, by nie dostrzec, że to przykrywka do czegoś ważniejszego, mniej formalnego. Po obiedzie

radzieccy oficerowie zaprosili Polaków oraz Niemca w mundurze Stasi do podziemnego pomieszczenia wyłożonego korkiem. Rosjanie pokazywali tylko to, co chcieli pokazać. Do dźwiękoszczelnego pomieszczenia weszli we czterech, ale po chwili dołączyła do nich kobieta.

– To, co teraz powiem, jest ściśle tajne – oznajmił Kuzniecowa. – Nasi przełożeni nie wiedzą o tym.

– Towarzysz Jaruzelski nic nie wie? – zapytał zaskoczony pułkownik Gozdawa.

Kuzniecowa popatrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem.

– Towarzysz Jaruzelski się wyżywi, nawet kiedy będziemy musieli opuścić Polskę – odparł. – Tak jak Gorbaczow. Chodzi o to, że my musimy to przetrwać. Przeżyć.

– Proszę przejść do sedna – odezwał się oficer Stasi.

– Podejmujemy operację o kryptonimie Lunatyk – oświadczył Kuzniecowa. – Wszystkie szczegóły opracował towarzysz Genske.

Niemiec był rudy. Nie lubię rudych, przemknęło przez myśl Wiśniakowi, matka mówiła, że to fałszywi ludzie. Enerdowiec był postawny, wysoki, miał na oko metr dziewięćdziesiąt. Orli nos dodawał jego twarzy drapieżności.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – powiedział Genske. – W rzeczywistości zamysł operacji został opracowany przez trzy wywiady, ale zdecydowaliśmy, że bezpośrednim wykonawcą będzie oficer służb Polski Ludowej.

– Można wiedzieć dlaczego? – zapytał Wiśniak.

– Oczywiście – odparł beznamiętnie enerdowiec. – Polska Ludowa ma zdecydowanie najlepsze notowania wśród państw afrykańskich. Jesteście

bardziej wiarygodni od Rumunów i Bułgarów, nie mówiąc już o Rosjanach.  
– To miała być ironia, ale Genskemu jakoś to nie wyszło.

Kuzniecowa popatrzył na niego z irytacją.

– A przede wszystkim od was, Niemiec to Niemiec – mruknął pod wąsem Gozdawa, posyłając oficerowi Stasi drobną złośliwość.

Genske oczywiście zbył uwagę Polaka milczeniem.

– Radzieccy towarzysze ze względu na politykę odprężenia, jaką uskutecznia Gorbaczow, nie mogą się oficjalnie angażować w realizację tego projektu, ale zachowają ogólny nadzór – powiedział.

Następnie poprosił, by mu nie przerywać. Plan operacji Lunatyk został rozłożony na lata. Wywiady wyłożą duże pieniądze, w grę wchodzi dziesiątki milionów dolarów, jednak nie w celu siania zamętu, finansowania ugrupowań terrorystycznych, jak niegdyś Frakcja Czerwonej Armii. Za te pieniądze powstanie duży bank w Europie Zachodniej, który otworzy filie w Niemczech, Francji, Włoszech i innych krajach. Będzie odgrywał rolę ośrodka wpływu w myśl leninowskiej teorii o agentach wpływu; będzie kupował poparcie rządów Zachodu, korumpował polityków, finansował dziesiątki firm, w których zatrudnienie byli pracownicy wywiadów z krajów komunistycznych.

– A co ma z tym wspólnego Afryka? – Wiśniak nie wytrzymał i radziecka towarzyszka posłała mu karcące spojrzenie.

– Czy wy, Polacy, zawsze musicie robić coś w nieodpowiednim momencie? – rzucił zirytowany Genske, ale mówił dalej: – Komórka naszego wywiadu w Nigerii jest pewna, że zachodnioniemiecki koncern paliwowy Shell odkrył w tym kraju wielkie złoża ropy naftowej, porównywalne z wenezuelskimi. Kilkanaście procent światowych złóż ropy, i to jest inwestycja rozwojowa. Nowy prozachodni rząd Nigerii zamierza

oddać te złoża w ręce zachodnich inwestorów. Nie możemy do tego dopuścić. Nasz bank musi zdobyć, oczywiście przez podstawione firmy słupy, kontrolę nad tymi złożami. I to jest zadanie dla wywiadu PRL-u. Macie bardzo dobre kontakty z oficjelami nigeryjskimi. Powinniśmy to wykorzystać.

Głos zabrał Kuzniecowa, który do tej pory przysłuchiwał się wywodowi oficera Stasi. Wymiana ciosów między Niemcem i Polakami w pewnym sensie go bawiła.

– Proszę państwa, operacja Lunatyk ma długofalowe zadania. Jak wiecie, ZSRR w latach siedemdziesiątych zintensyfikował działania przeciwko USA w Ameryce Łacińskiej i krajach Bliskiego Wschodu. Według naszego studium wywiadu gospodarczego GRU, Afryka może odegrać doniosłą rolę. Kontynent jest na uboczu zainteresowania zachodnich wywiadów. Propagowanie socjalizmu w Afryce jest też najzwyczajniej opłacalne, pomyślcie, ile broni z Polski, ZSRR i NRD zdołamy tam sprzedać. Czarni bez przerwy wywołują wojny, więc czemuż nie mielibyśmy ich dozbrajać? Jakich pistoletów maszynowych najczęściej używają w Afryce?

– Oczywiście kałasznikowa – odpowiedziała kobieta.

– To, co teraz powiem – ciągnął Kuzniecowa – nie ma nic wspólnego z ortodoksyjnym podejściem do socjalizmu. Chiński przywódca Deng Xiaoping powiedział, że nie ma nic złego w bogaceniu się. Musimy przygotować sobie grunt pod nową sytuację polityczną, jaka w ciągu dwóch, może trzech lat zmieni Europę Środkową. Polscy towarzysze muszą wziąć na siebie Nigerię. Trzeba się zająć tamtejszym premierem.

– Możecie go przecież utłuc w jakiejś plemiennej rzezi. To nie jest trudne dla KGB – powiedział wprost Wiśniak.

– Oczywiście, możemy nawet utłuc premiera Polski, i to też nie jest

trudne dla KGB – odciął się Kuzniecowa. – Bank oparty na strategicznych złożach ropy naftowej w Nigerii da nam w zmienionych warunkach politycznych szansę nie tylko na przetrwanie, ale też na prowadzenie działalności o szeroko zakrojonym charakterze. Możemy wpływać na politykę Europy Zachodniej i krajów Trzeciego Świata w dużo bardziej zawoalowany sposób i, co najważniejsze, w świetle prawa wszystkie nasze działania będą legalne.

– To nowe zastosowanie marksizmu w warunkach zmieniających się układów politycznych – dodał enerdowniec. – To marksizm, towarzyszu Wiśniak, daje nam podstawę do zrównania tego, co nieporównywalne, złączenia ognia z wodą, stwierdzenia, że białe jest czarne, a czarne białe. Niestety, część kierownictwa partyjnego w Polsce i NRD, mówię o towarzyszu Honeckerze, nie wyobraża sobie upadku socjalizmu. Po to jesteśmy mieczem i tarczą partii, by takie rzeczy wiedzieć. I dlatego działamy.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Wiśniak zdał sobie sprawę, że zgadzając się wziąć udział w tej operacji, będzie musiał zerwać ze swoim dotychczasowym życiem, przekreślić je, stać się kimś innym. Zawsze jednak chciał się wyrwać z Polski.

– Towarzyszu Wiśniak, czy zgadzacie się wziąć udział w tej operacji?

– Tak, zgadzam się.

– Znamy wasze dossier, towarzyszu. Macie ponadprzeciętną zdolność uczenia się języków obcych, adaptacji, nie jesteście związani rodziną i wiemy, że nas nie zdradzicie – powiedział Kuzniecowa.

– Skąd wicie, że was nie zdradzę? – zapytał Wiśniak.

– Ponieważ to się wam nie opłaci – odparł oficer GRU. – Nas się nie zdradza, bo mamy najdłuższe ręce na świecie. Znalezlibyśmy was wszędzie.



★

TW Iluminator wściekał się, że jego oficer prowadzący się nie odzywa. Zawsze dostawał od niego pieniądze za dobry raport o kolegach ze zdelegalizowanej Solidarności, ale kapitan Wiśniak od wielu tygodni milczał. Czyżby SB zapomniała o Iluminatorze?

Tajny współpracownik Iluminator prowadził intymny dziennik swojej zdrady. Była to forma ekspiacji.

*Z dziennika Władysława Skotnickiego*

*25 października 1986*

*Kapitan Wiśniak milczy. I to akurat teraz, kiedy razem z księdzem Morawskim jesteśmy blisko podziemnej drukarni, która pracuje w jednej z krakowskich parafii. Księdzu podoba się ta robota coraz bardziej. Bo niby dlaczego miałaby mu się nie podobać? Razem możemy wycisnąć każdą forszę od innych księży lubiących sobie pobzykać. Wszystko to interes. Nie mam wyrzutów sumienia. Ksiądz Morawski również. Obaj doszliśmy do wniosku, że sumienie to wymysł.*

Zdrajca dobrze czuł się ze swoją zdradą. Wkrótce SB znów się odezwała, tym razem jednak TW Iluminator przeszedł pod bezpośrednią kuratelę pułkownika Gozdawy, który po zniknięciu Wiśniaka przejął najcenniejszych informatorów. Prowadzony przez Gozdawę Skotnicki jeszcze przez trzy lata pełnił swoją funkcję, po roku 1990 SB przestała istnieć, ateczka Iluminatora – jak go zapewniono – miała zostać zniszczona. Tyle że materiały z jego teczki zostały w 1987 roku zmikrofilmowane i miały czekać na półce, aż ktoś je odnajdzie.

★

Ksiądz Tymoteusz Morawski wcale nie czuł się zdrajcą. Po wstrząsie, jakim było podpisanie esbeckiej deklaracji współpracy, i wycieńczającej chemioterapii w szpitalu Charite w Berlinie wrócił odmieniony. Na pozór

dalej był posłuszny i wykonywał wszelkie polecenia. Pisał kazania, chrzczył, wzywał do życia zgodnego z naukami papieża, animował młodzież na oazie. Większość wiernych bardzo mu ufała, a wielu chłopaków angażowało się w działania studenckiego NZS. Ksiądz na wszystkich pisał raporty, przekazując SB bezcenną wiedzę na temat problemów osobistych potencjalnych informatorów. Miał jedną niezaprzeczną przewagę nad innymi TW – znał swoich parafian.

Po dwóch latach został przesunięty do krakowskiej kurii. Obudził w sobie pragnienie kariery naukowej, która wśród księży jest zastępczą formą przydawania sobie ważności. Doktorat zrobił z eklezjologii. W końcu go dostrzeżono i wysłano do Rzymu na uniwersytet papieski Angelicum. Tam zyskał kontakty, a także kolejną porcję bezcennej wiedzy o watykańskich układach, ludziach i ich słabościach. Nadszedł rok 1990. Komunizm się skończył równie nagle, jak się zaczął, a Tymoteusz po raz pierwszy poczuł się wolny. Gdy w roku 1992, podczas reorganizacji diecezji w Polsce, został wyświęcony na biskupa pomocniczego archidiecezji warszawskiej, wydawało mu się, że ciemna przeszłość została wymazana.

Ewangelia mówi jednak, że jeśli ktoś popełnia zradę w rzeczy małej, popełni ją także w wielkiej. A jedno zło pociąga inne. Tyle że biskup Tymoteusz Morawski już nie odróżniał dobra od zła. *Jeśli światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność!*<sup>2</sup>.

## Rozdział drugi

# ŚMIERĆ W STAMBULE

Wiśniak kilka następnych miesięcy spędził w ośrodku szkoleniowym dla agentów GRU w Związku Radzieckim. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, jak nazywało się miasto, w którym znajdował się ośrodek – miało bowiem numer. Ulice również nie miały nazw, tylko numery. Nie należało zadawać pytań, ale bezwzględnie wykonywać polecenia. Szkolenie było mordercze w pełnym tego słowa znaczeniu. Po jego zakończeniu pozwolono Wiśniakowi spędzić trzy tygodnie w Warszawie, żeby zamknął swoje sprawy. Od pułkownika odebrał teczkę z pieniędzmi, bronią, zestawami trucizn oraz kilkoma kompletami dokumentów znakomicie sfabrykowanych przez GRU na podstawie skradzionych wcześniej oryginalnych dokumentów kilku obywateli państw zachodnich.

– Od dzisiaj Kazimierz Wiśniak przechodzi do historii – powiedział Gozdawa. – Nazywacie się Andrzej Małyśiak, tutaj jest wasz życiorys i nowe dokumenty.

Położył na biurku dużą szarą kopertę.

– Jesteście absolwentem prawa Uniwersytetu Warszawskiego, co jest zresztą zgodne z prawdą, i wyjeżdżacie na placówkę dyplomatyczną Polski Ludowej do Lagos w Nigerii. Podrózujecie przez Stambuł. W Turcji spotkacie się z tamtejszym rezydentem GRU i polecicie radzieckim samolotem do Afryki.

Wiśniak powoli zaczął rozumieć, że ta maskarada sprowadza się do całkowitego zerwania z jego dawną tożsamością. Po kilku miesiącach,

widząc drobiazgowo przygotowania GRU oraz polskich służb, wiedział, że to nie są żarty i że operacja Lunatyk jest najpoważniejszą, jaką polski wywiad podjął we współpracy z innymi służbami Układu Warszawskiego. Cel stawiany przez Rosjan był jasny – umożliwić przygotowanie bazy finansowej dla działalności tych służb w ukryciu po przejściu krajów bloku wschodniego na gospodarkę rynkową. Wiśniak podejrzewał, że wierchuszka GRU nie ufa Gorbaczowowi i przygotowuje sobie grunt pod legalną działalność, na wypadek gdyby coś niedobrego miało przytrafić się Związkowi Radzieckiemu. Od Gozdawy otrzymał polecenie, by część pieniędzy na kontach nowego banku była do dyspozycji działaczy PZPR oraz szefostwa SB.

Po wyjeździe z Europy miał zniknąć, przedzierzgnąć się w niewidzialnego, ukrytego za gąszczem naftowych spółek i kont bankowych anioła stróża komunistycznych służb specjalnych, które utworzą bank zapewniający im przetrwanie. Nie wierzył w komunizm. Na studiach czytał wprawdzie *Kapitał* Marksa i jego esej o Ludwiku Feuerbachu, ale uważał go za skończonego durnia. Wiśniak nie wierzył w Boga, ale nie wierzył także w pochody pierwszomajowe, a „towarzyszem Szmaciakiem” gardził.

Na dzień przed wyjazdem w pokoju hotelowym, w którym był już zameldowany jako Andrzej Małyśiak, ktoś zapukał do drzwi. Był to pułkownik Kuzniecowa.

– No i co, towarzysz Polak? – zagadnął Rosjanin. – Jak się czujecie w nowej skórze?

– Doskonale, towarzyszu pułkowniku.

– Darujmy sobie tego towarzysza pułkownika. Wasilij jestem.

– Siadajcie.

Rosjanin rozsiadł się w fotelu.

– Za jakiś czas będziecie na Zachodzie – zaczął Kuzniecowa, a Wiśniak pilnie słuchał. – Teraz jednak czeka was trochę pracy, czasami przyjemnej, czasami brudnej. Amerykańskie CIA oraz brytyjskie MI5 dostają pieniądze od swoich rządów, my będziemy musieli osobiście na siebie zarobić. Sam pojechałbym na Zachód i robił to, czym wy będziecie się zajmować, ale nie mogę.

– Co was trzyma w Moskwie?

– Sam siebie trzymam, a ściślej mówiąc, trzyma nas instytucja, w której pracuję. Nie łudźcie się, że wasz polski Komitet Centralny PZPR o was wie. To operacja służb, nie rządów.

– Rozumiem.

– Nie wiem, czy rozumiecie. Jaruzelski nieźle by się wkurwił, gdyby się dowiedział, że polskie służby robią coś za jego plecami. Tak samo Gorbaczow. Ale my, służby, tarcza i miecz partii, mamy już dość. Chcemy sobie upaść brzuchy, zarobić na dziwki, wódę, dobre samochody i życie, bo jak pisał Lermontow, nikt nie wie, co się kryje za bezmiarem czasu. Socjalizm to idea tak samo popieprzona jak fanatyzm pierwszych chrześcijan. Ja, Wasilij Kuzniecowa, syn kierownika zmiany w fabryce traktorów w Kujbyszewie, wyznaję jedyną możliwą do przyjęcia marksistowską zasadę, że byt określa świadomość. A nasz byt pozostawia dużo do życzenia, bo nie łudzę się, że ZSRR przeżyje Gorbaczowa. Wy macie zadbać o nasz byt.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Wiśniak wiedział, że gdyby zdradził, jego ciało trafi do jakiegoś rowu i nikt nie dowie się, kim był i jak zginął. Przełknął ślinę. Słowa Rosjanina zrobiły na nim wrażenie.

– Jadąc na Zachód, a teraz do Nigerii, nie jedziecie sami. Kiedy wy

byliście na szkoleniu GRU, my stworzyliśmy wam siatkę kontaktów oraz swoiste itinerarium, gdzie bezpieczne będą czekały na was pieniądze.

– Ile, jeśli mogę wiedzieć? – zapytał Wiśniak.

– Na początek dwadzieścia milionów dolarów. To na razie wystarczy wam na rozkręcenie interesu w Nigerii. Waszym celem jest przejęcie firmy sprzedającej nigeryjską ropę na Zachód. Jeżeli to się nie uda, musicie zrobić wszystko, żeby założyć firmę i kupić działki roponośne w Nigerii.

– Po co? W Rosji macie ropy aż nadto, żeby zalać nią Zachód.

– Wy nie rozumiecie, Kazimierzu Stanisławowiczu – argumentował Kuzniecowa. – Wy macie stworzyć pozory zachodniej firmy, która po kilku latach stanie się ważna. Wtedy my zaczniemy działać. Macie być agentem wpływu, rozumiecie?

Wiśniak doskonale znał metody pracy radzieckiego wywiadu. Wiedział, co to jest agent wpływu. Miał urabiać zachodnią opinię publiczną, finansować partie polityczne, kulturę, pokazywać matuszkę Rosję jako raj na ziemi. Czy miał też przeciwdziałać wpływom USA?

– Mam przeszkadzać Amerykanom? – Myślał o firmach gigantach jak Exxon czy Shell.

– Ależ skąd! Wy macie na tym zarobić. Chwytnie?

– Mam z dwudziestu milionów zrobić sto milionów i założyć firmę?

– *Małodiec!* – Zadowolony Rosjanin odchrząknął. – Będziecie pod stałą obserwacją. Cały czas, nawet wtedy, gdy okrzepniecie i staniecie się, kim tam chcecie, Francuzem czy Niemcem, my będziemy mieć was na oku. Pamiętajcie o tym. Macie podwoić nasz kapitał na złe czasy, jakie, niestety, nadchodzą.

– Rozumiem.

– Kontakt przez towarzysza Genskiego w Berlinie. Tylko przez niego.

Proszę unikać kontaktowania się ze mną oficjalnymi kanałami, aby nie wzbudzić podejrzeń czynników partyjnych. Lunatyk to jest nasza operacja.

Rosjanin zostawił Wiśniakowi niebieską teczkę i wyszedł z pokoju hotelowego równie tajemniczo, jak się zjawił. Teczka zawierała listę kontaktów w kilku krajach europejskich oraz w Turcji i państwach afrykańskich, a także wykaz kont bankowych, na których GRU ulokowało fundusze na prowadzenie operacji Lunatyk. Oprócz tego znajdowały się tam nazwiska afrykańskich oficjeli przekupionych przez służby radzieckie.

Tydzień później, po załatwieniu swoich spraw, Wiśniak alias Andrzej Małysiak, nowy chargé d'affaires ambasady PRL, wyjechał przez Budapeszt do Stambułu.

## Budapeszt, marzec 1987

Wybierając się do Budapesztu koleją, zabrał ze sobą wyłącznie niezbędne rzeczy. Wszystkie ubrania miał zamiar kupić na miejscu w Lagos – sprowadzić eleganckie koszule i garnitury prosto z Londynu. Podróż była nużąca, toteż większość drogi Wiśniak przespał. W Budapeszcie zameldował się w ambasadzie PRL przy Városligeti fasor pod numerem szesnastym, gdzie miał kilka dni czekać na radzieckiego doradcę, w rzeczywistości opiekuna misji, ogon, który miał za sobą ciągnąć do Afryki.

Już drugiego dnia, po powrocie z miasta (Wiśniak miał słabość do budapeszteńskiej secesji), zastał w swoim pokoju mężczyznę w szarym garniturze z kazachskiej wełny. Nie miał wątpliwości, że jest to człowiek od Kuzniecowa. Nie należało zadawać pytań. Nieznajomy na jego widok uśmiechnął się.

– Jestem waszym oficerem prowadzącym. Nazywam się Uljanow – przedstawił się Rosjanin.

– Andrzej Małyśiak. – Masz nazwisko Lenina, akurat w to uwierzę, pomyślał Wiśniak.

– Wiem, kim jesteście towarzyszu Małyśiak. Jutro lecimy do Stambułu. Tu macie bilet na samolot. Nie spóźnijcie się na odprawę.

Rosjanin wyszedł bez pożegnania. Wiśniak już przywykł do zachowania Rosjan, najczęściej bezczelnego lub ocierającego się o lekceważenie, mimo to był poirytowany. Wszedł do mojego pokoju na terenie polskiej ambasady jak do stodoły, pomyślał. Przebrał się, wypił na sen małą butelkę węgierskiego tokaju i poszedł spać.

## Stambuł, 1987

Turcja była forpoczta polityczną i militarną Zachodu w Azji. Wiśniak nie bez pewnej satysfakcji pomyślał, że dla Sowietów Turcja jako członek NATO, tuż koło Kaukazu, to jak wrzód na tyłku. Miał ochotę zapytać swojego opiekuna, czy lubi Turków, ale w porę ugryzł się w język. Rosjanin zakazał mu opuszczać teren konsulatu.

– Turecka policja ma tajniaków wszędzie. Bez przerwy obserwują każdego, kto stąd wychodzi. Nikt nie może was zidentyfikować ani zrobić wam zdjęcia. Jutro spotkamy się z ważnym człowiekiem. To nasz bankier od różnych spraw.

Wiśniak pamiętał z tak zwanej „wiedzy operacyjnej” SB, że tureckie Szare Wilki, do których należał Ali Ağca, mogły być finansowane przez radzieckie służby. Członkowie Szarych Wilków, choć nie byli komunistami, ale nacjonalistami, świetnie się nadawali – tak jak Kurdowie – do destabilizacji Turcji. Nie zdziwił się więc, że Rosjanie mają kogoś, kto pilnuje brudnej kasy. Wiedział też, że już w momencie opuszczenia PRL-u zarty się skończyły. I na pewno w chwili przybycia do Lagos zostanie



zidentyfikowany przez amerykańskie służby. Cała mistyfikacja, do której przygotowywano się przez kilka miesięcy, opierała się na założeniu, że GRU zdoła przygotować „dowody” jego fałszywej tożsamości. Tak więc ktoś w Warszawie miał potwierdzić Amerykanom, że Andrzej Małysiak to nie kto inny, tylko Andrzej Małysiak. Za kilka lat miał rozplątać się w zachodnim społeczeństwie i wówczas nikt nie może go rozpoznać na zdjęciu zrobionym podczas zwiedzania Stambułu w towarzystwie oficera GRU w 1987 roku.

Nazajutrz Rosjanin przyszedł rano. Zjedli śniadanie na terenie konsulatu, po czym wsiedli do czarnej wołgi na radzieckich numerach dyplomatycznych i pojechali do azjatyckiej części Stambułu, w gęste uliczki portowej Galaty. Wiśniak wysiadł i poszedł za Rosjaninem, który najwyraźniej wiedział, dokąd i po co idzie. Po kilkunastu minutach marszu wąskimi uliczkami weszli do eleganckiego hotelu, który powstał w zaadaptowanej do tego celu willi dawnego tureckiego bogacza. To prawda, że Turcja była kiedyś biednym krajem, ale zdarzali się wtedy w Stambule ludzie bardzo bogaci. Rosjanin zaprowadził Polaka na piętro, do eleganckiego biura. Wiśniak rzucił okiem na orientalne meble z ciemnego drewna i na ornamentykę na ścianach. Kolor indygo przeplatał się z innymi, jaśniejszymi i cieplejszymi odcieniami błękitu. Uljanow zwrócił się po rosyjsku do grubego Turka siedzącego za biurkiem i palącego fajkę. Musiał używać doskonałego gatunku tytoniu, bo Wiśniak nagle zapragnął zapalić. Zwalisty Turek wstał i podszedł do przybyszów. Uścisnął najpierw dłoń Rosjanina, a potem Wiśniaka, skupiając przez chwilę wzrok na tym drugim.

– A więc to ty będziesz teraz dbał o nasze interesy? – zapytał po angielsku z bardzo kiepskim akcentem. – Nazywam się Hassan i jestem...

finansistą.

– Andrzej Małysiak – przedstawił się rzeczowo Wiśniak, obydwaj jednak wiedzieli, że ich prawdziwe nazwiska brzmią zupełnie inaczej.

Na znak gospodarza obaj oficerowie usiedli w wygodnych skórzanych fotelach. Hassan kazał służącemu przynieść kawę parzoną na sposób turecki, a więc kilkakrotnie doprowadzaną do wrzenia w małej ilości wody. PRL-owska kawa po turecku z tą nie miała nic wspólnego.

– U nas, w Stambule, nie sposób prowadzić interesów bez łyka kawy – powiedział.

Wiśniak skosztował jej; była niewiarygodnie mocna i słodka. Uljanow wprowadził go w temat. Hassan cały czas badawczo przyglądał się Polakowi. Był sympatykiem zdelegalizowanej Komunistycznej Partii Turcji. Choć nie zostało to powiedziane wprost, Wiśniak nie miał wątpliwości, że jest też agentem GRU w Turcji. Prowadził hotel, który pełnił także funkcję luksusowego burdelu dla oficerów tajnych służb z państw komunistycznych. Hassan był również człowiekiem kontaktowym dla agentów GRU w państwach Bliskiego Wschodu i Afryki. Przekazywał im gotówkę, ale też inwestował pieniądze radzieckich służb w odpowiednio dobrane i sprawdzone firmy zachodnie działające w Turcji. Komunizm nigdy nie odrzucał stosowania kapitalistycznych metod do pokonania kapitalizmu. Tak czynił Lenin w czasach NEP-u i tak czyniło GRU wiele lat po śmierci wodza rewolucji.

W czasie objaśnień Rosjanina Wiśniak przypatrywał się ukradkiem Turkowi. Jego nalana, rumiana twarz zdradzała pewność siebie, spryt i bezwzględność. Pomyślał, że lepiej mieć tego człowieka po swojej stronie. Szybko doszli do porozumienia. Turek miał otworzyć do jego wyłącznej dyspozycji konto w tureckim banku w Nigerii, na które GRU miało

przekazać pieniądze przeznaczone na operację Lunatyk. Hassan miał także zostać partnerem spółki, którą Wiśniak powinien stworzyć dla ułatwienia transferu środków finansowych, jakie GRU zamierzało zarobić na inwestycji w nigeryjskie pola naftowe. Wiśniak cały czas zastanawiał się, jakie jeszcze inne powiązania musi mieć ów Turek, skoro GRU, instytucja z założenia nieufna, mu zaufała. Tak czy owak, na pewno wywiązywał się ze swoich obowiązków nader skutecznie i lojalnie, bo w przeciwnym razie GRU już dawno wysłałoby go do raju Proroka. Wiśniak uznał więc, że dobre stosunki z Hassanem będą miały dla niego ważne – jeśli nie fundamentalne – znaczenie. Rozumiał także, że Turek w zamyśle GRU miał go kontrolować, i podejrzewał, że Rosjanie tego samego będą oczekiwali po nim: że będzie kontrolował Hassana. W końcu radziecki system zawsze opierał się na powszechnym donosicielstwie.

★

Po dokonaniu oficjalnych ustaleń Hassan zaprosił swoich gości na wieczór turecki. Czarna wołga zawiozła ich przez wielkie miasto do azjatyckiej części. Wiśniak oglądał w szybie nieprzebrane tłumy ludzi ciągnących we wszystkich kierunkach. Sztambuł nocą przypominał wielkie mrowisko. Plac Taksim położony w centrum miasta stanowił też centrum nocnego życia. Ulice od niego odchodzące pełne były ludzi pijących kawę serwowaną po turecku, w malutkich filiżankach, z kardamonem lub innymi wonnymi przyprawami, rozmawiających o interesach lub wymieniających najświeższe ploteczki. Sztambuł, zalany światłem neonów, był dla przybysza z PRL-u czymś zupełnie nowym i nieoczekiwanym. Wołga co chwilę stawała na światłach lub po prostu kierowca zmuszany był do hamowania, żeby przepuścić ludzi zupełnie ignorujących wszelkie zasady ruchu drogowego. Żelazny most spinający część europejską Sztambułu i Galatę

położoną w Azji wywarł na Wiśniaku ogromne wrażenie – jakby samochód frunął nad ciemną tonią morza, odbijającego gdzieś kolorowe światła miasta.

– Coś mi się zdaje, że nasz gospodarz jest udziałowcem tego burdelu, do którego nas wiezie – szepnął do Rosjanina Wiśniak w jego języku.

Uljanow wzruszył ramionami. Wołga zatrzymała się przed eleganckim hotelem, na którego fasadzie zainstalowano świecący na czerwono neon. Wiśniak nie znał wprawdzie tureckiego, ale zorientował się po napisie, że miejsce to nazywa się Harem Hassana lub coś w tym stylu. Gdy weszli do środka, gospodarz poprowadził ich do eleganckiego lokalu. Wiśniak nawet nie wiedział, kiedy zaroilo się w nim od skąpo ubranych dziewczyn; w tle słychać było orientalne tony. Wprawdzie Allah zabrania alkoholu, hazardu, palenia tytoniu i korzystania z burdeli, lecz w Stambule nie traktowano Allaha poważnie. Wiśniak nie miał nic przeciw przygodzie, zwłaszcza że na szkoleniu w Związku Radzieckim nie było ku temu zbyt wielu okazji. Perspektywa spędzenia kilku miłych chwil w towarzystwie tych niewiarygodnie pięknych, zgrabnych dziewczyn była zbyt kusząca, by odmówić.

Śmiech Uljanowa otrzeźwił go. Rosjanin pozbył się swojej wyuczonej w KGB wstrzemięźliwości w okazywaniu tego, co myśli. Kazał prostytutkom tańczyć, na co te chętnie się zgodziły. Jedna z dziewczyn o kruczoczarnych włosach – młoda i powabna – usiadła Wiśniakowi na kolanach. Miesiące wstrzemięźliwości dały o sobie znak; poczuł, że jest mocno pobudzony. Wstał z fotela, a uwieszona na jego ramieniu dziewczyna, która nie знаła ani słowa po rosyjsku czy polsku, pokazała mu na migi, gdzie powinien skręcić, aby dotrzeć do miejsca przeznaczenia – dużego pokoju z szerokim łóżkiem.

Lubił kobiety i wiedział, jak czerpać przyjemność z młodego ciała Turczynki, a ta poza tym, że była piękna i biegła w swoim fachu, posiadała tę umiejętność, którą mają tylko najdroższe dziwki – umiała sprawić wrażenie, że to, co robi, daje jej niesamowitą frajdę. Po wszystkim, nagi i spocony, oparł głowę na jej brzuchu i zapalił papierosa. W pewnej chwili usłyszał za ścianą głośny jęk, a potem głucho uderzenie i wiązkę rosyjskich przekleństw. Nigdy nie uważał się za dżentelmena w angielskim stylu, który ratuje dziwki z rąk sadystycznych klientów, ale był zdania, że nawet w kontaktach z kobietami uprawiającymi najstarszy zawód świata trzeba przestrzegać pewnych zasad *savoir-vivre'u*. Należało płacić i zachować elementarną kindersztubę. Polskie dziewczynki pracujące na własny koszt lubiły to w nim, ale najwyraźniej w burdelu dla KGB w Stambule obowiązywały inne zasady. Gdy jęk i przekleństwa się powtórzyły, Wiśniak wstał, włożył spodnie i wyszedł na korytarz. Wrzaski w sąsiednim pokoju się wzmagaly. Przeszedł go dreszcz, bo tak strasznego krzyku jeszcze nie słyszał. Z całej siły kopnął w drzwi, a kiedy się otworzyły, wpadł do pokoju.

Uljanow, nagi i najwyraźniej kompletnie pijany, torturował prostytutkę. Kobieta ze śladami pobicia na twarzy jęczała z bólu i poniżenia. Wiśniak zauważył butelkę po wódce, która posłużyła rosyjskiemu kobiecemu bokserowi do gwałtu. Dziewczyna krwawiła w okolicach intymnych. Kilka Turczynek przypatrywało się z korytarza tej wynaturzonej orgii.

– Uljanow, ty durniu! Co ty wyprawiasz?!

Oficer KGB odwrócił się w jego stronę. Miał twarz szaleńca.

– Co ty, kurwa, Polaczku jeden, będziesz mi kazania prawić?!

Mówiąc to, rzucił się na Wiśniaka. Ten jednak wypił mniej alkoholu, więc zręcznie się wywinął i uderzył go dwoma palcami w gardło, w okolice grdyki, tak jak uczono go na kursie GRU. Uljanow, porażony bólem, zwałił

się na podłogę, a Polak kazał Turczynkom natychmiast zabrać krwawiącą koleżankę.

Niestety, Rosjanin przechodził to samo szkolenie co on. Uderzenie Polaka rozwścieczyło go, potrafił jednak zapanować nad bólem, tak że kiedy Wiśniak na ułamek sekundy odwrócił się w stronę Turczynek, Rosjanin chwycił go żelaznym uściskiem za gardło. Obaj upadli, tocząc walkę o życie. Na szczęście Hassan, zaalarmowany przez dziewczyny, przybiegł do pokoju, obawiając się, że pijany Rosjanin zabije Polaka i on będzie miał z tego powodu poważne kłopoty. Zauważył, że Uljanow zostawił odbezpieczony pistolet na szafce nocnej, błyskawicznie chwycił broń i przystawił lufę do jego czoła.

– Puść go natychmiast, *swotocz!* – zawołał z bezbłędnym rosyjskim akcentem.

Gdy Uljanow zwolnił uścisk, Hassan pociągnął za spust.

– Stało się – powiedział nad trupem Rosjanina – *Inszallah!* Wola Boża.

Do Wiśniaka nie w pełni docierało, że przed chwilą Turek wpakował kulę w głowę radzieckiego agenta. Oznaczać mogło to tylko jedno: kłopoty.

– Coś ty, kurwa, zrobił najlepszego? – rzucił po polsku.

Hassan oczywiście nie rozumiał tego języka, ale wyczuwał, że dla Polaka śmierć radzieckiego oficera może się wiązać z poważnymi komplikacjami. Po dłuższym zastanowieniu Wiśniak uznał jednak, że Turek nie miał wyboru. Najwyraźniej Uljanow był tym typem alkoholika sadysty, który po wódce zamieniał się w rozszalałe zwierzę. Gdyby nie Hassan, z największą przyjemnością zabiłby jego, Wiśniaka.

Nagle zaczął widzieć operację Lunatyk w bardzo ciemnych barwach.

– Musiałem to zrobić – odezwał się Turek po rosyjsku. – Pociął dziewczynie twarz tak, że teraz nawet za darmo nikt nie zechce jej rznąć. Ja

tutaj prowadzę interesy!

Wiśniak popatrzył na niego z obrzydzeniem, ale nie tracił politycznego instynktu przetrwania, w żadnej sytuacji. Hassan w tej chwili był po tej samej stronie barykady co on.

– Niczego nie widzieliśmy – rzucił Wiśniak. – Jeśli Rosjanie rozpoczną śledztwo, zeznamy, że Uljanow urwał się na dzień przed odlotem do Afryki, bo chciał iść do burdelu. Dużo wypił, wpadł w szal, pociął dziwce twarz nożem i zgwałcił ją brutalnie, a ona, broniąc się, zastrzeliła go z jego własnej broni, którą ten dureń położył odbezpieczoną obok łóżka.

– Masz głowę, Polaku – przyznał Hassan. – Ale nie mogę sobie pozwolić na taką wersję zdarzeń. Jeśli policja znajdzie u mnie trupa, natychmiast zamkną mi lokal. Czy wiesz, jak trudno jest w Stambule uczciwemu przedsiębiorcy utrzymać się w tym interesie? Możemy pozbyć się Uljanowa w Bosforze jeszcze dzisiaj.

– To się wyda Rosjanom podejrzane. Przeprowadzą śledztwo i będziesz musiał zachować zimną krew, bo GRU dokładnie wszystko sprawdzi.

– Mam z GRU do czynienia od lat. A jak sądzisz, kto w Turcji jest pośrednikiem między GRU i Szarymi Wilkami? – zapytał dumnie Turek.

Wiśniak uznał jednak, że Hassan chce mu zaimponować. Nie jest wiarygodny, pomyślał. Najważniejsze, żeby oddalić podejrzenia ode mnie, choćby na chwilę. Wcześniej czy później GRU zapewne domyśli się prawdy. Teraz jednak najistotniejsze było kontynuowanie misji i zachowanie lojalności wobec Rosjan. Nie chodziło nawet o samego Uljanowa, bo takich GRU ma na pęczki, ale o przestrzeganie podstawowej zasady, o której wspominał Kuzniecowa. GRU nie tolerowało nielojalności, a zatem niepowiadomienie ich o śmierci agenta było dość ryzykowne.

– Zabierajmy się do pracy – zaproponował Turek.

Rozłożyli na podłodze ściągnięte z łóżka prześcieradło i przenieśli na nie zwłoki. Nagi, z genitaliami na wierzchu, wybałuszonymi oczami i dziurą po pocisku kalibru 9 mm w głowie, Uljanow wyglądał groteskowo. Dziwkom Hassan kazał szybko się ukryć, a ciało wynieśli do zaparkowanego w garażu samochodu. Jeszcze tej nocy zostało wrzucone do zatoki Złotego Rogu. Policja niewątpliwie je odnajdzie, a radziecka ambasada z pewnością już jutro zauważy, że Uljanow nie wsiadł do samolotu lecącego do Nigerii. Zaczną go szukać. Znajdą ciało w jednej z kostnic i natychmiast zarządzą autopsję, która wykaże, że Uljanow urznął się przed śmiercią jak bydlę. Ta dzielnica Stambułu była znana powszechnie z uprawianego tam procederu. A przecież zabójstwa na tle seksualnym się zdarzają.

★

Następnego dnia Wiśniak wsiadł do samolotu lecącego do Lagos w Nigerii. Czuł, że jeszcze spotka Hassana na swojej drodze. Śmierć Uljanowa nie dawała mu spokoju. Mógł liczyć tylko na to, że skoro Lunatyk był operacją kilku wysoko postawionych oficerów wywiadu wojskowego, to nie morduje się przecież kury mającej znosić złote jajka.



## Rozdział trzeci

# **NOWOJORCZYK**

### Nowy Jork, Greenwich Village, 2014

Nad Manhattanem od kilku dni zalegała duchota. Początek lata wkradł się do wielkiego miasta jak dawno zapowiadany gość, którego przybycie na nikim nie wywarło wrażenia. Po południu w Washington Square Park znajdowało się mnóstwo ludzi. To najcudowniejsza dzielnica Nowego Jorku, pełno kafejek, artystów, sklepów z dziełami sztuki, niskie filigranowe kamienice, i to w sercu Manhattanu. W irlandzkim Emerald Pub było kilku gości, ale przed barem siedział na wysokim krześle tylko jeden człowiek, na którego stali bywalcy lokalu wcale nie zwracali uwagi.

– Peter, nalej jeszcze jednego – zwrócił się do barmana.

Irlandczyk pracujący za barem znał klienta, który lubił spędzać samotne wieczory, na swój własny – ale ponoć skuteczny – sposób walcząc z samotnością i depresją. Metoda polegała na picciu jednego drinka za drugim. Klient miał wysmakowane upodobania. Dziś jednak zalewał się krwawą mary, ale z zupełnie innym dodatkiem, mianowicie polską wódką, której duże reklamy z twarzą Bruce’a Willisa znajdowały się w nowojorskim metrze.

– Nie masz dość na dzisiaj? – zapytał Peter.

– Ja decyduję, kiedy mam przestać pić. Jeszcze jeden.

– W porządku. Twoja kasa, twoja głowa.

Barman spełnił jego prośbę i kolejna krwawa mary zniknęła w czeluściach gardła mężczyzny.

– Zapaliłbym papierosa – powiedział klient.

– Wiesz, Max, że w naszym lokalu nie można. Zamówić ci taksówkę? – zapytał z troską w głosie Peter.

– Miałbym zapłacić sześćdziesiąt dolców za przejazd do New Jersey? Jeszcze nie jestem tak pijany, żeby nie trafić do metra.

– Uważaj na policjantów. Nie lubią pijanych w metrze.

– Chciałeś powiedzieć, że nie lubią pijanych czarnuchów w metrze.

– To nie moje słowa, ale wiesz, jak jest.

– Jasne. Wpadnę jeszcze w tym tygodniu.

– Trzymaj się, Max! – rzucił Peter.

Klient wyszedł z baru. Powietrze na zewnątrz nie otrzeźwiło go. Po upalnym dniu próżno szukać w Nowym Jorku ochłody. Powlókł się na stację metra. Miał zamiar dojechać do Penn Station, gdzie mógł się przesiąść na autobus do New Jersey i za trzy dolary dojechać do domu. Mieszkał dobre piętnaście minut od Nowego Jorku, ale w innym stanie. Społeczność miasteczka New Bergen składała się z niezbyt majątnych ludzi. W McDonalddie przy zjeździe z autostrady zapytana o cokolwiek dziewczyna najchętniej odpowiadała po hiszpańsku, a angielski wyraźnie kaleczyła.

Dowlókł się do domu pół godziny później, wstąpiwszy po drodze do hipermarketu. Kupił kilka hamburgerów z sosem Spixy, parę piw i duży sok z mango i pomarańczy. Niedaleko domu minęła go Latynoska z dziećmi. Była ładna i najwyraźniej jej się podobał. Gdyby się koło niej zakręcił, mógłby zostać kolejnym przyklejanym tatusem tej gromadki dzieciaków.

Część swojego domu wynajmował chińskiemu małżeństwu, które nieopodal prowadziło restaurację. Pani Chiang zawsze przynosiła świeże

jedzenie i Max polubił wieprzowinę po kantońsku. A zwłaszcza z polską wódką. Tak jak dzisiaj, kiedy robił sobie wolne. Spory dwukondygnacyjny dom, który dostał od matki, na potrzeby samotnego mężczyzny był za duży; wystarczała mu połowa. Max prowadził w New Jersey City agencję detektywistyczną; miał do tego spory talent i doświadczenie. Dochody były jednak nieregularne, więc prowadził dość oszczędny tryb życia. Musiał pokonać dużo przeszkód natury kulturowej, aby otworzyć biuro detektywistyczne i zdobyć renomę. Od dziesięciu lat utrzymywał się głównie z prowadzenia trudnych spraw w Nowym Jorku. Policja czasami prosiła go o różne przysługi, a nadziani królowie Harlemu wynajmowali go, by śledził niewierne żony.

Max Kwietniewski był czarnoskórym, dobrze zbudowanym mężczyzną o nienagannych manierach, które niejednokrotnie zawstydzaly białych. W porównaniu z wieloma Amerykanami, przyzwyczajonymi do niedbałych strojów, ubierał się elegancko, w pastelowe kolory, a do pracy zawsze chodził w markowych garniturach lub marynarkach. Buty miał zawsze włoskie, uważał bowiem, że nikt na świecie nie robi lepszego obuwia. Zimą chodził w prawdziwym polskim kożuchu z baraniej skóry. Prezent od matki, ale na nowojorskie zimy doskonały. Czasami mróz chwycił wielkie miasto między rzeką Hudson i East River w tak straszne kleszcze, że morze wokół Manhattanu zamarzało, a Statua Wolności na swojej maleńkiej wyspie wyglądała jak jakaś baśniowa postać z krainy wiecznego śniegu. Max nie był specjalnie religijny, ale na Boże Narodzenie chodził do pobliskiego katolickiego kościoła w New Bergen i zupełnie nie zwracał uwagi na hiszpańską mszę. Większość sąsiadów była emigrantami z Ameryki Południowej, a on, Afroamerykanin z polską duszą, czuł się w Stanach

wyobcowany. Lubił swoich sąsiadów. I oni lubili jego, co nie byłoby takie pewne, gdyby był białym gringo.

– Do ciężkiej cholery! Ale mnie, Boże, urządziłeś – tak brzmiała jego modlitwa w Boże Narodzenie. – Murzyn z polską duszą w Nowym Jorku!

– O czym mówisz, synu? – spytał meksykański ksiądz, nie rozumiejąc ani słowa po polsku.

– W Harlemie nie jestem czarny, a w Midtown nie jestem biały – odpowiedział po hiszpańsku Max.

– Ale tutaj zawsze możesz być sobą.

Z nadzieją wpatrywał się w portret papieża Franciszka. Czekał na to, by ten człowiek z Ameryki tchnął ducha w tę skostniałą i niemożliwie staroświecką instytucję. Przed laty Max jeździł na Wigilię do matki, zanim wyszła ponownie za mąż. Jego przyrodnie rodzeństwo za nim nie przepadało. W polskim kościele na Greenpoincie był podczas pasterki jedynym czarnoskórym. Po mszy pewna Polka, Teodora, pracująca na pobliskim Brooklynie – w mało legalny sposób wycierała tyłki starym Amerykanom – zapytała go:

– Jesteś czarny. Dlaczego chodzisz do naszego kościoła?

– A co, Bóg nie lubi czarnych w polskim kościele? – Jego nieskazitelny język polski nie zrobił na kobiecie żadnego wrażenia.

– Bóg kocha wszystkich ludzi. Ale to jest polski kościół i powinni chodzić do niego Polacy. Odpowiedz na moje pytanie, Murzynie – powiedziała z rozbijającą szczerością.

– Bo moja matka nie dokonała aborcji po romansie z czarnoskórym żołnierzem w Kalifornii – odparł Max, ale do polskiego kościoła na Greenpoincie więcej już nie poszedł.

Modlił się zatem w Boże Narodzenie po polsku, a w

hiszpańskojęzycznym kościele i tak nikt nic nie rozumiał. Gdy dotarł do domu, pani Chiang powiedziała coś w łamanym angielskim i chińskim, ale Max myślał tylko o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o napiciu się piwa. Po drugie, o głębokim pijackim śnie. Zaśnięcie nie było trudne, a pani Chiang szczerze się zdziwiła, że nie zjadł porcji jakiegoś chińskiego dania. Zasiadł w salonie przed atrapą kominka. Piwo było ciepłe i niedobre. Nie mógł jednak powstrzymać wspomnień sprzed lat.

O jego ojcu matka nigdy nie chciała mówić. Jak wyznała kiedyś w szczerzej rozmowie przy wódce, przespała się z jakimś czarnoskórym żołnierzem w 1968 roku w Los Angeles, gdzie krótko należała do hippisowskiej komuny. Wolna miłość, wolna marihuana, wolne obyczaje. Max domyślał się, że jego poczęcie nie było jakąś chwalebłą historią, i nigdy matki o to nie pytał. Mógł być jej tylko wdzięczny, że chciała go mieć. Jako czarnoskóremu dziecku w Nowym Jorku nie było mu dobrze. O szkołach takich jak Stuveysant High School mógł jedynie pomarzyć, podobnie jak o studiach na Columbii, ale dzięki żelaznej konsekwencji w dążeniu do celu i uporowi – to drugie jest podobno typowo polską cechą – i dzięki matce, która ciężko pracowała, by go utrzymać, Max zrobił po college’u trzy lata prawa na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork, a potem wstąpił do armii USA. Odsłużył trzy lata i po zakończeniu kontraktu postanowił zostać policjantem. W policji nowojorskiej mógł skończyć tylko jako krawężnik w Harlemie, a tego nie chciał. Miał jednak szczęście – aplikował o pracę w Interpolu i ponieważ jako język obcy podał polski, którym władał biegle, w początkach 1991 roku został skierowany na placówkę nad Wisłą.

★

Przyjazd do kraju matki był skokiem w inną rzeczywistość. Trzy lata wcześniej w Polsce dokonał się przełom polityczny. Upadł komunizm. Max

miał dość mgliste pojęcie o tym ustroju, ale musiał być rzeczywiście paskudny, skoro matka po prostu od niego uciekła. Z jej opowieści wiedział, że komunizm to wieczne kolejki, bieda i ciągła ogłupiająca propaganda. Po przyjeździe dostrzegł, że rzeczywistość polska jest dużo bardziej złożona, niż mógł przypuszczać. Kraj znajdował się w stanie eksplozji przedsiębiorczości. Ludzie zakładali firmy, powstawały pierwsze fortuny. Na własne oczy mógł obserwować to, co słyszał w Ameryce jedynie z opowiadań. Polacy lubili Stany Zjednoczone, co przysparzało mu znajomych, ale nie lubili czarnych, co odstręczało od niego wielu ludzi. Jednak jego język polski, a już na pewno recytowane z pamięci polowanie z *Pana Tadeusza*, które matka wtłaczała mu do głowy, topiły wszystkie lody.

Monikę poznał w Teatrze Dramatycznym na spektaklu *Ożenek* Gogola, ze świetnymi kreacjami Stanisławy Celińskiej i Zbigniewa Zapasiewicza. Wtedy zorientował się, że polski teatr stoi na poziomie czasami przewyższającym skomercjalizowany świat Broadwayu. Podczas antraktu potrąciła go dziewczyna i oblała kawą.

– Strasznie pana przepraszam – odezwała się po angielsku.

– Nie ma za co – powiedział po polsku.

– To pan mówi po polsku? – zapytała zaskoczona. – Jestem Monika. –

Podawała mu rękę.

– Max Kwietniewski, miło mi poznać.

– Ma pan polskie nazwisko...

– Moja mama jest Polką, ale ja urodziłem się w Nowym Jorku.

Na początku spotykali się podczas przerwy w pracy na kawie, w pędzie. Ona była dziennikarką w Telewizji Polskiej na Woronicza. Do tej pory nie angażował się w trwałe związki, ale między Moniką a nim zaiskrzyło. Spacerowali po Łazienkach, wspólne oglądali *Miasteczko Twin Peaks*. Monika

jako fanka agenta Coopera była ciekawa, jak smakuje ten jego ulubiony placek z wiśniami. Max powiedział, że mogłaby być rozczarowana, bo przecież polska kuchnia jest lepsza od amerykańskiej. Kiedy oglądali serial w mieszkaniu Moniki na Ursynowie, zawsze musiało być ciasto i „piekielnie mocna kawa”.

★

Po pierwszej randce wylądowali w łóżku. Wzajemnie odkrywając swoje ciała, ucząc się ich, budowali coraz silniejszą więź. Monikę fascynowało jego ciało, cudownie gładkie, umięśnione i czekoladowe. Podobało jej się to, co jej robił w łóżku, ale nie tylko fantastyczny seks sprawił, że spotykali się coraz częściej, a właściwie spędzali ze sobą po pracy każdą wolną chwilę. Po prostu się polubili.

Znajomi Moniki przyjęli jej związek z czarnoskórym mężczyzną raczej obojętnie, tylko sąsiadka z szóstego piętra chlapnęła kiedyś coś w stylu:

– Polaka znaleźć sobie nie mogła?

Ale Monika miała szybką odpowiedź:

– On jest Polakiem.

Jej najbliżsi przyjaciele – dziennikarka z Woronicza, Agata Wróblewska, i jej mąż Krzysztof, makler w jednym z banków – polubili go. Romans Moniki nie mógł umknąć uwagi jej rodziny. Brat Andrzej, pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, absolwent prawa, przyjął Maxa z pewną rezerwą właściwą wszystkim Polakom wywodzącym się ze środowisk inteligenckich. „Ci niedouczeni Amerykanie!” Ale gdy poznał Maxa, szybko zmienił zdanie. Również ojciec Moniki, zwłaszcza po usłyszeniu, jak chłopak córki mówi po polsku, nie robił jej żadnych wyrzutów.

Upadł kolejny mit włączany Maxowi do głowy w Nowym Jorku: że

Polska to kraj niedźwiedzi i że gorzej być nie może, niż pochodzić z tego kraju. Ojciec Moniki należał do kręgu warszawskiej inteligencji i wcześniej był członkiem KOR-u. To właśnie on – Władysław Skotnicki – tak naprawdę wprowadził Maxa w życie tego kraju. Znał wszystkich ważnych ludzi z Komitetu Obrony Robotników, a potem z Solidarności – Michnika, Rulewskiego, Kuronia, braci Kaczyńskich czy profesora Geremka. W czasie stanu wojennego – Monika wtedy jeszcze chodziła do liceum – siedział w więzieniu. Po upadku komunizmu Władysław Skotnicki został politykiem i posłem na sejm z listy centrowej Unii Wolności.

Max, Afroamerykanin polskiego pochodzenia, nauczył się patrzeć na Polskę oczami teścia, którego bardzo polubił. W kwietniu 1992 roku on i Monika wzięli ślub. Matka Maxa przyleciała na wesele. Był to jej pierwszy przyjazd do kraju po ponad dwudziestu latach. Bardzo się wzruszyła, widząc syna przy ołtarzu z ładną dziewczyną, i do tego w Warszawie, a nie w Queens czy Brooklynie. Były to piękne dni, chyba najlepsze w życiu Maxa.

Andrzej Skotnicki dzięki koneksjom ojca dostał pracę w UOP-ie, służbie powstałej na gruzach komunistycznego aparatu represji, w której zatrudniono pozytywnie zweryfikowanych esbeków oraz młodych entuzjastycznie nastawionych do przemian ludzi gotowych zmieniać swój kraj.

Rodzinne szczęście skończyło się drugiego czerwca 1992 roku, niecałe dwa miesiące po ślubie. Tego dnia przed południem na wniosek jednego z posłów prawicy minister spraw wewnętrznych został zobowiązany do przedstawienia sejmowi listy osób, które w latach PRL-u podjęły współpracę z SB. Lista powstała na podstawie materiałów dotyczących tajnych współpracowników SB i znalazło się na niej nazwisko posła



Skotnickiego. Wybuchł skandal. Na wniosek prezydenta Wałęsy tego samego dnia – a raczej nocy – rząd premiera Olszewskiego, który podjął się przeprowadzenia lustracji, został zdymisjonowany. Monika przez cały dzień próbowała dodzwonić się do ojca do sejmku, ale nikt go nie widział. Prawicowi dziennikarze nie dawali rodzinie spokoju. Andrzej reagował bardzo nerwowo, a Monika zamykała się w swoim pokoju i płakała. Max nie wiedział, jak ją pocieszyć. Nie mieściło mu się w głowie, jak w oparciu o bezpodstawne – jak wtedy mu się wydawało – oskarżenie można zniszczyć życie rodzinie. W Ameryce od razu pomógłby napisać Monice pozew cywilny za doznane szkody moralne. Na coś przydawały się te trzy lata prawa na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork. Polska była jednak innym krajem, w którym można unurzać człowieka w gnoju, i to bez konsekwencji.

– To oni mają prawo tak obrzucić błotem twojego ojca, a ty nie możesz ich pozwać? – pytał żonę.

– Nic nie rozumiesz – odparła załamana Monika. – Ojciec jest skończony.

– Przecież nie wierzysz w te brednie?

– Moja wiara lub niewiara nie mają tu nic do rzeczy, Max.

★

Władysław Skotnicki dopiero w momencie, kiedy z mównicy sejmowej padło jego nazwisko, poznał ciężar swojej winy. W jednej chwili wszystkie grzechy zwały się mu się na głowę. Tego dnia koleżanki i koledzy nie poznawali go na korytarzu sejmowym. Zadzwoił na prywatny numer Gozdawy do Mikołajek. Wiedział bowiem, że esbek mieszka na Mazurach, gdzie oddaje się przyjemnościom pływania jachtem po jeziorach. Odebrała służąca pułkownika.

Podał jej hasło, które oznaczało, że TW potrzebuje pilnej rozmowy z opiekunem. W końcu Gozdawa oddzwonił na jego numer do biura poselskiego.

– Potrzebuję pomocy – powiedział TW Iluminator.

– Pomocy? – zachnął się Gozdawa. – Gra skończona.

– Pomóżcie mi, przecież robiłem to dla was.

– Kurtyna opadła. Macie, co chcieliście, pluralizm, demokrację i całe to gówno. I ty teraz utoniesz w tym gównie – odparł poirytowany pułkownik.

Skotnicki był jednak zdeterminowany. Zamierzał zmusić esbeków, którzy mieli powiązania w telewizji publicznej, żeby pomogli mu się oczyścić. Postanowił zagrać *va banque*.

– Wiem o Wiśniaku – rzucił do słuchawki, wściekły i coraz bardziej zdeterminowany.

Gozdawa był zaskoczony. Nie wierzył wprawdzie, by Skotnicki wiedział coś o Lunatyku, ale nie mógł tego zlekceważyć. Operacja wciąż trwała i musiała pozostać ściśle tajna.

– Dobrze, przystań nad Wisłą. Tam gdzie zwykle, godzina dwudziesta druga.

Tajni współpracownicy czasami spotykali się ze swoimi oficerami prowadzącymi w miejscach ustronnych, żeby odebrać pieniądze lub po prostu porozmawiać bez świadków. O przystani nad Wisłą wiedzieli tylko on i Gozdawa. Miejsce nie wzbudziło więc w nim podejrzeń.

Pojechał samochodem. Pułkownik i człowiek, którego Skotnicki nie znał, czekali już na przystani.

– Co wiesz o Wiśniaku? – przeszedł od razu do rzeczy Gozdawa.

Skotnicki spojrzał mu głęboko w oczy i widząc zwężone źrenice, zrozumiał, że pułkownik nie przyjechał tu, by dyskutować.

– Wszystko. Wiem, gdzie jest i co robi – blefował, chcąc uzyskać jakąś pomoc od swojego byłego opiekuna.

– Niemożliwe.

– Wszystko opisałem – powiedział Skotnicki.

– I ty myślisz, że będziesz nam stawiał warunki? Ty gnoju! Jesteś zwykłym, pierdolonym TW, czyli wiadrem pomyj – wycedził z wściekłością Gozdawa, po czym zwrócił się po rosyjsku do stojącego obok niego mężczyzny: – Stiopa, zrób coś z nim.

Skotnicki nie zdążył krzyknąć, gdy młody funkcjonariusz z GRU chwycił go za gardło, przewrócił na ziemię i zrobił zastrzyk usypiający. Po chwili Władysław spał już kamiennym snem, a Rosjanin i Gozdawa powlekli go nad rzekę. Założyli mu na szyję naprędce zrobioną pętlę z jego paska do spodni – samobójstwo musiało wyglądać wiarygodnie – i powiesili go na zwisającej gałęzi. Do kieszeni Gozdawa wsadził mu napisany na maszynie list pożegnalny z autentycznym podpisem. Jako TW Iluminator Skotnicki podpisał kiedyś pułkownikowi raport in blanco.

Były esbek i Rosjanin odeszli do zaparkowanego dalej samochodu. Gozdawa poradził Stiopie, by jak najszybciej pozbył się łady, którą przyjechali, Rosjanin zarobił dwieście dolarów. Tyle kosztowało życie posła na polski sejm trzy lata po upadku komunizmu w Polsce.

★

Wisielca znaleźli wędkarze. Natychmiast przyjechała policja i zabrała ciało do kostnicy. Sekcja wykazała, że śmierć nastąpiła w wyniku przerwania rdzenia kręgowego na odcinku szyjnym. Orzeczono, że Skotnicki popełnił samobójstwo, i prokurator szybko zamknął sprawę. Po aferze z odwołaniem rządu Olszewskiego nikt nie miał zamiaru drążyć sprawy śmierci tajnego współpracownika SB.

O koszmarze, jaki przeszła jego rodzina, nikt nie wspomniał w gazetach ani telewizji. Nawet „Gazeta Wyborcza”, która poparła przecież apel Kuronia, by nie dawać wiary nienawistnej prawicy, nie zająknęła się na temat tej śmierci. Władysław Skotnicki zniszczył pośmiertnie życie najbliższych. Jediną osobą, która żywiła jakieś podejrzenia co do śmierci ojca, była Monika.

- On nigdy nie pisał na maszynie – powiedziała mężowi.
- Może napisał ten list pożegnalny w sejmie – zasugerował.
- W takim razie trzeba sprawdzić krój czcionki maszyn do pisania w sejmie! – krzyknęła. – Bo ja nie wierzę, żeby ojciec się powiesił!

Max przez te trudne miesiące starał się przede wszystkim być z żoną. Andrzej, jej brat, opiekował się matką. Monika po pogrzebie, na który przyszło wielu dawnych znajomych ojca, próbowała sobie jakoś wszystko poskładać, ale nie bardzo jej to wychodziło. Kiedyś w pracy usłyszała, że posadę w telewizji zawdzięcza swojemu tatusiowi, tajnemu współpracownikowi bezpieki. Poruszona tym, uderzyła koleżankę w twarz i została przez prezesa TVP zawieszona do końca 1992 roku.

★

Był listopad. Kilka miesięcy po śmierci teścia Max wracał z żoną z Dramatycznego. Obejrzelili razem całkiem udaną inscenizację *Trzech siostr* Czehowa. Monika pasjonowała się teatrem, byli więc na bieżąco z repertuarem wszystkich najważniejszych scen w Warszawie. Próbowała kiedyś nawet dostać się do Państwowej Warszawskiej Szkoły Teatralnej, ale jej się nie udało. Słynna na pół Polski aktorska kokota gasząca jednego papierosa za drugim powiedziała jej, że na aktorkę jest zbyt sztuczna i egzaltowana. Jednym słowem: porażka. Monika dostała się na dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, i to był strzał w dziesiątkę.

Szybko zapomniała o traumie związanej z egzaminem do PWST, bo nadszedł śnieżny listopad i Polska przeżywała swoją wielką lekcję demokracji.

Wracając z Dramatycznego, postanowili zajrzeć do jej brata na Pradze. Wsiedli pod Centralnym do tramwaju i dojechali do ronda Wiatraczna. Dochodziła dziesiąta. Ciemno. Nieprzyjemnie. Pod stopami skrzył się i skrzypiał zamarznięty śnieg. Cholerna zima, pomyślał Max i mocniej objął żonę. Przeszli po pasach na drugą stronę Grochowskiej i skierowali się ku trzem wieżowcom, które wyrastały za pętlą ronda jak trzy Tolkienowskie trolle. Gdzieś zza uchylonej szyby w mieszkaniu na parterze dziesięciopiętrowego budynku odezwał się znajomy głos prowadzącej *Panoramę* Krystyny Czubówny.

W pewnej chwili Max dostrzegł grupę wyrostków, których wspólnym znakiem rozpoznawczym były zielone szaliki. Kibice Legii nie mogli tego roku narzekać. Stołeczny klub awansował do ćwierćfinału Ligi Mistrzów i w marcu miał zagrać z Panathinaikosem Ateny. Kibice byli najwyraźniej pijani, a w tamtym czasie w Polsce widok białej Polki i czarnoskórego mężczyzny był rzadkością, nie mogli więc przepuścić takiej okazji do awantury.

– Chyba, kurwa, pociemniało! – krzyknął jeden z nich.

Max, jak każdy dobry detektyw, myślał naprawdę szybko. Ścisnął dłoń żony i nakazał tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Uciekaj natychmiast do Andrzeja.

Dobrze ocenił odległość dzielącą go od wyrostków – prawie sto metrów. Monika miała do bloku Andrzeja tylko dwadzieścia. Max celowo zajął pozycję między kibolami a blokiem, by dać jej czas na ucieczkę. Tamci ruszyli w jego stronę, coś wykrzykując. Zrozumiał tylko tyle, że nie podoba

im się, że jest z nim biała Polka. Gdy zbliżali się, zlustrował ich wzrokiem. Napakowani, w adidasach kupionych u Wietnamczyka na Stadionie Dziesięciolecia i w dresach, wyglądali groźnie.

– Czego chcecie? – zapytał.

– To coś mówi po polsku – wysyczał jeden z nich.

Awantura wisiała w powietrzu. Nie lubił takich mętów, ale wiedział, że kluczem do zwycięstwa jest opanowanie. W obliczu wroga nie można zdradzać emocji. Jeden z kiboli wystąpił naprzód.

– A mnie się wydaje, że zaraz zajebię ci z buta.

Nastąpiła chwila martwej ciszy. Wyglądało na to, że Max nie ma najmniejszych szans wobec czterech drabów napakowanych testosteronem i honorem prawdziwego Polaka. Pierwszy z nich zamachnął się z pięścią, ale Max błyskawicznym ruchem wykręcił mu rękę. W mroźnej ciszy rozległ się straszny krzyk, krótki i urwany. Walka nie trwała długo. Max był przecież w armii USA, gdzie uczył bić tak, by zabić. Rozłożenie kiboli zajęło mu nie więcej niż pięć minut. Nie otrzymał żadnego ciosu. Przeciwnicy leżeli na ziemi, a na ich twarzach malowało się przerażenie pomieszczone z wściekłością i upokorzeniem.

– I co, gnojki, czarnuch potrafił wam wpierdolić, co?

Odpowiedzią były jęki bólu. Wtedy przybiegł zaalarmowany przez siostrę Andrzej.

– Chciałem ci pomóc – powiedział.

– Wszystko jest w porządku. Tej lekcji patriotyzmu nie zapomnę.

– Zachowanie tych gnojków nie odzwierciedla nastawienia większości Polaków – zwrócił się Andrzej do szwagra już w mieszkaniu.

★

Max jednak wiedział swoje. Popatrzył wymownie na Andrzeja. Od

śmierci Władysława Skotnickiego minęło już pięć miesięcy, ale rany psychiczne, jakie poniosła rodzina, wciąż się nie zagoiły. Max przeżył śmierć teścia niemal tak samo mocno jak bardzo związana z ojcem Monika. Nikt w rodzinie nie dał wiary oskarżeniom, które pojawiły się w prasie po samobójczej śmierci posła, ale chyba tylko Max, wychowany w innym kręgu kulturowym, zdawał sobie sprawę, że ta śmierć potwierdzała rewelacje prasy i domorosłych lustratorów.

Andrzej, który podobnie jak siostra nie chciał się pogodzić z oficjalnie przyjętą wersją wydarzeń, z pomocą kolegi z roku zdołał dotrzeć do materiałów w archiwum MSW. Iluminator musiał być bardzo cennym informatorem, bo Andrzej bez trudu odnalazł w przepastnych szafach po esbecji jego teczkę.

Znajdowało się w niej zobowiązanie do współpracy z organami bezpieczeństwa PRL. Władysław Skotnicki, poseł i legenda demokratycznej opozycji, ponad wszelką wątpliwość był przez dwadzieścia lat TW. Zwerbowano go w Krakowie latem 1979 roku, dwa miesiące po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski. Monika skojarzyła to z pracą, jaką ojciec wykonywał wówczas w Krakowie – w szpitalu Akademii Medycznej. Ze zobowiązania do współpracy oraz kwitów wynikało jasno, że otrzymywał od SB pieniądze. Były to znaczące sumy, od dwóch do ośmiu tysięcy złotych co miesiąc, co w tamtym czasie stanowiło bardzo dużą kwotę.

– Ojciec urządził nam wakacje za pieniądze esbecji – powiedział zrezygnowany Andrzej.

– Za łatwo go oskarżasz – skontrowała Monika. – Siedział w więzieniu w stanie wojennym.

– Mógł siedzieć, żeby uwiarygodnić się dla kolegów z opozycji – odparł

smutno Andrzej. – Czytajmy dalej.

Z donosów układał się koherentny obraz krakowskiej opozycji oraz środowisk kościelnych, z którymi Władysław Skotnicki miał dobre kontakty. TW Iluminator informował także swoich mocodawców, który z pracowników naukowych na Uniwersytecie Jagiellońskim sprzyjał Solidarności. Pojawiły się również wpisy o księdzu Popiełuszce, z których łatwo można było wywnioskować, jaki będzie następny ruch duchownego. Najsmutniejszym świadectwem współpracy Władysława Skotnickiego były donosy zawierające intymne szczegóły z życia studentów i kolegów z pracy. Po 1986 roku współpraca z SB najwyraźniej została zerwana. Dlaczego? Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi.

– Kto był jego oficerem prowadzącym? – zapytał Andrzej.

– Nie rozumiem – rzucił Max.

Andrzej wyjaśnił mu, że każdy TW miał esbeka, z którym się kontaktował – oficera prowadzącego. W dokumentach ojca był on podpisany jako kapitan Kazimierz Wiśniak. Andrzej dowiedział się jednak od swego informatora w archiwum MSW, że po 1986 roku nikt taki nie figurował w aktach SB.

– Co stało się z tym esbkiem? – zapytała Monika.

– W archiwum nie ma na jego temat żadnych dokumentów – odparł Andrzej. – Nic, po prostu facet jest do połowy lat osiemdziesiątych ważnym oficerem SB, a potem rozpływa się w powietrzu.

– Dlaczego on jest taki ważny? – wtrącił Max.

– Ten człowiek wiedział o ojcu bardzo dużo – rzucił Andrzej. – Zeszmacił naszego tatę. Chciałbym wiedzieć, kto to taki i gdzie teraz jest. Chciałbym mu zadać kilka pytań.

– Nie ma śladu w centralnym rejestrze? Czy komuniści w Polsce



w ogóle mieli coś takiego? – drążył Max

– Istniał oczywiście Urząd do spraw Statystyki Partii – powiedział Andrzej. – Ale tam niczego się nie dowiemy. MSW miało swój własny rejestr etatowych pracowników. Wiśniak jest w nim ujęty do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Potem znika.

– Wywalili go z pracy?

– Raczej nie. Taki fakt odnotowano by w aktach. Po prostu jego teczka jest pusta. Tak jakby facet był, a potem zapadł się pod ziemię. To bardzo dziwne. Archiwiści nie potrafią tego wytłumaczyć.

Nastąpiła chwila kłopotliwego dla wszystkich milczenia. W końcu Andrzej zdobył się na odwagę. Siostra powinna poznać całą prawdę, a teczka TW Iluminatora była bogatym źródłem wiedzy o jego współpracy, również o jej początku.

– Wiem, że to straszne, ale ojciec sam zaproponował esbecji swoje usługi. Myślę, że zrobił to dla... przyjemności.

Monika nie wytrzymała. Prawda o przeszłości ojca, którego kochała, była zbyt trudna.

– Nie mogę już dłużej czytać tych obrzydliwości! – krzyknęła i wściekła wyszła z pokoju, klnąc jak przysłowiowy szewc.

Max zastał ją siedzącą w ubraniu pod prysznicem. Nigdy wcześniej nie wiedział żony w takim stanie.

Andrzej przeżywał śmierć ojca nie mniej niż siostra. Teraz musiał codziennie chodzić do pracy w UOP-ie jako syn kapusia. Ciężko to znosił. Kilku kumpli mu współczuło, ale większość miała tragedię jego ojca w głębokim poważaniu. Starzy oficerowie z doświadczeniem w SB ironicznie się uśmiechali. Głupie esbeckie skurwysyny, myślał, zaciskał zęby z wściekłości, ale milczał. W sierpniu 1992 roku, kiedy polska reprezentacja

piłkarska wywalczyła srebrny medal na igrzyskach w Barcelonie, Andrzej postanowił dowiedzieć się, gdzie jest esbek Kazimierz Wiśniak, i bez trudu namówił do pomocy Maxa.

I tak Max Kwietniewski, Afroamerykanin z polską duszą, wszedł w tę nigdy niekończącą się wojnę polsko-polską, w której bronią była potwarz, zabijanie słowami, unurzanie przeciwnika politycznego w najgorszym szambie. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie w stanie tego wszystkiego do końca zrozumieć, ale utonął w tej Polsce, o której nic nie wiedział. Zaczął chyba też rozumieć, że Polacy są narodem sadomasochistów, którzy czczą klęski i niszczą się nawzajem w rytmie narodowego staccato.

## Rozdział czwarty

# LUDZIE ZE SKAZĄ

Nowy Jork, 2014

Od tamtej chwili minęło ponad dwadzieścia lat. Max był już sam. Zamienił Polskę na Nowy Jork, ale nie do końca od Polski uciekł. Nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy możliwe jest wyłączenie się z myślenia, któremu na imię Polska, kraj jego żony, kraj jego matki, kraj kochany i znienawidzony. Potrafił oswoić się z różnymi lękami. Wobec samotności pozostał jednak bezradny. Najlepszym przyjacielem była butelka alkoholu. Ona nie zadawała pytań. Oczywiście, że w Nowym Jorku nie sposób żyć jak w klasztorze. Spotykał się czasami z dziewczynami, ale nigdy nie było to nic trwałego.

Lubił czasem przesiadywać w nowojorskiej bibliotece publicznej na skrzyżowaniu Piątej Alei i Wschodniej Czterdziestej Drugiej Ulicy, nie tylko dla książek, których znajdowała się w tym gmachu niezliczona ilość, ale też dla atmosfery i dla ciekawych ludzi.

Kiedyś po prostu usiadła przy stoliku obok niego. Był wieczór i za kilkadziesiąt minut biblioteka miała zostać zamknięta. Czytał jakąś powieść *noir* wydaną w Nowym Jorku w latach pięćdziesiątych. Zauważył, że mu się przygląda.

– Czy my się znamy? – zagadnął.

– Nie, ale wygląda pan lepiej niż na fotografii – powiedziała dziewczyna, oddając mu jego portfel.

– Dziękuję bardzo! – Pomyślał, że musiał mu wcześniej wypaść. Poznała go, ponieważ w środku znajdowało się jego prawo jazdy.

Wieczorem w samotnym domu zrozumiał, że ujęło go w tej dziewczynie coś, co przypominało mu Monikę. Żałował, że nie wiedział, jak się nazywa ani kim jest.

★

Minęły jakieś dwa tygodnie. Od czasów służby w armii i pracy w nowojorskiej policji Max otrzymywał zaproszenia na bale charytatywne organizowane przez weteranów wojen w Zatoce Perskiej. Nieraz na nie chodził – czasami, bo wypadało, czasami dla paru kolegów, którzy zostali mu jeszcze w Nowym Jorku. Ten odbywał się w teatrze Odeon na Broadwayu. Jeden z tych, na których pojawiały się VIP-y, chcąc zabłyszczeć kasą, ale nikt nie miał nic przeciwko temu, bo przecież o kasę chodziło.

Wtedy ją zobaczył. Była oczywiście inaczej uczesana, nosiła czerwoną, bardzo elegancką, dopasowaną sukienkę, kupioną zapewne w którymś z tych fantastycznych sklepów na Piątej Alei. Rozmawiała wesoło z parą młodych ludzi, a obok niej kręcił się jakiś gość, starszy mężczyzna. Pewnie jej facet, pomyślał i zmierzył go spojrzeniem samca rzucającego rękawicę. Wszyscy czworo mieli kieliszki szampana.

Nagle skierowała na niego wzrok, co nie wydawało się takie dziwne, zważywszy, że był jednym z niewielu Afroamerykanów na tym balu. Miał wprawdzie nieregularne dochody, ale lubił się ubierać w najlepszych nowojorskich butikach. Do stalowoszarego garnituru włożył koszulę uszytą na miarę u włoskiego krawca w Little Italy, ze złotymi spinkami w mankietach, a do tego eleganckie lśniące buty z wężowej skóry, która w przeciwieństwie do Europy w Ameryce nie jest zakazana.

Musiała go rozpoznać, bo uśmiechnęła się. Uznał, że po prostu chciała

być miła, i odwzajemnił uśmiech. Dziewczyna jednak przeprosiła swojego partnera i podeszła do niego.

– Czy dzisiaj też zgubił pan portfel? – zapytała.

– Zostawiłem go w domu, ponieważ idąc tutaj, nie mogłem mieć pewności, czy ktoś go odda. Tu zabiera się ludziom pieniądze.

– Myślałam, że w Nowym Jorku pieniądze są na ulicy. – Zbliżyła kieliszek szampana do ust.

– Ja na ulicach nie widziałem w tym mieście niczego prócz szczurów i śmieci. Raz jeszcze chciałem podziękować za portfel. Nawet nie wiem, jak go zgubiłem.

– Drobiazg.

Miała na imię Elisabeth. Była belgijską dziennikarką. Korciło go, by zapytać ją, co robi w towarzystwie tego gościa wyglądającego na gryzipiórka z Wall Street, ale w porę ugryzł się w język. Przede wszystkim kindersztuba. Rozmawiali może kilkanaście minut, wymieniając nowojorskie ploteczki. Okazało się, że Elisabeth jest tu od kilku miesięcy, nie ominęła jej najnowsza inscenizacja *Don Giovaniiego* w Metropolitan Opera w reżyserii jakiegoś Francuza. Max nie znał się na operze, wolał już walkę bokserską w Madison Square Garden.

Urok młodej Belgijki nie umknął uwagi innych gości na balu, ale nie zwracała na nich uwagi; skupiła się na swym rozmówcy – Afroamerykaninie – co w pewien sposób Maxowi pochlebiało. Nowy Jork jest tygłem kultur, narodowości, wielkim młynem mielącym wszystkich i wszystko na amerykańską modłę, ale on, wychowany w New Jersey, zawsze wiedział, że pod spodem tej kolorowej bajki jest rasistowski podtekst. Gdyby był dzieciakiem z Harlemu, zapewne nigdy nie byłoby mu dane poznać takiej kobiety jak Elisabeth.

★

Dwa dni później znowu spotkał ją w bibliotece. Nie wiedział nawet, dlaczego się tam wybrał. Być może dlatego, że nie miał ostatnio nic do roboty. Jako prywatny detektyw żył ze zleceń, a te nie pojawiały się często.

Zauważył, że Elisabeth interesuje się Polską – na jej stoliku znajdowały się archiwalne materiały dotyczące historii czasów komunistycznych. Nowojorska biblioteka publiczna miała księgozbiór większy od niejednego uniwersytetu, liczący prawie dziewięć milionów woluminów.

– Szukasz czegoś na temat Polski? – zapytał i przemknęło mu przez głowę, że od niego dowiedziałyby się o tym kraju więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Nie wspomniał jednak o tym. – Miałem właśnie zaproponować, żebyśmy poszli na kawę.

– To świetny pomysł, chodźmy do Bryant Park, to tuż obok – odparła Elisabeth. – Pracowałam w Polsce prawie przez dwa lata, w Warszawie. Teraz jestem w Nowym Jorku, ale stare zainteresowania pozostały.

– Trochę dziwne, że piękna młoda kobieta interesuje się Polską w mieście, w którym powinna interesować się modą i zakupami na Piątej Alei.

– Należę do tych kobiet, które przyjemności zostawiają na koniec.

Kawa była jak zawsze dobra, ale Max patrzył tylko na Elisabeth. Naprawdę podobała mu się ta dziewczyna, nie tylko fizycznie, choć dla każdego faceta to pierwsze wrażenie jest zawsze bardzo istotne. Była ciekawa świata, inteligentna, odczytana i najwyraźniej nie miała oporów, jeśli chodzi o jego kolor skóry. A Max mógł się kobietom podobać. Był szczupły, ale silny i bardzo sprawny fizycznie. Wiedział, że niektórym białym kobietom podobają się czarnoskórzy faceci. Jego matka była tego najlepszym przykładem.

Elisabeth interesowała się historią służb dyplomatycznych PRL-u, co naprawdę było bardzo osobliwe. Ale rozmawiali nie tylko o tym. Już po pierwszym łyku kawy Max zdał sobie sprawę, że nie tylko ma ochotę zaciągnąć ją do łóżka (po prostu samiec), ale że rozmowa z nią sprawia mu wyjątkową przyjemność. W niczym nie przypominała żadnej z kobiet, które znał tutaj, w Nowym Jorku, i z którymi się przespał. Wkrótce uświadomił sobie, że cieszy się jej widokiem tak jak przed laty cieszył się obecnością Moniki. Zdołali szybko omówić to, co lubią i czego nie lubią. A więc lubili Depeche Mode, U2, Metallicę i generalnie dużo klasycznego rocka. Oboje mieli sentyment do Janis Joplin, ale przeszkadzała im pretensjonalność The Doors. Lubili francuską kuchnię, lecz nie przepadali za francuskimi filmami, zwłaszcza za Claude'em Lelouchem.

– Lubisz Johna Lennona? – zapytał.

– Którego? Tego z Beatlesów, czy tego z Yoko Ono?

– Nie rozdzielałbym ich.

– Ja tak, tego z Beatlesów nie lubię, tego z Yoko Ono tak.

– No to chodź ze mną – zaproponował. – Biblioteka nam nie ucieknie.

Elisabeth poczuła się podekscytowana. Wstali z ławki w Bryant Park i ruszyli w stronę Piątej Alei, która ciągnęła się z południa Manhattanu na północ w stronę morza zieleni, jakim jest Central Park. Mogli oczywiście pojechać metrem z Penn Station, ale Max uznał, że w pewne miejsca w Nowym Jorku trzeba pójść pieszo.

Nie zauważyli, że idący z tyłu mężczyzna w ciemnym garniturze zrobił im zdjęcie aparatem dużej rozdzielczości. Szedł dyskretnie za nimi w stronę Central Parku.

**Bruksela, kilka miesięcy wcześniej**

Centralna Agencja Wywiadowcza prowadziła szereg operacji na całym świecie, a w niektórych ważnych ośrodkach politycznych ulokowane były na stałe zakonspirowane komórki wywiadowcze pozostające w ciągłym kontakcie z Langley. W brukselskiej centrali nastawionej na inwigilację elit Unii Europejskiej od dawna oczekiwano na przełom w sprawie, która miała zaważyć na relacjach ze Wspólnotą. Amerykanom bardzo zależało na tym, by europejscy oficjele bez ceregieli podpisali układ o wolnym handlu ze Stanami. W grze operacyjnej, jaką CIA toczyła z kilkoma najwyższymi urzędnikami z Brukseli, wszystkie chwytły były dozwolone. Na przykład za sprawą pewnej dziewczyny o blond włosach w poważne tarapaty wpadł jeden z komisarzy.

Mężczyzna leżał nagi na łóżku w hotelu, zamroczony alkoholem i narkotykami. Piękna blondynka właśnie wyszła z łazienki. Po nocy spędzonej z politykiem zapragnęła zmyć z ciała każdy ślad tej przygody. Schadzka urządzono w pokoju hotelowym, który agenci CIA wcześniej przygotowali. Nad łóżkiem zamontowano w lampie kamerę, która nagrała wyczyny komisarza z luksusową call girl.

Tyle że call girl była agentką, i to dobrą. Z amerykańską agencją związała się z własnego wyboru. Lubiła seks, pieniądze, życie z dreszczykiem emocji. Znała kilka języków, miała skończone dwa fakultety na prestiżowych europejskich uczelniach. Idąc do łóżka z komisarzem Unii Europejskiej, wiedziała, że szefowie dadzą jej awans i pewną swobodę w dobieraniu sobie zadań.

Jestem wyrachowaną suką i lubię siebie taką, jaką jestem, powiedziała do siebie.

Po nocnej przygodzie usiadła przed lustrem, żeby zrobić makijaż. Teraz pora na Nowy Jork, na grube ryby finansjery i poważne operacje CIA,



przemknęło jej przez głowę, gdy pociągała usta jasnokarminową pomadką. Kiedy się ubrała, zabrała klientowi plik banknotów po pięćdziesiąt euro, a na koniec rozsypała na łóżku trochę kokainy, którą otrzymała w fiolce od agenta prowadzącego. Gdy odzyska przytomność, znajdą go w takim stanie ludzie z CIA i złożą propozycję nie do odrzucenia.

Już w drzwiach odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę, z którym uprawiała w nocy seks. Komisarz Unii Europejskiej, nagi, zamroczony alkoholem i prochami, wyglądał żałośnie. Wychodząc, pomyślała z satysfakcją, że perfekcyjnie wykonała swoje zadanie. A w dodatku płacili jej za to, co lubiła!

★

Zieleń Central Parku ma właściwości lecznicze. Oczywiście nie w medycznym tego słowa znaczeniu, ale metaforycznym. Pustynia ze szkła, betonu i stali, jaką jest Manhattan, musi mieć oazę, jak każda pustynia. Max kiedyś zastanawiał się, jaka jest ta pustynia i czy – mimo milionów ludzi poruszających się niczym mrówki we wszystkich kierunkach po olbrzymim cielsku miasta – jest na niej życie.

Szli, mijając nowojorczyków, emigrantów, kolejne skrzyżowania. Przy wylocie Piątej Alei zamajaczyła zieleń Central Parku, wciągająca, pochłaniająca i nieokiełznana.

– Gdzie ty mnie prowadzisz? – zapytała w końcu Elisabeth.

– Skoro lubisz Johna Lennona, to polubisz też to miejsce, do którego idziemy.

Strawberry Fields, mały kawałek Central Parku przy jego zachodniej granicy, był licznie odwiedzany przez turystów lub po prostu ludzi, których uwiodła piosenka *Imagine*. Teraz jakiś chłopak grał na gitarze i śpiewał utwory Beatlesów.

– Widzisz ten wieżowiec? – zapytał Max, wskazując wielki budynek wznoszący się po prawej stronie, naprzeciw Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

– Tak.

– Tam mieszkał. Chapman zastrzelił go przy wejściu do klatki schodowej.

Elisabeth była na Strawberry Fields po raz pierwszy i poczuła wdzięczność, że Max ją przyprowadził do tego miejsca Johna Lennona, muzyki, wolności i przyjaźni.

Chyba się polubili...

– Podobała ci się nasza pierwsza randka? – zażartował.

– A to była randka?

– To zależy od ciebie. Dla mnie tak i mnie się bardzo podobała.

Odprowadził ją do metra. Mieszkała gdzieś na południowym Manhattanie. Gdy poprosił ją o numer telefonu, oczywiście mu go dała.

★

Max złapał się na tym, że w zasadzie, odkąd poznał Elisabeth, bez przerwy o niej myślał. Mój drogi, jesteś w niebezpieczeństwie, pomyślał następnego dnia przy goleniu. Miał trochę pracy, głównie z ostatnią sprawą, którą zajmował się na New Jersey, więc zadzwonił do Elisabeth po kilku dniach i spytał, czy nie wybrałaby się z nim na kolację. Początkowo nie chciała się zgodzić, wykręcała się, że jest zajęta. Potem jednak zmieniła zdanie, powiedziała, że teraz, kiedy pewna osoba wyjeżdża, będzie jej łatwiej. Zrozumiał. Chodziło o tamtego faceta z przyjęcia. Raczej nie był jej mężem, bo nie nosiła na palcu obrączki. Max nie miał wprawdzie ochoty być przygodą europejskiej panienci na kilka nowojorskich dni, ale tak cholernie mu się podobała.

Wybrał elegancki lokal na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei,

dobra muzyka, dobre wino. Rozmawiali o swoim życiu. Ona mówiła głównie o ojcu, który prowadził interesy w Kongu i Nigerii – diamenty, ropa naftowa... Ktoś go postrzelił wiele lat temu i teraz leży w prywatnym, drogim szpitalu w Belgii, prowadzonym przez zakonnice.

– Bardzo mi przykro – powiedział Max.

– Wszystkim ludziom jest przykro. Czasem udają, że ich to obchodzi, kiedy mówię im o tacie.

– Mnie jest przykro naprawdę.

– Wiem, jesteś... – Elisabeth próbowała znaleźć w angielskim odpowiednie słowo – ...empatyczny.

W końcu ich rozmowa musiała skoncentrować się na Polsce; on był przecież naznaczony tym krajem, a ona spędziła w Warszawie dwa lata jako dziennikarka „Economist”.

– Dlaczego tak cię interesuje ten kraj? – zapytał.

– Mam podstawy sądzić, że mojego ojca skrzywdzili Polacy.

Max zdziwił się, bo z jego doświadczeń z Polakami wynikała jedna oczywista prawda: że najlepsi są w krzywdzeniu samych siebie. Nie chciał jednak naciskać na kontynuowanie tego wątku, by jej nie urazić. Wolał nie zepsuć ich relacji już na samym początku.

– A skoro jesteśmy na drugiej randce, to mogę zapytać, czy masz kogoś?

– Elisabeth zmieniła temat.

– A jesteśmy na randce? – zadał to samo pytanie co ona na Strawberry Fields.

– No, wiesz, co ma myśleć dziewczyna? Elegancka restauracja nieopodal Times Square, na talerzu doskonały filet z łupacza, w kieliszku białe wino za dwie stówy. Masz styl, Max. Potrafisz rozpieszczać kobiety, a ja to naprawdę dostrzegam – zapewniła Elisabeth.

– Przyznaję się, jestem staroświeckim prywatnym detektywem. Nie, nie mam nikogo... aktualnie. A ty? – W końcu wydusił z siebie to pytanie, które nurtowało go od kilku dni.

– Sądzę, że to, o czym myślisz, się skończyło. Mamy zupełnie różne charaktery, inne upodobania. Ja lubię różnorodność.

Max, jakby nie słysząc jej słów, patrzył niczym zahipnotyzowany na jej piersi wyraźnie rysujące się pod bluzką.

– On jest apodyktyczny – dodała.

– Więc dlaczego z nim byłaś?

– Pomógł mi znaleźć odpowiednie miejsce dla ojca. Może trochę z wdzięczności. To był dziwny związek, w biegu, ja mam swoją pracę, on swoją, widywaliśmy się kilka razy do roku. Przyleciałam do Nowego Jorku na stypendium w redakcji „Wall Street Journal”, bo pracuję w brukselskiej redakcji brytyjskiego „Economist”. On przyleciał tu w interesach.

– W interesach? Wyglądał na buchaltera – nie mógł się powstrzymać Max.

Elisabeth się zaśmiała.

– Prawdziwy detektyw z ciebie! Trafiłeś w sedno. Jest finansistą.

– Jeszcze jeden japiszon z Wall Street. Nie lubię ich.

– Ja też – powiedziała wesoło, sącząc białe chardonnay o świeżym bukicie.

Dopiła wino i spytała otwartym tekstem:

– Idziemy do mnie czy do ciebie?

Max nie dawał się długo prosić. Nie chciał wyłącznie seksu, zależało mu na głębokiej intymnej bliskości z kobietą. Potrzebował tego tak bardzo jak ona. Pojechali do niej, bo trochę się wstydził swojej nory w New Jersey. Obiecował sobie, że zrobi z domem porządek, gdy tylko znajdzie raz jeszcze

kobietę życia. Może teraz, przemknęło mu przez myśl. Pojechali więc metrem do niej, do eleganckiego wielokondygnacyjnego budynku przy Gramercy Park, w pięknym zielonym miejscu.

– Dawno tego nie robiłem – przyznał się.

– Ja też – powiedziała rozbijając szczerze. – Finansiści za dużo czasu poświęcają giełdzie. Nie przejmuj się, Max.

– Czym? Z tym jest jak z jazdą na rowerze. Nie da się zapomnieć, jak to się robi.

Obydwoje parsknęli śmiechem. Pojechali windą na górę. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi mieszkania, Elisabeth rzuciła mu się na szyję. Pocałowała go mocno i nawet nie przeszkadzał mu smak szminki. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nigdy nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś będą mu drżały dłonie jak nastolatkowi przy pierwszym razie. Była cudownie pachnąca, delikatna i czuła. Nie spieszył się, odkrywając jej ciało po kawałku, i czuł, że jej się to podoba. Ale potem – żadne z nich nie zauważyło nawet, kiedy to nastąpiło – rzucili się na siebie, jakby od tego, czy uda im się w pełni zespolić, zależało ich życie.

Rano powiedziała mu:

– Wiesz, dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jesteś czekoladowy.

Musiała zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest wyczulony na wszelkie, nawet najmniejsze, odcienie rasizmu. Prowokowała go. Ale Max wyczuwał, kiedy ma do czynienia z prowokacją o charakterze intelektualnym, a kiedy z rasistowskim atakiem. Poza tym byli nadzy i leżeli w łóżku.

– Nie lubisz czekolady? – zapytał z jej włosami w ustach.

– Przeciwnie. W Belgii jest najlepsza na świecie. Mamy jej setki rodzajów. Od całkiem czarnej, składającej się z prawie dziewięćdziesięciu procent kakao, po inne odcienie. Lubię różne odcienie, Max.

– A ja jak smakuje?

– Jak czekolada mleczna, pięćdziesięcioprocentowa, z domieszką cynamonu i morskiej soli – odparła bez wahania.

Spodobało mu się to. Tak jak podobała mu się ta dziewczyna. Miała fantastyczne wysportowane ciało i chyba lubiła seks, w każdym razie seks z nim.

★

Mijały dni, a romans się rozwijał. Spędzali ze sobą dużo czasu. Chodzili razem na Broadway do teatrów, na koncerty i na te cudowne spacerunki po Central Parku, które nigdy nie powinny się kończyć. Dzień mijał za dniem, tydzień za tygodniem, a im było razem naprawdę dobrze. Lubili się, a to jest podstawa każdego związku. Któregoś dnia podczas spaceru w Central Parku Elisabeth spytała:

– Czy wiesz, dlaczego się przyciągamy?

– Bo się romantycznie zakochaliśmy? – Max próbował odgadnąć, o co jej chodzi.

Uśmiechnęła się. Nie wierzyła w romantyzm tak jak on. Różnili się, i to bardzo, a jednak lubili być ze sobą. Max miał wrażenie, że po raz pierwszy od śmierci Moniki jest z kobietą, z którą cieszy go wykonywanie wszystkich codziennych, prostych czynności, jak parzenie razem kawy, gotowanie czy wyjście na koncert muzyki poważnej. Od śmierci żony jego związki z kobietami były oparte na seksie, szybkim i niepozostawiającym złudzeń. Teraz było inaczej.

– Bo oboje jesteśmy ludźmi ze skazą.

– Ze skazą?

– Tak, nie wiem, czym ona jest w twoim wypadku, ale w moim ma to związek z ojcem. Nigdy go nie było, kiedy go potrzebowałam, a teraz jest

sparaliżowany. Ktoś go skrzywdził, ale on nie może mi powiedzieć kto.

– I twierdzisz, że zrobili to Polacy? – zapytał z ironią w głosie. Tak go korciło, by powiedzieć jej o swoim pochodzeniu. Podobno, mimo swojej niepolskiej twarzy, Polskę, używając gombrowiczowskiej przenośni, miał wymalowaną biało-czerwoną szachownicą na gębie.

– Tak, jeden konkretny pracownik służb dyplomatycznych komunistycznej Polski.

– I chcesz go odnaleźć w Nowym Jorku? To chyba nie jest właściwe miejsce do takich poszukiwań.

– Mylisz się – odparła zdecydowanie Elisabeth. – Najodpowiedniejsze. Amerykanie subskrybują wszystkie najważniejsze gazety z całego świata, w tym te, które wychodziły w Nigerii w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, kiedy tata został postrzelony. Szukam jakiegokolwiek wzmianki o tym. Zdjęcia. Szczegółu, który pomoże mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ojciec zamienił się w warzywo.

Max objął Elisabeth. Poczuł, że wreszcie musi się przed kimś otworzyć – przed nią – że to, co dotąd tak skrzętnie skrywał, rozpaczliwie chce się wydostać na zewnątrz.

– Moja żona została zamordowana dwadzieścia lat temu w Polsce – wyrzucił z siebie słowa. – Czuł się, jak gdyby wszedł na jakąś niebotyczną górę.

Elisabeth spojrzała mu w oczy. Nagle wydał się jej samotnym chłopcem, który potrzebuje miłości. Przytuliła go.

– Opowiedz mi o tym.

Zrobił to, choć otwarcie tej najgłębszej rany przyniosło mu wiele bólu. Ale kiedy skończył, poczuł zadziwiającą ulgę, jakby spadł z niego jakiś niesłychany balast.

- Uciekasz przed tym? – zapytała Elisabeth.
- W pewnym sensie. Tyle że nie mogę uciec przed Polską.
- Dlaczego?
- Bo... bo sam jestem... Polakiem. Przynajmniej w części, o której chciałbym zapomnieć.

Elisabeth patrzyła na niego zdumiona. Był taki ujmujący, czuły, fantastyczny w łóżku, świetnie ubrany, jego skóra miała wspaniałą czekoladową kolor... Jakoś nie mieściło się jej w głowie, że może być Polakiem, bo przecież nie miała o Polakach najlepszego zdania.

– Cóż, mamy jeszcze jeden wspólny temat do narzekania – odezwała się po chwili kłopotliwego milczenia, by rozładować atmosferę.

– Jaki temat?

– Taki mądry, a taki głuptas. Polskę oczywiście.

★

Na Święto Dziękczynienia obchodzone przez Amerykanów w rodzinnej atmosferze Max zaprosił Elisabeth do swojej matki na Brooklyn.

– Jest szansa, że mój syn się ustakuje – powiedziała matka po powitaniu.

– Proszę mi wierzyć, ja próbowałam się ustakować, ale nie wychodzi mi to zbyt dobrze – przyznała się Elisabeth.

Matka Maxa mieszkała ze swoją nową rodziną na dolnym Brooklynie, w dobrym miejscu. Elisabeth miała więc okazję poznać trochę innych Polaków niż ci, z którymi spotkała się w Warszawie.

Szybko zorientowała się, że choć jego stosunki z matką są bardzo serdeczne, to pozostali członkowie przyszywanej rodziny traktują go dość chłodno. Może to kwestia różnicy temperamentów, tłumaczyła sobie Elisabeth, bo jakoś nie mogła uwierzyć, że w XXI wieku może chodzić o kolor skóry. W każdym razie na pewno nie było mu z tym łatwo.



Rozmowa przy stole na początku dotyczyła Nowego Jorku, ale oczywiście zeszła w sposób nieunikniony na tematy polskie.

– Nie jestem w stanie nauczyć się waszego języka, wszystkie te dziwne końcówki, gramatyka – poskarżyła się Elisabeth. – Chodziłam na kurs polskiego w Warszawie, ale szybko się poddałam.

– Max mówi po polsku znakomicie, nauczyłam go – powiedziała matka nie bez dumy w głosie.

– Angielski jest zdecydowanie lepszy, mam – rzucił Max.

– Ależ, mój drogi, nie mówi się tak o języku ojczystym.

– Moim językiem ojczystym jest angielski – odparł.

Matka nie była zachwycona jego słowami, mimo to spędzili całkiem miły wieczór. Dzięki poczuciu humoru Elisabeth szybko zniknęło podskórne napięcie. Wyglądali jak rodzina, ale Max wiedział, że to tylko złudzenie.

★

Spotykali się kilka razy w tygodniu, czasem na lunchu, czasem po prostu na kawie. Gdy oboje mieli ochotę, łądownali w łóżku. Prowadzili jednak osobne życie.

Któregoś dnia Max nie doczekał się na Elisabeth. Nie przyszła, nie zadzwoniła. Wystawiła mnie do wiatru, pomyślał, nie pierwsza i nie ostatnia. Tym razem jednak miał nadzieję, że będzie to coś trwałego. A może zakochał się w niej, bo temperamentem, kolorem oczu przypominała Monikę, i ona to wyczuła? Może chciała, żeby kochał ją, a nie wspomnienie nieżyjącej od dawna żony.

Lubił kobiety, a o romans w Nowym Jorku nie było trudno. Nie zamierzał jednak pocieszać się metodą klina, wolał uchlać się do nieprzytomności w swoim mieszkaniu w New Jersey.

– Znowu wszystko spieprzyłem! – powiedział głośno, kiedy był już bliski tego stanu.

Kilka dni po jej nagłym zniknięciu dostał e-maila, po którym miał w głowie jeszcze większy mętlik.

TEMAT: WYBACZ MI

Od: elisabeth.kerkhoven@gmail.com

Do: max.kwietniewski@yahoo.com

Wysłano: 15 maja 2014, godz. 5.55

Kochanie,

nie wiedziałam, jak się zabrać do tego e-maila. W pierwszym odruchu chciałam skłamać i napisać, że chodzi o mojego ojca. Chociaż nie byłoby to do końca kłamstwo, bo być może pośrednio chodzi o niego. Nie wiem, jak Ci to wytłumaczyć. Nie chcę kłamać. Nie chcę Cię wykorzystywać.

To ja Cię poderwałam i nie tak miało być. Jeśli będziesz mi w stanie wybaczyć, za kilka tygodni spotkamy się w Europie, ponieważ powinniśmy sobie pomóc. Wiem, że możesz czuć się rozgoryczony moim nagłym wyjazdem. Musiałam, i ma to związek ze mną, z moim ojcem, z Tobą (choć jeszcze sobie tego nie uświadamiasz). Sprawę przekazałam wyżej i wkrótce skontaktuje się z tobą człowiek, który może pomóc mnie i Tobie zmierzyć się z przeszłością. Nie odtrącaj zaproszenia.

Może jeśli Ty i ja uporamy się z demonami z przeszłości, będziemy w stanie być razem.

Ludziom takim jak my, Max, ze skazą, nie jest łatwo kochać.

Wybacz mi.

Elisabeth

## Rozdział piąty

# TAJNY WSPÓŁPRACOWNIK

Nowy Jork, 2014

Tego ranka Max poczuł boleśnie, że Elisabeth nie ma obok niego. Związek na dwóch kontynentach nie jest łatwy do utrzymania. Wstał o siódmej rano, wziął prysznic, przebrał się i postanowił coś zjeść. Chińszczyznę pani Chiang, bo poza kilkunastoma puszkami piwa kukurydzianego lodówka była pusta. Przeszedł do zavalonego papierami gabinetu. Wyłączony mac nie dawał znaku życia. Do chwili, kiedy program operacyjny wydał z siebie przeciągły dźwięk. Oznaczało to tylko jedno: Masz nowego e-maila. Max usiadł przed komputerem i kliknął myszą panel poczty elektronicznej. Program załadował pocztę z serwera. Max machinalnie klikał wiadomości z różnych nowojorskich korporacji detektywistycznych zachęcających do współpracy. Po chwili zauważył e-maila, którego nadawca oraz tytuł podniosły mu natychmiast ciśnienie.

TEMAT: TAJNY WSPÓŁPRACOWNIK

Od: andrzej.skotnicki@gmail.com

Do: max.kwietniewski@yahoo.com

Wysłano: 24 czerwca 2014, godz. 6.42

Załącznik: kartka z dziennika 1992

Max otworzył załącznik – PDF ze zeskanowaną kartką.

*Z dziennika Władysława Skotnickiego*

*16 kwietnia 1992*

*Znów się odezwał. Nie wiem, jak to się stało, że mnie znalazł, mimo że minęło już tyle lat. Mam zrobić wszystko w sejmie, byle nie doszło do lustracji. Muszę dla nich pracować*

*dalej. Wygląda na to, że nie ma go w Polsce, ale cały czas śledził moje ruchy. Wie nawet, że Monika zadaje się z czarnym. Wie wszystko. Nigdy się już od nich nie uwolnię, chyba że strzelę sobie w łeb.*

Dawne demony wróciły z ostrością, której się nie spodziewał. Postanowił się upić. Tyle że w domu zostało tylko kilka piw w lodówce. Stanowczo za mało. Max potrafił się kontrolować, ale w chwilach słabości oddawał się picciu alkoholu tak, żeby zalać się w trupa.

Ubrał się i wyszedł do pobliskiego hipermarketu, gdzie kupił dwie butelki absyntu, trzy butelki dziesięcioletniej irlandzkiej whisky i trzy butelki polskiej wódki z nazwiskiem polskiego króla, którego co bardziej świątli Amerykanie łączyli z Leelee Sobieski. Wrócił do domu i nie zważając na biadolenie pani Chiang, która zawsze w chwilach słabości Maxa wiozła go na detoks do szpitala, oddał jej klucze do mieszkania, po czym zaczął, szklaneczka po szklaneczce, opróżniać butelki.

Alkohol jednak nie pomagał zapomnieć. Pijąc, przeczytał e-maila od Andrzeja po raz drugi i trzeci, i zaczął się zastanawiać, jak doszło do tamtej nocy, w trakcie której stracił najbliższą osobę na ziemi.

## **Warszawa, listopad 1995**

Andrzej nie miał takiej swobody działania jak Max w Interpolu. W Urzędzie Ochrony Państwa każdy każdemu patrzył na ręce. Miał świadomość, że jeśli sam będzie próbował uzyskać dostęp do utajnionej teczki esbeka, może na siebie ściągnąć kłopoty. Postanowił więc wykorzystać szwagra, który jako pracownik Interpolu dysponował nowymi możliwościami. Max złożył w UOP-ie wniosek o dostęp do informacji specjalnego znaczenia, jak określano część materiałów dawnego MSW. Argumentował go tym, że prowadzi śledztwo w sprawie handlu

narkotyków. Jedna z grup przestępczych mogła być kierowana przez dawnego pracownika SB. Andrzej zdołał pokierować sprawą tak, by teczkę Wiśniaka wydano Maxowi w czytelni do przeglądania takich niejawnych materiałów w warszawskiej siedzibie UOP-u. Dzięki temu sam znalazł się poza podejrzeniami. Jak się okazało,teczka Wiśniaka była niepełna, zostały w niej tylko mało znaczące szpargały. Usunięto nawet zdjęcie kapitana. Facet zatem nie miał życia i twarzy. A to wydało się Andrzejowi jeszcze dziwniejsze.

Ktoś jednak zauważył, że Max zaglądał do teczki Wiśniaka, i w końcu w UOP-ie powiązano go z Andrzejem. Ten próbował się bronić.

– Minister Kozłowski pozwolił zajrzeć do teczek tajnych współpracowników Adamowi Michnikowi, mimo że Michnik był nieuprawniony, a ja jestem przecież pracownikiem UOP-u.

– Ale pan nie nazywa się Michnik. Jest pan zawieszony bezterminowo – usłyszał od dyrektora.

W tym miesiącu Wałęsa przegrał wybory prezydenckie z Aleksandrem Kwaśniewskim i kierownictwo UOP-u się zmieniło. Dawni esbecy zaczęli wracać do łask, a Andrzej nie miał już dostępu do akt. Max natomiast miał pewną swobodę działania. Niestety, po kapitanie Wiśniaku nie zachował się najmniejszy ślad.

Tymczasem wyjaśnienie „samobójstwa” ojca stało się dla Andrzeja sprawą życia i śmierci. Któregoś dnia pojechał do domu rodziców na Bielanach. Zjadł z matką obiad, a potem spytał, czy może przejrzeć papiery ojca. Władysław Skotnicki miał w rodzinie opinię „chomika”, więc wszystkie niepotrzebne rzeczy zanosił na strych. Trzymał tam różne dokumenty, mnóstwo czasopism medycznych, książki, notatki, sprzęt wędkarski. Andrzej wchodził na strych bez konkretnego celu, chciał po

prostu lepiej poznać ojca, bo wprawdzie żyli pod jednym dachem, ale najwyraźniej raczej obok siebie niż ze sobą, skoro to, czego się dowiedzieli o ojcu, tak bardzo ich wszystkich zaskoczyło. Miał nikłą nadzieję, że natrafi w tych papierach na jakiś ślad, na coś, co sprawi, że będzie mu łatwiej pogodzić się z tragicznym końcem Władysława.

Z teczki TW Iluminatora wynikało niezbitcie, że ojciec zniszczył życie lub przyczynił się do kłopotów wielu ludzi. Jak łączył te sprzeczności – bycie kochającym i czułym ojcem z donoszeniem na ludzi? Andrzej rozpaczliwie próbował zrozumieć, jak coś takiego jest możliwe. Szukał zatem jakiegoś punktu zaczepienia.

Pamiętał, jak ojciec rozpieszczał jego i Monikę, jak zabierał go na ryby, uczył zakładania na haczyk przynęty. Znalazł album z rodzinnymi fotografiami. Ojciec, matka, Monika i on byli na nich zawsze uśmiechnięci, piękni i szczęśliwi. Przez jedną krótką chwilę Andrzej znów poczuł się szczęśliwy, ale zaraz potem na dnie jego duszy zaciąła się pewność, że te fotografie są fałszem. Szybko znalazł krzesło i metodycznie, pudło po pudle, zaczął przeglądać ich zawartość. W każdym znajdowały się inne materiały; co ciekawe, tych z pracy w szpitalu było na strychu zaskakująco mało, zaledwie kilka medycznych czasopism, takich jak „Przegląd Lekarski” czy zagraniczny i bardzo prestiżowy „Lancet”. Jedno z pudeł zawierało szczegółową prasówkę – powycinane artykuły z lokalnych krakowskich gazet, a także z „Życia Warszawy”, dotyczące przede wszystkim spraw politycznych, gromadzone tak metodycznie, że jakiś student mógłby spokojnie na ich podstawie napisać pracę magisterską o Solidarności albo o powiązaniach ludzi kultury w czasach PRL-u. Gdy Andrzej zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z archiwum donosiciela, papiery zaczęły go parzyć w ręce. Najlepszym rozwiązaniem byłoby zanieść je wszystkie do

kominka i spalić, ale to byłoby za proste. Postanowił przebrnąć przez nie do końca. Gdy przeglądał czwarte z kolei pudło, zauważył, że na jego dnie znajdowały się grube stuosiemdziesięciokartkowe bruliony z nadrukiem PRASA-KSIAŻKA-RUCH. Przez chwilę myślał, że być może są to zeszyty szkolne ojca, ale gdy otworzył jeden z nich, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z pamiętnikiem, z najtajniejszymi, najbardziej intymnymi zapiskami, w których ojciec mówił o sobie całą prawdę.

Andrzej rozsupłał sznurek, którym zeszyty przewiązано. Rzeczywiście były stare. Ich tekturowe tandetne okładki i chropowaty pożółkły papier świadczyły o tym, że muszą pochodzić z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, bo w tamtych czasach w sklepach papierniczych można było kupić tylko takie. Na okładce pierwszego dokleiono kartkę z datą 2 czerwca 1992. Andrzej zamarł. Był to dzień śmierci ojca.

W TYCH ZESZYTACH SĄ MOJE WSPOMNIENIA Z LAT 1971–1992, Z CZASÓW DZIAŁALNOŚCI W SOLIDARNOŚCI I OPOZYCJI. PISAŁEM JE NA GORĄCO, WIĘC ZAWIERAJĄ PRAWDĘ. ICH TREŚĆ DOTYCZY WIELU OSÓB. MOŻE BYĆ TRUDNA DLA MOJEJ ŻONY I DZIECI. CHCĘ, BY PO MOJEJ ŚMIERCI WSZYSTKO, CO NAPISAŁEM W TYCH ZESZYTACH, ZOSTAŁO UŻYTE PRZECIWKO LUDZIOM, KTÓRYM SŁUŻYŁEM.

Ostatnie zdanie było dla Andrzeja wstrząsające. Stanowiło przyznanie się do winy. Ojciec napisał to po tym, jak zdecydował, że odbierze sobie życie.

Andrzej wiedział, że musi to przeczytać. Nie mógł zniszczyć tych zeszytów, mimo że zdawał sobie sprawę, jak bolesne będzie ich czytanie dla niego, matki i siostry.

Pożegnał się z matką, mówiąc, że ma dużo pracy. Słowem nie wspomniał o swoich kłopotach; nie chciał jej martwić. Nie chciał też czytać zapisków ojca w rodzinnym domu, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Może chodziło o atawistyczny lęk przed zbrukaniem domowej przestrzeni, spokoju ogniska domowego, w którym błąkały się wspomnienia wszystkich dobrych chwil. Matka, która nie uwierzyła we współpracę męża z SB, wciąż pielęgnowała te wspomnienia.

Pojechał więc do mieszkania, które wynajmował wspólnie z Maxem i Moniką, i tam zaczął czytać. Nalał sobie do szklanki johnnie walkera, mając nadzieję, że alkohol pomoże mu przyjąć prawdę o własnym ojcu, obojętnie, jaka by była straszna.

★

*Z dziennika Władysława Skotnickiego*

*1 maja 1979*

*Uwielbiam ją rznąć, wchłaniam ją w siebie całą. Robimy to w pośpiechu. Ledwo ją poznałem. Nowa pielęgniarka prosto po szkole. Dziś pochód pierwszomajowy, a ja znalazłem czas na to, żeby przelecieć ją przed pochodem. Uwielbiamy się pieprzyć, gdy biorę nocne dyżury w szpitalu. Lubię te ładne młode pielęgniarki. Są takie ambitne. Te cycki. Mimo to drzę na myśl, że Irena się o tym dowie. To by jej złamało serce. Nie wiem, dlaczego spiam z innymi. Może po prostu muszę odreagować to, co robię.*

Andrzej z wściekłością cisnął zeszyt na podłogę. Irena to była ich matka. Ojciec ją zdradzał w szpitalu. Prowadził podwójne życie. Matka nie przeżyłaby tego, gdyby się dowiedziała, że miał inne, i to nie jedną. Andrzej przysiągł sobie, że matka nigdy nie zobaczy tych zeszytów. Nie tylko ona – Monice także złamałyby serce. Co za szczęście, że ona i Max nie wrócili jeszcze z pracy.



Zaczął przerzucać kartki. Ojciec był bardzo drobiazgowy, pedantyczny. Po co to pisał? Każdy kapuś wolałby raczej ukryć to, co robi. Może po prostu miał sumienie, które musiał uciszyć. Taka wewnętrzna autoterapia zdrajcy.

Andrzej czytał więc dalej:

*13 października 1984*

*Popiełuszko odprawił mszę na Śląsku. Kapitan Wiśniak naciska mnie, żebym powiedział, którą drogą będzie wracał. Co ja, kurwa, wróżka jestem? Jedzie z nim jego kierowca, Chrostowski. Chciałbym, żeby Solidarność właśnie na niego skierowała swoje podejrzania. Boże, kurwa, tak się boję, żeby nie domyślili się, że to ja.*

*W końcu poszedłem do Popiełuszki i mówię, że my się, proszę ojca, będziemy bardzo modlić, żeby ojca nie spotkało w drodze co złego. Na to on odpowiada, że to wola Boża. Bardzo się mylisz, księżo, to nie boska wola, tylko moja wyda cię w ręce SB.*

*Zastanawiałem się, czy nie pójść do spowiedzi u księdza Tymoteusza, który od niedawna jest w naszej parafii, i nie powiedzieć mu, że jestem Judaszem. I tak by mi nie uwierzył.*

Czytając ten fragment, Andrzej zamarł z przerażenia. Ojciec tkwił po uszy w porwaniu księdza Popiełuszki. Ten pamiętnik był osobliwym rodzajem wiwisekcji dokonywanej na samym sobie, z pełną świadomością zdrady, jakiej dokonał. Nigdy w życiu nie czytał czegoś tak potwornego. Jakim człowiekiem był jego ojciec?

Andrzej bardzo pragnął znaleźć w sobie jakikolwiek ślad współczucia dla Władysława. Nie potrafił. Gdy dotarł do znamiennej daty, dziewiętnastego października, poczuł dreszcz grozy. Ojciec wiedział, że tego dnia esbecy porwali Popiełuszkę.

*19 października 1984*

*To musi się stać dziś. Jebany sługo boży, osiągną cię ręce esbecji. Jednego się tylko boję i o jedno się modłę. Żeby nikt nie domyślił się, że to ja przekazałem informację, że na*

*zaproszenie ludzi pracy Popietuszko pojedzie do Bydgoszczy. Mam nadzieję, że grupa wyznaczona do egzekucji nie spieprzy sprawy. Muszą się dowiedzieć, że to Chrostowski. To kierowca ma go sypnąć.*

Andrzej ciężko oddychał. Ojciec, pisząc to wszystko, odsłonił się w najbardziej przerażającej postaci.

Czytał dalej:

*30 października 1984*

*Znaleźli Popietuszkę. Pływał, kurwa, w Wiśle pod tamą. Jacy ci esbecy są głupi! Rząd skompromitowany. Tyle razy mówiłem Wiśniakowi, żeby nic mu nie robili, bo katolicy będą mieli męczennika. Nie słuchają mnie. Tyle im poświęciłem, i żadnego szacunku. Teraz władza ludowa sama zrobiła męczennika z tego księdza, powiedzmy sobie szczerze, nie najwyższych intelektualnie lotów. Przykro mi, że zignorowali moje zdanie.*

Najgorszy był ten cynizm. Andrzej, czytając słowa ojca, miał nieodpartą wrażliwość, że opisując swoją zdradę, udział w tej potwornej zbrodni, pragnął, by ktoś, kto to będzie czytał, poznał prawdziwego Władysława Skotnickiego.

*30 maja 1985*

*Złamaliśmy w Krakowie księdza. Nazywa się Tymoteusz. Nazwiska pisać nie chcę. Wiśniak jest zdania, że nasz nowy kontakt operacyjny umożliwi głębokie spenetrowanie środowiska krakowskiego kleru. Zdaje się, że kardynał Macharski lubi tego księdza. Klecha szybko dał się złamać, nawet sprawiło mi to przyjemność. Najważniejsze jest jednak to, że płacą regularnie. Dziś Wiśniak przyniósł mi zapłatę za trzy ostatnie miesiące. Ponad dziesięć tysięcy złotych. Wpłacę na książeczkę mieszkaniową, Andrzej będzie miał mieszkanie.*

Poczuł, że po policzkach płyną mu łzy. Ojciec najwyraźniej zatracił poczucie dobra i zła. Andrzej spróbował sięgać pamięcią, przypomnieć sobie, czy ojciec w tamtym czasie nie zachowywał się w domu grubiańsko. Pił, to prawda, ale nigdy się nie awantuował. A my sądziliśmy, że pije

z powodu stresującej pracy w szpitalu, pomyślał, coraz bardziej przekonany, że siostra musi się jednak o tym dowiedzieć.

★

Monika i Max wrócili razem i zastali go płaczącego jak dziecko z zeszytami ojca w ręce. W ciągu kilku następnych dni, czytając notatki Władysława, poznali z nich jego najlepszego kumpla, kapitana Wiśniaka.

– Nie mogę tego zrozumieć – powiedziała wstrząśnięta Monika. – Chociaż z drugiej strony, często się zdarza, że ofiara i kat uzależniają się od siebie.

– To się nazywa syndrom sztokholmski, ale dotyczy raczej dzieci porwanych za młodu – włączył się Max.

Razem doszli do przekonania, że Władysław Skotnicki żył w stanie „moralnej schizofrenii”. Któregoś dnia Andrzej zaczął wymieniać wszystkie te rzeczy, które mieli w domu, a których tak po prostu nie można było dostać ot tak w sklepie.

– Jak mamie zepsuła się pralka, ojciec tego samego dnia załatwił nową. W lecie jeździliśmy co roku na wakacje, do Sopotu, Jugosławii, Grecji, w zimie do Zakopanego na narty, wycieczki do Włoch, do Paryża... Nosilem ciuchy z Pewexu.

– Przepraszam, z czego? – Max nie rozumiał peerelowskiej rzeczywistości.

– Z Pewexu – wyjaśniła Monika. – To były specjalne sklepy z luksusowymi... na polskie warunki, oczywiście... towarami z Zachodu. Ale trzeba było płacić tam w dolarach, a nie w złotych.

Byli pod wrażeniem banalności tego zła, które miało bezpośrednie przełożenie na ich życie. Andrzej i Monika chcieli przecież wierzyć, że nawet jeśli ojciec dopuścił się nieprawości, to zrobił to dla nich, bo chciał,

żeby niczego im nie zabrakło w tej smutnej rzeczywistości. Teraz zrozumieli, że byli w błędzie.

Jesienią 1995 roku Andrzej przekazał dzienniki ojca siostrze i szwagrowi i wstąpił do seminarium duchownego w Warszawie.

★

Monika przyjęła decyzję brata ze zdumieniem. Ich rodzina, choć miała związki z opozycją, hołdowała raczej świeckim ideałom demokracji. Owszem, cenili papieża Polaka, jak wszyscy w tym katolickim kraju, ale ich życie nie skupiało się wokół Kościoła.

Krok brata doprowadził Monikę do wściekłości. Uważała, że Andrzej po prostu uciekł od odpowiedzialności za własne życie, i nie potrafiła mu tego wybaczyć. Max podzielał wówczas poglądy Moniki. Wychowany w wieloetnicznym otoczeniu New Jersey, nie rozumiał polskiego katolicyzmu, w którym religia stapiała się z polityką w jeden monolit. Pierwsza nić rodzinna została naderwana w niewidzialny i niewytłumaczalny sposób.

Monika pracowała w redakcji *Wiadomości* w Telewizji Polskiej na Woronicza. Już w czasie studiów starała się wkręcić tam na staż i zanim wybuchła afera z teczkami, pomogły jej znajomości ojca. Trafiała do telewizji w czasie, kiedy tworzono pierwszy program informacyjny po upadku komuny, i była ze swojej pracy dumna. W dziale publicystyki ekonomicznej zapewniła sobie dobre i nierzucające się za bardzo w oczy miejsce. Żeby przetrwać w zawodzie dziennikarza, najlepiej znaleźć sobie niszę. Już na studiach zdecydowała się pisać o sprawach finansowych i powoli zdobywała doświadczenie oraz budowała swoją pozycję. Oczywiście nie miała własnego programu, ale jako reporterka mogła poznać sporo ciekawych ludzi. Pisywała także analizy ekonomiczne i giełdowe dla różnych gazet,

w tym dla „Gazety Wyborczej”. TVP, jak na standardy zachodnie, była dość upolityczniona, ale stwarzała możliwości, a Monika była młoda, ambitna i lubiła wyzwania, więc czuła się tam dobrze. Zwłaszcza że miała w TVP przyjaciół, na przykład Agatę Wróblewską z redakcji *Wiadomości*.

Któregoś dnia Agata poprosiła ją o spotkanie po pracy w ulubionej kawiarni Kisiela, niedaleko Zamku Ujazdowskiego. Monika zgodziła się, podejrzewała, że przyjaciółka złapała doła i chce się wygadać. Kłopoty z mężem, depresja, podjadanie i tak dalej. Mina Agaty tylko potwierdziła jej obawy.

– Co jest? – spytała Monika, zanim zdążyła usiąść. – Coś nie tak między tobą i Krzyśkiem?

Agata pokręciła głową.

– Między mną i Krzyśkiem jest po staremu. To coś innego, a ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym rozmawiać.

– Mów.

– Wiesz, że Krzysiek pracuje jako zastępca głównego księgowego w Polskim Koncernie Naftowym. Dostał tę pracę niedawno. Bardzo się ucieszyłam, bo wiesz, facet przy kasie to dla mnie pewność, że zarobi na dom. Ale kilka dni temu zobaczyłam, że coś go gnębi. Zaprzeczał, mówił, że wszystko w porządku, ale przecież nie jestem głupia. W końcu się przyznał, że ma problem. On zajmuje się analizą przepływów finansowych spółki... – Agata rozejrzała się nerwowo po kawiarni.

– Obawiasz się czegoś? – zapytała Monika.

– Sama już nie wiem, czego się boję. Muszę z kimś po prostu o tym pogadać. Taka firma jak Polski Koncern Naftowy dokonuje codziennie operacji finansowych na wiele milionów złotych. Krzysiek nadzoruje te

operacje i podejmuje duże ryzyko finansowe. Ten koncern jest strategiczny dla Skarbu Państwa.

– Do rzeczy, proszę – ponagliła ją nieco zirytowana Monika, dziobiąc widelcem sałatkę owocową.

– Znalazł ostatnio dowody, że z koncernu wyprowadzane są duże sumy.

– Co?! – rzuciła zaintrygowana Monika.

– Ciszej – upomniała ją przyjaciółka, znowu rozglądając się po kawiarni.

– Polski Koncern Naftowy – ciągnęła niemal szeptem – współpracuje w kilkudziesięciu podmiotami w Polsce i za granicą. Także z rosyjskimi, bo przecież od Rosjan kupujemy większość ropy i gazu. Problem polega na tym, że po to, by zachować ulubioną przez polityków dywersyfikację, nie kupujemy ropy i gazu bezpośrednio od rosyjskiego rządu, tylko od kilku pośredników. Krzysiek odkrył, że ci pośrednicy to firmy, za którymi stoi jeden wielki bank zachodni. Geobank w siedzibą w Genewie. Przez niego idą wszystkie przelewy, co więcej, ten bank jest właścicielem jednej trzeciej udziałów w koncernie, a przecież to jest spółka o strategicznym dla Polski znaczeniu.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? To może być temat na news, ale nie na bombę. Nie wiem, jak mam to sprzedać w redakcji.

– Monika, proszę cię o chwilę cierpliwości. Krzysiek zauważył, że przelewy na wiele milionów dolarów koncern przekazuje firmie zarejestrowanej w Szwajcarii, nigeryjskiej filii Petrolenu. To wielki potentat na rynku ropy naftowej. Problem tkwi w tym, że polska firma, nie mając w tym żadnego interesu, wspiera nikomu nieznaną fundację Geobanku dziesiątkami milionów dolarów. Dolarów, które powinny wpłynąć do budżetu polskiego państwa.

Monika swoim dziennikarskim nosem zaczęła czuć, że to może być

temat.

– Na czym polega związek Petrolenu z tym bankiem?

– Krzysiek doszedł do wniosku, że Geobank stworzył sieć firm kooperujących z Petrolenem i tak naprawdę zmierza do tego, by przejąć największą polską firmę energetyczną.

– Przecież chodzi o spółkę Skarbu Państwa.

– Wiem, ale Krzysiek odkrył, że w radach nadzorczych tych spółek związanych z Geobankiem zasiadają Polacy zajmujący się polityką, z lewicy i prawicy.

– Co proszę?

– Mówię, że połowa sejmu dostaje od tego banku pieniądze. – Agata popatrzyła przyjaciółce w oczy.

– Czy w związku z tym chcesz mi coś powiedzieć? – Monika starała się wydusić z niej to, z czym tutaj przyszła.

– Jedną z osób zasiadających w szwajcarskiej radzie nadzorczej był twój ojciec. Resztę musisz sobie dopowiedzieć sama.

– Skąd to wiesz?

– W Szwajcarii listy osób zasiadających w radach nadzorczych są jawne, można poprosić o dostęp do nich. I Krzysiek tak zrobił. Ciekawe, że polscy dziennikarze, tacy jak ty, nie interesują się takimi sprawami.

Dopiero teraz do Moniki dotarł sens słów koleżanki i poczuła się urażona. Nie chodziło tylko o ojca, ale też o słowa „dziennikarze, tacy jak ty”. Najwyraźniej przyjaciółka nie traktowała jej pracy poważnie, mimo że ona wkładała w dziennikarstwo całą swoją pasję.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Postanowiłam ci o tym powiedzieć, zanim jakiś pismak dobierze ci się do skóry. Bo przyznasz, moja droga, że jest to dobry temat na newsa?

Naprawdę nie chciałam ci sprawić przykrości.

Monika dopiła kawę.

– Dzięki.

★

Szczupły mężczyzna z kocią bródką siedzący w czarnym mercedesie 220 C zaparkowanym w pobliżu kawiarni zerwał z wściekłością słuchawki z uszu. Ale wysłuchał wszystkiego – całej rozmowy dwóch ładnych młodych kobiet. Na początku podejrzewał, że dziewczyny umówiły się po prostu na babskie plotki, ale teraz wiedział, że trzeba szybko gasić pożar.

– Kurwa, jak to dobrze, że założyliśmy te pluskwy – zwrócił się do zwalistego kolegi napychającego się hot dogiem.

– Trzeba zawiadomić starego – powiedział grubas.

Nie dalej jak cztery dni wcześniej na wyraźnie wyartykułowane polecenie szefa dwaj ochroniarze zarządu Polskiego Koncernu Naftowego zaczęli śledzić jednego z księgowych spółki. Byli funkcjonariusze MO zamienili się w detektywów i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnowali księgowego. Czym podpadł, nie wiedzieli. Mieli zaraportować wszystko, co wyda się im podejrzane. Przed dwoma dniami zauważyli, jak figurant w towarzystwie żony wychodzi z domu. W przebraniu pracowników pogotowia gazowego zadzwonili do drzwi. Otworzyła im matka figuranta albo jego żony, która opiekowała się ich synem, i kiedy opowiedzieli jej zmyśloną historyjkę o możliwości ulatniania się gazem, bez wahania wpuściła ich do środka. Starsza kobieta niczego nie podejrzewała, więc bez specjalnych problemów założyli kilkanaście pluskiew wysokiej jakości. Taką samą pluskwę miała na ubraniu niczego nieświadoma Agata. Dzięki temu usłyszeli całą rozmowę w kawiarni i wydała się im na tyle



niepokojąca, że postanowili natychmiast zameldować o tym szefowi koncernu.

– No to na co czekasz? – zapytał grubasa ten z kozią bródką.

– Jem, kurwa.

– To zjedz, kurwa, po drodze do telefonu.

Dobrze wiedzieli, który z publicznych aparatów telefonicznych nie jest na podsłuchu. Jeden z nich mieścił się na następnej przecznicy. Korzystali z niego w wyjątkowych sytuacjach. Zamierzali zadzwonić do szefa i poprosić, żeby zaczekał na ich pełny raport w swojej rezydencji.

Grubas, klnąc, wygramolił się z mercedesa. Nadal jedząc hot doga, ruszył do aparatu. Gdy po kilku minutach do niego dotarł, jakaś kobieta rozmawiała przez telefon. Bezczelnie przerwał jej rozmowę.

– Co robisz, ty chamie?! – krzyknęła.

– Spierdalaj!

Nie przejmując się nią, wykręcił zamiejscowy numer.

Po chwili odezwał się w słuchawce ochrypły męski głos.

– Szefie, miałeś nosa z tą małą – rzucił grubas. – Poszła dziś na rozmowę z jakąś dziennikarką. Nie, nie wiemy, kim ona jest, ale zrobiliśmy zdjęcia. Szybko ją zidentyfikujemy.

– Jak ją zidentyfikujecie, uruchamiacie inwigilację dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dostaniecie kogoś do pomocy.

– Dziękujemy, szefie.

Jeszcze tego dnia Monika i Max stali się figurantami.

## Rozdział szósty

# DYPLOMATY

### Stambuł, 1987

Moskwa spostrzegła, że coś jest nie tak, gdy Uljanow nie zgłosił się do radzieckiej ambasady w Nigerii. Był człowiekiem Kuzniecowa, wybranym specjalnie do tego, by pilnować Polaka, a w razie gdyby wraży syn zdradził, miał go usunąć i dalej poprowadzić operację Lunatyk sam. Kuzniecowa popełnił jednak przy wyborze pewien błąd – nie sprawdził wyników testu psychologicznego oficera, którego wcisnęło mu KGB. A te bez wątpienia wskazywały na uzależnienie od przemocy i seksu. Tyle że Uljanow miał nazwisko, wpływowego ojca i mógłby stanowić przykrywkę wobec władz partyjnych podchodzących z nabożną czcią do wszystkich osób należących do rodziny wodza rewolucji. Gdy komórka GRU w Stambule zameldowała Kuzniecowskiemu, że policja turecka znalazła w Bosforze ciało Uljanowa, pułkownik naprawdę się wściekł.

– Co tam się stało, do kurwy nędzy?! – krzyknął.

Poleciał do Stambułu, żeby zająć się wszystkim osobiście. Trzeba było przetransportować ciało do Moskwy i oddać je ojcu, który na pewno nie da za wygraną i będzie próbował się dowiedzieć, jak synalek zakończył żywot.

Kuzniecowskiemu udało się jeszcze złapać Hassana, który właśnie się zbierał do wyjazdu na Cypr. Turecka część tej wyspy była w tamtych czasach dobrą kryjówką. Na sam widok straszego oficera GRU Hassan oblał się potem i drżał jak osika na wietrze.

– Myślałeś, szczerze, że zdołasz uciec? – rzucił Rosjanin.

– Jestem lojalny, towarzyszu pułkowniku – wyjąkał Hassan po rosyjsku.

– Nie jesteś moim towarzyszem, kanalio. – Kuzniecowa wymierzył silny cios pięścią i złamał mu nos. – Masz odpowiadać na moje pytania. Muszę się dowiedzieć, co się stało.

Turek stracił równowagę i przewrócił się, a Kuzniecowa przygniótł go swoim ciałem. Hassan, oblany potem, zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast coś wymyślić. Wiedział, że Rosjanie chcą kręcić w Nigerii jakiś interes, tyle zdołał wydedukować.

– Uljanow się schlał jak świnia – wyjąkał ze strachem. – Zażądał dziewczynek, więc mu załatwiłem wizytę w zaprzyjaźnionym burdelu, z którego zawsze korzystają wasi oficerowie. Dziewczyny są tam czyste, słowo daję!

– A Polak?

– Pojechał z nim. Uljanow po pijaku zawsze dostawał szału, więc pociął jedną dziewczynę, która się zaśmiała na widok jego małego fiuta. Zabiłby ją, gdyby nie ten wasz nowy człowiek, Polak, który był z dziewczyną w pokoju obok. Próbował odciągnąć Uljanowa na bok, żebyśmy mogli zawieźć tę pociętą dziwkę do szpitala. Zaczęli się bić. Uljanow chciał go załatwić, sam pan wie, pułkowniku, jaki był. Więc Polak...

– Co Polak?

– Zastrzelił go – skłamał Hassan.

Kuzniecowa mu uwierzył. Nie przyszłoby mu nawet na myśl, że Turek śmiałby okłamać GRU. A to, co usłyszał, zabrzmiało prawdopodobnie. Jeśliby to była oficjalna operacja, o której wiedziałyby najwyższe władze Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Kuzniecowa musiałby odnaleźć Wiśniaka i go zlikwidować. Zginął bowiem syn bardzo zasłużonego członka Komitetu Centralnego i prawnuk brata wodza

rewolucji. Chroniąc Wiśniaka, pułkownik chronił przede wszystkim operację Lunatyk – dzieło zaprzyjaźnionych służb. Partia przecież o nim nie miała pojęcia. Kuzniecowa wiedział, że nie może rozdmuchiwać tej sprawy. Nie miał też wątpliwości, że wcześniej czy później Turek zdradzi. Ale to w tej chwili było najmniejszym kłopotem.

– Czy mogę mieć prośbę? – wybąkał Hassan, widząc, że Rosjanin chyba go nie zastrzeli.

– Jaką?

– Chcę rekompensaty finansowej za dziewczynę.

– Za co? – zapytał zaskoczony Kuzniecowa.

– Tej pociętej przez Uljanowa dziewczyny już nikt nie będzie chciał posuwać. Wasi lubią dziwki z ładnymi twarzami. Tej już nikt nie zechce. Muszę jej zapłacić, żeby wracała na wieś.

Kuzniecowa był pod wrażeniem jego bezczelności.

– W takim razie ci zapłacę – rzucił i kopnął Hassana z całej siły w krocze.

Turek zawył jak bity pies i skulił się z bólu. Rosjanin miał ochotę go zastrzelić, ale wpadł mu do głowy inny pomysł.

Kuzniecowa wrócił do Moskwy z trumną z ciałem agenta. Przekazał ją zrozpaczonemu ojcu, generałowi Uljanowowi. Syn zginął na służbie. Sprawie ucięto głowę na najwyższym szczeblu. Nie chcąc naruszać zasad ścisłego zakonspirowania Lunatyka, Kuzniecowa zastanawiał się, kogo powinien wysłać do Afryki.

## Nigeria, Lagos, 1 kwietnia 1987

Dopiero po przylocie do Lagos Wiśniak alias Andrzej Małysiak, nowy pracownik ambasady PRL w największym mieście Nigerii, mógł się

przekonać na własnej skórze, co to znaczy upał. Temperatura na płycie lotniska wynosiła czterdzieści pięć stopni Celsjusza, a wilgotność sięgała prawie dziewięćdziesięciu procent. Gdy wysiadł z samolotu, zwalistego boeinga, i czekał na bagaż, koszula kleiła mu się do pleców. W obszernym i dość obskurnym holu przylotów od razu mógł się poczuć jak w Afryce – obkoczyło go natychmiast kilkunastu czarnych chłopców w wieku kilku lub kilkunastu lat, oferujących swojego usługi. Prosił o dolara za przeniesienie walizek do samochodu, który zapewne czeka przed lotniskiem na szanownego pana. Nie znając miejscowych zwyczajów, Polak odgonił ich. Nie chciał, by dotykali jego bagażu. W tym momencie wyszedł z niego stary esbek, który gardził ludźmi. Gdy chłopcy protestowali, wykrzykując i pokazując na migi, że to ich praca, że tak zarabiają na chleb, esbek Wiśniak dał im jasno o zrozumienia, że nie interesuje go utrzymywanie ich przy życiu. Spodziewał się, że z lotniska odbierze go jeden z pracowników polskiej ambasady. Instrukcja dla dyplomatów nakazywała unikanie innych środków transportu niż własne. Poczul na sobie spojrzenie białej kobiety, która z nim leciała, a teraz zobaczyła, jak potraktował miejscowych. Ona nie zawahała się i skorzystała z ich usług. Irytowała go cała ta sytuacja.

Czekał dobre kilka minut. Był spocony i niewiarygodnie chciało mu się pić.

– Witajcie, towarzyszu!

Polskie słowa natychmiast go ocuciły. Trochę zaskoczony, że dał się podejść, podejrzliwie przyjrzał się facetowi: blondyn, metr sześćdziesiąt wzrostu, wyraźnie zarysowujący się brzuch i nalana twarz z nosem w kształcie kartofla. Typowo słowiańska mordą, pomyślał. Wykapany towarzysz Szmaciak, przemknęło mu przez myśl.

– Kudzia. Henryk Kudzia jestem. Cieszę się, towarzyszu, że

doleciełicie. Jak minęła podróż?

– Dzień dobry, towarzyszu – odpowiedział Wiśniak. – I dajcie spokój tym ceregielom. Straszny upał.

– Przyzwyczajcie się, he, he – zarechotał Kudzia. – Nic na to nie poradzę, taki tutaj mamy klimat. Ale poczekajcie tylko na porę deszczową! To dopiero jest dziadostwo! Pada przez pół roku. Teraz mamy suchą porę. Jak podróż?

– Już pytaliście. Zadowalająca – odparł Wiśniak, przypominając sobie kłopoty w Stambule.

– To doskonale, towarzyszu, doskonale. Widziałem, że mieliście też spotkanie z tutejszą klasą robotniczą. – Kudzia znów zarechotał, najwyraźniej rozbawiony tym, jak Wiśniak potraktował nędzarzy. – Przyzwyczajcie się, towarzyszu, i do tego. A teraz zapraszam do samochodu.

Ambasada przysłała fiata 125p kombi. Wiśniak ucieszył się, że nie będzie musiał zostawiać choćby części swojego bagażu w rękach Afrykanów, którymi się brzydził. Jadąc ulicami Lagos, po raz pierwszy mógł na własne oczy zobaczyć, jak wygląda nędza Afryki. Lagos było największym miastem Czarnej Łądy, z najstraszliwszymi slumsami na tym kontynencie – istnym piekłem na ziemi. Na ulicach wałęsało się mnóstwo ludzi, których jedynym zajęciem było oczekiwanie na to, że ktoś wynajmie ich do pracy za kilka nigeryjskich nair, miejscowej waluty. Czekali więc codziennie na swojego Godota w smrodzie latryn, tropikalnym zaduchu, wśród skamlania bezpańskich psów. Kilkanaście kobiet stojących na trotuarze gotowało w jedynych garnkach, jakie miały, ziarna sorgo, żeby sprzedać tę strawę i za otrzymane za to pieniądze wykarmić piątkę lub szóstkę swoich dzieci. Tylko w ten sposób mogły je utrzymać przy życiu. Wiśniak widział żebraków ubranych w nędzne strzępy czegoś, co było kiedyś ubraniem, wznoszących

dłonie w błagalnym geście pomocy. Co za nędza! – przemknęło mu przez myśl. Kawalek dalej zauważył bogatszych ludzi – tłuste niczym niedźwiedzie nigeryjskie kobiety w długich szatach z chustami na głowach, zapewne muzułmanki. W pewnym momencie z pobliskiego minaretu dobiegł nagrany głos muezina.

Wiśniak patrzył na afrykańską ulicę z pogardą. Zastanawiał się, czy zostanie dobrze przyjęty przez ambasadora, czy ten nieznany mu przecież dyplomata domyśla się jego prawdziwej roli w Nigerii. Myślał o tym, jak dalej potoczyły się sprawy w Stambule i czy Hassan zdoła wyprowadzić w pole GRU. Niestety, nie znał na razie odpowiedzi na te pytania.

Henryk Kudzia wyrwał go z zadumy.

– Co wy tacy spięci, towarzyszu? – Łypnął na niego okiem. – Daleko ta nasza Polska Ludowa, co?

– Nie spięty, ale bardzo zmęczony. Od kilku dni jestem w podróży. – Wiśniak zauważył, że pracownik ambasady, prowadząc samochód, cały czas badawczo mu się przygląda. Na szkoleniu w Związku Radzieckim nauczył się kontrolować swoje reakcje, ale przeszło mu przez myśl, czy przypadkiem polskie służby nie wyznaczyły towarzysza Kudzi na „zabezpieczenie operacyjne” Lunatyka. Wyczuwał, że waga tej zakrojonej na wiele lat operacji ma istotne znaczenie zarówno dla polskich, jak i radzieckich służb, domyślał się więc, że wśród personelu dyplomatycznego PRL-u w Nigerii jest wtajemniczona osoba, która będzie miała za zadanie patrzeć mu na rękę.

– Ja tam swoje wiem – rzucił Kudzia. – Nic się nie przejmujcie, towarzyszu. Każdy, kto po raz pierwszy ląduje w Afryce, jest podminowany. Nędza na ulicach, co? Dopiero tutaj człowiek przekonuje się, co to znaczy nasz socjalizm.

– Ile czasu spędziliście w Afryce? – zapytał Wiśniak.

– Kilka lat. Najpierw pracowałem jako kierowca naszego ambasadora w Egipcie. Wiecie, że zawsze utrzymywaliśmy dobre relacje z państwami arabskimi, a Egipt był szczególnie ceniony... no wiecie, te wykopaliska i w ogóle. Profesorów archeologii na wykopaliska też woziłem – powiedział Kudzia z dumą.

– Lagos to wielkie miasto...

– Tak, większe niż Londyn. Właśnie dlatego tutejsze władze budują nową stolicę w Abudży, w nigeryjskim interiorze. Niedługo będziemy musieli przenieść tam ambasadę. Paskudny klimat, jak w dżungli.

Wiśniak pomyślał, że na początku nie docenił tego człowieka. Kudzia najwyraźniej nie był tak głupi, na jakiego wyglądał.

– Tylko nie mówcie mi, że potraficie nawijać po arabsku – próbował zażartować Wiśniak.

Pracownik ambasady popatrzył na niego z politowaniem i odpowiedział całkiem serio:

– Oczywiście, że umiem po arabsku. Każdy, kto chce zrobić z Arabami jakiś interes, powinien mówić po arabsku. Tutaj też się arabski przydaje. Północ Nigerii jest muzułmańska. Ale tak w ogóle w Lagos wystarczy angielski – oznajmił z błyskiem w oczach.

Gdy dojechali do ambasady w dzielnicy willowej, Wiśniak podziękował i doszedł do wniosku, że ten facet może mu się jeszcze przydać.

★

Ambasada PRL w Lagos mieściła się w dwupiętrowym budynku o białej elewacji, pochodzącym jeszcze z okresu kolonialnego. W czasach brytyjskich był to dom bogatego angielskiego handlarza kakao. W bliskim sąsiedztwie znajdowały się ambasady USA i zachodniemiecka.

Czarnoskórzy służący zanieśli rzeczy Wiśniaka do części mieszkalnej



ambasady, a na jego powitanie wyszedł sam ambasador Janusz Jazowy, pięćdziesięcioletni docent afrykanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przed wyjazdem na placówkę Gozdawa przekazał Wiśniakowi jego teczkę. Ambasador był co prawda autorem kilkudziesięciu publikacji z zakresu stosunków regionalnych w Afryce, a także prac o charakterze historyczno-kulturoznawczym, ale to nie z tego powodu przydzielono mu tę placówkę. Od 1968 roku współpracował z SB i kariera dyplomatyczna była nagrodą za lojalność. Podobno asystent, którego Jazowy wyrzucił z uniwersytetu na fali wydarzeń marcowych, był teraz ambasadorem Izraela w Lagos, co jedynie dodawało smaczku oficjalnym rautom, na przykład w pałacu prezydenckim. Ambasadorzy PRL i Izraela nie podawali sobie nawet ręki na przywitanie.

– Witam was serdecznie, towarzyszu – powiedział ambasador, wyciągając dłoń. Szczupły, w okularach na nosie i mokrej od potu koszuli, wyglądał raczej na naukowca niż dyplomatę. – Mam nadzieję, że dzięki panu nasza ambasada jeszcze lepiej będzie reprezentowała sprawę socjalizmu na Czarnym Lądzie.

Wiśniak odpowiedział podobnym, nic nieznaczącym frazesem. Wprawdzie nie miał żadnego doświadczenia w pracy dyplomatycznej, ale po chwili uświadomił sobie, że ambasador nie będzie dla niego ani poważnym przeciwnikiem, ani partnerem w wypełnianiu misji. Patrząc na Jazowego, któremu trzęsła się prawa ręka, zdał sobie sprawę, że Gozdawa wszystko dopiął na ostatni guzik, a pan docent jest nieświadomym pionkiem w znakomicie zaplanowanej mistyfikacji służb wywiadowczych. Gozdawa najprawdopodobniej wysłał ambasadorowi dossier prawnika Andrzeja Małysiaka, specjalisty w zakresie handlu międzynarodowego.

– W porządku. Rozgoście się. Kolacja o dwudziestej pierwszej. Z powodu upału nie jadamy wcześniej.

Wiśniak zdawał sobie sprawę, że ten człowiek z przeszłością tajnego współpracownika SB może się domyślać, że Andrzejowi Małysiakowi wyznaczono także inne zadania poza pełnieniem obowiązków chargé d'affaires ambasady.

– Przepraszam, towarzyszu, pamiątkowe zdjęcie – powiedział Jazowy, dając znak służącym, by wszyscy pracownicy ambasady przywitali nowego chargé d'affaires.

– Ale ja nie lubię się fotografować – zaprotestował Małysiak.

– To konieczność, towarzyszu, prowadzę kronikę wydarzeń – uciał Jazowy.

Po chwili pracownicy ambasady i służba ustawili się i jeden z nigeryjskich ochroniarzy pstryknął zdjęcie, na którym nowy chargé d'affaires stał między ambasadorem a jego żoną.

Tak zaczął się pierwszy dzień Wiśniaka w Lagos.

★

W ślad za Małysiakiem alias Wiśniakiem pułkownik Kuzniecowa wysłał do Afryki kolejnego człowieka, oficera, który miał pilnować Polaka. Był to znakomicie zakonspirowany agent, któremu polecono sprawdzić, czy operacja wymierzona w nigeryjskie interesy USA – największego importera afrykańskiej ropy naftowej – przebiega zgodnie z założonymi celami. Wypadek Uljanowa obudził czujność Rosjan w stosunku do Polaka. Oficerem była kobieta.

Nie była to jedyna konsekwencja nieoczekiwanej śmierci agenta w Stambule. GRU rozważało, czy w ogóle nie usunąć niewygodnego świadka, Hassana, który dopuścił się nielojalności wobec radzieckiego oficera. Ten nie był jednak głupi, i sam postanowił zniknąć. Mógł ocalić życie tylko w jeden sposób: oferując swoją wiedzę i usługi służbom

zachodnim. Brytyjczykom nie ufał, i było to rodzinne – jego dziadek walczył z Brytyjczykami o Gallipoli w 1915 roku. Hassan postanowił więc uderzyć do Amerykanów, którzy z przyjemnością wysłuchali tego, co miał do powiedzenia o wywiadzie radzieckim na Bliskim Wschodzie. Tym samym zyskał wpływowego opiekuna.

I tak raport o zabójstwie radzieckiego agenta KGB, Uljanowa, trafił do siedziby CIA w Langley w Wirginii. Od razu zwrócono tam uwagę na Polaka przewijającego się w relacji Turka. CIA nigdy wcześniej nie odnotowała takiego dyplomaty jak Andrzej Małysiak. W Langley grupa operacyjna zajmująca się krajami Europy Środkowo-Wschodniej, szybko zdała sobie sprawę, że Małysiak nie jest Małysiakiem i że polski wywiad rozpoczął w Afryce Zachodniej jakąś grę.

Komórka CIA w Stambule wkrótce doniosła, że pasażer Małysiak legitymujący się polskim paszportem dyplomatycznym odleciał ze Stambułu dzień po zabójstwie radzieckiego agenta. Amerykanie nie mogli się połapać, o co w tym wszystkim chodzi, i zastanawiali się, czy ów dyplomata mógłby się nadawać na kontakt operacyjny CIA. Od czasów Kuklińskiego amerykański wywiad nie lekceważył Polski. I tak Wiśniak stał się obiektem zainteresowania wielu służb. Langley nakazała swojemu człowiekowi z ambasady USA w Lagos, by miał oko na nowego dyplomata z PRL-u.

★

Wiśniak szybko zorientował się w sytuacji. Relacje dyplomatyczne Polska nawiązała z Nigerią w roku 1961, rok po uzyskaniu przez ten kraj niepodległości. Gomułka przykładał wielką wagę do zaakcentowania obecności socjalistycznej Polski w tak zwanych krajach rozwijających się. Pozycja Nigerii niepomniernie wzrosła, odkąd odkryto w niej złoża ropy

naftowej. USA i Związek Radziecki z miejsca wysłały tam swoich ambasadorów, rozciągając w ten sposób na tę część świata zimnowojenną rywalizację.

Pierwsze rozmowy między pracownikami ambasady i Wiśniakiem dotyczyły przeważnie pogody. Na terenie ambasady zainstalowano wprawdzie elektryczne klimatyzatory, ale daleko im było do tych w zachodnich placówkach. Wiśniak źle znosił afrykańskie upały i zdawał sobie sprawę, że trochę potrwa, zanim jego ciało przystosuje się do nowych warunków.

Już w czasie oficjalnej kolacji zapoznawczej spostrzegł, że ambasador jest człowiekiem wypalonym zawodowo i intelektualnie, całkowicie pozbawionym pasji życia. Młodsza od niego o kilkanaście lat żona była wyraźnie znudzona nim i swoją rolą, to znaczy krzewieniem osiągnięć kulturalnych Polski Ludowej na Czarnym Lądzie. Przeszkolony przez GRU Wiśniak potrafił z samych tylko spojrzeń czy tonu głosu odczytać wiele o wzajemnych relacjach polskich pracowników ambasady. Pracowało w niej sześć osób, łącznie z Kudzią, ambasadorem i jego żoną.

Podczas kolacji przy stole siedział doktor Zegadłowicz, afrykanista, zdecydowanie bardziej wyrobiony intelektualnie od ambasadora. Za dwa dni miał wyjechać na badania etnograficzne w górę rzeki Niger. Nie zdziwiłbym się, gdyby napisał za Jazowego pracę habilitacyjną, pomyślał Wiśniak. Wyjazd Zegadłowicza ucieszył go, bo nie lubił błyskotliwych akademików. Jako esbek wiedział, że z takich najłatwiej pozyskać najlepszych TW, ale przyleciał do Lagos w innym celu.

Radcą handlowym ambasady był młody absolwent szkoły przy KC PZPR, Maciej Gutowski, syn sekretarza partii na Podkarpaciu, wyjątkowo niekompetentny wazeliniarz. W Nigerii, podobnie jak na Kubie,

popularnym autem był fiat 126p i właściwie do tego sprowadzała się poważniejsza obecność polskiej gospodarki socjalistycznej w tym afrykańskim kraju. Ze spojrzeń i niechęci, jaką już przy pierwszym spotkaniu Gutowski okazywał Wiśniakowi, ten domyślił się, że radca prawny romansuje z żoną ambasadora, tyle tylko, że młody kochanek najwyraźniej nudził ją tak samo jak mąż. Wiśniakowi natomiast posyłała kokieterijne spojrzenia. Uznał, że wejście do łóżka ambasadorowej może mu otworzyć wiele drzwi.

Po tej pierwszej kolacji miał już w miarę wyrobioną opinię o ludziach, z którymi będzie się spotykał w pracy. Jedyłą zagadką był towarzysz Kudzia. Jego jowialna, okrągła, dość prostacka twarz uśmiechała się bez przerwy, sypał jak z rękawa pieprznymi dowcipami – dusza towarzystwa. Wiśniak uznał, że ta wesołość stanowi maskę, pod którą kryje się być może bardzo inteligentny agitator. Nie zdziwiło go, gdy okazało się, że to Kudzia jest szefem komórki partyjnej w ambasadzie, i to on dwudziestego drugiego lipca, podczas uroczystych obchodów Narodowego Święta Odrodzenia Polski, na które zaproszono nigeryjskich oficjeli i dyplomatów z państw socjalistycznych, miał wygłosić przemówienie po angielsku. Wiśniak uznał, że Kudzia jest w ambasadzie kimś na kształt Edka z *Tanga* Sławomira Mrożka. Jako esbek czytał zakazaną w pierwszym obiegu literaturę. W końcu partia musiała znać swoich wrogów dogłębnie.

★

Wiśniak, nie znając do końca prawdziwej natury stosunków w pracy, ochoczo się do niej zabrał. Jako nowy chargé d'affaires ambasady miał dostać akredytację z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Nigerii. Spotkanie z ministrem, którego nazwiska nie był w stanie zapamiętać – marionetką z kliky dyktatora Nigerii, generała Obasanjo, przewodzącego juncie

rzządzającej Nigerią od 1975 roku – było formalnością. Starał się wykonywać swoje obowiązki odpowiedzialnie, ale to spotkanie nie było mu do niczego potrzebne. Za kluczowe uważał nieformalne kontakty mogące mu otworzyć drzwi do ważnych nigeryjskich biznesmenów, którzy mieli wpływ na politykę naftową. Tym większą niespodzianką były słowa Kudzi, gdy tylko opuścili gabinet ministra:

– Towarzyszu Małysiak, powiem wam, że nie musicie w Nigerii niczego udowadniać. Pamiętajcie, że my tutaj pracujemy głównie na pokaz, tak aby wszyscy mieli świadomość, jak bardzo się zapracowujemy dla naszej socjalistycznej ojczyzny.

Wiśniak, usłyszawszy to, był zszokowany, ale tylko przez chwilę. Szybko zdał sobie sprawę, że Kudzia jest partyjnym technokratą, tworem czasów Gierka, w których liczyła się już tylko sprawność w zapewnianiu sobie profitów z partyjnych synekur. Kudzia liczył pewnie na to, że zrobi jakiś interesik. Jakiś mały, ale tłusty szwindelek.

– Co więc mi radzicie? – zapytał Wiśniak.

– Żebyście wybrali się ze mną na nocne zwiedzanie Lagos. Możemy spotkać ciekawych ludzi.

– Przy okazji, jestem Andrzej. – Uznał, że przejście na ty będzie lepsze.

Tamten najwyraźniej tylko na to czekał.

– Heniek.

Wydawał się człowiekiem obytym w realiach dyplomacji w Afryce i byłoby błędem nie skorzystać z jego wiedzy. O dziewiętnastej miejscowego czasu wyjechali zatem jego fiatem. Kudzia zdecydowanie odradzał marynarkę i krawat. W lokalach nocnych nie obowiązywała etykieta dyplomatyczna. Wiśniak włożył więc bawełnianą koszulę

z krótkimi rękawami i modne sztruksy. No i wziął ze sobą grubą kopertę z dolarami.

Kudzia po drodze opowiadał o Afryce lat osiemdziesiątych – o afrykańskich politykach, którzy chyba zaczęli wychodzić z choroby o nazwie „socjalizm”, o tanich dziewczynkach dających się rznąć za kilka dolarów, o pojawiających się coraz częściej Chińczykach, którzy szukali dobrego interesu, i o nocnym życiu w Lagos.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Wiśniak.

– Do Błękitnego Zefira. To dobry lokal dla kogoś, kto rozpoczyna interesy w tym kraju. Wpadają tam oficerowie generała Obasanjo, bo to miejsce dla tutejszych VIP-ów, prowadzone przez Guillaume’a van Kerkhovea.

– To biały? – zapytał Wiśniak.

– Oczywiście. – Kudzia się uśmiechnął. – Kilku białych w Afryce jeszcze zostało.

– Kim jest ten van Kerkhoven?

– Belgiem. Kongo należało kiedyś do Belgów, którzy obłowili się na tym kraju jak nie wiem. Dopuścili się też strasznych zbrodni, ale dziś nikt w Europie nie ma o tym pojęcia. Van Kerkhoven jest zaufanym człowiekiem prezydenta Konga, Mobutu Sese Seko. A to nazwisko robiące w Afryce prawdziwą karierę i otwierające wiele drzwi. Van Kerkhoven ma w Nigerii kilka interesów i dużo inwestuje w pola naftowe. Nigeria to kraj przyszłości, ale prawdziwe bogactwa są w Kongu. – W oczach Kudzi pojawił się błysk chciwości. – Głęboko w dżungli wykopują najpiękniejsze różowe diamenty o idealnej czystości. Tyle że nasz ambasador nie chce współpracować z Mobutu Sese Seko. Nie lubi go. Uważa go za tyrana, z którym kraje socjalistyczne nie powinny prowadzić interesów.

– I taki facet jest ambasadorem?! To przecież idiotyzm! Lepiej, żeby Amerykanie prowadzili interesy z Kongiem, tak?!

– A cholera wie tego naszego Jaruzela, dlaczego mianował Jazowego ambasadorem. Może ma słabość do intelektualistów, którzy zostali w partii. Wiem tylko tyle, że Jazowy zaniedbuje żonę. Ale, jak pewnie sam zauważyłeś, zajmuje się nią nasz nowy radca handlowy.

Po kwadransie dojechali na miejsce. Wysiadając z samochodu, Kudzia przybrał znów swój głupkowaty wyraz twarzy. Wiśniak nie pomylił się: facet tylko grał błazna. Kiedy wchodzili do lokalu, stojący w drzwiach potężni nigeryjscy ochroniarze odpowiedzieli skinieniem głów na pozdrowienie Kudzi. Powietrze wewnątrz było aż gęste od dymu papierosowego. Jeśli Wiśniak wyobrażał sobie, że lokal dla VIP-ów w Lagos może przypominać siermiężną atmosferę restauracji w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, to się pomylił. Rozbrzmiewała popularna wówczas muzyka Michaela Jacksona, a do połowy rozebrane piękne nigeryjskie dziewczyny roznosiły drinki. Wiśniak poczuł zapach znakomitego hawańskiego tytoniu. Tylko raz w życiu palił takie cygaro, kiedy poczęstował go kubański pułkownik bezpieczeństwa, który przyleciał z delegacją do Warszawy.

Kudzia poprowadził go do nierzucającego się w oczy stolika w głębi lokalu. Wiśniak od razu spostrzegł, że jego towarzysz zna się na rzeczy. Takie miejsce gwarantowało w miarę bezpieczną rozmowę, pod warunkiem że ktoś nie użyje mikrofonu kierunkowego. Wiśniak rzucił łakomym okiem w stronę dziewczyn roznoszących drinki.

– Nie radzę – ostrzegł go Kudzia. – Wszystkie są własnością van Kerkhovena. Nie należy go obrażać, posuwając jego dziewczynki. Poza tym mają trypra.

– Nie mam takiego zamiaru – odrzekł Wiśniak.



– Przyprowadziłem cię tutaj nieprzypadkowo – wyznał Kudzia.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Nie musisz mi mówić, jak się naprawdę nazywasz ani dlaczego cię tutaj przysłano. Twoje pojawienie się w Lagos wywołało w ambasadzie spore zamieszanie. Ambasador zaczął podejrzewać, że zostanie odwołany, w końcu jesteś chargé d'affaires.

– Nie wiem, do czego zmierzasz. – Wiśniak postanowił udawać, że nie rozumie, o co chodzi.

– Nie rób, proszę, ze mnie głupca, Andrzej – powiedział przekonująco Kudzia. – Chciałbym, żebyś nie wtrącał się w moje sprawy, a ja nie będę wchodził w drogę tobie.

Wiśniakowi zaczęło świtać w głowie. Kudzia robił z nigeryjskimi biznesmenami interesy i nie chciał, by mu przeszkadzano. Zaprosił mnie tutaj, żeby podzielić się częścią swoich kontaktów, bym i ja coś z tego miał, wydedukował Wiśniak.

– Heniek, ja jestem człowiekiem interesu. Jeśli i ty nim jesteś, nie widzę przeszkód, byśmy nie mieli trzymać sztamy – odparł.

– Co cię interesuje w Nigerii? – zapytał Kudzia.

– Ropa naftowa i dojście do niej.

Kudzia wykrzywił usta.

– To nie takie proste. Trzyma na tym łapy Shell i inne zachodnie koncerny. Może być trudno, no i forszę trzeba mieć nieziemską. Reprezentujesz kogoś z partii? Ktoś z KC chce zrobić tutaj interes?

Wiśniak się uśmiechnął. Czasy, kiedy to partia decydowała, dawno minęły. Nie miał jednak zamiaru zdradzać za dużo.

– O pieniądze się nie martw. Jak przyjdzie co do czego, kasa się znajdzie. Masz jakieś dojście do tego van Kerkhovea? Czy on może nam pomóc

w skontaktowaniu się z Obasanjo? Bo to chyba Obasanjo rozdaje kontrakty naftowe.

Tym razem Kudzia przyjrzał mu się badawczo. Nie miał pojęcia, kogo Andrzej Małysiak może reprezentować.

– Tak, to prezydent odpowiada za politykę naftową. Ale on teraz jest zainteresowany przede wszystkim bronią. Chce dobroić armię, żeby uczynić z Nigerii afrykańskie mocarstwo. Tylko że ma wrogów. Na północy kraju tli się bunt muzułmańskich radykałów. Ci fanatycy najchętniej ucieliby mu głowę i na wzór Iranu zaprowadzili w kraju szariat.

– Co możemy zrobić? – zapytał Wiśniak.

– Jeśli masz poparcie w KC, moglibyśmy załatwić kontrakt zbrojeniowy – odparł Kudzia. – Przecież w Bumarze w Gliwicach robią twardego, naszą wersję radzieckiego T-siedemdziesiąt dwa. Twardy w warunkach afrykańskich to już coś. Kilkadziesiąt sztuk, jakaś artyleria, wyrzutnie raket, trochę kałachów, i już mamy bardzo dobry interes.

– Zdecydowanie przeceniasz moje wpływy w KC. Nie mam dojścia do Jaruzelskiego, ale znam ludzi, którzy w zamian za korzystny kontrakt naftowy mogą błyskawicznie załatwić czołgi i tyle broni, ile będziesz chciał.

Kudzia zaczął rozumieć: nowy chargé d'affaires reprezentuje interesy SB albo wywiadu wojskowego, tylko że armia nie ma możliwości przekazania takiej ilości sprzętu bez wiedzy i akceptacji KC PZPR. Chyba że Małysiak pracuje dla...

Kiedy Kudzia uświadomił sobie, dla kogo jego nowy znajomy może pracować, zaciągnął się kubańskim cygarem. To był partner śmiertelnie niebezpieczny, ale też szansa na interes życia.

– Wchodzę w to – rzucił bez wahania. – Załatwię spotkanie z van Kerkhovenem. On ma bezpośredni dostęp do generała. Oczywiście trzeba

będzie dać mu łapówkę, i to zapewne niejedną. Ludzie generała lubią forszę. Tutaj o wszystkim decyduje gotowość do wypełnienia zachcianek prezydenta. Jeśli masz możliwość szybkiego załatwienia dostawy, to tym lepiej dla nas.

Wiśniakowi podobała się ta rozmowa. Wyciągnął kopertę.

– Tu jest dwadzieścia tysięcy dolarów na pierwsze koszty.

– Oczywiście.

– A co ty z tego będziesz miał?

– Ja? – spytał Kudzia, zaciągając się ponownie cygarem. – Mały procencik.

★

Kudzia spisał się pierwszorzędnie. Spotkanie z Belgiem miało się odbyć jeszcze w tym tygodniu na neutralnym gruncie. Van Kerkhoven miał oczywiście dobre kontakty z generałem Obasanjo, ale jego zdecydowanym atutem były znaczące wpływy w Kongu – dojście do ludzi z otoczenia kongijskiego dyktatora Mobutu Sese Seko. A Wiśniakowi marzyły się udziały w tamtejszych kopalniach różowych diamentów. Chyba jeszcze lepsza lokata kapitału pieniędzy GRU niż sama nigeryjska ropa naftowa. Musiał się skontaktować z pułkownikiem Kuzniecowa, ale nie mógł tego zrobić oficjalnym kanałem przez ambasadę radziecką w Lagos. Kuzniecowa przestrzegał przed podobną nieostrożnością. Trzeba więc było obmyślić jakiś sposób, taki, który nie wzbudzałby podejrzeń innych służb, patrzących sobie nawzajem na ręce. Wiśniak zaczynał sobie uświadamiać praktyczne trudności wiążące się z operacją Lunatyk – prywatną inicjatywą szefów służb, którzy w ten sposób próbowali urządzić się jak najlepiej po upadku socjalizmu. Wciąż nie mieściło mu się w głowie, że jest to w ogóle możliwe.

Jako chargé d'affaires mógł kontaktować się z innymi dyplomatami. Na

kolacji u włoskiego konsula poprosił o możliwość skorzystania z bezpiecznej zachodniej linii telefonicznej, po czym szybko wykręcił alarmowy numer Genskego w Berlinie Wschodnim. Oficer Stasi zgłosił się po dłuższej chwili.

– *Schlafwandler* – powiedział Wiśniak, podając niemiecką wersję kryptonimu.

– Wiem, kim pan jest. Słucham – odparł Genske.

Wiśniak przekazał dokładną instrukcję, co Kuzniecowa powinien załatwić. Nie miał złudzeń, że będzie to legalny transport radzieckiej broni do Nigerii. Genske podziękował i obiecał natychmiast przekazać informację do Moskwy.

Dwa tygodnie później Wiśniak otrzymał od niego zaszyfrowany telegram. Transport „zabawek” wyszedł konwojem radzieckich statków handlowych z Odessy. W ciągu dwóch tygodni miał wpłynąć przez Cieśninę Gibraltarską na Atlantyk, a w porcie w Lagos spodziewany był za miesiąc.

## Rozdział siódmy

# PORTRET KRÓLA LEOPOLDA

### Nigeria, 1987

W środku nocy Wiśniaka obudziło pukanie. Wstał niechętnie, podszedł do drzwi i otworzył je. Za progiem nikogo nie było, ale pod nogami zobaczył kopertę. Podniósł ją, zamknął drzwi i wyjął papier przesycony zapachem kobiecych perfum.

*Jestem pod Pana wrażeniem. Mój mąż, niestety, traktuje pobyt w Nigerii jako zesłanie, a ja sądzę, że ten kraj jest znakomitym miejscem do kolekcjonowania sztuki ludów pierwotnych. Czy to Pana interesuje? Gdyby miał Pan czas, chętnie pokazałabym Panu ludowych artystów. Można stworzyć fascynującą kolekcję. Mam nadzieję poznać Pana wrażliwość na sztukę. Mąż wyjechał do Rabatu w Maroku na konferencję dotyczącą pomocy dla krajów Trzeciego Świata, więc gdyby Pan zechciał podzielić się ze mną swoimi poglądami na sztukę prymitywną, byłabym niezmiernie wdzięczna.*

Wiśniak nie mógł uwierzyć w to, co przeczytał. Najwidoczniej ambasadorowej nie wystarczyło już młody radca handlowy do przyprawiania mężowi rogów. Jej list był wyraźnym zaproszeniem do łóżka.

Poszedł do łazienki. Umył zęby zachodnią pastą i pokropił się wodą kolońską. Na szczęście w Nigerii był większy wybór wód toaletowych niż w Polsce, gdzie standardem dla mężczyzn pozostawał Brutal, który oczywiście pachniał brutalnie. Wiśniak wyszedł ze swojego pokoju i przemknął pod drzwi, zza których dobiegała stłumiona muzyka z adaptera. Nie znał się na muzyce poważnej, nie miał więc pojęcia, że to *II Koncert fortepianowy* Rachmaninowa. Ambasadorowa najwyraźniej była melomanką. Zapukał.

Drzwi delikatnie zaskrzypiały, kiedy je uchylała.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała.

– A ja wiedziałem, że otworzysz.

Tej afrykańskiej nocy w mieszkaniu ambasadora nikt już nie wyłączył płyty Rachmaninowa. Nikt też nie przeszkodził im w jej słuchaniu.

★

Guillame van Kerkhoven, śniady blondyn, miał podwójne obywatelstwo – belgijskie i kongijskie – a sława szarej eminencji w otoczeniu dyktatora Konga sprawiała, że ludzie zabiegali o to, by widział w nich przyjaciół. Był zapalonym myśliwym i szczyił się tym, że zastrzelił ponad tysiąc lwów, przynajmniej setkę wielkich słoni i nosorożców, a jego pałac, prawie dorównujący rezydencji prezydenta Mobutu Sese Seko w Kinszasie (van Kerkhoven lubił dawną kolonialną nazwę Léopoldville), posiadał najwspanialszą kolekcję myśliwskich trofeów oraz przedmiotów z kości słoniowej i złota. W czasie gdy Bob Geldof organizował koncerty Live Aid for Africa, a na Zachodzie protestowano przeciw bezsensownemu okrucieństwu wobec afrykańskiej przyrody, Belg, uosabiający dawną kolonialną pychę białego człowieka, nic sobie z tego nie robił. Dobrze wykształcony, za swoją ulubioną książkę uważał *Księcia Machiavellego*. Ubierał się u najlepszych europejskich krawców, czym zaraził satrapę Konga, swego przyjaciela, Mobutu Sese Seko. Zgodnie z belgijską tradycją dorabiania się w Kongu, van Kerkhoven potrafił sobie zaskarbić jego łaski, odpalając mu ogromne pieniądze ze wspaniałych, rzadkich różowych diamentów wydobywanych w kilku kopalniach w środku kongijskiej dżungli. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie znajdują się owe kopalnie, a Belg zazdrośnie strzegł tej tajemnicy. Robotnicy porywani z wiosek nad rzeką Kongo i jej dopływami byli po roku lub dwóch zabijani, lecz

przedtem mogli przekazać rodzinom kilkaset dolarów pensji. Guillaume miał złą sławę, a miejscowi mówili o nim „diabeł z Belgii”. Lubił kobiety; miał w Europie żonę i córkę, ale to nie przeszkadzało mu w utrzymywaniu w Kinszasie kongijskiej „żony”, podarowanej mu w prezencie przez Mobutu Sese Seko. Van Kerkhoven miał z nią dziecko, córkę o imieniu Taia. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, ale nikt nie wiedział, w jakim naprawdę jest wieku. Tak jak eleganckiej kobiety nie należało go pytać o datę urodzenia. Nie lubił tego, podobnie jak pytań o rodzinę i pochodzenie.

Kudzia poznał go na jednym z rautów i zorientował się, że Belg ma o Polakach dobre zdanie – uważał, że potrafią pracować. Opinię tę wyrobił sobie u Muammara Kadhafiego w Libii, gdzie większość dróg i budynków użyteczności publicznej budowali Polacy. A z Libią łączyło Kerkhovena kilka ciemnych sprawek, których wspólnym mianownikiem była nafta. Kudzia umówił go na spotkanie z nowym chargé d'affaires polskiej ambasady, Andrzejem Małysiakiem.

★

Wiśniak wyczuwał, że z takim graczem jak van Kerkhoven trzeba grać inaczej. Na pieniądze łasy nie był, bo mu ich nie brakowało. Na ropę może bardziej, ale to właśnie Polak był w sytuacji petenta i aby operacja Lunatyk mogła przynieść zakładane korzyści, musiał coś wymyślić.

Wysłał do Berlina pilną wiadomość z pytaniem, czy w aktach Stasi lub GRU nie znalazłyby się jakieś materiały kompromitujące Belga, które stanowiłyby argument nie do odparcia. Towarzysz Genske ze Stasi wywiązał się z zadania błyskawicznie i po tygodniu na służbowy adres Małysiaka przyszła z Berlina Wschodniego paczka z papierami. Wiśniak przestudiował je dokładnie przed spotkaniem z belgijskim biznesmenem. Genske przysłał też szyfrogram, z którego wynikało, że jeśli van Kerkhoven

nie ugnie się przed propozycją Polaka, agenci GRU zajmą się w odpowiedni sposób jego kobietą, siostrzenicą prezydenta Mobutu Sese Seko.

★

Na spotkanie z van Kerkhovenem Wiśniak włożył garnitur w kolorze écru i miękkie włoskie mokasyny (w luksusowych sklepach w Lagos był towar z Europy Zachodniej, nie do zdobycia w siermiężnej Polsce Ludowej). Kudzia, który zawiózł go służbowym samochodem, bardzo się zdziwił, gdy nowy chargé d'affaires poprosił go o pomoc w zainstalowaniu podsłuchu. Nadajnik miał Wiśniak wszyty w mankiet, a zadaniem Kudzi było obsługiwanie magnetofonu. Kudzia wolał nie pytać, skąd jego nowy kumpel ma taki sprzęt szpiegowski.

Belg spóźnił się piętnaście minut, chcąc zaznaczyć, że on, w przeciwieństwie do Polaka, może sobie na to pozwolić. Wiśniak nie przejmował się tym, bo dzięki temu on i jego pomocnik mieli czas na odpowiednie zsynchronizowanie nadajnika i magnetofonu. Kudzia zapomniał zapytać, w jakim języku będą rozmawiali, ale nie doceniał Wiśniaka.

Belg przeprosił za spóźnienie, kiedy wreszcie pojawił się w najlepszej restauracji w Lagos, w której byli umówieni.

– Guillaume van Kerkhoven – powiedział, ściskając dłoń Wiśniaka.

– Andrzej Małysiak. Miło mi, że mogę pana poznać.

Interesowało go, co ambitny człowiek może porabiać w Lagos, stolica Nigerii miała bowiem ugruntowaną opinię wielkiego slumsu, miasta dziwek, gangów i porachunków mafijnych, których nie załatwiano z gracją Brooklynu, tylko maczetą lub rzucając przeciwników na pożarcie krokodylom.

– *Monsieur* van Kerkhoven, jestem dyplomata, tak jak pan – skwitował



Polak.

– To pojęcie się spauperyzowało. Można być ambasadorem jakiegoś zasranego kraiku w Afryce i dorobić do tego ideologię, ale po co? Oczywiście nie uważam Polski za taki kraik.

– Jest pan nader uprzejmy – odparł Wiśniak. – Czego się pan napije?

Zamówili butelkę chardonnay, ostrygi i homara. Wiśniak wiedział, że Kudzia nagrywa każde słowo, ale nic z tego nie rozumie, bo rozmawiali po francusku – o kobietach, życiu i cygarach. Tylko w tym ostatnim temacie Wiśniak nie miał wiele do powiedzenia. Przyniósł jednak dla van Kerkhovea prezent – oprawioną w czarną ramę akwarelę przedstawiającą króla Belgów, Leopolda II, który przed stu laty dzięki sprytowi i bezwzględności opanował Kongo.

– Dlaczego wręcza mi pan portret naszego monarchy? – zapytał Belg. – W Brukseli jest pełno jego podobizn.

– Myślę, że obaj, jako ludzie interesów, jesteśmy trochę podobni do Leopolda Drugiego. Pan jest znany ze swoich kontaktów, a ja reprezentuję przedsiębiorstwo, które dopiero wchodzi na rynek państw zachodnich. Sądzę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

– Nie rozumiem – odparł Belg. – Pan mógłby mi w czymś pomóc?

Wiśniak się uśmiechnął. Wiedział, jak ma rozegrać ten pojedynek, wprawdzie przy wykwinnym żarciu, ale równie bezwzględny jak te, które ze zdobywcami Afryki toczył Leopold II. Był to wyścig po wielkie pieniądze i równie wielkie wpływy.

– Interesuje mnie ropa naftowa – powiedział.

Van Kerkhoven parsknął śmiechem. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz to słyszał z ust jakiegoś klienta banku lub afrykańskiego kacyka. Wszystkich w Afryce interesowała ropa naftowa.

– Czy pana to bawi, *monsieur* Kerkhoven? Reprezentuję interesy ludzi, którzy chętnie nabyliby od pana za bardzo przystępną cenę udziały w nigeryjskich polach naftowych.

– Kiedy?

– Na przykład teraz – rzucił Wiśniak i mówił całkowicie poważnie.

Belg nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy wcześniej nikt nie próbował z nim zrobić interesu w ten sposób, bez żadnych podchodów.

– Za ile?

– Za tyle, ile pan zażąda. Pieniądze nie mają znaczenia.

– Skąd pan wie, że w ogóle chcę sprzedać?

Wiśniak wypił łyk chardonnay i dopiero wtedy odpowiedział:

– Każdy chce. To tylko kwestia dwóch wypadkowych: ceny i motywacji. Cenę może pan podać sam, a co do motywacji... Chętnie pana zmotywuję.

– Tak? A w jakiz to sposób? – Van Kerkhoven, który nigdy wcześniej nie rozmawiał z agentem działającym na zlecenie GRU, był szczerze rozbawiony.

– Pana żona mieszka z córką w Belgii. Naprawdę rzadko je pan odwiedza. To nie buduje więzi rodzinnych. Możemy je powiadomić o pańskiej bigamii. – Wiśniak starał się mówić spokojnie, bez emocji, aby nadać groźbie odpowiedni ton. Widząc, jak twarz van Kerkhovena robi się purpurowa, dodał: – Jeśli to nie wystarczy, możemy się postarać, żeby pana kobieta i pana czekoladowa córeczka utopiły się w rzece Kongo albo, jak każe tradycja afrykańskich kacyków, która zdaje się jest panu bliska, możemy nakarmić nimi krokodyle, tak jak karmił te miłe zwierzęta mięsem swoich wrogów generał Amin z Ugandy.

Zapadła chwila ciszy. Wiśniak miał wrażenie, że Belg udławi się winem.

– To... to oburzające!

– Ależ skąd! To *deal*. Ma ich pan przecież mnóstwo na koncie. Różnica jest tylko taka, że teraz to ja w imieniu moich przyjaciół składam panu propozycję, której najrozsądniej byłoby nie odrzucać.

Van Kerkhoven nie przywykł, by ktokolwiek tak z nim rozmawiał. Wściekły wstał od stołu i wyszedł z restauracji. Wiśniak wiedział jednak, że wróci. Znał się na ludziach na tyle, by nie wątpić, że osoby pokroju Belga, gdy tylko tracą podstawę swojej pewności siebie, natychmiast się podporządkowują.

Andrzej Małysiak alias kapitan Wiśniak, który uważał, że zapłaconego jedzenia się nie wyrzuca, spokojnie dokończył homara, poszedł do Kudzi i wręczył mu kopertę z kolejnymi trzydziestoma tysiącami dolarów.

– Załóż w Nigerii legalną firmę. Będziemy handlować ziemią.

– Ziemią? – zapytał zdumiony Kudzia.

– Oczywiście. Działkami roponośnymi – wyjaśnił Wiśniak i zobaczył, że na chciwej twarzy Kudzi zagościł uśmiech szczęścia.

– Co na to Belg?

– Złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia.

★

Minęły dwa tygodnie. Kudzia wślizgnął się do pokoju ambasadorowej, trzymając w ręku butelkę szampana. Z zaciekawieniem przyglądał się parze śpiących kochanków przykrytych tylko prześcieradłem. Ambasador dzień wcześniej wyjechał do nowo budowanej stolicy Abudży i nie miał pojęcia, jak i z kim spędza noc jego małżonka.

Wiśniak obudził się w chwili, kiedy zimna butelka szampana dotknęła jego ramienia.

– Co wy tutaj robicie, Kudzia? – spytał, przecierając oczy.

Ten uśmiechnął się bezczelnie.

– Przyszedłem sprawdzić, jak się macie. Poza tym to łóżko ambasadora, więc równie dobrze mógłbym was zapytać, co wy w nim robicie, towarzyszu.

W tej chwili zbudziła się ambasadorowa. Gdy ujrzała Kudzię gapiącego się na jej biust, wydała okrzyk zgrozy i zakryła się prześcieradłem.

– To chamstwo! Jak pan śmie?!

– Jak ja śmiem? Oj, kochana... Jak ty śmiesz narażać ambasadora, pana docenta, na taki przykry skandalik, który gdybym wysłał, gdzie trzeba, raport, na pewno skończyłby się waszym odwołaniem do Polski. Powiedzmy jednak, że nie mam ochoty tego robić.

Wiśniak zachował spokój. Wstał, włożył spodnie na nagie ciało, po czym podał rozhisteryzowanej kobiecie koszulę nocną.

– Uspokój się, kochanie. Czy mogłabyś zostawić nas samych?

Kiedy Anna wyszła, rzucił Kudzi wściekłe spojrzenie. Nie miał wątpliwości, że nie zachowałby się on tak bezczelnie, gdyby nie wiedział o jego spotkaniu z van Kerkhovenem. Ten facet był wychowany w tej samej co on szkole partyjnej – pragmatycznej i bezideowej jak czasy Gierka. Dla niego przede wszystkim liczyły się układy i zysk. Wiśniak uznał, że nie ma sensu unosić się honorem. W końcu przyprawiał rogi ambasadorowi, a Kudzię powinien mieć po swojej stronie.

– Szantaż, rozumiem, to też interes – rzucił. – Możesz mi powiedzieć z jakiej to, kurwa, okazji przyniosłeś szampana?

– Uznałem, że powinniśmy uczcić twój sukces, towarzyszu Małysiak, czy jak tam naprawdę się nazywasz – odparł rozpromieniony Kudzia. – Nie wiem, czy czytałeś dzisiejszy numer „Nigerian Post”. Na pierwszej stronie piszą tam, że Guillame van Kerkhoven odsprzeda nowemu inwestorowi

pakiet kontrolny w strategicznej firmie, która posiada działki roponośne w Nigerii.

Wiśniak uśmiechnął się. Jego propozycja została przyjęta. Genske najwyraźniej przekazał do Moskwy informacje od Polaka i Kuzniecowa zadziałał.

– Nie znam francuskiego i nie wiem, o czym rozmawiałeś z tym Belgiem – ciągnął Kudzia – ale najwidoczniej go przekonałeś. Winszuję.

Wiśniak udał zakłopotanego.

– Nie, nie ja, ale przyjaciele, których reprezentuję.

– Tylko co ja z tego będę miał?

– Moją wdzięczność, a ja potrafię być bardzo wdzięczny.

Nagle oczy Wiśniaka stały się lodowato zimne. Zaczął się zastanawiać, czy Kudzia nie powinien popełnić samobójstwa, po tym jak został odkryty jego romans z żoną ambasadora. Postanowił jednak zaryzykować – gość może się jeszcze okazać pomocny.

– Założyłeś firmę, tak jak prosiłem?

– Tak, nazywa się Petroleum Nigeria Ltd.

– To nasze zdrowie, wiceprezesie.

Wypili po kieliszku prawdziwego szampana.

– Musisz mi pomóc w spotkaniu z najważniejszym człowiekiem w Nigerii – powiedział Wiśniak. – Załatwisz to?

– Postaram się. Ale dotarcie do prezydenta będzie trochę kosztować.

– Pieniądze nie mają znaczenia. Jeśli można kupić za nie wpływy.

– Kiedy chcesz się z nim zobaczyć?

– Jeszcze nie teraz. Dopiero jak przyplynie dostawa – powiedział tajemniczo Wiśniak.

– Rozumiem, że o pewnych rzeczach mam nie wiedzieć. Chodzi

o dostawę broni? Warszawa się na to zgodzi? Wiesz, że Jaruzelski musi akceptować wszystkie kontrakty związane z bronią.

Wiśniak uśmiechnął się rozbrajająco.

★

Van Kerkhoven wybiegł z restauracji, w której spotkał się z Andrzejem Małysiakiem, gotując się z wściekłości. Jednak bardziej nawet niż arogancja Polaka złościła go własna bezradność. Nigdy nie załatwiał interesów przyparty do muru, nawet jeśli były one mocno szemrane. Nie pozwoliłaby mu na to pycha, utrwalona przez lata gromadzenia bogactw, które kosztem miejscowej ludności wrywał Afryce. Gdy wzburzony wrócił tego wieczoru do willi na przedmieściach Lagos, postanowił dowiedzieć się, kim jest ten bezczelny Polak. Odpowiednimi kanałami zwrócił się do władz nigeryjskich. Niestety, potwierdziły tylko to, że Andrzej Małysiak jest tym, za kogo się podaje.

Tymczasem Wiśniak skontaktował się z majorem Genskem i odpowiednia komórka Stasi przekazała informację do Moskwy, na ręce pułkownika Kuzniecowa. Zakup działek roponośnych w Nigerii był kluczowy dla całej operacji Lunatyk, więc Kuzniecowa postanowił zadziałać i wysłał do Konga swoich dwóch zaufanych ludzi, a ci zajęli się kongijską kobietą van Kerkhovea. Porwali ją razem z córką i dostarczyli Belgowi ich zdjęcia – nagich, przywiązanych do drzewa gdzieś w dżungli. Dołączony do fotografii komunikat był jasny: jeśli van Kerkhoven będzie się dalej opierał, na następnych zdjęciach zobaczy zwłoki żony i córki rzuconych na pożarcie dzikim zwierzętom.

– To ten pierdolony Polak! – zaklął, lecz wiedział, że nie może odrzucić propozycji Małysiaka.

Postanowił wysłać do polskiej ambasady butelkę szampana Dom

Pérignon z najlepszego rocznika. Był to znak, że się zgadza. Powiadomił także nigeryjskie władze, że gotów jest odsprzedać swoje udziały w firmie handlującej terenami roponośnymi. Wiedział, że musi odpuścić. To była cena za życie jego dziecka. Zarazem nie mieściło mu się w głowie, że wywiad Polski Ludowej, mającej przecież na Zachodzie opinię dziadowskiego kraju, w którym po ulicach biegają niedźwiedzie, może sobie pozwolić na inwestowanie w ziemię na Czarnym Kontynencie. Domyślał się, że Małysiak musi kogoś reprezentować, i kiedy uświadomił sobie, kto może stać za tym Polakiem, poczuł się tak, jakby jakaś piekielnie silna dłoń ścisnęła go za gardło.

Władze nigeryjskie miały prawo sprzeciwić się sprzedaży, i to zrobiły, ale wówczas szerokim strumieniem popłynęła do nich gotówka. Łapówki wręczał Kudzia – nauczył się tego w czasach gierkowskiej prosperity i miał znajomości. Nigeria była krajem bez reszty skorumpowanym, w którym za odpowiednią łapówkę można było kupić wszystkich i wszystko. Usatysfakcjonowani nigeryjscy ministrowie wydali więc zgodę na to, by nowa firma Petroleum Nigeria Ltd przejęła od van Kerkhoveny udziały w polach naftowych.

Małysiak alias Wiśniak zyskał sobie wprawdzie w Afryce poważnego wroga, ale wyznawał zasadę, że o pozycji człowieka świadczą właśnie jego wrogowie. Przyuczony do swojej nigeryjskiej roli w szkole GRU wiedział, że wojny wygrywa się jedynie, wyprzedzając działania nieprzyjaciół, choćby nie wiadomo jak byli potężni.

Wkrótce po tym, jak sprawa z van Kerkhovenem nieco ucichła, Wiśniak kanałem przez ambasadę Niemiec Wschodnich przesłał do centrali operacji Lunatyk zamówienie na duże dostawy broni, obejmujące czołgi T-64 (tych

Armia Radziecka miała aż nadto), systemy rakietowe Grad oraz mnóstwo kałasznikowów.

Tego samego dnia Kudzia zwrócił się do ministra spraw zagranicznych Nigerii z propozycją dozbrojenia ich armii, a ten natychmiast przekazał ją prezydentowi Obasanjo.



## Rozdział ósmy

# DEMONY PRZESZŁOŚCI

Nowy Jork, 2014

W Brazylii odbywały się mistrzostwa świata w piłce nożnej, ale Maxowi nie chciało się lecieć do kraju samby. Mecz USA–Belgia w jednej ósmej finału przespał. Kiedy się obudził, włączony telewizor pokazywał wciąż reklamy. Po wczorajszej diecie złożonej z na przemian wlewanych w siebie porcji whisky, absyntu i polskiej wódki poczuł straszliwą chęć zaczerpnięcia świeżego powietrza oraz ulżenia pęcherzowi. Chmielowy smrodek mieszał się z jego nieświeżym oddechem i unosił w pokoju jak duch z lampy Aladyna – niewidzialny, ale wszechobecny. Max zwlókł się z kanapy, przeciągnął się, chwycił pilota i poprzez interaktywne menu sprawdził wynik meczu.

– Przegraliśmy w dogrywce – powiedział i westchnął.

W przeciwieństwie do większości Amerykanów, którzy byli fanami baseballu, on lubił piłkę nożną. Jego polska połowa nieodmiennie wykazywała fascynację tą dyscypliną. Gdy otworzył szeroko okno, do pokoju wpadło ciepłe, ale świeże powietrze. Poszedł do łazienki, wziął prysznic, po czym zaparzył w ekspresie kawę. Pochłaniał jej tyle, że pod koniec dnia w jego żyłach były pewnie takie ilości kofeiny, że niejednego wyprawiałyby na tamten świat. Poranki samotnych facetów są smutne.

E-mail od Andrzeja wyprowadził go całkowicie z równowagi. Przywołał prawie zapomniany koszmar sprzed dwudziestu lat.

TEMAT: MONIKA

Od: andrzej.skotnicki@gmail.com

Do: max.kwietniewski@yahoo.com

Wysłano: 24 czerwca 2014, godz. 0.42

Witaj, Max.

Od dawna nie mieliśmy kontaktu. Częściowo z mojej winy. Nie mogę sobie darować, że to, co się wtedy stało, tak bardzo nas poróżniło. Jestem pewien, że moja siostra nie chciałaby tego. Przeszłości nie można już jednak zmienić. Musimy żyć dalej.

Pewnie się domyślasz, że nigdy nie odpuściłem śmierci siostry. Kochałem ją inaczej niż Ty, ale równie mocno. Teraz jestem już bliski wyjaśnienia kilku spraw, które być może pozwolą nam zrozumieć, dlaczego Monika zginęła. Ale musisz mi pomóc w dotarciu do prawdy. Uciekłeś do swojego kosmicznego Nowego Jorku. Jeśli jednak myślałeś, że uciekłeś od swoich demonów, to wiedz, że jest to niemożliwe. Przekonałem się, że trzeba się z nimi zmierzyć, a nie uciekać. Wtedy próbowałem uciec – do Boga. Myślałem, że zrywając z dotychczasowym życiem, będę miał szansę odpokutować to, co zrobił ludziom ojciec. Tylko że nie możemy dźwigać win innych ludzi.

Teraz w dużym skrócie. Wiem, dlaczego zginęła Monika. To my ją zabiliśmy, ja i Ty, obojętnie, jak ułożysz kolejność, jesteście winni w takim samym stopniu. My ją zabiliśmy w chwili, kiedy przed dwudziestu laty zaczęliśmy drążyć sprawę tego esbeka Wiśniaka. Jestem pewien, że nie zapomniałeś tego nazwiska. Kartka z pamiętnika ojca, którą Ci wysłałem, świadczy dobitnie o tym, że ten skurwiel gdzieś tam pociąga za sznurki.

Prawda jest dużo bardziej skomplikowana i przerażająca, niż myśleliśmy. Rozbiliśmy się o górę lodową. Byliśmy ślepi; byliśmy jak lunatyk w nocy, który nie wie, gdzie i po co idzie.

Andrzej

Andrzej wsypał do jego najgłębszej rany sól, dużo soli. Ale nawet bez niej Max nigdy nie zapomniał tego dnia, kiedy zginęła Monika. Ludzie

zazwyczaj godzą się ze śmiercią rodziców, ponieważ ewolucja wprogramowała w nas konieczność pogodzenia się ze śmiercią poprzedniego pokolenia, ale ta sama ewolucja nie znalazła sposobu na zagojenie największej rany, jaką jest przedwczesna utrata kogoś, kto jest miłością życia.

Max po przeczytaniu tego e-maila z całej siły cisnął puszką amerykańskiego piwa, tak że rozbryznęło się na ścianie.

– Kurwa, co on sobie myśli!?

Natychmiast wróciły jednak emocje sprzed dwudziestu lat. Rozpłakał się jak małe dziecko, mimo że miał już ponad czterdziestkę. Ze śmiercią żony nigdy się nie pogodził i do tej pory nie potrafił ułożyć sobie życia. Tej nocy nie zmrużył oka. I choć kiedy po południu pił drinka za drinkiem w swojej ulubionej knajpcie w Greenwich Village i wydawało mu się, że zapomniał o tamtej strasznej nocy, to koszmar raz jeszcze stanął mu przed oczami.

## Warszawa, 1995

Max nigdy nie rozmawiał z Moniką o motywach, jakie popchnęły jej brata do decyzji o wstąpieniu do seminarium duchownego. Oczywiście wiedziała, że Andrzej pragnie odkupić krzywdy, jakie wyrządził ich ojciec, że – według niego – tylko służba Bogu może przywrócić rodzinie równowagę (co dla nierozumiejącego religii Maxa było tak szalone jak szamanizm w Afryce). Ale kryła się w tym głębsza przyczyna. Andrzej postanowił na zawsze rozwikłać zagadkę samobójczej śmierci ojca, pragnął zrozumieć otchłań esbeckiego zła, które tak boleśnie naznaczyło ich rodzinę. A kluczem do tego był fragment z dziennika ojca, tajnego współpracownika SB.

W październiku 1995 roku, jeszcze przed decyzją o wstąpieniu do seminarium, między Moniką i Andrzejem wywiązała się zacięta dyskusja na temat motywów ojca. Max stał się jej mimowolnym świadkiem.

– Jak możesz tak mówić o tacie?! – krzyczała Monika. – On nas kochał i gównu mnie obchodzi, że coś tam podpisał. Wielu ludzi tak robiło w PRL-u. To nie jest powód, żeby pluć na pamięć własnego ojca!

– Otóż dowiedz się, córeczko kapusia, że mogę tak o nim mówić! – burknął Andrzej. – Nasz ojciec był świnią.

– Kochał nas. Zrobił to, żeby nas chronić – powtarzała w kółko te same zdania.

– Ty, kurwa, naprawdę nie rozumiesz, co jest w jego teczce! To prawda, że ojciec został złamany przez tego sukinsyna z SB, kapitana Wiśniaka, ale potem kablował na ludzi. Robił to tak umiejętnie, że ludzie z podziemnej Solidarności nigdy by się nie kapnęli, że to przyjaciel bezlitośnie ich sypie. Czy wiesz, że denuncjował kolegów z uczelni? Wiesz, że przyczynił się do śmierci księdza Popiełuszki? To on dał znać SB, że ksiądz pojedzie do Bydgoszczy. Nie wiesz, że potem sam łamał ludzi dla SB? Złamał nawet jednego duchownego, który został donosicielem tak samo jak on.

– Zamknij się! – Monika nie wytrzymała temperatury tej kłótni. Potem w nocy długo płakała, a Max nie wiedział, jak ją pocieszyć.

★

Po tamtej awanturze Max rozmawiał ze szwagrem o dziennikach teścia. Andrzej prosił, by przeczytał dwa fragmenty. Max, chcąc nie chcąc, zaczął czytać we wskazanym przez niego miejscu.

*Z dziennika Władysława Skotnickiego*

28 lipca 1987

*Od zniknięcia Wiśniaka mam więcej spokoju. Rozpracowuję tego, kogo chcę. Nie mam złudzeń – gdyby nie to, co robię dla nich, nie mógłbym utrzymać rodziny. Kiedyś miałem marzenia, teraz chcę mieć święty spokój. Tylko to się liczy.*

*Dostałem pracę w szpitalu Akademii Medycznej w Warszawie. Będę miał też wykłady. Rodzinie zrobi dobrze przeprowadzka, dzieci chcą tam studiować.*

*Zostałem wezwany przez SB na rozmowę. Nie było już Wiśniaka, ale wypytywał mnie jakiś inny oficer, pułkownik, zdaje się. Pytał o Wiśniaka. Opowiedziałem o naszych wieloletnich kontaktach. Rozmowa była chyba nagrywana. Nie mogłem pozbyć się myśli, że W. coś im rąbnął albo się rozplynął. Gdyby to była prawda, moja praca dla nich urosłaby, kurwa, do rangi czynu patriotycznego. Oficer miał ze sobą teczkę z papierami; zauważyłem, że podpisał się na jednym z nich. Nazwisko Gozdawa, ale nie dam sobie uciąć ręki. Nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś podczas rozmów z W. ktoś do niego zadzwonił. I to był chyba właśnie Gozdawa.*

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Max. – Ten fragment niczego nie dowodzi. Po prostu spotkał się z jakimś facetem.

– Czytaj dalej.

Andrzej podał mu kolejny zeszyt, tym razem obejmujący lata 1988–1992, prowadzony do samobójczej śmierci Władysława Skotnickiego. Dodał, że ojciec zawsze używał pióra wiecznego Parker, choć kosztowało w PRL-u majątek i można je było kupić tylko w Pewexie. Był to jeden z prezentów otrzymanych przez TW Iluminatora od jego kumpli z SB. W końcu lekarz powinien podpisywać recepty prawdziwym parkerem, a nie jakimś tanim szmelcem.

*Z dziennika Władysława Skotnickiego*

*22 grudnia 1990*

*Dziś w sejmie była wielka chwila. Zaprzysiężenie Lecha na prezydenta. Prostack trybunem ludowym, a teraz prezydentem! Wielu moich przyjaciół z opozycji jest niepokieszonych; mówią, że Wałęsa zdradził Mazowieckiego. Na sali sejmowej mnóstwo przyjaciół z dawnej Solidarności. Zupełnie ich nie rozumiem. Czy nie powinniśmy być*

*wdzięczni Wałęsie, że w Polsce nie sięgnięto po rozwiązanie rumuńskie, z czołgami i krwią na ulicach?*

*Na korytarzu w sejmie zaczepia mnie któregoś dnia dawny człowiek z PZPR. Partia wprawdzie zeszła ze sceny, ale dawne układy obowiązują. Mówi mi, że się znamy, ale ja naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go widziałem. Ale kiedy zobaczyłem jego legitymację służbową UOP-u, ołśniło mnie. Oni znów mnie potrzebują, pomyślałem. Facet się przedstawił. Pułkownik Gozdawa. Powiedział, że niedługo idzie na emeryturę, ale nie żałuje. Ma już dość nowych czasów. Idzie do biznesu i mnie namawia do tego samego.*

*– Oddał nam pan duże usługi.*

*– Ciszej, kurwa – upominam go.*

*– Po co ten nerwy? Robimy wspólnie biznes.*

*– Jaki biznes?*

*– Potrzebna będzie nowela ustawy o bankowości – mówi. – Duży zachodni bank chce wejść do Polski, ale rzecz polega na tym, żeby mógł prowadzić także inną działalność, nie tylko bankową, na przykład inwestować w strategiczne gałęzie gospodarki, jak energetyka. Trzeba się integrować z Zachodem, no nie?*

*Zastanowiło mnie, dlaczego dawnemu esbekowi tak zależy na integracji z Zachodem. Przecież to proces nieodwracalny. Umówiliśmy się na następne spotkanie. Doszło do niego kilka dni później. Przyniósł mi gotowy tekst ustawy, nie wiem, przez jakich prawników napisany, ale bardzo sensowny. Przedstawiłem go na klubie jako mój własny. Dwa tygodnie później Gozdawa przyniósł mi trzydzieści tysięcy dolarów. Powiedział, że jeśli się pojawiły jakieś problemy, to mam zrobić mu listę postów, którzy będą mieli obiekcje. Ustawa przeszła dwa miesiące później. Wałęsa podpisał ją bez żadnego problemu.*

*– Ten fragment też niczego nie dowodzi – rzucił Max.*

*– Wręcz przeciwnie – powiedział Andrzej. – Dowodzi, że mój ojciec był po prostu polityczną dziwką do wynajęcia.*

*– Dobrze, że Monika nie słyszy, jak o nim mówisz.*

*– Monika powinna zaakceptować prawdę o ojcu. Z tego, co przeczytałeś, wynika, że ojciec nie zakończył swojej działalności po zmianie systemu.*

Rozumiesz? Esbek Gozdawa jest w jakiś sposób związany z tym, co go spotkało. Esbecy są dzisiaj w stanie korumpować polityków i kupować ustawy. A ojciec był w to bezpośrednio wmieszany.

– Uważasz, że to jest trop wiodący do tamtego faceta z lat osiemdziesiątych?

– Nie mam żadnego innego. Pomyśl logicznie, ci esbecy są kluczem do zrozumienia przeszłości ojca. Jestem pewien, że stoją za jego śmiercią. Ojciec dużo wiedział. Może kiedy wyszło na jaw, że był TW, zaczął ich szantażować. Po co innego miałby pisać tak obnażający siebie i ich pamiętnik?

– Jako formę odkupienia? – zasugerował Max.

Andrzej głęboko zastanowił się nad słowami szwagra i w końcu doszedł do wniosku, że musi odkupić krzywdy, jakie ojciec wyrządził ludziom.

★

Dwaj tajniacy, którzy założyli Agacie Wróblewskiej podsłuch, odwiedzili ją i jej męża. Udając zatroskanych, przedstawili się jako pracownicy Geobanku. Powiedzieli, że być może zwolnienie Krzysztofa nie było działaniem koniecznym. W końcu jego wina nie była aż tak wielka. I jeśliby młodzi małżonkowie poprosili Monikę Kwietniewską, dziennikarkę Telewizji Polskiej, by przestała szkalować nowego partnera biznesowego największej polskiej firmy energetycznej, dałoby się jeszcze coś zrobić, na przykład ze spłatą kredytu, który Wróblewscy zaciągnęli w Geobanku.

Początkowe skrupuły Agaty szybko ustąpiły pod naporem realizmu. Lojalność wobec przyjaciółki lojalnością, ale z czegoś trzeba żyć, a wkrótce do drzwi zacznie się dobijać komornik. Nie mieli jednak pewności, czy Monika ulegnie ich prośbom, a przede wszystkim, czy w ogóle ma jeszcze wpływ na bieg wypadków.

Tymczasem Monika nie powiedziała Maxowi o tym, co usłyszała od przyjaciółki. Po prostu nie chciała wierzyć, że ojciec był do tego stopnia umoczony we współpracę z SB. Wiedziała również, że to, co powiedziała Agata, byłoby wodą na młyn dla brata, który „nastawał na cześć ojca”. Tak to nazywała. Doszła do wniosku, że zanim powie Maxowi, sama przeprowadzi dziennikarskie śledztwo, pierwsze w swoim życiu.

Kiedy w kwietniu 1996 roku po raz drugi spotkała się z przyjaciółką, ta była w złym nastroju. Umówiły się w kawiarni na rogu Nowego Światu i Świętokrzyskiej. Monika odniosła wrażenie, że Agata ma poważne problemy.

– Wyglądasz jak chmura gradowa – rzuciła, ale postanowiła nie dociekać, skąd ten zły nastrój przyjaciółki, i od razu przeszła do rzeczy: – Powiedziałas ostatnio o moim ojcu coś, co mi się nie spodobało.

Agata z trudem powstrzymywała łzy.

– Zwolnili Krzyśka z pracy. Pod pretekstem, że spóźnił się o jeden dzień z raportem. Mamy duży kredyt do spłacenia. Mówiłam ci, że Krzysiek odkrył, że z firmy wyprowadzane są duże pieniądze. Pomyliłam się.

– Nie rozumiem.

– Po prostu pogubił się w pracy. Koloryzował. Zapomnij o tym.

– Mówiłaś też o moim ojcu.

– Nie miałam się na kim wyładować. Przepraszam.

Monika spojrzała na przyjaciółkę zdumiona. Agata nigdy nie zachowywała się w taki sposób. Nie zaprzeczała sama sobie po kilku dniach. Coś musiało się stać, że nagle postanowiła zmienić zdanie.

– Spotkałaś się ze mną tylko dlatego, żeby mi to powiedzieć?

Agata pokręciła głową.

– Przepraszam... ale... ale mam ci przekazać prośbę, która jest



adresowana także do twojego brata i męża, żeby przestali zajmować się tym, czym się zajmują. Martwych nie można wskrzesić.

Monika nie wierzyła własnym uszom. Agata była jej najlepszą przyjaciółką, a teraz zachowywała się jak zupełnie obca osoba.

– Jak ty ze mną rozmawiasz?!

– Nie mam wyboru. Spłacamy kredyt w Geobanku, który staje się głównym udziałowcem Petrolenu. Proszę cię, Moniko, pogadaj z mężem i bratem, niech dadzą sobie z tym spokój.

– Z czym mają sobie dać spokój?

– Oni dobrze wiedzą. Wyjaśnią ci. Wybacz mi.

Agata zerwała się z krzesła i z płaczem wybiegła z kawiarni.

★

Po rozmowie z Agatą Monika cały czas płakała. W końcu postanowiła powiedzieć o wszystkim Maxowi. O tym, że ich życie prawdopodobnie jest pod nieustanną obserwacją ludzi, którym zależy, by Andrzej i Max dali sobie spokój ze sprawą, którą się zajmują.

Od kilku dni wiedziała, że jest w ciąży. Nosiła w sobie nowe życie, a tymczasem sytuacja zaczynała ją przerastać, Monika nie była już w stanie poradzić sobie z nią sama.

Max, niestety, nie okazał jej tyle zrozumienia, ile się spodziewała.

– Uważam, że przesadzasz – powiedział. – Agata została zastraszona przez tchórzliwych ludzi, którym ja i Andrzej depczemy po piętach. Nie możemy odpuścić.

– Proszę, zostaw to – nalegała.

– Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego zginął twój ojciec?

– Chcę, ale nie za cenę naszego bezpieczeństwa. Wydaje mi się, że jesteś pod zbyt wielkim wpływem Andrzeja. Przyjąłeś jego poglądy, radykalne,

zaznaczam, jako swoje.

– To nie tak.

– A jak?

– Po prostu chcę się zajmować tą sprawą.

Monika nie potrafiła przemówić mu do rozsądku.

## Rozdział dziewiąty

### TRZECI MAJA

Warszawa, maj 1996

Pułkownik Gozdawa nieźle się urządził po upadku PRL-u. Miał jedno mieszkanie w Warszawie i elegancką willę w Mikołajkach – miejscu wypoczynku warszawki. Lubił letnie wypady na Mazury: żaglówki, młode, lepkie od seksu dziewczyny, słońce i rozbrajające rozmowy o niczym.

Właśnie był w Mikołajkach, kiedy telefon od dwóch tajniaków pracujących dla Petrolenu – wcześniej jego podwładnych w dawnym MSW – zupełnie wyprowadził go z równowagi. Ktoś najwyraźniej zadawał za dużo pytań. Wprawdzie jeden księgowy to nie problem – można z łatwością zamknąć mu jadaczkę – nie chciał jednak, by w czasie, gdy Geobank wchodził do Polski, temu księgowemu i jego żonie spadł włos z głowy. Zamiast zabijać, można przecież kupić.

Kilka dni później ktoś z dawnej firmy, kto wciąż pracował w UOP-ie, bez trudu zidentyfikował dziennikarkę. Była to Monika Kwietniewska, córka TW Iluminatora. A ta mogła się okazać problemem. Z drugiej strony, przy sprzyjających okolicznościach mogła być pomocna. Wszystko zależy przecież od motywacji. Niestety, znajomy z UOP-u powiedział Gozdawie, że mąż dziennikarki jest pracownikiem Interpolu, co stwarzało pewne problemy. Pułkownik zdziwił się bardzo, gdy usłyszał, że facet jest... czarny.

– Jakby nie mogła sobie znaleźć białego! – rzucił i ciężko westchnął.

Na razie nic się jeszcze nie stało. Trzeba sprawdzić, kim jest ten Murzyn, pomyślał. Jeśli jest inteligentny i połączy pewne fakty lub nazwiska, to mogą być kłopoty. Na szczęście jako były esbek Gozdawa znał innych esbeków, a niektórzy z nich po roku 1989 pracowali w Interpolu.

★

Max był w tamtym tygodniu zawałony pracą. Warszawskie biuro Interpolu rozpracowywało ostatnio kilka międzynarodowych grup dealerów narkotyków. Szlak wiódł z Afganistanu przez kraje byłego Związku Radzieckiego i Polskę do Europy Zachodniej. Koledzy mówili mu, że jednym z powodów miernych wyników ich pracy jest fakt, że po obu stronach są byli ludzie dawnych służb radzieckich, Stasi i SB. Część z nich, pozytywnie zweryfikowana, nadal pełniła funkcje w UOP-ie lub policji. Jeśli nie mieli szczęścia, szli na emerytury albo wchodzili do rad nadzorczych. Byli też tacy, którzy zajęli się czerpaniem profitów z półświatka. Max nie pojmował tych polskich problemów. Nie rozumiał demonizowania dawnych komunistycznych służb. Ale on nie żył nigdy w kraju totalitarnym.

Z tym większym zdziwieniem przyjął wezwanie na rozmowę z szefem warszawskiego biura Interpolu, kapitanem Krzysztofem Szaradą. „Pewnie jakaś nowa sprawa, a ja ledwo żyję”, wymruczał Max pod nosem, ale stanął się w gabinecie szefa, który był koło pięćdziesiątki i miał opinię wyrozumiałego przełożonego i dobrego gliniarza.

– Zamknij za sobą drzwi, Max – polecił kapitan. – I zasuń, proszę, żaluzje.

– Opieprz? – zdziwił się Max. – Za co?

– Rób, co mówię, i siadaj. – Szef wskazał dłonią krzesło. – Dlaczego interesujesz się archiwum polskiego MSW?

– Wcale się nim nie interesuję, ktoś pana źle poinformował.

– Co ty mi tu pierdolisz, amerykański chłopczyku?! Wiem, że masz kontakty z zawieszonym w czynnościach służbowych oficerem UOP-u. Dla twojego dobra proszę, byś dał sobie spokój z tym, czym się zajmujesz.

– A czym się zajmuję?

– Andrzej Skotnicki próbował przeczytać ściśle tajne materiały. Mam pewne informacje, że to ty złożyłeś wniosek o wydanie niejawnych dokumentów. Nie jest prowadzone śledztwo, które by cię do tego upoważniało.

– Owszem, jest. – Max lubił prostolinijność i dlatego postanowił nie owijać w bawełnę.

– Doprawdy? W takim razie oświeć mnie, proszę.

– Jest prowadzone śledztwo w sprawie śmierci mojego teścia, znanego polskiego polityka, która ma wyraźny związek z pewnym oficerem Służby Bezpieczeństwa.

– Kto je prowadzi?

– Ja – odparł Max, wstając. – I nikt mi nie przeszkodzi dowiedzieć się, dlaczego ojciec mojej żony popełnił samobójstwo. Zrozumiał pan, kapitanie?

Zmierzyli się wzrokiem. Kapitan Szarada wiedział, że „amerykański Murzynek”, jak pogardliwie nazywali Maxa pracujący w warszawskim Interpolu Polacy, to facet, którego nie tak łatwo zastraszyć. Postanowił więc zmienić strategię.

– Chcę tylko, żebyś nie mieszał się do nie swoich spraw – odezwał się pojednawczym tonem.

– Akurat ta sprawa jest moja – odparł dumnie Max.

– Nie mieszaj się do czegoś, co cię przerasta. Zostaw to, synu. Zajmij się

czymś naprawdę pożytecznym, jak łapanie holenderskiego handlarza narkotyków.

– Pan się tym zajmuje, a ja nie życzę sobie, by wtrącał się pan w nie swoje sprawy. Poza tym już sam fakt, że o tym rozmawiamy, to znak, że warto zająć się tym śledztwem.

Kapitan zdał sobie sprawę, że Max Kwietniewski nie da się zastraszyć. Trzeba będzie inaczej.

– Jesteś zawieszony do odwołania za poświadczenie nieprawdy we wniosku o dostęp do akt. Skieruję twoją sprawę do rzecznika dyscypliny w Londynie. Oni podejmą decyzję, a ty masz tydzień na przemyślenie sobie wszystkiego. Ale na twoim miejscu nie robiłbym sobie nadziei. Wylecisz. Gwarantuję ci to.

Max nie wytrzymał. Dalsza rozmowa była poniżej jego godności. W drodze do drzwi odwrócił się i zapytał:

– Kapitanie, pan też był w SB?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

★

Tydzień później Max został odwołany z warszawskiej placówki. Spodziewał się, że wyleją go z Interpolu, ale przeniesiono go do Londynu. Musiał to omówić z żoną, lecz akurat tego dnia Monika długo pracowała nad programem. Zbliżał się trzeci maja, a ona należała do dziennikarzy obsługujących uroczystości na placu Piłsudskiego w Warszawie.

Monika tymczasem wciąż nie mogła się pozbierać po rozmowie z Agatą. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej najlepsza przyjaciółka dała się użyć jako narzędzie. Postanowiła jeszcze raz z nią pogadać. Pojedzie do niej, jak tylko przewali się robota związana ze Świętem Konstytucji 3 Maja. Spóźni się wprowadzić trochę do domu, ale Max jej wybaczy. Zawsze wybacza.

Przed majowym weekendem była u ginekologa i miała już absolutną pewność. Drugi miesiąc. Max będzie szczęśliwy. Wraz z ciążą Monika poczuła siłę i potrzebę odkrycia prawdy o śmierci ojca. Zaczęła powoli rozumieć Andrzeja, który od prawie pół roku nie dawał znaku życia. Był w seminarium. Na swój sposób podziwiała jego decyzję, choć jej nie rozumiała.

★

W ten majowy weekend pułkownik Gozdawa planował wybrać się na ryby. Uwielbiał wędkowanie, a na emeryturze miał wystarczająco dużo czasu, by oddawać się swojemu nowemu hobby. Przedwczoraj złowił w pobliskiej rzece dużego jazia i choć mięso ryby było ościste, zamierzał powtórzyć wyczyn. Czuł się spokojny, ponieważ niebezpieczeństwo wycieku informacji mogących narazić na szwank interesy Geobanku zostało zażegnane. Im mniej się będzie o tym mówiło, tym lepiej. Nadmiar informacji szkodzi. Pułkownik był już przygotowany do wyprawy na ryby – wszystkie przynęty i dwie wędki załadowane do samochodu – gdy zadzwonił telefon, który popsuł mu dzień. Znajomy z Interpolu, a wcześniej podwładny w SB, powiedział, że nie udało mu się zastraszyć Murzyna.

– Ten czarnuch narobi nam kłopotu – rzucił Gozdawa.

Musiał zareagować. To on odpowiadał za zabezpieczenie operacji w Polsce, nikt nie mógł jej przeszkodzić.

Postanowił przemyśleć wszystko raz jeszcze na rybach – zyski i straty, które mogą powstać w wyniku czyjejś śmierci. Robił to już wiele razy. Przy okazji księdza Popiełuszki i wielu niewygodnych opozycjonistów. Teraz musi to zrobić znowu. Jeśli tamci znaleźli teczkę Wiśniaka, to dojdą do prawdy jak po nitce do kłębka. Nie mógł do tego dopuścić. Tyle lat, tyle

wysiłku, tyle ofiar miałyby pójść na marne z powodu jednego amerykańskiego Murzyna, który przygruchał sobie ładną Polkę!

Odpowiedź wydawała się oczywista. Wieczorem, zadowolony z wędkowania, z okazałym sandaczem w siatce, Gozdawa wydał polecenie dwóm tajnikom.

★

Trzeciego maja Max został w domu, bo nie miał nic lepszego do roboty. Zabrakło mu odwagi, by powiedzieć żonie, że został zawieszony. Przenosiny do Londynu to poważna sprawa, a Monika miała pracę, którą lubiła.

W nocy z drugiego na trzeciego maja dwaj tajnicy na usługach Gozdawy podłożyli w samochodzie Maxa, czarnym volkswagenie golfie, ładunek wybuchowy. Był to klasyczny plastik produkcji czechosłowackiej, w praktyce niezawodny, z detonatorem sterowanym radiowo. Sami zaparkowali przecznicę dalej, tak że widzieli blok, w którym mieszkali Max i Monika. Uznali, że odpalą, gdy Murzyn wyjedzie na ulicę. Nie chcieli robić fajerwerków na całe osiedle, zwłaszcza że od pożaru mogły się zająć inne samochody.

Monika postanowiła wyjść do pracy wcześniej, ponieważ centrum miasta zostało wyłączone z ruchu. Chciała znaleźć odpowiednie miejsce do parkowania. Wsiadła do golf'a stojącego na parkingu przed blokiem, zapięła pasy, poprawiła włosy i włożyła kluczyk do stacyjki. Samochód odpalił bez problemu. Wycofała się na wstecznym z miejsca postojowego i ruszyła w stronę ulicy...

★

Eksplozja wstrząsnęła całym osiedlem. W ich bloku na trzecim i czwartym piętrze powylały szyby w oknach. Max, który był wtedy



w łazience, pomyślał w pierwszej chwili, że w sąsiednim domu wybuchła rura z gazem. Natychmiast podbiegł do okna, ale kłęby dymu z palącej się benzyny przesłoniły widok. Ubrał się szybko i zszedł na parking. Szukał wzrokiem czarnego volkswagena golfa, ale nie mógł go dostrzec. Może Monika odjechała wcześniej? Właśnie chciał zadzwonić na jej pager, gdy stojący obok sąsiad powiedział mu, że to jego samochód wyleciał w powietrze.

– Co?! – zapytał z niedowierzaniem Max.

– To chyba pana samochód wyleciał w powietrze. Widziałem, jak wyjeżdżał z parkingu...

Niczego, co wydarzyło się później, Max nie pamiętał. Był w tak strasznym stanie, że załatwianie pogrzebu i wszystkich formalności spadło na Andrzeja, który dostał urlop z seminarium. Zanim pochowano szczątki Moniki, ruszyło ślamazarne śledztwo, ale dopiero kilka miesięcy później stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że użyto semtexu. Policjanci przekazali też bratu Moniki informacje z autopsji jej ciała. Wynikało z nich, że w chwili śmierci była w pierwszym trymestrze ciąży.

Życie Maxa zamieniło się w koszmar.

W związku z tym, że zajmował się w Interpolu kanałami przerzutu narkotyków z krajów byłego ZSRR, uznano, że chodziło o zemstę gangów. Nikt nie potraktował poważnie zupełnie innego śledztwa. Tego, które prowadził z Andrzejem.

Sprawa została odłożona. Na dwadzieścia lat. Pierwszą walkę z esbekami przegrali.

## Rozdział dziesiąty

# ZLECENIODAWCA

Nowy Jork, Manhattan, 2014

Max czuł się fatalnie po tym dziwnym e-mailu od brata Moniki. Minęło już tyle lat od jej śmierci. Tego dnia nie miał jednak czasu na rozpamiętywanie. Na jego skrzynkę pocztową, założoną specjalnie do przyjmowania zleceń od ludzi, firm bądź instytucji, które z sobie tylko znanych powodów pragnęły pozostać anonimowe, przyszło niecodzienne zlecenie.

Nie po raz pierwszy pracował dla tego zleceniodawcy. Zwykle chodziło o sprawy związane z amerykańskimi wojskowymi, Max przypuszczał więc, że może to być jakaś rządowa agenda. Która? – nie miał pojęcia. Zawsze płacili w terminie, a on nie zadawał zbędnych pytań, po prostu robił swoje. W miarę regularne zlecenia pozwalały mu utrzymywać się na powierzchni niełatwego interesu, jakim jest rynek prywatnych detektywów w dżungli Nowego Jorku.

Anonimowy zleceniodawca przesłał pliki z dokładnym opisem pewnego zabójstwa sprzed wielu lat. Z pobieżnej lektury tych materiałów wynikało, że chodzi o zamordowanie w Nigerii obywatela Stanów Zjednoczonych. Na konto firmy Maxa wpłynęły pieniądze – trzydzieści tysięcy dolarów na pokrycie wydatków. Kupa kasy! Zleceniodawca zapewnił, że jeśli pieniędzy zabraknie, prześle następną transzę.

Dla kogo ja pracuję? – przemknęło Maxowi przez myśl.

Odpisał, że musi się spotkać twarzą w twarz ze zleceniodawcą. Chciał wiedzieć, dla kogo będzie pracować. Takie miał zasady, obojętnie, czy szukał dealerów narkotykowych na tajne zlecenie policji w Harlemie (tamtejsze chłopaki uważały go za swojego ziomka), czy badał inną sprawę, musiał wiedzieć, za czyje pieniądze ma robić to, co robi.

Prawie natychmiast otrzymał odpowiedź z innego adresu e-mailowego, że spotkanie będzie możliwe w Bibliotece Miejskiej Nowego Jorku na skrzyżowaniu Piątej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy. Nie oponował. To znane miejsce w Nowym Jorku z doskonale zabezpieczoną siecią. Można tam spokojnie porozmawiać. Wziął więc prysznic i ubrał się elegancko, zgodnie z zasadą, że w pracy zawsze należy wyglądać schludnie. Do Nowego Jorku pojechał busem. Wysiadł przy Grand Central Terminal, po czym cofnął się sto metrów do biblioteki, za którą zieleniły się drzewa Bryant Park.

Kiedy wszedł do budynku, poczuł się dziwnie, ponieważ właśnie tu spotkał Elisabeth. Jeśli więc ów tajemniczy zleceniodawca ma coś wspólnego z nią lub z jej nagłym wyjazdem, warto będzie zadać kilka pytań. Na parterze i pierwszym piętrze zorganizowano okolicznościową wystawę poświęconą historii zniesienia niewolnictwa w USA.

Nie wiedział, jak zleceniodawca go pozna, ale nie miał wątpliwości, że dla zawodowca nie będzie to specjalnie trudne. Umówili się przed portretem Abrahama Lincolna, w przekonaniu Maxa największego ze wszystkich prezydentów Ameryki. Zresztą dla większości Afroamerykanów Lincoln był i jest czczoną kultową postacią. Max bez problemów odnalazł portret wypożyczony z Białego Domu. Gdy stary, dobry Abe spoglądał na niego z obrazu, wyczuł, że ktoś stanął obok niego, i zerknął w bok.

Zobaczył białego mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, z ciemnymi, krótko ostrzyżonymi włosami.

– Lubi pan Lincolna? – zapytał nieznajomy.

– Dlaczego mnie pan o to pyta?

– Lincoln jest najważniejszym prezydentem w historii USA.

– Tak. Pokonał rebelię Południa, dał nam wolność – powiedział Max i pomyślał o Afroamerykanach, którym w Ameryce początku XXI wieku wcale nie był lekko.

– Ma pan rację. Tylko że pan nie jest typowym przedstawicielem grupy społecznej, którą określamy mianem Afroamerykanów. Jest pan w połowie Polakiem. Czarnym Polakiem.

– Nie zabrzmiało to najlepiej.

– Jest pan przewrażliwiony.

Max teraz nie miał już wątpliwości, że rozmawia ze swoim zleceniodawcą. Rzucił okiem na mężczyznę, eleganckiego, ale nie ekstrawaganckiego. Grafitowa marynarka, nieco jaśniejsze spodnie, oksfordzkie buty. Mówił jak nowojorczyk.

– Dużo pan o mnie wie – zauważył Max. – Ja natomiast nie wiem o panu nic.

– To chyba dobrze o nas świadczy – powiedział nieznajomy. – Jesteśmy dyskretni. Celowo umówiłem się z panem właśnie tutaj.

– Muszę wiedzieć, dla kogo pracuję. Mam z tym pewien problem.

– Niepotrzebnie. Źle pan wychodził na tych zleceniach dla wojska?

– Pan nie jest z wojska.

– Nie, nie jestem, i tylko tyle wolno mi powiedzieć. Znamy pańskie zasady i profesjonalizm, Max. Jeśli się pan zgodzi, będzie pan pracował dla mnie. Nie podpiszemy żadnej umowy. Pieniądze przelano panu z konta

utworzonego w banku internetowym na Bermudach. Zostało skasowane z chwilą wykonania przelewu.

– A jeśli się nie zgodzę?

Nieznajomy popatrzył na niego przenikliwie. Na jego pociągłej, przystojnej twarzy zagościł zagadkowy uśmiech.

– Zakładam, ba, jestem właściwie pewny, że się pan zgodzi. Bo dzięki temu będzie pan mógł się dowiedzieć, dlaczego dwadzieścia lat temu zginęła w Polsce pana żona. Będziemy pana obserwować, ale dyskretnie, tak żeby nie miał pan poczucia, że pozbawiamy pana wolności. Chcemy, by znalazł pan dla nas pewnego człowieka, który stoi za wieloma zbrodniami.

– Nie interesuje mnie krucjata pod żadnym sztandarem, ani gwiazdzistym, ani czerwonym, ani tęczowym, ani europejskim. Nie lubię krucjat – oświadczył Max, poruszony tym, że nieznajomy wie o Monice.

– To nie jest krucjata. My ich nie prowadzimy. Nie interesuje pana, co się dzieje na świecie? Właśnie przed trzema miesiącami prezydent pewnego kraju anektował część innego suwerennego kraju. Zrobił to, ponieważ wiedział, że nikt w Europie się temu nie przeciwstawi. My też zaspaliśmy. Zawaliliśmy to. Trzeba mu troszkę poprzeskadzać. Najlepiej dobierając się do jego pieniędzy.

Max zauważył, że nieznajomy używa liczby mnogiej.

– My?

– Mam na myśli Amerykę – wyjaśnił zleceniodawca. – Chcemy, żeby zbadał pan sprawę morderstwa amerykańskiego dyplomaty, które poszukiwany przez nas człowiek popełnił wiele lat temu, w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, w Lagos.

– To w Nigerii? – zapytał Max, przypominając sobie lekcję geografii.

– Tak, ale nie wydaje mi się, by musiał się pan tam fatygować. Od tej

pory kontaktujemy się poprzez tę stronę internetową. – Nieznajomy podał zapisaną na kartce nazwę. – Proszę się jej nauczyć na pamięć. Będzie się pan logował zawsze w określonym czasie, kiedy otrzyma pan instrukcje na ten telefon. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki najnowszy smartfon. – Proszę włożyć kartę pamięci pańskiego starego telefonu oraz kartę chipową. Od tego momentu będzie pan już w systemie. Login to pańskie nazwisko, hasłem będzie data śmierci żony. Jest Pan człowiekiem ze skazą. Pracując dla mnie, ma pan szansę zmyć tę skazę.

Maxowi zaczęło świtać w głowie. Słyszał już od kogoś te słowa. Od Elisabeth. Nagle poczuł, że rozmawia z człowiekiem, który wiele może, i nie opierał się dłużej. Sam pewnie nie doszedłby do prawdy, ale z pomocą kogoś, kto ma wpływy, mogło się to udać.

– Więc zgadza się pan przyjąć to zlecenie? – zapytał nieznajomy, patrząc mu w oczy.

– Tak.

– Ma pan jakieś pytania?

– Czy mam zbierać faktury? Robię to przy każdej sprawie, żeby nie było wątpliwości co do moich wydatków.

Zleceniodawca już miał się odwrócić, ale nagle na jego twarzy na moment zagościł uśmiech.

– Uważa pan, że nie mamy pieniędzy? – spytał i po chwili rozpląnął się w tłumie.

★

Przed wylotem do Europy Max musiał się z kimś pożegnać. Matka mieszkała wygodnie na Brooklynie. Jej mąż był lekarzem, mieli dwoje dzieci, oboje już na studiach. Przyrodnia siostra nie bardzo przyznawała się do czarnego brata, ale ostatnio Max miał niezłe relacje z bratem Richardem,

po tym jak ten wrócił z Afganistanu. Richard był bardzo zdolnym informatykiem wojskowym i podobno operował zdalnie dronami. Max był z niego dumny.

Matka oczywiście nie była zachwycona, że syn jedzie do Polski.

– To, co było, już nie wróci. Zostaw to – radziła mu. – Napytasz sobie biedy.

– Ile ja mam lat, mammo?

– Czterdzieści pięć. Powinnam już dawno bawić się z wnukami. Gdzie jest Elisabeth?

– Rzuciła mnie.

– Bo jesteś niepozbierny! Zanudzasz dziewczynę zbrodnią sprzed dwudziestu lat! – Matka wylewała na niego potok żalu. – Chciałabym mieć wnuki.

– Miałabyś, gdyby przed dwudziestu laty nie zginęła Monika. Poza tym twoje dzieci na pewno coś spłodzą po drodze do kariery.

– Max, nie zaczynaj!

– Przepraszam.

– Ciągłe przepraszasz. Weź się w garść.

– Dlaczego się czepiasz, mammo? Przyjechałem się pożegnać.

– Nie czepiam się. Troszczę się o ciebie.

– Troszcz się o swoje młodsze dzieci.

– Nie powinieneś mi tego mówić. Już drugi raz wspominasz o nich, a tymczasem nie utrzymujesz kontaktu z siostrą.

– Kto z kim nie utrzymuje kontaktu?! Proszę, mammo, zostawmy to.

Z matką zawsze było tak samo. Kochała go, ale to była dość toksyczna miłość.

– Przepraszam, mammo. Muszę pojechać do Polski. Chcę rozwiązać

sprawę śmierci mojej żony. Jestem jej to winny. Chcę odzyskać spokój i zacząć żyć, bo żyję tak, jakbym od dwudziestu lat był martwy.

– Wiem, cierpię z tego powodu.

– Rzadko okazujesz współczucie.

– Bo mnie prawie nie odwiedzasz – odcięła się matka.

Max nie odpowiedział. Z New Jersey na Brooklyn jechało się godzinę kolejką i metrem. Ale to nie z powodu odległości tak rzadko tu bywał. Wyczuwał niechęć męża matki, chicagowskiego Polonusa, który miał wyraźny problem z kolorem skóry pasierba.

– Lecę w piątek przez Frankfurt. Zostawiam ci klucze do mieszkania, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Odwrócił się i wyszedł.



## Rozdział jedenasty

# POD NIGERYJSKIM SŁOŃCEM

### Nigeria, styczeń 1988

Mijały miesiące. Ambasador Polski w Nigerii popadał w alkoholizm i już głośno o tym mówiono, a tymczasem przyprawiający mu rogi Wiśniak bez przeszkód realizował plan operacji Lunatyk – inwestował ogromne pieniądze GRU w pola naftowe w tym afrykańskim kraju. Oczywiście musiał odpowiednio dokapitalizować spółkę.

Do Lagos przyleciał turecki bankier Hassan, który zaczął od nabożnego odwiedzenia wielkiego meczetu, a następnie spotkał się z Polakiem w muzułmańskiej restauracji. Wiśniak nie mógł się tam napić alkoholu, choć tego dnia miał akurat ochotę na piwo.

– Witaj, Hassan! Od kiedy to jesteś religijny?

– Od czasu gdy mam na ogonie radzieckie służby bezpieczeństwa.

Wiśniak domyślił się, o co chodzi.

– Znalezli zwłoki Uljanowa?

– Jasne. I to dość szybko. Ryby nie zdążyły go zjeść, ale to nie jest najważniejszy problem, efendi.

– A co jest problemem? Czyżby Uljanow zmartwychwstał?

– To chyba nie ta religia. Rosjanie szybko wpadli na twój trop, co zresztą nie było trudne. GRU ma swoje metody. Musieli przycisnąć którąś z moich dziewczyn, chociaż sporo zapłaciłem tym dziwkom za milczenie. Jednak w pewnym momencie przerwali dochodzenie. Przesłano do tureckiej policji

wyjaśnienie, że Uljanow w czasie libacji alkoholowej po prostu wyszedł nago na miasto i utopił się w Bosforze.

– To prawdopodobne.

Turek popatrzył poważnie na Polaka. Ten jednak specjalnie się tym nie przejął. Znał system pracy radzieckich służb. Co z tego, że GRU wiedziało, że on mógł mieć związek ze śmiercią Uljanowa? Uljanow nie był dla nich ważny, w każdym razie nie tak jak on, bo to przecież on był głównym macherem w operacji Lunatyk. Wiśniak wiedział, że właśnie dlatego zaprzestano dochodzenia. Postanowił jednak nie dzielić się tą wiedzą z Turkiem.

– Po co mnie wezwałeś? – zapytał Hassan.

– Mamy wspólny interes do zrobienia.

– Mów.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W muzułmańskim hotelu w Lagos. Porządne pokoje, idealne dla takich biznesmenów jak ja.

– Czyli przez jakiś czas będziesz do dyspozycji – upewnił się Wiśniak.

– Oczywiście.

Naświetlił więc sytuację. Kupił pola naftowe – i to niemało – ale brakuje mu kilku milionów dolarów, żeby przejąć jeszcze atrakcyjniejsze złoża położone w samej delcie rzeki Niger. Kontrahent – niejaki van Kerkhoven, belgijski biznesmen blisko związany z dyktatorem Konga, Mobutu Sese Seko – oszukał go. Przekręt wyszedł na jaw, gdy okazało się, że w urzędzie geodezyjnym w Abudży Wiśniakowi pokazano działki roponośne, które nabył od Belga. Prowadzono na nich intensywne wydobywanie i zostało w nich mało ropy. Najcenniejsze działki, w tym ogromne pola należące do

van Kerkhovea i rządu nigeryjskiego, znajdowały się w delcie. Do tych właśnie terenów należało się dostać.

– Trzeba kogoś kupić? – zapytał Hassan.

– Gdyby chodziło tylko o to... – Wiśniak westchnął ciężko. – Trzeba przekonać Belga, żeby nam oddał swoje pola naftowe w delcie.

– W jaki sposób?

– Potrzebuję twojej pomocy. – W oczach Wiśniaka pojawił się złowrogi błysk.

Omówili szczegóły kolejnej akcji. Tym razem rolę przynęty miał odegrać Hassan, którego van Kerkhoven nigdy nie widział na oczy. Wszystko było naprawdę dobrze zaplanowane, z jednym małym wyjątkiem. Hassan, gdy tylko dowiedział się o tym, co Polak ma zamiar zrobić, natychmiast skontaktował się z komórką CIA w nowej stolicy Nigerii, Abudży.

O tym Wiśniak jednak nie wiedział.

★

Po kilku miesiącach ambasador Jazowy już nie nadawał się do sprawowania swojej funkcji. Zdarzało się coraz częściej, że był pijany podczas oficjalnych uroczystości organizowanych przez ambasadę, a tego władze PRL nie mogły tolerować. W końcu został odwołany do Warszawy. Pod naciskiem chargé d'affaires Małysiaka alias Wiśniaka oraz towarzysza Kudzi polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdecydowało przez jakiś czas nie obsadzać tego stanowiska. Pełniącym obowiązki ambasadora został... Wiśniak. Nie był z tego zadowolony, ponieważ operacja Lunatyk wymagała wyjątkowej ostrożności, ale z drugiej strony, dzięki tej funkcji stał się nietykalny dla nigeryjskich służb. Dawało to spore możliwości.

Władza... Któż jej nie lubi? Zachłusnął się nią, i był to jeden z nielicznych błędów, jakie popełnił.

Oczywiście wyjazd Jazowego wiązał się z rozstaniem z kochanką, ale tego akurat pełniący obowiązki ambasadora nie żałował. Zmęczyła go zazdrość tej kobiety i nudził go monotony, niemal małżeński seks. Lubił w łóżku szczyptę pieprzu, której pani ambasadorowa nie mogła mu zapewnić.

– Kochanie, nie wytrzymam już tego dłużej. Nie mogę znieść twojej zazdrości. Powinnaś towarzyszyć mężowi w jego bolesnym powrocie na łono ojczyzny – powiedział jej w łóżku po ostatniej wspólnie spędzonej nocy.

– Jesteś podły!

– Nie przesadzaj. Mogłabyś okazać temu człowiekowi choć odrobinę serca i zagrać przynajmniej teraz wierną żonę – zasyczał.

– Ty skurwysynu! – zawyla porzucana kobieta.

Nieporuszony jej wybuchem, wstał z łóżka i włożył spodnie na nagie ciało. Miał ochotę jak najszybciej wrócić do swojego pokoju, wziąć prysznic i całkowicie zmyć z siebie jej pot i zapach.

Jeszcze na schodach słyszał jej szloch.

★

Wiśniak wpadł w inne sidła. Oprócz biznesu i realizowania operacji Lunatyk czasami lubił też przyjemności. Lagos miało w Afryce opinię miasta szemranego, ale istniało tam kilka ekskluzywnych lokali dla VIP-ów, gdzie można było dostać, czego dusza zapagnie. W jednym z klubów jazzowych prowadzonych przez Kubańczyków (było tajemnicą poliszynela, co robili w Nigerii), poderwała go pewna dziewczyna. Wolał wprowadzić sam wybierać sobie kobiety, niż być wybierany, ale ta była naprawdę niezła.

Przedstawiła się jako Angelina. Brunetka, mówiła świetnie po angielsku, z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Zaproponujesz mi drinka? – zapytała.

Czuła, że mu się podoba, i wiedziała, że nie musi się specjalnie starać, żeby wylądować z nim w łóżku. I nie myliła się.

W pokoju hotelowym dziewczyna poszła najpierw do łazienki. Wiśniak tymczasem rozebrał się i czekał na nią na łóżku. Z niecierpliwością wpatrywał się w drzwi łazienki, wiedząc, że ona za chwilę w nich stanie. Czas ciągnął się niemiłosiernie. W końcu dziewczyna wyszła, naga, tak jak się spodziewał. Prawą rękę chowała z tyłu.

– Co tam masz? – zapytał oszołomiony żądzą i alkoholem.

– Coś, czego ty nie masz.

Po chwili patrzył w lufę pistoletu z tłumikiem. Zdał sobie sprawę, że od śmierci dzieli go jedna, może dwie sekundy. Ostatnią myślą było to, że umrze jak idiota, jak uczeń dający się podejść profesjonalistce.

– Strzelaj – zdołał wyjąkać.

– Popęlniasz błędy, towarzyszu Wiśniak – powiedziała dziewczyna po rosyjsku.

Miał przed sobą agentkę GRU. Najprawdopodobniej specjalnie przeszkoloną do tej misji. Jego ubezpieczenie. Pułkownik Kuzniecowa wspominał o tym w Warszawie.

– Przede wszystkim Uljanow – zaczęła. – Dlaczego go zabiłeś? – Cały czas w niego celowała.

Wiśniak postanowił spokojnie odpowiedzieć. Jeśliby miała rozkaz go zastrzelić, już zdążyłaby to zrobić kilka razy.

– To był wypadek. Próbował oskalpować turecką dziwkę. – Zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że to Hassan oddał strzał, ale doszedł do wniosku,

że nie byłoby to mądre. Turek miał odegrać ważną rolę w jego planach, więc nie powinien go wystawiać Rosjanom.

– Żartujesz. A odkąd to zajmujesz się tureckimi dziwkami?

– Nie lubię, jak ktoś, tylko dlatego, że ma małego fiuta, tnie kobiecie twarz.

– Polski romantyk!

– Nie, esteta. Co przesyła mi pułkownik?

Dziewczyna strzeliła. Pocisk utkwił w ścianie za łóżkiem, a na jedwabną pościel posypały się drzazgi. Rosjanka wycelowała kilka milimetrów od jego twarzy.

– To ci przesyła. Gdyby nie Lunatyk, ten pocisk dosięgnąłby celu – powiedziała.

– Co zrobiłem nie tak?

– Pozwoliłeś się podejść. Pomyśl. Rusz tą polską mózgownicą.

– Jest z pewnością bardziej pojemna od waszych łbów, najczęściej kwadratowych – odparł Wiśniak.

– Zastanów się nad tym, kto cię podszedł.

– Kudzia?

– Nie, on lubi kręcić własne interesy. Jest nieszkodliwy. Zgadnij lepiej, z kim przyleciałam do Lagos.

Wiśniak cicho zaklął.

– Hassan, niech go szlag!

– Nie tak prędko. Jeszcze jest nam potrzebny.

– Nam? – zdziwił się Wiśniak. No, proszę, pomyślał. Nie tylko on miał plany wobec tego Turka.

– Oczywiście. Przejmuję dowodzenie operacją – oznajmiła Rosjanka.

– A kto tak zdecydował?

– Ja, ponieważ to ja mam pistolet.

– A gdybyś go nie miała?

– Pewnie ty mierzyłbyś teraz do mnie. Ubierz się lepiej. Wy, faceci, śmiesznie wyglądacie bez spodni.

Wiedział, że to nie żarty. Rosjanka bacznie mu się przyglądała, wciąż w niego celując z pistoletu z tłumikiem. Jeśli strzeli, nikt tego nie usłyszy.

– Mamy kłopoty – powiedziała dziewczyna.

– Konkretniej, proszę – rzucił Wiśniak, wkładając spodnie.

– Pułkownik przysłał mnie tutaj, ponieważ wiemy z naszego źródła w Waszyngtonie, że Hassan wyśpiewał wszystko Amerykanom. Mają cię pewnie na oku. Wiemy też, że Amerykanie zamierzają przejąć ogromne złoża w delcie rzeki.

– Duża ich część należy do van Kerkhovea.

– Musimy ubiec Amerykanów. Na dniach przyleci z Nowego Jorku jankeski lobbysta, John Newmark. Ma nagranych kilka spotkań z ludźmi generała Obasanjo, którzy będą decydowali o przydziale koncesji. Musimy ubiec Newmarka i zastosować środki ostateczne, zanim porozumie się z van Kerkhovenem i zanim Hassan wystrychnie nas na dudka. Użyjemy tego cholernego Turka, żeby zmylić komórkę CIA w Lagos.

★

Tymczasem Hassan nie próżnował. Poinstruowany przez Amerykanów, miał odegrać rolę wabia. Ciesząc się zaufaniem Wiśniaka, zamierzał go podejść i doprowadzić do tego, żeby Polakowi nie udało się kupić działek roponośnych w delcie rzeki. Wówczas Amerykanie wygrają dzięki oferowanej przez nich cenie i ogromnemu doświadczeniu w odwiertach na podmokłych terenach. Koncerny takie jak Exxon, BP oraz Shell były zdecydowanie bardziej konkurencyjne niż Rosjanie, którzy technologicznie

stali co najmniej dekadę do tyłu. Wszystko z powodu sankcji nałożonych na Związek Radziecki za sprawą Ronalda Reagana, który postawił sobie za cel doprowadzenie ZSRR do ruiny.

Kudzia także nie zasypiał gruszek w popiele. Nie wiedział, kim naprawdę jest Andrzej Małysiak, ale nie miał wątpliwości, że nie jest tym, za kogo się podaje. Walczył z wrodzoną ciekawością. Chciał zadzwonić do Warszawy i popytać o chargé d'affaires, ale instynkt podpowiadał mu, że to może być kosztowny błąd. Ten sam instynkt szeptał mu do ucha, że przy pełniącym obowiązki ambasadora można się obłowić i uwić sobie wygodne gniazdko na Zachodzie.

Tego dnia wylądował w Lagos samolot rejsowy z Nowego Jorku z Johnem Newmarkiem na pokładzie.

★

– Nazywam się Nadieżda Wassilijewna Kuzniecowa – powiedziała Rosjanka. – Daj mi papierosa. Mam ochotę zapalić.

Spełnił jej prośbę tym chętniej, że przestała celować do niego z pistoletu. Wiśniak zdał sobie sprawę, że już tę kobietę gdzieś widział: podczas pierwszego spotkania w Warszawie, tylko że w mundurze wyglądała zupełnie inaczej. To ona wyświetlała slajdy. Nie przyszło mi do głowy, że to może być córka Kuzniecowa, pomyślał. Popatrzył na jej usta, w które wkładała tłącego się papierosa.

– Dlaczego się przede mną zdekonspirowaliście, towarzyszeko? – zapytał.

– Daruj sobie tę partyjną nowomowę. Przejdźmy na ty. Jesteśmy na Zachodzie. Poza tym operacja Lunatyk jest prowadzona bez wiedzy partyjnej wierchuszki. To operacja GRU. My decydujemy i to my ustalamy zasady. Lunatyk ma nam zapewnić przetrwanie.

– Skąd pewność, że Amerykanie chcą nas wykołegować z interesu?



– Bo to jest złoty interes.

– Tyle to sam wiem.

– Nigeryjski rząd jest skorumpowany jak każdy w Afryce. My nie możemy oficjalnie zaproponować takich pieniędzy. Nawet te, które zarobimy dzięki twojej przezorności, *małodiec*, w kopalniach tego Belga w Kongu, nie wystarczą. Musimy wkroczyć i użyć siły. Newmark zaoferował Nigeryjczykom w imieniu Wuja Sama nie tylko inwestycje w technologie, ale i sówite profity, które nie zasilą budżetu tego kraju, lecz popłyną do Szwajcarii na konta prezydenta Obasanjo. Musimy zrobić wszystko, by trafiły do naszego banku.

Wiśniak nie przerywał jej wywodu. Rosjanka mówiła sensownie. Ale i tak patrzył ciągle na rowek w jej dekolcie. Rozmawiali o tak ważnych rzeczach, a on myślał o tym, żeby zaciągnąć ją do łóżka.

– Jesteś pewny Kudzia? – zapytała Nadieżda.

– Raczej tak.

– Trzeba zmylić Hassana i użyć go jako przynęty. Niech załatwi to Kudzia. Musimy przygotować perfekcyjny plan. Czy znasz jakieś ustronne miejsce? Może położony gdzieś w interiorze elegancki hotel, z kortami tenisowymi, basenem i wszystkimi innymi udogodnieniami.

– Nie, ale Kudzia z pewnością zna. Lubi takie miejsca – odparł Wiśniak.

– My musimy się zająć wyeliminowaniem van Kerkhovea, Amerykanina i Hassana możliwie w jednym czasie i jednym miejscu.

– Z ust mi to wyjąłeś, Polaku. – Nadieżda dopaliła papierosa. – No to teraz możemy iść do łóżka.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Widziałem cię już w Warszawie – powiedział po polsku, wiedząc, że dziewczyna zna ten język.

– Tak, wtedy tak samo patrzyłeś mi na cycki.

Podszedł do niej i pocałował ją. Jej usta miały smak szminki i tytoniu. W łóżku nie miała żadnych zahamowań. To ona dyktowała tempo, ona decydowała, kiedy będzie na nim, kiedy pod nim, kiedy weźmie go do ust. A jemu całkiem się to podobało.

★

Anna Jazowy wpatrywała się przez materiał moskitiery w obracający się pod sufitem wiatrak. Klimatyzacja w ambasadzie nie nadążała z chłodzeniem, więc obracające się skrzydła, które wprawiały powietrze w ruch, pozwalały jakoś przetrwać tę koszmarnie duszną noc. Urządzenie, pewnie pamiętające jeszcze czasy kolonialne, skrzypiało jednak tak głośno, że nie sposób było zasnąć. Ale może to nie hałas był powodem jej bezsenności.

Odsunęła materiał moskitiery, wstała i podeszła do stolika w rogu, na którym stało kilka butelek – woda sodowa, żubrówka, gin i brandy. Wzięła szklanekę i już zamierzała nalać sobie wody, kiedy usłyszała stęknienie dochodzące z łóżka; jej mąż mlasnął, jakby zaschło mu w gardle, obrócił się na wznak i po chwili głośno zachrapał. Anna spojrzała na pustą butelkę żubrówki, która rano była jeszcze nienapoczęta, a potem przeniosła spojrzenie na męża. Najwyraźniej alkohol pomagał mu w zasypianiu. Przez chwilę przyglądała mu się, myśląc z goryczą o tym, co zostało z ich małżeństwa. Nie była hipokrytką na tyle, by wmawiać sobie, że wyszła za niego z wielkiej miłości, ale na początku imponował jej, dawał szansę na wyrwanie się z Polski, na pobyt w Afryce, na otarcie się o wielki świat dyplomacji. A teraz widziała w nim tylko żalostnego człowieka i musiała walczyć ze sobą, żeby nie czuć wobec niego pogardy.

Próbowała sobie z tym radzić na swój sposób – znajdując kolejnych

kochanków. I była przy tym coraz bardziej zuchwała, coraz mniej się kryła, jakby chciała wykrzyknąć mężowi: „No co mam jeszcze zrobić, żebyś się ocknął, żebyś jakoś zareagował? Dać się zerznąć pierwszemu sekretarzowi czechosłowackiej ambasady na stole podczas oficjalnego rautu?! Albo temu enerdowskiemu radcy handlowemu?!”.

Żadnego ze swoich kochanków nie traktowała poważnie... dopóki nie zjawiał się Andrzej Małysiak. Zakochała się w tym mężczyźnie, chociaż wyczuwała, że potrafi jak nikt manipulować ludźmi. Nie, to chyba jednak nie była miłość. Anna się od niego uzależniła. Do tego stopnia, że nie wyobrażała sobie życia po tym, jak wyjadą z Lagos, a on tu zostanie. Tak bardzo, że choć ją odrzucił – dla innej kobiety? – była gotowa błagać go, żeby z nią był.

Nalała ginu na wysokość jednej trzeciej szklanki i ruszyła do kuchni po tonik i lód. Zanim wyszła z sypialni, zawróciła jednak i dołała sobie do połowy szklanki, a po chwili zastanowienia postanowiła zrezygnować z toniku i napełniła szklankę tak, że zostało tylko trochę miejsca na lód.

W przedpokoju zatrzymała się przed lustrem, upiła solidny łyk, odgarnęła włosy do tyłu i przyjrzała się uważnie swojej twarzy. Mimo przytłumionego światła wyraźnie widziała drobne zmarszczki wokół oczu i dwie głębsze ciągnące się od nosa do kącików ust. Postarzała się. Albo sprawdzało się to, co słyszała od żon innych ambasadorów – że klimat Lagos nie służy urodzie – albo odciskały na niej swoje piętno nieprzespane noce, po tym jak Andrzej ją odtrącił.

Przechodząc koło jego pokoju, zerknęła na drzwi, ale wiedziała, że go tam nie ma. Wyjechał zaraz po zmroku i jeszcze nie wrócił. Popatrzyła na zegarek; było dwadzieścia po pierwszej. Wyobrażenia podsuwała jej różne obrazy i żeby je odsunąć, Anna wypiła łyk, potem drugi i trzeci. Spojrzała na

szklanekę i z gorzkim uśmiechem pomyślała, że idzie w ślady męża alkoholika. A przecież tak rzadko dotąd piła, właściwie nie lubiła alkoholu.

W kuchni, gdy otwierała drzwi lodówki, usłyszała warkot podjeżdżającego pod ambasadę samochodu. Zgasiła szybko światło, podeszła do okna i stanęła nieco z boku, żeby z zewnątrz nie było jej widać.

Za oknem rosła bugenwilla, która przesłaniała widok, więc Anna przeszła do gabinetu męża, skąd doskonale widać było podjazd, na którym stał czarny kabriolet. Za kierownicą siedziała kobieta. Andrzej pocałował ją, tylko w policzek, ale Anna wiedziała, że to nic nie znaczy. Każdy z polskich dyplomatów przed wyjazdem na placówkę otrzymywał instrukcje, w których wielokrotnie powtarzało się słowo „dyskrecja”. A kto jak kto, ale ambitny Andrzej Małysiak potrafił panować nad swoimi emocjami.

Stała przez chwilę w milczeniu i dopiero gdy usłyszała w korytarzu kroki, a potem skrzypienie cicho zamykanych drzwi, ruszyła prosto do jego pokoju.

– Może byś zapukała – burknął, kiedy wparowała do środka.

– Byłeś z tą kurwą z samochodu. – Nigdy nie używała takich słów i nie miała pojęcia, czy wyrwało się jej pod wpływem alkoholu, czy zadziałała duma zranionej kobiety.

Poparzył na nią jak na wariatkę.

– Chyba nie zamierzasz mi tu urządzać scen? Nie pamiętam, żebyśmy się umawiali na wyłączność.

Zbliżyła się do niego o kilka kroków. Pachniał kobietą, jej perfumami i seksem. Nagle cała wściekłość Anny się ulotniła. Zostały tylko rozpacz i poczucie beznadziei.

– Wróć do mnie – odezwała się błagalnym tonem, który tylko zirytował Małysiaka.

Akurat teraz, kiedy czeka go takie ważne zadanie, ta zaborcza baba będzie go tu osaczała swoją pożał się Boże miłością. Mógł być delikatniejszy, ale wiedział, że jeśli będzie się z nią cackać, ona nie da mu spokoju. A potrzebował teraz przestrzeni, mnóstwo przestrzeni, żeby rozwinąć skrzydła.

– Daj spokój, odpuść mnie sobie – rzucił.

Nie pomogło.

– Andrzej, proszę cię...

Trzeba było ostrzej.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaka jesteś żalosna?

Środkowe drzwi w szafie w pokoju Małysiaka były lustrzane. Anna uniosła głowę i spojrzała na swoje odbicie: zgarbiona, z włosami ze śladami odrostów, z odznaczającymi się pod koszulą nocną piersiami, które ostatnio wyraźnie oklapły.

Wyglądała żałośnie. Była żalosna.

Odwróciła się na pięcie, i unosząc głowę, żeby zachować resztki dumy, wyszła z pokoju.

– Zemszczę się, ty skurwysynu – powiedziała do siebie, kiedy zamknęła drzwi. – Przysięgam.

## Jałta, sanatorium Armii Czerwonej, grudzień 1987

Generał Uljanow został sam. Jego jedyny syn Alosza nie żył. Jakiś skurwiel go zatłukł. Zwrócili mu tylko ciało w zaplombowanej trumnie. Pogrzeb odbył się w pośpiechu w nocy na Cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie. Nikt nie chciał mu niczego powiedzieć. KGB milczało jak grób. Generał Uljanow jako dowódca wojsk pancernych Armii Czerwonej,

z orderem Bohatera Związku Radzieckiego, wykorzystał wszystkie znajomości w armii i służbach specjalnych, by dowiedzieć się, kto i dlaczego zabił jego syna. Nie ma większej rozpacz dla starego człowieka, niż stracić dziecko. Żona odeszła wcześniej, rak nie dał jej szans. Alosza spoczął w tym samym grobie co jego matka.

Uljanow nie miał zamiaru odpuścić. Winny musi ponieść karę, nieważne, kim jest i jakie ma stanowisko. Jego syna znaleziono w wodach Bosforu. Był w takim stanie, że autopsja wykazała jedynie, że prawdopodobną przyczyną śmierci było nagłe przerwanie rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym. Śledztwo zostało wkrótce zamknięte, ale nie dla starego generała. Uznał, że musi dociec prawdy. Uczepił się więc jedynej nadziei, jaką dawało mu pochodzenie. Wprawdzie Lenin nie miał dzieci z Nadeżdą Krupską, ale jego brat Dymitr dorobił się potomstwa. Generał Wiktor Dymitrowicz Uljanow był jego wnukiem.

Postanowił napisać list do pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Michaiła Gorbaczowa, którego reformy, głasnost i pierestrojka, przyniosły mu sporą popularność w aparacie partyjnym i społeczeństwie. Uljanow zamierzał to wykorzystać i spróbować podważyć wszechwładzę służb specjalnych. Podzielał poglądy Gorbaczowa co do konieczności odwilży. List wysłał drogą oficjalną i po dwóch tygodniach doczekał się odpowiedzi. Gorbaczow zaprosił go na Kreml. Uljanow na rozmowę z sekretarzem generalnym włożył swój galowy mundur.

- Co mogę dla was zrobić, towarzyszu generale? – spytał Gorbaczow.
- Syna mi zabili.
- Jeśli w Afganistanie, to wiecie, że nic nie mogę zrobić.
- Nie, został zabity podczas jakiejś operacji. Najwyraźniej tajnej, bo nie mogę się niczego dowiedzieć. Wiecie, jaka swołocz siedzi w KGB. Nażreć

się, nakraść, żadnej idei, żadnej moralności. Oto ich dewiza.

Gorbaczow już na początku swojego urzędowania wydał polecenie służbom: koniec z działaniem na własną rękę, z samowolką. Nadarzała się zatem okazja, by utrzyć nosa KGB i przy okazji wspomóc w żałobie starego towarzysza.

– Dobrze, zrobię, co będę mógł – obiecał. – Czekać na wiadomość ode mnie.

Uljanow wrócił do sanatorium na Krymie w dobrym humorze i z nadzieją, że nie wszystko stracone. Po dwóch tygodniach dostał w domu partii zamiejskowy telefon. Linia czerwona, zastrzeżona. Tylko dla wybranych. Podniósł słuchawkę w pomieszczeniu wyłożonym korkiem. Nikt nikomu nie ufał w Związku Radzieckim.

– Akwarium – odezwał się sam Gorbaczow.

Gdy tylko Uljanow usłyszał słowo „akwarium”, poczuł, że uginają się pod nim nogi. Wiedział już, że w śmierć syna nie było zamieszane KGB, tylko GRU, radziecki kontrwywiad wojskowy.

– Czy to gruba sprawa, towarzyszu sekretarzu?

– Niestety, tak. Niewiele mogę zrobić. Nikt w tym bajzlu nie kontroluje Akwarium. Gdybym zaczął oficjalne śledztwo, naraziłbym się tym ludziom, ale nie traćcie nadziei. Jeśli wasz syn nie zginął z rozkazu Akwarium, to jest nadzieja, że jeszcze zdołam czegoś się dowiedzieć. Tam też są różne frakcje, a duża część oficerów jest wobec mnie lojalna. Nie róbcie w tej sprawie nic na własną rękę, nie potrzebujemy kolejnego bohatera wojny ojczyźnianej znalezionej martwego we własnym mieszkaniu. Jeśli się czegoś dowiem, dostaniecie wiadomość.

– Jakim kanałem?

– To już moja sprawa. Trzymajcie się.

Rozmowa się skończyła i Gorbaczow więcej nie dzwonił. Stary generał żył odtąd z obsesyjną myślą. Chciał przed śmiercią dowiedzieć się, kto zamordował jego jedyne syna.

Miał czekać na tę wiadomość wiele lat.



## Rozdział dwunasty

### **ZABAWY I KREW**

#### Nigeria, 1988

Ustalenie, gdzie zatrzymał się w Lagos amerykański lobbysta John Newmark, nie nastręczało Wiśniakowi trudności. Kudzia pracował bardzo sprawnie. Amerykanin był człowiekiem przyzwyczajonym do pewnego stylu życia. Wybrał nowy Sheraton w Lagos, oferujący biznesmenom z Zachodu kroplę luksusu w morzu nigeryjskiej nędzy.

Newmark ugruntował swoją pozycję w latach siedemdziesiątych, kiedy to po wojnie Jom Kippur państwa arabskie przerwały wydobycie ropy naftowej i jej cena natychmiast skoczyła, osiągając niebotyczną wysokość. Newmark był jednym z tych Amerykanów, którzy nie zawahali się, i chcąc zapewnić dostawy koncernom płacącym mu ogromne pieniądze, poleciał do Teheranu na rozmowy z rządem szacha Rezy Pahlawiego. Cel osiągnął – szach zdecydował się podwoić wydobycie ropy w Iranie, aby utrzymać równowagę na rynku. Od tego czasu Newmark cieszył się opinią wyjątkowo skutecznego i zasłużonego dla branży lobbysty.

Zdawał sobie sprawę, że interesy prowadzone wówczas w Nigerii nie są czyste, więc nie bawiąc się w pozory, zaproponował ministrowi generała Obasanjo miejsce dla córki w renomowanej szkole mistrzostwa sportowego w USA, a samemu ministrowi nieograniczoną możliwość wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Tym większe było zdziwienie Amerykanina, gdy na spotkaniu w konsulacie USA w Lagos poinformowano go, że minister wziął już łapówkę od Polaków, którzy są zainteresowani kupnem działek

roponośnych w Nigerii. Konsulat amerykański był na bieżąco informowany przez Hassana, tak jak to przewidziała Nadieżda Kuzniecowa.

Newmark miał bardzo złe zdanie o Polakach. Nie spotkał w USA żadnego, który doszedłby do czegoś jak inni Amerykanie. Sądził, że Polacy – głównie zamieszkujący chicagowskie Jackowo, dokąd lepiej nie zapuszczać się po ciemku – są leniami, kombinują i kradną.

Miał jedną słabość: kobiety. Lubił seks bez konsekwencji. Nie gardził prostytutkami, ale tymi z górnej półki, które za noc brały nawet tysiąc dolarów. W Nigerii jednak odstraszało go ryzyko złapania jakiegoś paskudztwa. Kudzia przekazał te informacje Wiśniakowi, a on wraz z major Nadieżdą Kuzniecową postanowili wykorzystać słabość Amerykanina.

★

W polskim konsulacie w Lagos trwały gorączkowe narady. Wiśniak wtajemniczył Kudzię w sprawę na tyle, na ile było to konieczne dla powodzenia operacji Lunatyk. To właśnie Kudzia podczas jednej z wizyt w konsulacie niepodejrzewającego niczego Hassana włożył mu do pozostawionej w poczekalni teczki najnowszy model radzieckiej pluskwy.

Dzięki niej jeszcze tego samego dnia zarejestrowano rozmowę Turka z van Kerkhovenem.

– Nie mamy czasu. Trzeba działać – powiedział Kudzia po odsłuchaniu jej.

– Wspomniałeś, że Newmark lubi kobiety...

– Jestem tego pewien.

Każdą słabość wroga należy przekuć we własny sukces. Zgodnie ze szkołą GRU, morderstwo może być skutecznym środkiem osiągnięcia pożądanych celów politycznych, pod warunkiem że nie wygląda jak

morderstwo, ale jak śmierć z przyczyn naturalnych. Druga zasada głosiła, że zabójstwa przeciwnika powinien dokonać... ktoś, kogo nie ma.

Tym kimś miała być Nadieżda Kuzniecowa. Gdy Wiśniak dał jej znać, że należy użyć tej metody, agentka GRU zniknęła. Wynajęła w innej części miasta pokój w hotelu, który w niczym nie przypominał luksusowego Sheratonu. I takie było zamierzenie: musiał być miejscem odpowiednim dla Brazylijki, która uciekła na drugą stronę Atlantyku przed sadystycznym mężem. To miało zmylić nigeryjską policję, chociaż tak doświadczona agentka jak Nadieżda nie musiała się przejmować skorumpowaną policją. Ale w tej branży ostrożności nigdy nie za wiele. Zadbana o wszystko. Garderoba, znoszona, gustowna, ale nie nowobogacka. Przebarbowała włosy. Zamieniła się w brazylijską blond piękność. Po portugalsku mówiła jak dziewczyna z dobrego domu w Lizbonie lub jak ekskluzywna call girl z Rio. Nauczyła się tego języka, kilka lat pracując w radzieckim przedstawicielstwie handlowym w Portugalii.

Stała się Jasmine dos Santos. Teraz wystarczyło tylko doprowadzić do „przypadkowego” spotkania Brazylijki z Amerykaninem. O to miał zadbać Kudzia, który mógł wreszcie wykorzystać swoje znajomości w półświatku Lagos. Jasmine dos Santos została więc zatrudniona w Sheratonie, w którym mieszkał Newmark.

★

Amerykański lobbysta właśnie jadł lunch w hotelowej restauracji, gdy obok przeszła kobieta marzenie, która upuściła pager. Schyliła się, odsłaniając wyjątkowe długie nogi. Newmark natychmiast to zauważył. Spojrzeli sobie w oczy. Jasmine dos Santos wiedziała już, że amerykański biznesmen, gdyby tylko mógł, przeleciałby ją w tej sekundzie. Podniosła pager, rzuciła Newmarkowi zagadkowy uśmiech i podeszła do baru. Kupiła

papierosy mentolowe. Nie miała wątpliwości, że jankes, kiedy tylko skończy jeść, podejdzie do niej.

I rzeczywiście, zjawił się po kilku minutach i zaproponował jej drinka. Potem poszło już jak z płatka. Zwierzyła mu się, że uciekła do Nigerii przed zazdrosnym mężem furiatem.

– Tak po prostu cię wypuścił? – zdziwił się Amerykanin.

– Nie pytałam go o zgodę. O jego kartę kredytową też.

Spodobało mu się jej poczucie humoru. Nie będzie go drogo kosztowała. Idealna kobieta dla niego.

– Muszę sobie ułożyć jakoś życie – powiedziała.

– A on cię tu nie znajdzie?

– Trochę się tego obawiam. Może dlatego mam taką chandrę.

– Nie ma na chandrę nic lepszego niż wspólna kolacja. A tak w ogóle to jestem John Newmark z Nowego Jorku.

– I zajmujesz się pocieszaniem kobiet?

– Tylko w wolnych chwilach. – Parsknął śmiechem. – Jestem biznesmenem.

– Biznesmeni to idealni partnerzy.

– Dlaczego?

– Bo kochanki traktują jak żony, nie oszczędzają ani pieniędzy, ani biżuterii.

Umówili się na kolację za dwa dni. Pilne interesy w Lagos uniemożliwiały mu wcześniejsze spotkanie. Zostawił jej wizytówkę z numerem swojego pagera i odszedł.

Po chwili Nadieżda zauważyła, że Newmark rozmawia z jakimś człowiekiem, z białym. Zrobiła im kilka zdjęć aparatem fotograficznym ukrytym w zapalniczce, nastawiając maksymalną ostrość i zbliżenie. Kiedy

potem przyjrzała się fotografii, zorientowała się, że mężczyzna jest znajomym jej znajomego.

★

Wiśniak czekał na Nadzieję w jej pokoju hotelowym. Zaskoczyła ją obecność Polaka.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytała.

– Nie miałem z tym problemu. Mam swoje metody. Blondynka w Lagos, w muzułmańskim afrykańskim mieście, sama w pokoju hotelowym... Musisz przyznać, że to nic trudnego.

Nie odpowiedziała, posłała mu tylko gniewne spojrzenie. Obydwoje podejmowali ryzyko. Żaden jankeski lobbysta nie sprzątnie im sprzed nosa tego złotego interesu.

– Jak figurant? Coś podejrzewa? – spytał Wiśniak po chwili.

– Oczywiście, że nie. Będzie jadł mi z ręki.

– Skąd taka pewność, towarzyszeko major?

– Bo patrzył na mnie tak jak ty teraz. Wy, faceci, jesteście bardzo przewidywalni.

– To testosteron.

– Nie opowiadaj mi bzdur o testosteronie. Zawsze uważaliście kobiety za nienadające się do roboty szpiegowskiej. A tymczasem jesteśmy w tym lepsze niż wy. Mężczyźni zawsze w łóżku mówią różne rzeczy.

– Masz zamiar iść do łóżka z tym Amerykaninem? – W głosie Wiśniaka słychać było zazdrość. – To by była zdrada... rewolucji.

– Nie pieprz mi o rewolucji.

Nadzieжда podeszła do Wiśniaka, który stał przy ścianie, i pocałowała go w usta. Nawet nie poszli do łóżka. Ściągając ubrania, osunęli się na podłogę

i rzucili się na siebie z taką zapalczywością, jakby od tego, co robili, zależało całe ich życie.

Po wszystkim, wciąż leżąc na podłodze, sięgnął do kieszeni ciśniętych byle jak spodni po papierosa. Lubił zapalić po seksie.

– Wyłączenie Newmarka nie oznacza jeszcze naszego sukcesu – powiedział. – Nigeryjski rząd...

Ale Nadieżda mu przerwała.

– Nigeryjskim rządem zajmie się GRU. Nie martwiłabym się nimi. Jesteśmy w krytycznym punkcie operacji Lunatyk i nie pozwolę, żebyście teraz coś spieprzyli, towarzyszu Polaku.

– Pieprzyłem was, towarzyszeko Rosjanko – powiedział ze znakomitym rosyjskim akcentem. – Nie idź z nim do łóżka. Proszę.

– Taka praca – rzuciła Nadieżda, szukając jego ust.

Nieco zaspokojeni po pierwszym razie, nie musieli się już tak spieszyć, więc przenieśli się do łóżka.

★

Włączenie Kudzi do operacji Lunatyk wydawało się nieodzowne. Samo wyeliminowanie wrogów to nie wszystko, trzeba było jeszcze zapętlić sprawę tak, żeby nawet amerykański wywiad nie zdołał jej rozwikłać. A Kudzia ze swoimi kontaktami mógł się okazać bardzo pomocny.

Najpierw jednak trzeba było ustalić, co wie van Kerkhoven i co dokładnie powiedział mu Hassan. Wiśniak na terenie ambasady mógł czuć się swobodnie. Razem z Kudzią zrobili w jednym z pokoi małe studio. Włączył nagranie rozmowy Turka z Belgiem, która toczyła się po angielsku.

*– Jestem w dramatycznej sytuacji – wyjaśniał van Kerkhoven. – Musiałem odstąpić Polakom część działek roponośnych, ale już się przekonali, że wiele z nich nie wydobędą.*

Najbardziej martwi mnie, że za Polakami stoi ktoś inny. Oni grozili mojej rodzinie w Belgii i w Kongu.

– Co pan im obiecał? Jeśli mogę wiedzieć – odezwał się Turek.

– Polak z ambasady, niejaki Małysiak albo jakoś tak, chce, żebym sprzedał tereny w Kongu, na których wydobywane są diamenty. Ale to nie jest takie proste. Nie mogę ich odsprzedać bez zgody prezydenta Mobutu Sese Seko, który chce mieć wyłączność na handel diamentami. To są kamienie wyjątkowej czystości i niezwykłego koloru, od delikatnego różu po niemal krystaliczną biel, tych białych jest mniej.

– My damy panu gwarancję i ochronę dla rodziny.

– My, czyli kto?

– Nie domyśla się pan? – Coś zaszeleściło, jakby banknot.

– Ach, Benjamin Franklin – powiedział z przekąsem Guillaume van Kerkhoven. – Mogłem się domyślić.

– Za tym Polakiem stoją Sowieci.

– To zrozumiałe. Taka forma nacisku na mnie... sam pan rozumie, byłem w potrzasku.

– To się więcej nie powtórzy. Zapewniam pana – powiedział Turek.

Rozwścieczony Wiśniak wyłączył nagranie. Turek działał na zlecenie CIA. A więc Nadieżda miała rację. Nie zostało im wiele czasu. Po tym, co zrobią, nie będą mogli się więcej pokazać w tym afrykańskim kraju.

Kudzia zaproponował, aby posłuchali dalej. Włączył magnetofon.

– Prezydent Mobutu Sese Seko uważa, że Nigeria jest krajem transferowym między Zachodem i Afryką. To tutaj ogniskuje się handel. Jestem w Nigerii, żeby pilnować interesu z diamentami. Niedługo przyjdzie największa dostawa surowca dla holenderskich i belgijskich jubilerów. Najczystsze diamenty różnej wielkości i koloru. Cuda! Jeśli da mi pan gwarancję, będzie miał pan udział w zyskach.

– Stany Zjednoczone gwarantują panu nietykalność w Afryce. W Belgii będzie pan musiał radzić sobie sam – oznajmił Hassan.

– Co zrobimy z tym Polakiem?

– Mam z nim dobre kontakty. Myślę, że nie podejrzewa, dla kogo pracuję. Możemy się z nim spotkać i pozbyć się go.

– Nie, to byłoby za proste. Chciałbym, żeby wylądował w kopalni diamentów w Kongu. Po tygodniu będzie jadł mi gówno z ręki – powiedział Belg z nienawiścią w głosie.

– Na zemstę przyjdzie czas. W Nigerii przebywa teraz mój znajomy Amerykanin, który chce kupić od rządu nigeryjskiego wyłączność na złoża ropy naftowej. Pracuje dla wielkich koncernów, takich jak Exxon czy Shell. Amerykanie chcą zagwarantować sobie spokój, którego nie mają na Bliskim Wschodzie.

Kudzia wyłączył nagranie.

– Jak ci się podoba ta kopalnia w Kongu? – spytał.

– Skurwysyn – zasyczał Wiśniak. – Zobaczymy, kto kogo tam wyśle. To się musi stać w jednym miejscu. Wszyscy trzej, van Kerkhoven, Turek i ten Amerykanin.

– Ja poczekałbym na diamenty – powiedział Kudzia, nie kryjąc chciwości. – Musimy dowiedzieć się jak, gdzie i kiedy.

Wiśniak podniósł na niego wzrok. Już wiedział, kto się tego dowie. Trzeba było jedynie poczekać, aż Turek doprowadzi do spotkania van Kerkhovena z Newmarkiem.

★

Nadieżda Kuzniecowa świetnie zagrała swoją rolę. Na kolacji z Newmarkiem w Sheratonie wyciągnęła od niego, co się dało, o jego rodzinie, żonie, dzieciach. Newmark jasno dał jej przy tym do zrozumienia, żeby nie liczyła na żaden trwały związek. Jest konserwatywnym przedstawicielem elit nowojorskich.

– Interesuje mnie przygoda z tak nietuzinkowym facetem jak ty – wyznała.



Po kolacji zaprosił ją do swojego pokoju. Rano, kiedy wyczerpany spał, Nadieżda wiedziała, że osiągnie wszystko. Musiała jednak zagrać swoją rolę do końca. Rozpłacze się i powie, że wie, ile dla niego znaczy rodzina, i nie chce nikogo skrzywdzić, ale nie może już bez niego żyć. Nie wróci do Rio, do męża furiata i macho. Prędeż się zabije. To powinno rozczerzyć Newmarka. Nadieżda łatwo go przejrzała. Był zarozumiały i pewny siebie – jak zresztą większość lobbystów wszelkiej maści. Kobiety traktował protekcyjnie, więc jeśli ona zagra nieszczęśliwą kochankę, która obieca, że nie będzie sprawiała problemów, zatrzyma go na dłużej i dzięki temu zyska dostęp do jego kontaktów.

Kiedy kilka dni później odegrała odpowiednią scenę, pocieszał ją, że to nie jest jej wina, że zakochała się w kimś tak wyjątkowym jak on, po czym zaproponował wspólny wyjazd do Marrakeszu.

Wiśniaka ta tygodniowa wycieczka Rosjanki i jej „kochanka” doprowadzała do szału, ale mógł w tym czasie skupić się na przygotowaniu pułapki.

W Marrakeszu – jak przewidywała Nadieżda – Newmark nie mógł się odciąć od interesów. Już drugiego dnia zadzwonił Hassan i próbował nakłonić go do powrotu. Piękna Brazylijka omotała jednak amerykańskiego lobbystę do tego stopnia, że uznał, że interesy mogą poczekać. Ale Hassan czekać nie chciał, więc przyleciał do Marrakeszu. Miasto miało słuszną opinię jednego z najbardziej urokliwych miejsc w krajach arabskich. Stary Marrakesz ze swoimi krętymi uliczkami pełnymi kramów, na których sprzedawano wspaniałe orientalne przyprawy, pachnidła i tkaniny, był dla turystów czymś niezwykle atrakcyjnym, ale miasto cieszyło się też opinią najśłynniejszego ośrodka rozrywki i rozpusty nieosiągalnego dla zwykłych

turystów, wypoczywających na plażach Casablanki i Rabatu i przyjeżdżających do Marrakeszu tylko na dzień lub dwa.

Spotkali się w jednym z klubów. Piękne półnagie dziewczyny rozdawały drinki. Wokół rozbrzmiewała orientalna muzyka. Goście palili haszysz i marihuanę.

– Hassan, czy ty nigdy nie masz wakacji? – zapytał Newmark, obejmując Jasmine.

– Nie wtedy, kiedy jest do zrobienia wielki interes, jak teraz.

– A co to za interes?

– Nigeryjskie pola naftowe. Pan interesował się nimi. Ich współwłaściciel, biznesmen z Konga, Guillame van Kerkhoven, jest gotowy je odstąpić za gwarancje ochrony. Tymi polami interesowali się Sowieci. Co ciekawe, nie bezpośrednio, tylko przez polskiego dyplomatę z Lagos, Andrzeja Małysiaka.

Hassan nie zauważył, że wtulona w kochanka brazylijska piękność przyjrzała mu się badawczo, gdy wymawiał imię i nazwisko polskiego dyplomaty, oczywiście kalecząc je, zwłaszcza imię.

– Polacy są antykomunistami – powiedział Newmark. – Wszyscy w USA wiedzą, że Polacy gnieźdzący się tysiącami w Chicago nie są zdolni do tego, by prowadzić interesy w swoim własnym imieniu, a co dopiero w czyimś.

– Nie docenia ich pan. Znam tego dyplomatę i wiem, że pracuje dla GRU. – Turek nie zdawał sobie sprawy, że mówiąc o tym, skazuje się na śmierć.

Jasmine dos Santos udawała porządnie wstawioną. Paliła też marihuanę, tak jak Hassan i Newmark.

– Co pan proponuje? – spytał Amerykanin.

– Spotkanie celem omówienia szczegółów kontraktu. Proponuję wynajętą od generała Obasanjo willę w okolicach Abudży, w nigeryjskim interiorze. Oczywiście nigeryjski rząd, czyli ludzie generała Obasanjo, też muszą coś dostać za tę transakcję.

– Wkalkulowałem to w koszty.

– Doskonale – ucieszył się Hassan. – Mam nadzieję, że znajdzie się tam mała prowizja i dla mnie. Powiedzmy, gratyfikacja za życzliwość.

– Jasne, Hassan. Pomógł mi pan zdemaskować tę sowiecką prowokację wymierzoną w interesy Stanów Zjednoczonych. Potrafimy być bardzo hojni.

Hassan najwyraźniej tylko na to czekał. Lubił pieniądze; szeleszczące pliki banknotów z Benjaminem Franklinem zawsze poprawiały mu humor. W swej chciwości zachował sporo tradycyjnego lęku wobec banków i przelewów. Jak tylko dostanę tę kasę, wszystko każę umieścić w moim sejfie, pomyślał.

– Kiedy? – zapytał Amerykanin.

– Może w przyszłą niedzielę? Zapraszam przy okazji na polowanie. Możemy ustrzelić lwa albo lamparta. Piękne trofeum i piękny kontrakt.

– Doskonale, Hassan, podobają mi się takie interesy. – Newmark włożył do ust zapalone kubańskie cygaro, po czym zwrócił się do kochanki: – Co o tym sądzisz, skarbie?

Jasmine udawała odurzoną alkoholem i trawą.

– Mam gdzieś te interesy. Chcę, żebyś zabrał mnie na targ z perfumami.

Hassan uśmiechnął się lubieżnie. Ileż takich piękności jak ty pracowało dla mnie w Stambule! – pomyślał. W swoim mało feministycznym podejściu do kobiet obaj byli zgodni; Newmark też uważał, że kobiety zupełnie nie pojmują prawdziwych męskich interesów.

Jasmine dos Santos wszystko jednak zapamiętała. I wiedziała, że to ona w tej grze ma ostatnią kartę. Jokera. Który bije wszystkie inne karty.

★

Kudzia zadzwonił do jego pokoju, kiedy Wiśniak spał.

– Obudź się, stary. Jakaś brazylijska lala chce się z tobą zobaczyć.

Wiśniak przetarł oczy i natychmiast się ocknął. Ubrał się i zbiegł na dół. Kudzia wyszczerzył zęby, kiedy się okazało, że Jasmine dos Santos to... radziecka towarzyszka. Wiśniak wprowadził ją do pokoju operacyjnego, w którym analizowali z Kudzią nagrania z podsłuchów.

– Długo kazałaś na siebie czekać – powiedział nie bez pretensji w głosie.

– Bo długo to trwało. Mój nowy kochanek zabrał mnie do Marrakeszu.

– Jesteśmy profesjonalistami, mimo to jestem zazdrosny o ten wypad do Maroka.

– Nie bądź śmieszny, proszę. Łóżko jest miejscem zdobywania informacji, jak każde inne.

– I czego dowiedzieliście się w tym łóżku, towarzyszko?

– Van Kerkhoven ma sam odebrać diamenty. Przywiezie je na spotkanie z Hassanem i Newmarkiem. Turek jest okropnie chciwy i chce swojego udziału.

– Nie dziwi mnie to – rzucił Wiśniak.

Ustalili, że plan musi być prosty. Newmark pojedzie na polowanie z van Kerkhovenem i Hassanem. Będą przebywali w odosobnieniu w pobliżu Abudży, w eleganckiej willi, którą Turek wynajmie od ludzi generała Obasanjo.

– To pałacyk myśliwski generała. Znam to miejsce – powiedział Kudzia.

– A diamenty?

Nadzieja się uśmiechnęła.

– Tego dowiemy się na miejscu. Zmusimy ich do mówienia.

– Czy wzięliście pod uwagę reakcję Nigeryjczyków? – spytał Kudzia. – Trzeba spotkać się z ministrem do spraw ropy naftowej.

– O to niech cię głowa nie boli – rzucił Wiśniak. – Minister spotka się za kilka miesięcy z kimś innym. Dostanie też porządną łapówkę o diamentowym połysku. Zresztą rząd Nigerii chce czegoś, czego Związek Radziecki ma aż nadto.

– Co masz na myśli, towarzyszu? – zapytała zaciekawiona Nadieżda.

– Ja też mam swoje sekrety.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Ustalili, że ona pojedzie na polowanie razem ze swoim nowym przyjacielem. Po polowaniu, rozochociona alkoholem i marihuaną, zacznie tańczyć na stole, skupiając na sobie uwagę wszystkich mężczyzn. I właśnie wtedy zostaną zaatakowani przez nieznanego sprawcę. Brazylijka Jasmine dos Santos zostanie porwana. Zniknie tak szybko, jak pojawiła się w Nigerii, a Amerykanie i nigeryjskie władze zostaną z niczym.

★

Przed ostateczną rozgrywką pełniący obowiązki polskiego ambasadora Andrzej Małysiak musiał mieć pewność, że nowo powstała spółka będzie kontrolować handel nigeryjskimi złożami ropy naftowej. W tym celu udał się na spotkanie z prezydentem Nigerii, generałem Obasanjo. Kudzia zabiegał o nie już od dłuższego czasu i w końcu udało mu się do niego doprowadzić.

Generał chciał uczynić z nigeryjskiej armii sprawną maszynę wojenną. W północnych prowincjach grasowali islamscy fanatycy, których – dla dobra kraju i naftowych interesów generała – trzeba było jak najszybciej wysłać na łono Allaha. Armia była najlepszym gwarantem, że Obasanjo utrzyma

władzę. Po rozmowach z amerykańskim lobbystą Newmarkiem było jasne, że Stany Zjednoczone chętnie udziela Nigerii wsparcia w dziedzinie wydobycia ropy naftowej. Nie wynikało to bynajmniej z ich wielkoduszności, Amerykanie po prostu zamierzali czerpać z tego ogromne zyski. Nigeria, choć leżała na ropy, nie potrafiła jej przetwarzać, a wielkie koncerny nie były gotowe dzielić się swoim know-how. Obasanjo stanął więc przed dylematem, czy udzielić koncesji Amerykanom, którzy nie chcieli dobroić nigeryjskiej armii. Centralna Afryka nie znajdowała się bowiem w strategicznym obszarze zainteresowania Stanów Zjednoczonych. Arabscy dyktatorzy w Zatoce Perskiej przeciwnie, mogli liczyć na każde wsparcie USA.

Obasanjo czekał więc na propozycję, która nie będzie wiązała mu rąk. Nie chciał czynić ze swego kraju drugiej Etiopii rządzonej przez fanatycznych marksistów. O śmierci głodowej setek tysięcy Etiopczyków huczały już zachodnie gazety. I nagle przyszedł do niego ten Polak. Wprawdzie Polska była krajem socjalistycznym, ale generała nie obchodziło, skąd faktycznie będzie pochodziła broń. Małysiak potrzebował kilku tygodni, by załatwić dostawy dla nigeryjskiej armii.

Gdy szedł na spotkanie z prezydentem, do portu w Lagos zawitał pierwszy wielki statek transportowy pod cypryjską banderą. Na jego pokładzie znajdowało się trzydzieści czołgów T-64, transportery opancerzone BTR, wyrzutnie raketowe Grad, kałasznikowy i dziesięć milionów sztuk amunicji. Tak działało radzieckie GRU.

Operacja Lunatyk polegała także na zacieraniu śladów po dostawach. Nad tym pracowała Nadieżda. Broń z radzieckich magazynów znikła, dla buchalterów w Armii Radzieckiej wystawiano protokoły brakowania sprzętu wojennego. W zamian wystawiano cypryjskiej spółce fikcyjne faktury.

I właśnie ta spółka, kontrolowana przez GRU, które w cypryjskich bankach lokowało niemałe pieniądze, wysyłała broń do Nigerii. Dzięki temu Małysiak miał dużo większe możliwości przekonania nigeryjskiego rządu, który nie przyjąłby broni oficjalnie od Sowietów, by nie rozgniewać Wuja Sama. Ale polski dyplomata, który pośredniczył w handlu ze spółką cypryjską, to coś zupełnie innego.

Obasanjo miał więc powód, by czuć coś na kształt wdzięczności wobec Polaka. Przyjął go w swojej wspaniałej rezydencji w stolicy. Mówił nienagannym angielskim wyuczonym w brytyjskiej armii kolonialnej.

– Nie przypuszczałem, że pan tak szybko i tak dobrze wywiąże się z dostawy.

Małysiak uścisnął rękę prezydenta.

– Dostawy broni są w interesie Nigerii i Polski.

Obaj wiedzieli, że ta broń nie pochodzi z Polski, ale Małysiak nie mógł tego oficjalnie potwierdzić, a Obasanjo nie mógł temu głośno zaprzeczyć. To kłamstwo obu doskonale pasowało.

– Czego oczekuje pan w zamian? – zapytał prezydent. – Jest przecież oczywiste, że interes musi opłacać się obu stronom.

– Doskonale, że pan prezydent o to pyta. Zaznaczam, że nie chcę niczego dla siebie. Mnie wystarczająco satysfakcjonuje to, że mogłem pomóc rządowi Nigerii. Zależy mi jednak na tym, aby pewien amerykański przedsiębiorca nie dostał tego, po co przyjechał do Lagos.

Obasanjo uśmiechnął się. Wiedział, że Polak działa w czyimś imieniu. W czyim? Tym prezydent nie musiał już zaprzętać sobie głowy. Dostał broń, która mogła uczynić z Nigerii afrykańską potęgę. Był bogaty, to znaczy nakradł już tyle, że kraść dalej nie musiał.

– To nie jest problem. Uprzedził pan Amerykanów.

– Doskonale.

– Ale w dalszym ciągu nie powiedział mi pan, czego pan chce – zauważył prezydent.

Teraz to Małysiak się uśmiechnął.

– Za kilka miesięcy będzie pan uprzejmy podpisać kontrakt z dużym bankiem zachodnim, który będzie od tej pory pośredniczył w handlu każdą baryłką ropy wydobytą w tym kraju. Bank ten odkupi od Nigerian Oil Ltd udziały w polach naftowych. Oczywiście większościowy pakiet kontrolny pól naftowych w delcie rzeki Niger znajduje się w pańskich rękach. I niech tak zostanie. My chcemy tylko czterdzieści procent.

Twarz Obasanjo wykrzywił grymas. Stary lis został wyprowadzony w pole.

– Dużo pan chce. Może za dużo.

– Następne dostawy już są w drodze. Możemy dorzucić też helikoptery MI-8 i rakiety szturmowe. Wybór należy do pana.

Obasanjo poczęstował go kubańskim cygarem i sam również zapalił. Zawsze to robił w chwilach największego zdenerwowania. Małysiak, który na szkoleniu w GRU przeszedł trening psychologiczny, potrafił czytać z mowy ciała. Wiedział, że w końcu prezydent ulegnie.

– Mogę się nie zgodzić na pańskie warunki – powiedział generał.

– Może pan – przyznał Małysiak. – Ale wkrótce przekona się pan prezydent, że z nami nie należy zrywać umów. Możemy poczekać dwa tygodnie. Za dwa tygodnie podpisze pan umowę z nami.

– Zobaczymy. – Obasanjo wypuścił dym z cygara.

Małysiak zaciągnął się swoim. Wiedział, że to te najdroższe, po sto dolarów za sztukę.



## Dwa tygodnie później

Jasmine dos Santos przyjechała do wili wynajętej przez Hassana w towarzystwie swojego amerykańskiego kochanka. Willa, arcydzieło brytyjskiej architektury kolonialnej, znajdowała się o dobrą godzinę jazdy samochodem od nowej nigeryjskiej stolicy. Brytyjczycy wybudowali ją jako pałac myśliwski dla gubernatora kolonii, położony na odludziu, w miejscu, do którego nie każdy mógł się dostać, a afrykańska sawanna znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Hassan szybko znalazł wspólny język z muzułmańskimi oficjelami w rządzie (Nigeria była podzielona dokładnie na pół pod względem wyznaniowym) i Allah raczy wiedzieć, jakie wspólne interesy lub korzyści sprawiły, że mógł poczuć się panem tej cudownej wili.

Jasmine dos Santos wysiadła z terenowego samochodu, który jej kochanek wynajął w Lagos.

– Pięknie mieszka ten Turek – powiedziała.

– Raczej nie on tutaj mieszka – rzucił protekcjonalnie Newmark. – Ten pałacyk służy nigeryjskim VIP-om, a teraz nam. Myślę, że możemy spędzić tutaj całkiem przyjemny weekend.

– Oczywiście, kochanie, że będzie bardzo przyjemnie – zapewniła Jasmine dos Santos.

Jej źrenice zwęziły się i utkwily zimne spojrzenie w Amerykaninie. Brazylijska piękność przez jedną krótką chwilę wyglądała tak, jakby była kimś innym. Amerykanin zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Ani na moment nie wyzbył się wrodzonej arogancji, która sprawiała, że lekcewał ludzi, nawet tych, z którymi sypiał. Na swoją zgubę lekcewał również partnerów biznesowych lub przeciwników. Nie zauważył zatem, że

brakowało tu właściwej takiemu miejscu ochrony. Taką praktykę stosowano, gdy oficjele przyjeżdżali nie po to, żeby polować, ale by urządzać erotyczne schadзки. Hassan wszystko starannie zaaranżował. Zaprosił nawet nigeryjskie tancerki z kilku klubów. Takie show kosztowało sporo, ale przebiegły, jeśli chodziło o interesy, Turek, czasami był gotowy zapomnieć o swoim skąpstwie. A w tym przypadku bardzo zależało mu na tym, by zrobić wrażenie na kontrahentach.

Zaprosił gości do salonu w stylu kolonialnym. Na podłodze leżały skóry dzikich zwierząt, w tym lwów i lampartów. Newmark był podekscytowany. Niedawno w kinie widział film na podstawie powieści Karen Blixen *Pożegnanie z Afryką*. Przez jeden dzień zapragnął być jak Robert Redford grający w tym filmie obok Meryl Streep: polować na dzikie zwierzęta, pić dobry alkohol i udawać, że żyje w epoce kolonialnej. Za kilka dni zamierzał opuścić Czarny Ląd; nie wiedział, że wszelkie jego wysiłki w celu przekonania Nigeryjczyków już spaliły na panewce. O spotkaniu polskiego dyplomaty z prezydentem Nigerii nie miał pojęcia. Planował rozstać się z brazylijską kochanką i za dwa dni polecieć przez Londyn do Nowego Jorku. Oczywiście wynagrodzi Jasmine przygodę, jaką z nią przeżył.

Amerykanin, Belg i Turek na początku spotkania zobaczyli taniec prawie nagich nigeryjskich dziewcząt. Jak zapowiedział Hassan, był to dopiero pierwszy punkt wieczoru, który miał zaoferować im wiele radości. Następnie zaproponował doskonałą turecką kawę i słodycze. Klasnął w dłonie. Dwie dziewczyny przyniosły półmiski pełne znakomitych suszonych owoców, mięs na zimno oraz kawę w imbryku.

Newmark nie chciał być nieuprzejmy, ale miał po prostu ochotę napić się alkoholu. Zamówił całą butelkę whisky. Lubił się napić, gdy załatwiał interesy. Van Kerkhoven nie miał ochoty na alkohol. Poprzez swoje

kontakty w pałacu prezydenckim dowiedział się, że być może Nigeryjczycy wypowiedzą mu dzierżawę pól naftowych i że triumf lobbysty ze Stanów Zjednoczonych wcale nie jest tak pewny, jak się to wydawało przed dwoma tygodniami. Napomknął o tym Amerykaninowi.

– O czym ty mówisz, Guillame? – zapytał Newmark, nalewając sobie kolejną porcję whisky.

– Mówię o tym, że w pałacu prezydenckim nastąpiła jakaś zmiana – odparł van Kerkhoven. – Nie wiem jaka, ale obawiam się, że możemy zostać na lodzie.

– Przecież moja oferta jest świetna. Nikt nie da ci więcej.

– Nie o to chodzi. Nie wiem, czy Nigeryjczycy prześlą ci tak chętnie pola naftowe, jak obiecywali to miesiąc temu. Mam nadzieję, że ten nowy transport broni, który przyłynął do Lagos, to twoja sprawa. Jeśli nie, to źle widzę nasz interes.

Jasmine dos Santos, która dokładnie słyszała te słowa, przeprosiła kochankę, mówiąc, że idzie zapalić. W hallu zauważyła telefon. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer pagera.

★

Wiśniak odebrał sygnał na pager. Miał na sobie czarny kombinezon, a pod nim kamizelkę kuloodporną. Na twarz nałożył kominiarkę. Wprawdzie nie wierzył, by tamci mieli broń, ale w takich sytuacjach wolał być ubezpieczony. Ruszył w stronę posiadłości, zostawiając w dżungli samochód terenowy wypożyczony przez Kudzię. Po kilku minutach doszedł do parkanu okalającego willę i bez trudu go przeskoczył.

Chowając się za żywopłotem z karłowej odmiany akacji, dotarł po chwili do białej ściany willi. Zamierzał wejść przez otwarte drzwi tarasowe. Spojrzał na zegarek. To nie może potrwać dłużej niż pięć minut. Wejdzie

tam i zrobi to, co musi zrobić. Zgodnie z ustaleniami z Nadeżdą, czekającą na niego wewnątrz, mieli oszczędzić nigeryjskie tancerki, żeby zaalarmowały policję – skorumpowaną, bezradną i nieskuteczną – która miała się zderzyć z profesjonalnymi i bezwzględnyimi agentami GRU.

Zaskoczył ich w salonie wyłożonym skórą lwów.

– Twarzą do ziemi! Natychmiast! – zawołał po angielsku.

Wszyscy trzej zrobili to, co nakazał zamaskowany napastnik. Jasmine dos Santos zaczęła histerycznie krzyczeć. Wiśniak dla mocniejszego efektu zdzielił ją po twarzy. To nie było ustalone, ale napaść musiała wyglądać wiarygodnie.

– Gdzie macie diamenty? – zapytał.

Newmark postanowił zagrać nowojorskiego twardziela.

– Nie dostaniesz ich, ty parszywy złodzieju – rzucił, leżąc na skórze lwa.

Wiśniak wpakował mu kulę w kolano. Amerykanin wrzasnął i zaczął związać się z bólu. Jasmine dos Santos znakomicie zagrała swoją rolę. Czule obejmując leżącego kochanka, zaczęła błagać napastnika, by nie krzywdził jej mężczyzny.

– Ty na pewno wiesz, ślicznotko, gdzie są te cholerne diamenty – powiedział Wiśniak, przykładając lufę pistoletu do jej głowy.

– Wiem, ale nie zabijaj mnie – odparła, łkając. – Są w samochodzie. Zaprowadzę cię, ale daruj nam życie.

W tym momencie van Kerkhoven zerwał się z podłogi i rzucił w kierunku otwartych drzwi tarasowych. Liczył zapewne, że napastnik, zajęty rozmową z brazylijską dziewczyną, za późno się zorientuje, co się dzieje. Ten jednak tylko na to czekał. Strzelił bez chwili wahania. Trafił Belga w plecy, zanim ten dotarł do drzwi. Belg zrobił jeszcze kilka kroków, po czym runął na okno. Rozbił je i wypadł na zewnątrz.

Wiśniak kazał Jasmine dos Santos podnieść rannego Amerykanina i zaciągnąć go do samochodu, a następnie podszedł do leżącego i drżącego ze strachu Turka i wpakował mu kulę w głowę. Gdy wyszedł za Brazylijką, która z niezwykłą łatwością – jak na kobietę – radziła sobie z prowadzeniem kochanka, spojrzął na van Kerkhovena leżącego twarzą do ziemi w kałuży własnej krwi, w której połyskiwały kawałki rozbitego szkła. Nie ruszał się. Nie żyje, uznał Wiśniak, pomógł Jasmine umieścić Newmarka w land roverze, a potem wepchnął ją do środka.

Już po chwili jechali drogą przez sawannę.

★

W samochodzie Jasmine dos Santos dała Newmarkowi zastrzyk usypiający. Agenci GRU byli doskonale przygotowani do wykonywania takich zadań. Po godzinie zatrzymali się nad rzeką Niger.

Wyjęli nieprzytomnego Amerykanina z samochodu i zanieśli go na wysoki brzeg. Wiśniak włożył mu do kieszeni spodni swój własny paszport.

– Szybko się z nimi uwinąłeś – pochwaliła go po rosyjsku Nadieżda. – Ale bicia mnie w twarz nie było w planie.

– Wybacz, towarzyszeko – odparł Wiśniak. – To tak dla zasady. Polak bije swoją rosyjską kobietę.

– To ja jestem twoją kobietą? – zapytała prowokacyjnie Nadieżda.

– Przecież wiesz, że nie myślę o niczym innym, tylko o tym, żeby cię zerznąć. Ale teraz czeka nas praca. Potem przyjdzie czas na przyjemność.

Chwycił nieprzytomnego Newmarka pod pachy, podciągnął go na brzeg i kopnięciem wrzucił potężnego mężczyznę w spieniony brązowy nurt rzeki.

– Niger jest głęboki i żyją w nim krokodyle – zwrócił się do Rosjanki.

– Spadamy stąd.

Ciało Johna Newmarka, z polskim paszportem na nazwisko Małysiak w zapiętej kieszeni spodni, znaleźli wieśniacy dwanaście kilometrów w dół rzeki tego samego dnia. Ale jego zabójcy byli już daleko, poza granicami Nigerii.

★

Kudzia został w polskiej ambasadzie w Lagos. Zniknięcie Andrzeja Małysiaka było bezprecedensowe. Odnalezienie ciała polskiego attaché było wstrząsem, umiejętnie podsycanym przez Kudzię, który zachowywał się zgodnie z instrukcją pozostawioną przez agentów GRU. To on zidentyfikował szczątki Newmarka jako Andrzeja Małysiaka, który dwa dni wcześniej wybrał się na spływ kajakowy rzeką Niger. On, Kudzia, uprzedzał go, że ta rzeka może być niebezpieczna. Pełniącego obowiązki ambasadora, który nie miał w kraju żadnej rodziny, pochowano z pompą na katolickim cmentarzu w Lagos. Jak umiera polski komuch, to zawsze po katolicku.

Oczywiście Kudzia służył wszelką pomocą władzom nigeryjskim prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa polskiego dyplomaty. Nadjedzone przez krokodyle zwłoki były w takim stanie, że nikomu nie przyszło do głowy, by dokonać autopsji albo zbadać zgodność grupy krwi. Badań DNA w tamtych czasach jeszcze nie przeprowadzano.

Nigeryjczycy dopuścili do śledztwa Amerykanów, ale Kudzia nie pozwolił im wejść na teren polskiej placówki w Lagos. Spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania. Nad śledztwem objął patronat prezydent Obasanjo, który codziennie żądał od podległych sobie służb raportów. Nigeryjska policja powiązała zabójstwo polskiego dyplomaty ze śmiercią tureckiego bankiera Hassana. Zatrudnione w willi tancerki zeznały, że Amerykanin został postrzelony w nogę, a następnie uprowadzony razem

z dziewczyną, której nazwiska nie znały. Wiedziały tylko, że była bardzo ładna i biała.

Jedyny świadek, który mógł coś powiedzieć – Guillaume van Kerkhoven, który ciężko postrzelony pociął sobie twarz, wypadając przez okno – przeżył. Przez kilka miesięcy leżał w śpiączce w szpitalu w Lagos. W końcu przyjechała po niego rodzina z Belgii i zabrała go do Antwerpii. Wyszedł ze śpiączki, ale pozostał sparaliżowany od pasa w dół. W wyniku rozległej rany jego mózg tak długo pozostawał niedotleniony, że Guillaume van Kerkhoven nigdy już nie wrócił do normalnej egzystencji. Z króla życia zamienił się w skazanego na wózek inwalidzki pacjenta oddziału paliatywnego.

W trakcie śledztwa nigeryjska policja doszła do wniosku, że amerykański lobbysta wraz ze swoją kochanką, którą zidentyfikowano jako Brazylijkę, Jasmine dos Santos, postanowił ukraść Belgowi diamenty warte dwadzieścia sześć milionów dolarów, pochodzące z kongijskich kopalń. Diamenty zniknęły razem z Amerykaninem i Brazylijką. Według policji z Lagos to Newmark wynajął zamaskowanego zabójcę, który miał upozorować napad i zlikwidować konkurentów biznesowych – bo Amerykanin nie mógł dojść z nimi do porozumienia – a następnie zniknął. Z diamentową fortuną mógł sobie znaleźć przyjemne miejsce na nowe życie. W Stanach Zjednoczonych uznano taką wersję zdarzeń za prawdopodobną, zwłaszcza po tym, jak połączono ją z faktami z życia Newmarka w Nowym Jorku. Żona wniosła o rozwód, a wierzyciele mieli już dość czekania na swoje pieniądze. W 1991 roku sprawę odłożono ad acta.

# CZĘŚĆ DRUGA



## Rozdział trzynasty

# **NOWY POCZĄTEK**

Warszawa, 2014

Arcybiskup Morawski opuścił kurię zaraz po ogłoszeniu wyroku. Nie miał czasu, by odpowiadać na pytania dziennikarzy.

Niepokorny ksiądz został suspendowany, to znaczy, że nie tylko nie mógł już odprawiać mszy i sprawować innych sakramentów, ale nie miał też prawa do wsparcia ze strony parafii czy zakonów. Po prostu stał się nikim. Oczywiście kuria wydała lakoniczne oświadczenie, że ksiądz Andrzej Skotnicki powinien był podporządkować się swojemu pasterzowi, a ponieważ tego nie zrobił i trwał w grzesznym uporze, zostanie suspendowany.

Jeden z fotoreporterów oczekujących pod kurią zrobił zdjęcia księdzu „rebeliantowi”, który po opuszczeniu budynku wsiadł do samochodu i skrył twarz w dłoniach. Najwyraźniej był całkowicie załamany.

Od czasu kiedy Andrzej Skotnicki, po wstrząsie, jakiego doznał w latach dziewięćdziesiątych w związku z aferą lustracyjną i śmiercią samobójczą ojca, podjął decyzję o wstąpieniu do seminarium duchownego, minęło wiele czasu. Został kapłanem, ale w przeciwieństwie do innych księży, przyuczonych przez machinę Kościoła do zachowywania się według maksymy „mierny, bierny, wierny”, jego żywiołem był ruch. Podejmował szereg inicjatyw społecznych, walczył z władzami miasta o noclegownię dla bezdomnych, urządzał rekolekcje dla prostytutek. Był człowiekiem czynu, nie słowa. Po latach dostał pozwolenie na zrobienie doktoratu z historii

Kościół i wbrew interesom kurii zajął się bolesnym zagadnieniem współpracy duchownych z SB w czasach PRL-u. Temat nie mógł podobać się przełożonym, ponieważ odkrywał wstydlivą prawdę. A Kościół, głosząc prawdy ostateczne, nie lubi przecież prawdy o sobie.

Andrzej musiał za to zapłacić. Początkowo współpraca z arcybiskupem nawet się układała, ale bezkompromisowość księdza w dociekaniu prawdy sprawiła, że konflikt stał się nieunikniony. Po prawie dwóch latach kwerendy źródłowej Andrzej trafił w krakowskim archiwum IPN-u na materiały z operacji Zakrystia z połowy lat osiemdziesiątych, czyli rozległej prowokacji przeciwko krakowskiemu Kościołowi, reprezentowanemu przez ludzi niepokornych i intelektualnie bardziej wyrobionych niż ówczesni adepci szkół MSW pracujący w SB.

Wśród wielu materiałów szczególnie zainteresowały go raporty tajnego współpracownika bezpieczeństwa, który został złamany przy okazji leczenia onkologicznego. Nie wiedział, kim ów współpracownik był, ponieważ w centralnej ewidencji TW nie zachowała się oryginalnateczka osobowa agenta. Po wielu tygodniach poszukiwań znalazł jednak mikrofilm. Po jego wyświetleniu Andrzej przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości księdza złamanego przez bezpieczeńkę. Najbardziej przeraziło go jednak to, że w materiałach na mikrofilmie zachował się dokument świadczący o tym, że tajny współpracownik SB, Augustyn, został zwerbowany przez innego TW, o kryptonimie Iluminator.

Andrzej żył przez ostatnie lata ze straszliwym brzemieniem tego kryptonimu. Iluminator to było drugie imię jego ojca. Imię zdrajcy, imię kainowe, przekleństwo jego rodziny. Monika zginęła przecież w związku ze śledztwem, które jej brat i mąż nieporadnie prowadzili w latach pięćdziesiątych.

Tego Andrzej nie mógł tak zostawić. Poprosił o prywatną rozmowę z arcybiskupem Morawskim. Arcypasterz zgodził się chętnie, ponieważ nie spodziewał się, jaki będzie miała charakter. Zaprosił Andrzeja do swojego gabinetu w kurii.

– Co księdza do mnie sprowadza? – zapytał, kiedy gość zajął wskazane mu miejsce.

– Księżę arcybiskupie, chciałbym zadać księdzu pytanie dotyczące dość delikatnej sprawy.

Nie było tajemnicą, że ci dwaj za sobą nie przepadali. Andrzej był jednym z ostatnich z ginącego gatunku księży otwartych na ludzi, na ich różnorodność, co oczywiście odzwierciedlało się w jego pracy duszpasterskiej. Arcybiskup z kolei był częstym gościem katolickiego radia Prawda, które wydawało także wysokonakładową gazetę o takim samym tytule. Lubił występować w tej rozgłośni, która reklamowała się jako „Katolicki głos w twoim domu”.

– A ja chciałbym przemówić do twojego rozsądku, księżę Andrzeju.

– Za zgodą księdza arcybiskupa podjąłem studia doktoranckie. Piszę pracę dotyczącą inwigilacji środowisk katolickich przez Służbę Bezpieczeństwa. Jak Wasza Ekscelencja zapewne wie, zajmuję się tym w związku z przeszłością mojego ojca, Władysława Skotnickiego.

Arcybiskup drgnął, gdy padło to nazwisko, co nie uszło uwagi Andrzeja.

– Czy Wasza Ekscelencja znał mojego ojca?

– Nie, a skąd to pytanie? – Tymoteusz Morawski sprawiał wrażenie niezwykle zakłopotanego.

– Bo mam podstawy przypuszczać, że ksiądz arcybiskup go znał. Znalazłem na to dwa dowody. Materiały w teczce mojego ojca oraz jego pamiętnik wskazują na innego tajnego współpracownika SB o kryptonimie

Augustyn, który pomagał TW Iluminatorowi, czyli mojemu ojcu, w rozpracowaniu środowisk katolickich w Krakowie w latach osiemdziesiątych.

Arcybiskup, który cały czas bawił się srebrną łyżeczką do herbaty, poczerwieniał na twarzy.

– Czy ksiądz arcybiskup wie coś o tym? – Andrzej zadał pytanie, na które nie było odpowiedzi.

W gabinecie zapadła cisza.

– Mój ojciec prowadził pamiętnik, w którym opisał wszystkie swoje podłości – odezwał się w końcu Andrzej. – Czy ksiądz arcybiskup był TW Augustynem?

– Za dużo sobie pozwalasz, synu! – rzucił cicho arcybiskup tonem, którym wyrażał swoją największą wściekłość.

– Proszę, by Jego Eksceleńcja odpowiedział na moje pytanie – rzekł chłodno Andrzej. – Chciałbym mieć pewność, zanim opublikuję artykuł. Oczywiście nie padnie nazwisko księdza arcybiskupa, ale kryptonim TW Augustyn zostanie wymieniony. Ci, którzy mają wiedzę o tych czasach, domyślą się prawdy.

– Dość tego! – warknął arcybiskup, co zupełnie nie było w jego stylu. – Zabraniam księdzu zajmować się tą sprawą. I każdą, która może przynieść ludziom cierpienia. Mam w ogóle księdza dość, najogledniej mówiąc. Mam dość duszpasterstwa dla wyrzutków polskiego narodu, prostytutek, homoseksualistów... Mam dość żydowskiej symboliki na księdza mszach, o czym informują mnie prawdziwi katolicy w księdza parafii. Wydam decyzję zakazującą księdzu działalności naukowej oraz usuwającą księdza z parafii.

– Ksiądz arcybiskup niepotrzebnie się denerwuje. Uczciwość naukowca

każe mi skonfrontować źródła z osobą.

– Jaka uczciwość? – zasyczał arcybiskup. – Czy ksiądz nie jest przypadkiem obrzezany?

Tego Andrzej nie wytrzymał. Wstał i odwrócił się do wyjścia.

– Ja jeszcze nie skończyłem – rzucił arcybiskup.

– Ale ja tak – powiedział ksiądz Andrzej.

Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Konflikt był nieuchronny. Jako historyk i syn TW Iluminatora wiedział, że arcybiskup Morawski sam z siebie nigdy się nie przyzna. Na szczęście w walce z arcybiskupem miał mocne dowody – potwierdzone przez archiwum IPN-u odpisy raportów z operacji Zakrystia, z których wynikało niezbicie, że Morawski był tajnym – i świadomym tego – współpracownikiem SB. Został zwerbowany przy okazji leczenia onkologicznego w klinice w Berlinie Zachodnim, ale potem nie zrezygnował ze współpracy i dostarczał esbecji cenne materiały obciążające innych księży.

Andrzej postawił wszystko na jedną kartę. Postanowił napisać w artykule, że człowiekiem, który złamał i zwerbował arcybiskupa, był jego ojciec, TW Iluminator. Kiedyś zwierzył się z pragnienia opublikowania takiego artykułu swojemu przyjacielowi i spowiednikowi. Dwa dni później został wezwany do kurii na rozmowę dyscyplinującą. To było pierwsze ostrzeżenie, że arcybiskup nie cofnie się przed zaszczuciem niewygodnego i niepokornego księdza, byle tylko ukryć informację, że współpracował z SB.

Morawski był jednym z najbardziej zaangażowanych politycznie duchownych w Polsce. Na bieżąco co tydzień komentował w ogólnopolskim radiu katolickim Prawda wszystkie wydarzenia polityczne,

atakował liberalizm i lewicę, feministki i gejów. Był więc wielkim zasłużonym w walce o Polskę katolicką i narodowym bohaterem prawicy. Andrzej nie łudził się, że z nim wygra. Wciąż jeszcze wierzył w otwartość, szczerłość i prawdomówność wśród części kleru, ale nie mógł mieć wątpliwości, że ksiądz, którego uważał za przyjaciela, doniósł na niego arcybiskupowi.

Zawiedziony, coraz bardziej buntował się przeciwko hierarchii, obłudnej strukturze, niezyciowym praktykom. W swojej parafii na Bielanych rozpoczął własną reformację i poniósł straszną klęskę. Wystarczyło kilka rewolucyjnych kazań i został suspendowany: nie mógł już nosić sutanny, nie mógł sprawować sakramentów. Dla księży stał się trędowatym, osobą, z którą nie należało pokazywać się publicznie, by przypadkiem jakiś wierny i mierny nie doniósł o tym arcybiskupowi. Został heretykiem, zdrajcą, któremu żaden ksiądz nie poda ręki, żaden nie pozwoli mu odprawić mszy. Uznał jednak, że było warto, ponieważ na dniach miał przylecieć do Polski Max. I po tylu latach mieli punkt zaczepienia; TW Iluminator zwerbował arcybiskupa. Po nitce do kłębka. Ktoś musiał odpowiedzieć za śmierć Moniki.

★

Max zameldował się w hotelu niedaleko placu Powstańców Warszawy. Wziął prysznic i zjadł lunch w hotelowej restauracji. Obsługa zwracała się do niego bardzo poprawnym angielskim, nie wiedząc, że rozumie po polsku każde słowo. Spodziewał się, że za jego plecami rozlegną się rasistowskie przytyki do koloru skóry, ale nic takiego się nie zdarzyło, co go mile zaskoczyło. Dwadzieścia lat wcześniej w takiej restauracji wszyscy mimochodem rzucaliby w jego stronę pełne zdziwienia spojrzenia: Murzyn w Polsce! Siedzący goście nie zwracali na niego uwagi. Sądząc po ubraniach

i wyglądzie, byli raczej obcokrajowcami. Obsługa była młoda i profesjonalna. Patrzył z lekkim zdziwieniem na dwudziestolatków, na nowe pokolenie Polaków, którzy nie pamiętają komunizmu i pewnie nie wiedzą, co to znaczy PRL. Postanowił nie zdradzać się zbyt szybko ze swoją znajomością polskiego.

Widok z okna na centrum Warszawy, którą widział po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat, napawał go mieszaniną lęku i bolesnych wspomnień. Na cmentarzu bielańskim leżała pochowana Monika, na której grobie nie był od tylu lat. Wciąż przechodziły go dreszcze na myśl, że mógłby tam pójść.

Przylatując do Polski, nie spodziewał się zabawić tu długo. Zarezerwował bilet powrotny do Nowego Jorku na za miesiąc. Patrząc na miasto, przypomniał sobie piosenkę, którą przed laty śpiewał o Warszawie Muniek Staszczuk. Monika bardzo ją lubiła. Poczłł dziwną pewność, że tym razem dowie się, kto i dlaczego wydał na jego żonę wyrok śmierci. Bo nie miał wątpliwości, że Monika zginęła nieprzypadkowo.

Jesteś tchórzem, powiedział sobie.

Ta prawda przez ostatnie lata z trudem przebijała się do jego świadomości. Przytłaczająca intensywność życia w Nowym Jorku ułatwiała mu ucieczkę. Max ukrył się za własną bezradnością wobec śmierci Moniki na prawie dwadzieścia lat. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, jaki sens miała walka po raz drugi. Skoro za pierwszym razem skreczował, odpuścił, pozostawił morderców żony bez kary, to dlaczego miało mu się udać teraz, gdy już nikt prócz niego i Andrzeja nie pamiętał o tej zbrodni?

Przebrał się i wyszedł na miasto. Kupił polską kartę do telefonu, włożył ją i czekał, aż jego smartfon odnajdzie polską sieć. Potem szybko wstukał na

dotykowym ekranie numer polskiej komórki. Po chwili usłyszał znajomy głos:

– Cześć, Max. Czekałem na twój telefon. Chciałbym się z tobą spotkać możliwie najszybciej.

– Jestem wykończony po całonocnym locie z Nowego Jorku. Chętnie bym się trochę zdrzemnął.

– Nie mamy czasu. Mam wrażenie, że jestem obserwowany.

Maxa zdziwiły słowa Andrzeja.

– Przecież jesteś księdzem katolickim, więc powinieneś do tego przywyknąć – powiedział.

– Nie czas na żarty. Zostałem suspendowany. Oni chyba wiedzą, że jestem na tropie. Za dwie godziny na grobie Moniki. Trafisz tam?

Powrót do Polski uświadomił Maxowi jego winę. Opuścił Monikę po jej śmierci, rezygnując z walki. Teraz poczuł to jeszcze wyraźniej.

– Cmentarz na Bielanach, drugi rząd po prawej od wejścia.

– W porządku.

Gdy Andrzej się rozłączył, Max nie mógł się oprzeć wrażeniu, że brat Moniki zachowywał się jak chory na schizofrenię... albo jak człowiek zaszczuty, któremu nie zostało wiele dróg ucieczki.

## Moskwa, 2014

Pułkownik Kuzniecowa nadzorujący operację Lunatyk zmarł w roku 1999, mniej więcej w tym czasie, w którym prezydent Federacji Rosyjskiej Borys Jelcyn z powodu skandalu korupcyjnego został zmuszony do złożenia urzędu. Kuzniecowa, który był pierwszym dyrektorem rosyjskiej filii Geobanku w Moskwie, osobiście przekazywał łapówki na konto żony i córki Borysa Nikołajewicza. Jelcyn, pierwszy prezydent demokratycznej



Rosji, miał być zarazem jej ostatnim demokratycznym przywódcą. W Geobanku już opracowano plan na wypadek upadku Jelcyna, za który zresztą paradoksalnie odpowiedzialny był właśnie sam Geobank, powstała w 1990 roku firma o zachodnim rodowodzie. Mało kto wiedział, że bank ten założono za pieniądze, które grupa oficerów GRU ukradła ZSRR. Ludzie ci wiedzieli, że Gorbaczowska pierestrojka nieuchronnie pociągnie za sobą destrukcję Związku Radzieckiego, a oni chcieli przetrwać jako siła mająca bezpośredni wpływ na władze Rosji.

Po przegranej wojnie w Czeczenii rosyjska armia skompromitowała się nie tylko w oczach śledzącego konflikt Zachodu, lecz również w oczach twardogłowych z dawnego KGB i wojskowych. Jelcyn był słaby i należało go usunąć. Zastrzelenie prezydenta Federacji Rosyjskiej byłoby niebezpiecznym precedensem, dlatego grupa oficerów w powiązaniu z Geobankiem, instytucją finansową będącą poza wszelkim podejrzeniem, uknuła intrygę, by pozbyć się skompromitowanego pijaka Borysa Jelcyna. Szkopuł tkwił jednak w tym, żeby Jelcyn sam się usunął. Gdy Geobank przekazał łapówkę jego żonie i córce, prezes tej firmy, Peter Vogel, przez swoje kontakty z zachodnimi dziennikarzami przekazał informacje o tym do niemieckich i francuskich gazet. Rozpętała się wielka burza medialna, która zmusiła prezydenta do ustąpienia. Jelcyn kupił sobie jednak nietykalność. Poszedł na układ z ludźmi z GRU, którzy mieli swojego kandydata na sprawowany przez niego urząd.

Nowy prezydent Federacji Rosyjskiej, Władimir Władimirowicz Putin, choć kiedyś był funkcjonariuszem KGB, a nie GRU, należał do grupy oficerów planujących operację Lunatyk. Swoim pierwszym dekretem prezydenckim ułaskawił Jelcyna, zapewniając mu nietykalność osobistą oraz bezkarność dla rodziny. Geobank stał się pierwszoplanowym partnerem

państwa rosyjskiego. Bank miał doskonałą prasę. Co za przenikliwość, mówili dziennikarze „Die Zeit”, opiniotwórczej niemieckiej gazety, by w czasie, gdy odeszły demony zimnej wojny, podać Rosji rękę ponad podziałami, budować wspólną przyszłość! Peter Vogel, prezes Geobanku, chętnie udzielał wywiadów, myśląc o tych wszystkich nędznych dziennikarzach, że to pożyteczni idioci – tak jak mówił Lenin. Geobank szybko stał się monopolistą na rynku energetycznym. Na czele jego spółek córek stanęli ludzie powiązani z dawnymi komunistycznymi służbami specjalnymi, jak Janusz Gozdawa w Polsce czy oficer Stasi, Udo Genske, na terenie Niemiec, teraz wpływowy członek rady nadzorczej niemieckiej filii Geobanku. Stosunki banku z Rosjanami były nie tylko wzorcowe, ale i przynoszące korzyści obu stronom. Lata 2003–2014 były okresem rekordowych cen ropy naftowej, co wiązało się z wojną w Zatoce Perskiej. Geobank i Rosja podwajały zyski, a bank powoływał następne spółki córki, by ukryć swą prawdziwą naturę.

I nikt na Zachodzie nie miał pojęcia, że Geobank i skorumpowany polityk rządzący Rosją to dwie gałęzie tego samego drzewa.

## **Warszawa, cmentarz na Bielanach, 2014**

Choć Max obawiał się spotkania ze szwagrem, to, stojąc przy grobie Moniki, po raz pierwszy od tylu lat czuł, że wraca do życia. Miał przed sobą jasno określony cel. Dowiedzieć się, dlaczego zginęła. Mogli mieć dzieci, prowadzić normalne życie. Ktoś im to odebrał, a on musi odkryć dlaczego. Przyniósł na grób żony tulipany w kolorze écru. Monika bardzo je lubiła.

Spojrzał na Andrzeja. Nie poznałby go na ulicy. Brat Moniki wyraźnie utył i miał teraz włosy przyprószone siwizną.

– Dwadzieścia lat to szmat czasu – powiedział Andrzej, który zapamiętał szwagra jako wysportowanego, silnego chłopaka. Tymczasem mężczyzna, który przed nim stał, mógłby być prezesem jakiejś dużej zachodniej firmy. – Długo nie mogłem ci darować, że wtedy uciekłeś.

– Ja wciąż nie mogę sobie tego darować – odparł Max. – Powiniennem się pomodlić nad jej grobem, ale nie potrafię.

– Przede mną nie musisz się usprawiedliwiać. Powinieneś się usprawiedliwić przed nią. – Andrzej wskazał grób siostry.

– Ona nie żyje. Nie ma jej – rzucił cicho Max.

– Ja widzę to trochę inaczej. Zastanawiałeś się, dlaczego do tego doszło? Myślę, że to ty byłeś celem tej bomby. Usiądźmy. – Obok grobu stała mała ławka. – Mama lubiła tu czasem siadać. Ona nigdy ci nie wybaczyła, że zostawiłeś nas z tym wszystkim.

– A ty? – spytał Max, siadając obok Andrzeja.

Ten popatrzył na niego przenikliwie.

– Gdybym ci nie wybaczył, nie napisałbym do ciebie e-maila. Przyleciałeś. Musimy wyrównać rachunki – powiedział, pokazując mu czarny skórzany neseser, i zaczął opowiadać.

Śmierć Moniki miała według niego związek z „samobójstwem” ich ojca po aferze lustracyjnej w 1992 roku, kiedy obalono prawicowy rząd Olszewskiego. Przez lata Andrzej nie rozumiał, co łączy te dwie śmierci, pozornie niemające ze sobą nic wspólnego. Wreszcie doszedł jednak do wniosku, że klucz do ich zrozumienia tkwi w przeszłości Władysława Skotnickiego, czułego i wspaniałego ojca, który przez dwadzieścia lat prowadził podwójne życie.

W końcu doszedł do kapitana SB Kazimierza Wiśniaka, który prowadził jego ojca. W połowie lat osiemdziesiątych Wiśniak zniknął z resortu, ale

uścisk bezpieki pozostał nawet wtedy, kiedy upadł mur berliński i oficjalnie PRL została pogrzebana. To właśnie ludzie z dawnej SB u progu nowej III Rzeczypospolitej umożliwili Władysławowi Skotnickiemu zrobienie kariery w polityce i biznesie. Wszystko przerwała jego samobójcza śmierć.

Max nie rozumiał polskiego piekiełka, kiedy przyjechał do Warszawy na początku lat dziewięćdziesiątych, i nie rozumiał tego teraz.

– Przecież tak chyba nazywa się arcybiskup... – powiedział, kiedy Andrzej, mówiąc o swoich poszukiwaniach w archiwach, wymienił nazwisko Morawskiego.

– Mnie to też zdziwiło. Dlatego poszedłem do niego na rozmowę.

– Przyznał się?

– Żartujesz?! Zapytał mnie, czy jestem obrzezany, bo tylko Żydzi i masoni plują na matkę Kościoła. I od momentu, gdy od niego wyszedłem, wszystko, co robiłem, było złe.

– Stosował mobbing? – dopytywał się Max.

– W Kościele oficjalnie mobbing nie istnieje, bycie posłusznym wobec przełożonego, nawet wtedy, kiedy zaczyna cię wykańczać psychicznie, jest uważane za cnotę. Pozwól, że opowiem ci dalej.

Andrzej uznał, że pamiętnik ojca i zapisane w nim tropy są pierwszorzędnym materiałem na głębokie studium analityczne. Zaczął grzebać w archiwum IPN-u, mimo że akta Trzeciego Departamentu SB, który zajmował się zwalczaniem Kościoła, zostały przez esbeków przetrzebione. Ogromną część materiałów spalono, ale twierdzenie, że te źródła przepadły, jest bzdurą. SB była bardzo systematyczna i zapobiegliwa, więc większość cennych materiałów operacyjnych została zmikrofilmowana. Tak też się stało z aktami TW Augustyna, którego Andrzej zidentyfikował jako arcybiskupa Morawskiego. Na początku

kwerendy Andrzej nie wiedział, kim był ksiądz zarejestrowany jako TW Augustyn. Gdy jednak natrafił na informację, że w zwerbowaniu Augustyna brał udział jego ojciec, zastanowił się nad życiem arcybiskupa, który wielokrotnie podkreślał w swoich wystąpieniach w katolickim radiu Prawda, że swoją posługę dla Boga, Kościoła i ojczyzny zaczynał w Krakowie. Andrzej zadzwonił do znajomego archiwisty przy krakowskiej kurii arcybiskupiej i poprosił, by ten odnalazł informacje, w jakiej parafii i w jakich latach ksiądz Tymoteusz Morawski służył jako wikary. Kiedy archiwista oddzwonił z informacją, Andrzej zyskał pewność, że młodym księdzem, który zachorował na chłoniaka i leczył się w Berlinie Zachodnim, był ksiądz Morawski. Okazał się niezwykle cennym współpracownikiem. Penetrował Kościół, pomagając zwalczać niepokornych duchownych i podziemną Solidarność. To od SB wyszedł pomysł, by ksiądz pojechał na stypendium do Rzymu, którym arcybiskup się teraz szczycił.

– Dlaczego te dokumenty nie zostały zniszczone? – zapytał zdziwiony Max, który nie pojmował, dlaczego oficjalnie zniszczono dokumenty, które wcześniej zostały skopiowane.

– Bo tak wygląda władza. Ale nie ta urzędowa, administracyjna, lecz władza tych, którzy stoją za tym, co dzieło się i dzieje w polskiej polityce. Skoro ktoś dał się złamać raz, będzie go można złamać ponownie. Tak jak napisano w Ewangelii: jeśli jeden z demonów zostanie wyrzucony, idzie na pustynię i mówi sobie „dobrze mi tam było”, więc wraca z siedmioma innymi, gorszymi jeszcze niż on.

– Nie wierzę w demony – rzucił Max.

– Nie ma znaczenia, w co wierzysz – odparł Andrzej. – Zrozumiałem sprawę, w którą wdepnęliśmy wiele lat temu, właśnie przez studiowanie

sprawy TW Augustyna. Zło, w którym zanurzył się mój ojciec, uderzyło także w nas.

Następnie opowiedział, jak wpadł na pomysł tego dużego artykułu naukowego i jego publicystycznej wersji, nieprzeładowanej bibliografią i przypisami. W mikrofilmie teczki TW Augustyna znalazł notatkę służbową. Podpisu osoby, która ją sporządziła, niestety nie dało się odczytać. Mikrofilm przeleżał w kartonowym pudle wiele lat, mógł więc wyblaknąć. Z notatki wynikało jasno, że kapitan Kazimierz Wiśniak został włączony do operacji Lunatyk. Notatka była nad wyraz lakoniczna i nie pasowała do innych dokumentów dotyczących TW Augustyna. Kierując się swoją intuicją historyka, Andrzej doszedł do wniosku, że musiała się tam znaleźć przez pomyłkę. Na mikrofilmie zachowały się także plamy, które powstały na oryginalnej kartce papieru. I najistotniejsze: datowano ją na czerwiec 1986 roku.

– To by się zgadzało z tym, co ojciec napisał w pamiętniku – ciągnął Andrzej. – Że w połowie lat osiemdziesiątych kapitan Wiśniak po prostu zniknął.

– Operacja Lunatyk? – zdumiał się Max. – Słyszałeś o czymś takim? Znasz historię tego kraju lepiej ode mnie.

– Złożyłem w redakcji artykuł o tym.

Max miał tak zwany „nos” gliniarza, który odezwał się w nim, gdy tylko Andrzej skończył opowiadać, do czego doszedł. Znaleźli esbeka! Przypomniawszy sobie, że po śmierci Władysława Skotnickiego on i Andrzej bardzo się nim interesowali. Miał z tego powodu nieprzyjemności w warszawskim biurze Interpolu. Skojarzył te fakty natychmiast.

– Ten artykuł to doskonały pomysł. Wypłoszy ich. Będzie sygnałem, że coś zaczyna się dziać. Nie znamy tak naprawdę naszych przeciwników.

Andrzej popatrzył na niego jak na naiwniaka.

– Nieprawda. Wiemy doskonale, kim oni są.

– Więc powiedz mi, proszę.

– To esbecy. Ci sami ludzie, którzy gnoili ten kraj przez lata, doprowadzając takich jak mój ojciec do stanu upodlenia. Oni tylko zyskali na oddaniu władzy w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Przeszli do biznesu, podpierając się swoimi kontaktami we wszystkich krajach, które oficjalnie obaliły rządy komunistyczne, co ułatwiło im start. Wiesz, co myślę naprawdę? Ze powodu śmierci Moniki trzeba szukać w kręgach biznesu i polityki lat dziewięćdziesiątych. Tam gdzie esbecy starali się zachować wpływy. Jej śmierć powinna być dla nas znakiem, że trafiliśmy wtedy na ślad niezwykle ważnego człowieka. Ale wracając do twojego pytania, nie wiem, czym była operacja Lunatyk. Sprawdziłem wszystko.

– Mówiłeś komuś o tym, do czego doszedłeś?

Andrzej się zamyślił.

– Powiedziałem arcybiskupowi, że natrafiłem na ślady jego współpracy z bezpieką. Wspomniałem o projekcie artykułu mojemu promotorowi, który potem z niejasnych dla mnie przyczyn zakończył ze mną współpracę. Jest jeszcze trzecia osoba.

– Kto? Bo to o dwie za dużo.

– Trzecią osobą jesteś ty. Powiedziałem o tym wszystkim tobie, Max.

– Niepotrzebnie chlapałeś na uczelni o tym artykule.

– Nie masz racji. Mój profesor jest antykomunistą i robię doktorat na katolickiej uczelni.

– To właśnie mnie niepokoi. Skoro jednak złożyłeś już artykuł w redakcji, to dobrze. Przydałby się nam też jakiś tekst w dużym dzienniku w Polsce, taki, który przyciągnąłby czytelników. Artykuł naukowy jest

dobry, można się na niego powołać, ale sensacyjny materiał w gazecie o dużym nakładzie to byłoby coś.

– Jest jeszcze jedna sprawa, Max – powiedział Andrzej, kiedy zbierali się już do opuszczenia cmentarza. – Jestem suspendowany.

– Opowiesz mi o tym w drodze do domu.

– Czyjego?

– No, twojego... – odparł skonsternowany Max.

– Nie mam domu.

– Jak to nie masz?!

– Jestem suspendowany – powtórzył Andrzej. – To znaczy, że nie mogę chodzić w sutannie, nie mogę odprawiać mszy i żaden ksiądz nie może mnie ugościć. Nie mogę też mieszkać na plebanii w mojej dawnej parafii.

– Mielicie przecież mieszkanie po rodzicach – przypomniał mu Max.

– Mieszkała w nim mama. Kiedy umarła, sprzedałem je. Nie było mi potrzebne. Pieniądze rozdałem potrzebującym w parafii.

– Jesteś bezdomny?

– Właściwie tak. E-maila do ciebie wysłałem z biblioteki miejskiej.

Bezdomny ksiądz, esbecy, arcybiskup agent, śmierć Moniki przywołana jak w filmie odtworzonym z pamięci komputera... To stanowczo za dużo jak na pierwszy dzień w Polsce, pomyślał Max.

★

W Genewie odbył się coroczny bal charytatywny, w którym uczestniczyli prezesi i członkowie zarządów największych banków w Europie. Byli także goście z Nowego Jorku i Dubaju. Obowiązywała zasada – zero rozmów o pracy. Bankierzy chcieli się bawić. Bilet kosztował – bagatela! – sto tysięcy dolarów, które były przeznaczone na cele dobroczynne, a konkretnie dla głodujących dzieci w Afryce. Oczywiście



nikt z obecnych na tym balu nie widział dziecka z Darfuru konającego z głodu ani nie trzymał za rękę malca umierającego na ebolę w Sierra Leone. Zabawa powinna być doskonała, ale samopoczucie tych, którzy tak szczerze obdarowują innych, równie dobre.

Prezes Geobanku, Peter Vogel, zaprezentował się wspaniale. Zwrócił powszechną uwagę idealnie skrojonym smokingiem, zegarkiem Patek Philippe za pół miliona euro, ale przede wszystkim partnerką. Jego towarzyszka była niezwykle powabną blondynką, w sukni od Armaniego. Wyglądali naprawdę elegancko, niczym młodzi bogowie, choć akurat w przypadku Vogla słowo „młody” może nie było najszcześniejsze. Nikt z gości, patrząc na nich, nie domyśliłby się, że podjęli decyzję o rozstaniu. Ambitna dziewczyna, skupiająca się na karierze dziennikarskiej, nie była stworzona do stałego związku, a Vogel nie należał do najłatwiejszych partnerów.

Na balu pojawiło się wiele osób, które znał. Opuściwszy na chwilę swoją towarzyszkę, wpadł na jedną z nich.

– Proszę, panie prezesie, czyżby nie poznawał pan starych znajomych? – zapytała Rosjanka zasiadająca w radzie nadzorczej Gazpromu. Mówiono, że nie przespała się jedynie z papieżem. Władza i pieniądze pozwalają uwolnić się od tak mieszczańskich pojęć jak moralność.

– Oczywiście, że panią poznaję – odparł. – Ale nosiła pani wtedy inne nazwisko.

– Doprawdy? – zachnęła się Rosjanka w równie olśniewającej sukni, co partnerka prezesa. – A pod jakim nazwiskiem pan mnie znał?

– Dos Santos, Jasmine dos Santos.

Rosjanka zacisnęła zęby. W tym samym momencie do Vogla podeszła jego piękna i młodsza o ponad dwadzieścia lat dziewczyna.

– Kochanie, czy mógłbyś nas przedstawić?

– Nie ma potrzeby – powiedział. – Pani Jasmine dos Santos właśnie odchodzi. Przepraszamy panią bardzo.

Blondynka posłała Rosjance niewinny i czarujący uśmiech, ale wcale nie było jej do śmiechu. Po chwili razem ze swoim towarzyszem zniknęła w tłumie zaproszonych na bal VIP-ów.

Nadieżda Kuzniecowa, która pomogła Wiśniakowi alias Małysiakowi w zniknięciu w roku 1988, poczuła się upokorzona, zwłaszcza że wcale nie miała ochoty na romans z nim. Lubiła młodszych mężczyzn, a takich mogła mieć w Rosji bez liku. Nie widziała się z Wiśniakiem wiele lat. Kiedy opuścili Nigerię, każde z nich poszło w swoją stronę. Mocodawcy operacji Lunatyk mogli być spokojni, że wszystko idzie w zamierzonym kierunku, a Nadieżdy nie interesowało życie na Zachodzie. Gardziła nim. Czuli się przede wszystkim Rosjanką, patriotką. W latach Jelcyna pracowała w cieniu, zakładając z ojcem rosyjską filię Geobanku. Pomagała pewnemu politykowi w Petersburgu wypłynąć i ukryć korupcyjne powiązania, dzięki którym dorobił się majątku.

Na Kremlu była uważana za szarą eminencję. Gdy anektowano Krym, na uroczystości w Sali Gieorgijewskiej na Kremlu stała niedaleko Putina. Należała do kobiet, które nie wybaczą zdrady, a byłym kochankom – upokorzenia. Nie wiedząc o tym, Peter Vogel zrobił sobie na Kremlu wroga.

## Rozdział czternasty

### **PROCEDURA**

#### Belgia, Leuven, 2014

Kiedy Elisabeth van Kerkhoven, córka belgijskiego przedsiębiorcy z Konga, się usamodzielniała, zerwała kontakty z rodzinnym domem. Ze świetnym wynikiem skończyła studia w Leuven i we Frankfurcie nad Menem. Jako studentka miała opinię bezwzględnej karierowiczki. Pracując w redakcji „Economist”, wyrobiła sobie renomę jako dziennikarka zajmująca się przede wszystkim finansami międzynarodowymi. Dziennikarstwo nie było jednak jej jedyną profesją.

Po zamachach jedenastego września 2001 roku pojechała do Londynu na panel poświęcony zagadnieniom bezpieczeństwa. Wszyscy byli wówczas bardzo poruszeni tragedią w Nowym Jorku. Po panelu, podczas którego wdała się w ząartą dyskusję z wysokim komisarzem ONZ i zaprezentowała się jako osoba bardzo dociekliwa, dysponująca dogłębną wiedzą o finansowych aspektach terroryzmu, zagadnął ją nieznajomy mężczyzna.

Nie miała pojęcia, kim był. Wyglądał jak menedżer lub pracownik banku. Elegancki garnitur, krótko przystrzyżone ciemne włosy, doskonała woda kolońska. Pochwalił ją za wystąpienie i zaproponował nawiązanie współpracy. Nie zostawił wizytówki, po prostu zaprosił ją na kawę.

– Jeśli się pani zgodzi, przejdzie pani tutaj w Londynie kilka egzaminów z logiki i matematyki. Sprawdzimy pani odporność na stres w różnych sytuacjach. Jeśli przejdzie pani testy, zaoferujemy współpracę. Jeżeli się pani nie zgodzi, zaraz zniknę i już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Elisabeth była kompletnie zaskoczona.

– Ale dla kogo konkretnie miałabym pracować?

– Konkretnie dla mnie. Naprawdę możemy pani pomóc w karierze, ale możemy też zaszkodzić, zwłaszcza że pani ojciec nie prowadził w Kongu czystych interesów.

– Czy pan jest z rosyjskich służb wywiadowczych? – zapytała Elisabeth wprost.

Nieznajomy parsknął śmiechem.

– A wyglądam na kogoś takiego? Gram w innej drużynie. Kiedy pani się namyśli, proszę przyjść pod ten adres o podanej godzinie.

Mówiąc to, mężczyzna podsunął jej małą karteczkę. Pożegnał się i zniknął wśród uczestników panelu. Elisabeth była tym wszystkim szczerze podekscytowana. Na pewno jakiś wywiad zwrócił na mnie uwagę, pomyślała. Wiedziała, że agencje wywiadu, śledząc ruch w internecie, wyłapują nazwiska zdolnych dziennikarzy i naukowców, którzy mogą się im przydać.

Poszła pod wskazany adres w Londynie. Był to budynek jakiejś firmy konsultingowej, ale Elisabeth zdawała sobie sprawę, że to tylko przykrywka. Egzaminy przebiegły spokojnie. Pisała testy w zamkniętym pokoju, a wszędobylskie kamery śledziły każdy jej ruch.

Potem przytrafiały się jej różne dziwne rzeczy, jak zgubienie dokumentów, które nagle się odnalazły w innej dzielnicy Londynu. W Szkocji, w znajdującym się na uboczu hotelu, przeszła test sprawności fizycznej. Już miała pewność, że chodzi o wywiad, nie wiedziała tylko, czy brytyjski, czy amerykański. Zgodziła się zostać uśpionym agentem do specjalnych zleceń. Nie miała skrupułów w takich sprawach jak seks, pieniądze i własna kariera.



Po latach zmagania z problemami finansowymi Elisabeth poznała bardzo bogatego finansistę, który wspaniałomyślnie zaproponował, że będzie opłacać pobyt jej ojca w domu opieki. Właściwie to ona poderwała jego. Jako dziennikarka „Economist” poleciała na konferencję związaną z krachem na giełdach w roku 2008. Tam go poznała. Był szefem wielkiego banku. Po pierwszej randce poszli do łóżka i choć on był od niej starszy, był całkiem niezłym kochankiem. Postanowili kontynuować niezobowiązujący związek na odległość. Czasem ona przyjeżdżała do niego, czasem on ją gdzieś zabierał, na przykład do Nowego Jorku, jak wtedy, w czerwcu 2014 roku, kiedy poznała Maxa.

Na pogrzeb ojca przyleciała z Nowego Jorku. Guillame van Kerkhoven zmarł w ośrodku dla osób sparaliżowanych prowadzonym przez zakonnice. Ukochany i wiecznie nieobecny ojciec został przed ponad trzydziestu laty okaleczony w jakiejś strzelaninie w Nigerii. Kiedy jej matka ściągnęła go do Belgii, okazało się, że z wielkiego majątku van Kerkhovenów pozostały tylko długi, a opieka nad sparaliżowanym mężem sporo kosztowała.

Gdy prawnik Guillame’a van Kerkhovena przekazał jej matce wiadomość o tragicznym wydarzeniu w Afryce, Elisabeth niewiele rozumiała. Była małym dzieckiem, żyjącym w swoim własnym świecie. Matka przywiozła ojca z Afryki samolotem wynajętym specjalnie do tego celu, z aparaturą potrzebną do podtrzymywania życia. Ojciec wymagał operacji, a w warunkach, jakie panowały w nigeryjskich szpitalach w połowie lat osiemdziesiątych, przeprowadzenie jej w Lagos równałoby się śmierci. W szpitalu uniwersyteckim w Leuven uratowano mu życie, ale właściwie stał się warzywem.

Elisabeth odzyskała wprawdzie ojca, którego tak jej brakowało, lecz

nawiązanie z nim kontaktu okazało się niemożliwe. Sparaliżowany od pasa w dół, z bezwładną ręką, nie mógł sam jeść ani się umyć, nie mówił. Żona nie była w stanie sama się nim opiekować... a może po prostu nie chciała. Ich małżeństwo już od dawna było czystą fikcją, czuła się zaniedbywana przez męża, który większość czasu spędzał w Afryce, i nie miała wątpliwości, że nie żyje tam w celibacie. Czy w takiej sytuacji ktoś mógłby oczekiwać od niej, że zrezygnuje z własnego życia i poświęci się opiece nad mężem? Oczywiście oczekiwała tego Elisabeth, ale nie mogła przecież zmusić matki do heroizmu. I tak Guillame van Kerkhoven został umieszczony w ośrodku opieki prowadzonym przez polskie zakonnice.

Kiedy jego córka dorosła, zapragnęła nawiązać z nim kontakt. Próbował pisać na kartce, ale wychodziły tylko bazgroły. Elisabeth za pierwsze większe pieniądze kupiła więc ojcu wózek z automatycznie wbudowanym ekranem i dużą klawiaturą, w którą mógł stukać palcem lewej ręki.

WYBACZ MI CÓRECZKO

To były pierwsze słowa, jakie napisał.

Elisabeth rozplakała się. Uważała siebie za kobietę bezwzględnie dążącą do celu, ale widok sparaliżowanego ojca wzruszył jej twarde serce. Zawsze pragnęła to usłyszeć. Chciała, by ją przeprosił za wszystkie te lata, kiedy „tatuś pracował w Afryce”. Wybaczyła.

A potem napisał:

POMÓŻ MI ODNALEŹĆ CZŁOWIEKA KTÓRY MNIE TAK URZĄDZIŁ

Warszawa, 2014

Max wyszedł z założenia, że mieszkanie w pokoju hotelowym z bezdomnym facetem nie jest dobrym pomysłem. Wynajął zatem

mieszkanie w młodzieżowym squacie na Pradze. Jeśli mieli do czegoś dojść w tym prywatnym śledztwie, powinni nie rzucać się w oczy. Na szczęście jego karta kredytowa miała magiczną moc, więc Andrzej zaczął wyglądać tak, jak przystało na mężczyznę w jego wieku. Max zainstalował router, a dzieciaki ze squata – zapaleni informatycy – zapewniły mu świetną ochronę przez *firewall* i oprogramowanie antyszpiegowskie. Poradził także Andrzejowi, żeby łączył się z internetem przez sieć Tora, która przekierowywała połączenia wychodzące komputera, dzięki czemu namierzenie go stawało się trudniejsze.

– Używają tego dziennikarze w krajach, gdzie nie ma wolności słowa – wyjaśnił.

– A w Polsce jest? – zapytał Andrzej.

– Ty mi powiedz. To nie jest mój kraj – odparł Max i dodał: – W każdym razie bezpieczne połączenie jest podstawą każdego śledztwa.

Zsynchronizował także swój smartfon z nowym zabezpieczonym routerem i wytłumaczył Andrzejowi, że kiedy po śmierci Moniki nieporadnie próbowali się dostać do tej esbeckiej bandy, która ją zabiła, byli prawdopodobnie podsłuchiwani. Teraz to oni mieli zaatakować. Przeciwnik ukrywał się w gąszczu połączeń internetowych, kont na portalach społecznościowych, powiązań firm i banków. Mieli tę przewagę, że tamci nie spodziewali się ataku z ich strony.

Artykuł Andrzeja, który miał wypłoszyć wroga, został złożony w redakcji już kilka miesięcy temu. Andrzej ponaglił wydawcę i niecały tydzień po przylocie Maxa do Warszawy trzymali w rękach egzemplarz czasopisma naukowego z artykułem o tajnej operacji SB wymierzonej w Kościół. Nie padło nazwisko arcybiskupa, aby nikt nie posądził Andrzeja o chęć prymitywnej zemsty na przełożonym, ale wszystko wskazywało na

Morawskiego. Autor, powołując się na dostępny materiał źródłowy, sugerował, że TW Augustyn jest arcybiskupem i odgrywa ważną rolę w Konferencji Episkopatu Polski. Z imienia i nazwiska wymienił tylko zdrajcę – za co nie groziły mu żadne konsekwencje, bo był nim jego ojciec, Władysław Skotnicki – oraz dwóch esbeków figurujących w aktach IPN-u: pułkownika Janusza Gozdawę i kapitana Kazimierza Wiśniaka, który zniknął z archiwów dawnego MSW i został włączony do operacji Lunatyk.

– To przeczytają tylko historycy – zwrócił się Max do szwagra. – A my chcemy, żeby przeczytało o tym jak najwięcej ludzi. Masz jakichś znajomych dziennikarzy?

– Głównie z mediów katolickich. Nie pomogą nam z powodu mojej suspensy.

– A kogoś z normalnej gazety?

– Nie. A ty?

– Mnie przychodzą do głowy tylko dwie osoby. Pierwsza to koleżanka Moniki. Nazywała się chyba Agata Wróblewska.

– Znasz Wróblewską? – spytał Andrzej, wyraźnie poruszony. – Przecież to teraz szycha. Jest szefową serwisu informacyjnego największej prywatnej stacji telewizyjnej w Polsce. To byłaby bomba, gdybyś ją przekonał do naszej sprawy.

Max pomyślał, że rzeczywiście strasznie długo nie było go w Polsce.

– To ona wystawiła wtedy Monikę – powiedział. – Monika przed śmiercią zajmowała się jakąś aferą bankową i Agata, która najpierw sama podsunęła ten temat, przekazała jej wiadomość od szantażystów, że jeśli ona zostawi tamtą sprawę, oni zostawią nas w spokoju.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście?! – krzyknął oburzony Andrzej.

– Co by to wtedy zmieniło? Po śmierci Moniki jakoś mi to umknęło.



Byłem przekonany, że to ja miałem zginąć, i nie powiązałem tego ze śledztwem, które prowadziła. Myślę, że ta Agata Wróblewska jest mi coś winna.

– A ta druga osoba?

– To moja przyjaciółka z Belgii. Pracowała w nowojorskiej redakcji „Economist”. Tylko że nie odpowiada na moje e-maile i telefony, nie wiem, co się stało.

★

Po wielu miesiącach „konwersacji” z ojcem Elisabeth zapisała cały zeszyt. Były to pojedyncze zdania, często zupełnie wyrwane z kontekstu. Pamięć Guillaume’a van Kerkhovea, który przeżył poważne niedotlenienie mózgu, bardzo szwankowała.

– To cud, że pani ojciec w ogóle cokolwiek pamięta – powiedziała pielęgniarka zajmująca się jego rehabilitacją.

Elisabeth zauważyła, że ojciec żałuje swojej zażartej pogoni za zyskiem w Afryce, podczas której nie liczył się z niczym i z nikim. To dzięki niemu napisała książkę o niewolniczej pracy w kongijskich kopalniach złota, przez co zyskała sławę jako dziennikarka śledcza. Dzięki tej książce trafiła na staż do „Economist” i tam została.

Analizując urwane zdania ojca, strzępy zdarzeń, starała się uchwycić motyw zamachu na niego. Oczywiście czerpała też wiedzę z innych źródeł, co nie zawsze było proste. Najwięcej informacji zdobyła w Bibliotece Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w Londynie, która subskrybowała większość gazet wychodzących w byłych koloniach, gromadząc ogromny materiał dla socjologów, historyków czy kulturoznawców. Zamówiła sześć najpoważniejszych tytułów gazet wychodzących w Nigerii w czasie, gdy dokonano napadu na jej ojca. „Nigerian Times” pisał o tym, że amerykański

lobbysta zamordował kilka osób, aby przejąć kontrolę nad nigeryjskimi złożami ropy naftowej.

Pracując w Londynie, Elisabeth poznała kilka osób pochodzących z Nigerii. Kraj nad rzeką Niger zamieniał się w kolejne afrykańskie piekło, i to nie tylko za sprawą szaleństw i zbrodni popełnianych przez islamistyczne bojówki Boko Haram, ale z powodu zastraszającej biedy. Lagos było miastem większym od Londynu – w slumsach tej metropolii powstałej na terenach, z których wielkie koncerny wydobywały ropę naftową, mieszkało ponad sześć milionów ludzi. Elisabeth wiedziała, że Nigeryjczycy nie zyskali niczego, odsprzedając koncesje na wydobycie ropy, a tragedia jej ojca była tylko dowodem na to, jak zacięta toczyła się o nie walka.

W końcu stary Guillame van Kerkhoven napisał nazwiska wszystkich uczestników spotkania, podczas którego doszło do napadu. Jego wersja zgadzała się tylko częściowo z tą przedstawioną w nigeryjskich gazetach. Od czytania zeskanowanych artykułów na ekranie monitora bolały Elisabeth oczy, nie dawała jednak za wygraną. Według gazet, w willi w pobliżu Abudży zginęli turecki biznesmen, znany kongijski przedsiębiorca i polski attaché, a ciała amerykańskiego lobbyisty nigdy nie odnaleziono. Zapytała o to ojca.

**NIE BYŁO TAM ŻADNEGO POLSKIEGO DYPLOMATY** – napisał na klawiaturze ojciec.

**JA, NEWMARK I JEGO DZIEWCZYNA, HASSAN I KILKA AFRYKAŃSKICH  
TANCEREK**

Tancerek, akurat! – pomyślała. Znała mężczyzn zbyt dobrze, by nie wiedzieć, do czego służą tancerki w takim miejscu i podczas takiego

spotkania.

– Nie zauważyłeś niczego dziwnego?

NIE

NAPASTNIK STRZELIŁ DO MNIE

NIC NIE PAMIĘTAM

Elisabeth zastosowała prostą dedukcję: skoro ciała amerykańskiego lobbyisty nigdy nie odnaleziono, należy założyć, że został jednak zabity, chociaż podważało to tezę nigeryjskiej policji, która przyjęła, że to on odpowiadał za zorganizowanie napadu. Tylko co w takim razie miał robić tam attaché z polskiej ambasady? Jako dziennikarka dobrze wiedziała, że nie wszyscy jej koledzy są rzetelni i zdarza się, że mijają się z prawdą, jeśli jest ona niewygodna dla polityków czy biznesmenów. Elisabeth doszła do przekonania, że najbardziej prawdopodobny tok wypadków był jednak inny. A informacja o zabitym polskim dyplomacie była mataczeniem nigeryjskich władz, które próbowały coś ukryć. Nie wiedziała tylko, czego mogli szukać Polacy w Nigerii w roku 1988?

Przez prawie dwa lata Elisabeth van Kerkhoven była korespondentką w Warszawie, ale polskiego się nie nauczyła. Z tymi swoimi zbitkami głosek „szcz”, „dźdź” i „chrz”, przerastał jej możliwości językowe. Dowiedziała się trochę o Polsce i o tym, że pod koniec komunizmu w kraju były inne problemy niż ekspansja kolonialna w Afryce. Poznała w Warszawie różnych ludzi, dziennikarzy, polityków, artystów – większość z nich mówiła całkiem przyzwoicie po angielsku.

Zdziwiło ją, że „Nigerian Times” napisał o zabójstwie „polskiego dyplomaty”. Ani ten dziennik, ani żadna inna gazeta nie ujawniły jego nazwiska i nie zamieściły zdjęcia. Elisabeth znalazła natomiast fotografie

przedstawiające innego polskiego dyplomatę podczas żałobnej uroczystości w konsulacie w Lagos:

AMBASADOR KUDZIA PRZYJMUJE KONDOLENCJE  
OD GENERAŁA OBASANJO

Poszła z tym do ojca.

– Tato, to jest jedyny polski dyplomata, jakiego udało mi się odnaleźć w nigeryjskiej prasie.

Pokazała mu duży wydrukowany skan z gazety. Oczy ojca się ożywiły. Wystukał na klawiaturze:

TO NIE TEN  
TAMTEN MNIE SZANTAŻOWAŁ

– O czym ty mówisz? – zapytała zaintrygowana.

Zdenerwowany, nie potrafił szybko odpowiadać. Opiekująca się nim pielęgniarka, która właśnie weszła do pokoju, powiedziała, że na dziś już wystarczy.

Następnego dnia czuł się na tyle dobrze, że napisał o tym, że polski dyplomata, niejaki Małysiak (imienia ojciec nie pamiętał), szantażował go kilka tygodni przed napadem pod Abudżą.

POLACY CHCIELI KUPIĆ UDZIAŁY W POLACH NAFTOWYCH  
ALE NIE CHCIAŁEM IM NIC ODDAĆ  
POLSKA TO NĘDZNY KRAJ

Elisabeth widziała, że ojciec jest wściekły.

Ta dziwna aktywność polskich dyplomatów w Afryce pod koniec lat osiemdziesiątych – kiedy dyktatura generała Jaruzelskiego miała poważne problemy wewnętrzne, a w gospodarce Polski nastąpił krach – bardzo Elisabeth zastanowiła. W pierwszym odruchu wysłała list do polskiego

MSZ-etu z prośbą o sprawdzenie, czy w archiwum ministerstwa nie zachowały się jakieś dokumenty o takim dyplomacie i jego śmierci. Polacy odpowiedzieli, że w związku z upływem wielu lat nie mają żadnych informacji na ten temat.

Ojciec jednak się upierał.

POLACY KUPILI OBASANJO

PRZESŁALI DUŻY TRANSPORT BRONI DLA NIGERYJSKIEGO RZĄDU

– Tato, to niemożliwe, żadna polska firma nie ma udziałów w nigeryjskim piekole naftowym. Musiałeś coś pomylić.

WIEM CO MÓWIĘ

I wtedy Elisabeth przyszło do głowy, że ten Polak, Małysiak, mógł nie reprezentować interesów PRL-u, lecz działać w imieniu innego kraju. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym taka możliwość wydawała jej się bardziej prawdopodobna. Gdy sobie uświadomiła, o jaki kraj może chodzić, przeszedł ją dreszcz. Na studiach dziennikarskich chodziła na zajęcia profesora Timothy'ego Gartona Asha, który wprowadził ją w zagadnienia komunizmu i historii Europy Środkowo-Wschodniej. Potem wpadły w jej ręce znakomite książki Wiktora Suworowa czy Anne Applebaum. Elisabeth wiedziała co nieco o tej części świata.

Z każdym dniem nabierała większego przekonania, że polski dyplomata pracował dla Związku Radzieckiego. Miała zapytać o to ojca przy okazji następnej wizyty u niego, ale dostała telefon z Leuven z wiadomością, że zmarł.

★

Po pogrzebie wreszcie odpowiedziała na e-maila od Maxa, który dostała przed kilkoma dniami. Napisała, że właśnie pochowała ojca i przeżywa

ciężkie chwile. Nie czekała długo na telefon.

– Tak mi przykro, Elisabeth. Gdybyś mi powiedziała, przyleciałbym na pogrzeb.

– Jesteś kochany, ale wiesz, że nie lubię ostentacji.

– To nie ostentacja.

– Wybacz, nie miałam do tego głowy.

– Elisabeth, pamiętasz może naszą rozmowę w Central Parku o skazie, z którą żyjemy? – zapytał Max.

– Tak.

– Ja właśnie mierzę się ze swoją skazą. Jestem w Polsce, w Warszawie. Zamierzam rozwiązać sprawę śmierci mojej żony sprzed dwudziestu lat. Wolę o tym nie mówić przez telefon. Chciałbym, żebyś mi pomogła. A ja pomogę ci odnaleźć człowieka, który skrzywdził twojego ojca.

Cisza. Przez chwilę słyszał tylko ciężki oddech Elisabeth. Nie miał pojęcia, dlaczego wtedy tak nagle wyjechała, i chciałby się tego dowiedzieć. Kochał ją.

– Wciąż tu jestem – odezwała się po chwili. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Nie tłumacz się. Wybaczyłem ci nawet to, że mnie tak zostawiłaś bez słowa.

– Cieszę się. Wiem, że jestem podła.

– Nie jesteś. Kiedy mogłabyś przylecieć do Warszawy?

– Jak tylko się uporam z załatwieniem formalności związanych ze spadkiem po ojcu... to znaczy z długami po nim.

– Możesz przecież nie przyjąć spadku, wtedy nie przejmujesz też długów – poradził jej Max.

– Wiem. I chyba tak zrobię. Powinno mi się udać przylecieć do

Warszawy za kilka dni.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

★

Artykuł o tajnych, nielegalnych operacjach Służby Bezpieczeństwa PRL-u, opublikowany w prestiżowym naukowym periodyku, wbrew obawom Maxa został zauważony.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale to, co w Polsce trafia do internetu, oraz publikacje prasowe są pilnie analizowane przez zespół informatyków, matematyków i analityków Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nie mówi się o tym całkiem otwarcie, ponieważ są to działania tajne, bezpośrednio związane z bezpieczeństwem państwa. Zajmujący się tym ludzie, zwani researcherami, mają za zadanie sprawdzać internet oraz wszelkie publikacje pod kątem zmiennych danych i słów kluczowych. Po jedenastym września do stałego zestawu słów kluczowych, odmienianych przez wszystkie przypadki, trafiły te związane z Allahem, dżihadem i szeroko rozumianym zjawiskiem islamskiego fanatyzmu religijnego. W Polsce ABW miała własny zestaw słów kluczowych, w obrębie których prowadzono wyszukiwania. Jeden z researcherów, dość znudzony swoją pracą, znalazł artykuł, w którym pojawiły się słowa „operacja Lunatyk” oraz nazwiska dwóch esbeków. Nie wynikało to z nadgorliwości czy służalczości, po prostu musiał się wykazać jakimiś wynikami, żeby zarobić na chleb. Nazwisko autora artykułu zostało więc natychmiast przekazane do odpowiedniej komórki analitycznej. Kolejny pracownik sporządził notatkę i zgodnie z procedurą wysłał ją do urzędnika, który sprawdził, na jakiej podstawie pojawienie się tych dwóch nazwisk i kryptonimu operacji wzbudziło czujność researchera.

ABW powstała jako służba badająca zagrożenia wymierzone w bezpieczeństwo państwa i władzy po przełomie roku 1989, ale dawni funkcjonariusze SB, którzy pozytywnie przeszli weryfikację, zachowali w niej wpływy do czasu klęski postkomunistycznej lewicy zmiecionej po aferze Rywina. Gdy odeszli, część procedur została. Ktoś więc wpisał nazwiska Gozdawy i Małysiaka jako te, które mają być szczególnie chronione, nie mając pojęcia, jakie konsekwencje może przynieść taka decyzja.

Analityk ABW sięgnął po telefon i wykręcił numer. W słuchawce po dłuższej chwili odezwał się poważny, ochrypły męski głos:

– Słucham.

Pracownik ABW wypowiedział ciąg cyfr, które stanowiły identyfikację problemu. Zgodnie z procedurą ktoś, kto natrafiłby na informacje o operacji Lunatyk lub na nazwiska tych dwóch esbeków, powinien podać ten numer.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć jeszcze raz? – poprosił mężczyzna z ochrypłym głosem.

Analityk wypowiedział ten sam ciąg cyfr. Nawet dla żółtodzioba ABW oznaczało to, że nikt nigdy nie wdrożył tej procedury, stąd takie zaskoczenie rozmówcy.

– Dzwonię z ABW. Procedura do Lunatyka.

– Czy padły jakieś nazwiska? – Dopiero teraz tamten zdał sobie sprawę z wagi problemu.

– Wiśniak, Gozdawa, operacja Lunatyk.

– Kiedy?

– W tym tygodniu. W artykule w periodyku naukowym.

– Kto jest autorem?

– Andrzej Skotnicki, historyk. To chyba jakiś ksiądz, tak wynika



z notatki.

– Zajmijcie się nim. Proszę wysłać pocztą na adres podany w procedurze całe dossier skurwysyna.

– Pan jest z firmy? – zapytał analityk.

– Gównu cię to obchodzi. Masz postępować zgodnie z procedurą.

Pracownikowi ABW wydawało się, że zanim tamten przerwał połączenie, krzyknął „Kurwa mać!”. Zdumiony, bo nie spodziewał się połajanki, uznał, że najwyraźniej rozmawiał z kimś ważnym, z generałem w stanie spoczynku, może ministrem albo kimś z wojska. Mniejsza z tym, pomyślał. W ABW trzeba przestrzegać procedur i nie ma czasu na zadawanie zbędnych i nieprzynoszących pożytku pytań. Analityk włączył więc natychmiast bazę zawierającą dane wszystkich trzydziestu ośmiu milionów Polaków, którzy w cyfrowej przestrzeni serwera ułożeni byli pod numerami PESEL. Szybko odnalazł autora artykułu, sprawdził, czy płaci podatki, w jakiej firmie jest zatrudniony i jakie hasła wystukuje najczęściej w wyszukiwarce Google. Program za pomocą odpowiedniego logarytmu obliczał prawdopodobieństwo orientacji seksualnej, poglądów politycznych czy zapatrywań religijnych.

Tego dnia ABW wdrożyła procedurę przeciwko Andrzejowi Skotnickiemu, księdzu suspendowanemu przez arcybiskupa mazowieckiego, obecnie zameldowanemu w jednej z warszawskich parafii. Nikt nie zadał pytania: dlaczego? Takiego pytania w procedurze ABW nie było.

## Rozdział piętnasty

# JEGO EKSCYLENCJA

Człowiekiem, który tak bardzo zdenerwował się pojawieniem się w prasie wzmianki o operacji Lunatyk i nazwisk dwóch esbeków, był pułkownik Gozdawa. Od dziesięciu lat zajmował się pośrednictwem w handlu gazem i ropą naftową. Był też wiceprezesem do spraw organizacyjnych spółki PolEnerg, która pośredniczyła w tranzycie rosyjskiego gazu gazociągiem Jamał. Ujawnienie po tylu latach jego nazwiska w powiązaniu ze ściśle tajną operacją Lunatyk uderzało bezpośrednio w jego interesy oraz kontrakty spółek, dla których pracował.

Obawiał się także o coś innego, co mogłoby wyjść na jaw, gdyby ktoś zaczął się nim za bardzo interesować – doradzał polskiemu rządowi w budowie świnoujskiego gazoportu i dzięki znajomościom z czasów esbeckich wpływał na opóźnienie inwestycji.

W głowie Gozdawy zapaliła się czerwona lampka alarmowa. Koledzy z ABW zabezpieczyli jego interesy, obejmując je takimi samymi procedurami jak te związane z bezpieczeństwem państwa. Siedząc za biurkiem w willi w Mikołajkach, dostał całe dossier Andrzeja Skotnickiego: jego kontakty, życiorys, dosłownie wszystko, co jest potrzebne do pełnego prześwietlenia człowieka. Patrząc na jego wydrukowane zdjęcie, Gozdawa próbował sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach nadepnął na odcisk temu sukinsynowi. Zaraz... Skotnicki... Skotnicki... Skotnicki... I po chwili wszystko stało się jasne. Syn jednego z najlepszych tajnych współpracowników, jakich SB miała w opozycji w czasach PRL-u.

– Synek próbuje się zemścić – mruknął Gozdawa, zapalając kubańskie cygaro Cohiba. – Już po tobie, księżowski sukinsynu.

Kazał się zawieźć do Warszawy. W samochodzie, luksusowym audi A8, sięgnął po telefon satelitarny i zapowiedział się z wizytą arcybiskupowi Tymoteuszowi Morawskiemu, ordynariuszowi mazowieckiemu.

– W jakiej sprawie pan dyrektor pragnie rozmawiać z Jego Ekszelencją?  
– zapytał ksiądz sekretarz słodkim głosem.

– W sprawie bożej – odparł bez namysłu Gozdawa, który postanowił pomóc władzy kościelnej spalić na stosie heretyka.

★

W tym samym czasie Max udał się na spotkanie z dawną koleżanką żony. Bez problemu znalazł jej nazwisko w wyszukiwarce. Agata Wróblewska była szefową wieczornych wiadomości prywatnej stacji telewizyjnej rywalizującej z telewizją publiczną. Od czasu, kiedy razem z Moniką pracowały na Woronicza, minęło wiele lat. Agata się zmieniła. Rozwiodła się z mężem, Krzysztofem Wróblewskim, który pod wpływem niepowodzeń w pracy zaczął zaglądać do kieliszka, ale że była już wtedy znaną dziennikarką, pozostała przy starym nazwisku. Syn Dominik, który chodził do gimnazjum, został z matką. Agata była gwiazdą medialną cieszącą się rzadko ostatnio spotykanym w tym środowisku autorytetem. Max postanowił przypomnieć się koleżance Moniki. Uważał, że Agata jest mu coś winna. Nie miał zamiaru jej oskarżać ani wywoływać w niej poczucia winy. Liczył na to, że jeśli ta kobieta ma choć trochę przyzwoitości, pomoże mu.

Pojechał do Śródmieścia, gdzie mieściła się siedziba telewizji, w której pracowała. Ochroniarze popatrzyli na niego spode łba, a dziewczyna siedząca w recepcji za nic nie chciała go wpuścić.

– Nie może pan tak po prostu zobaczyć się z panią redaktor naczelną – próbowała tłumaczyć po angielsku. – Mnóstwo ludzi chciałoby się z nią zobaczyć. Musi pan być umówiony.

– Dlaczego? Czy ona jest papieżem i wyznacza audiencje?

– Gdyby była papieżem Franciszkiem, zostałby pan pewnie przyjęty dzisiaj, ale ona nie ma w sobie nic z papieskości – powiedziała dziewczyna.

– I pani tutaj pracuje? – zdziwił się Max.

– Nie mam wyboru. Skończyłam niepotrzebne studia. Filozofię.

– Powinna pani stąd wyjechać.

– Pan nie jest Polakiem, więc pan tego nie zrozumie – odparła dziewczyna. – Kocham ten kraj.

Postanowił wykorzystać fakt, że w czasie tej rozmowy między nimi zaiskrzyło. W końcu dziewczyna dała się przekonać.

– Jakie mam podać nazwisko? – zapytała asystentka informacyjna, tak, zgodnie z plakietką, nazywało się jej stanowisko.

– Max, mąż Moniki. Twoja szefowa będzie wiedziała, o kogo chodzi.

Po chwili rozmowy ściszym głosem przez telefon dziewczyna spojrzała na niego i rzuciła:

– Może pan iść.

Zostawił ją osłupiałą, ponieważ nigdy dotąd nie zdarzyło się, by naczelna wiadomości przyjęła człowieka z ulicy. Nowoczesna winda zawiozła go na ostatnie piętro eleganckiego wieżowca, siedziby firmy medialnej. Agata Wróblewska zajmowała luksusowy gabinet ze wspaniałym widokiem na centrum Warszawy.

– Masz gabinet większy od owalnego pokoju. – Max nie silił się na ckliwe powitania.

– Cóż, takie czasy – powiedziała niepewnie Agata, trzymając palec na

przycisku alarmu.

Musiała czuć się niepewnie, widząc „ducha” sprzed dwudziestu lat. Max zachowywał się spokojnie. W swojej samotnej walce o prawdę o śmierci żony potrzebował sprzymierzeńca.

– Witaj, Agato. Pewnie dziwi cię, że mnie widzisz.

– Pamiętam o Monice. Nie miałam okazji ci powiedzieć, że bardzo mi przykro.

– Prowadzisz w tym kraju codziennie wieczorny serwis informacyjny, więc musisz się postarać, bo twoje słowa zabrzmiały mniej więcej w takim stylu: „Nie zabiłam twojej żony, więc czego tutaj chcesz, czarnuchu”.

Zabolą ją ta uszczypliwość. Czuła wyrzuty sumienia w związku ze śmiercią przyjaciółki, ale pod żadnym pozorem nie mogła się zgodzić na osądzenie o rasizm.

– Nie było cię długo w Polsce. Ten kraj naprawdę się zmienił – powiedziała z przekonaniem w głosie. – Siadaj. Co mogę dla ciebie zrobić?

Max usiadł naprzeciw Agaty. Na wielkim biurku stało oprawione w antyramę zdjęcie jej syna. Profesjonalne biurko szefowej. Laptopy, wielki ekran z lejącym cały czas programem NBC.

– Uważasz, że twój kraj się zmienił? Ja tak nie uważam i pozwól, że ci coś opowiem.

Zwięźle przedstawił to, do czego doszli razem ze szwagrem. Artykuł Andrzeja położył na stole. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest wiele, ale musiał znaleźć punkt zaczepienia. Celowo o Monice wspomniał dopiero na końcu. Chciał, by Agata sama połączyła z pozoru odległe od siebie wydarzenia.

– Czy teraz rozumiesz, dlaczego zginęła Monika i jaką rolę ty w tym odegrałaś?

– Jakie masz dowody, że arcybiskup jest umoczony we współpracę z esbecją? Nie twierdzę, że temat nie jest ciekawy, ale jeden artykuł zawieszono księdza to za mało. Znam księdza Andrzeja. Współpracowaliśmy z nim przy okazji kilku koncertów charytatywnych, co nie bardzo podobało się kurii. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy opublikowali materiał obciążający arcybiskupa?

– Co? Zwołają sobór?

– Gorzej. Katolicka prawica, która i tak przykłada naszej stacji, nie zostawi na nas suchej nitki.

– Przejmujesz się tym, co jacyś religijni fanatycy napiszą o tobie w swojej prawicowej prasie? Przecież wasza stacja jest filią amerykańskiej NBC. Mógłbym przez swoje kontakty w Stanach zmusić cię, żebyś się tym zajęła, ale moim celem nie jest wcale arcybiskup. Tylko ludzie, którzy stoją za operacją Lunatyk. Nic o niej nie wiemy.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Dasz mi kilku ludzi, którzy pomogą w śledztwie.

– Nie ma mowy. To nieprofesjonalne.

Wtedy Max oświecił ją, dlaczego, według niego, zginęła Monika. Sięgnął po szantaż emocjonalny. Powiedział, że Monika krótko przed śmiercią mówiła mu o swoich ostatnich rozmowach z przyjaciółką.

Kiedy skończył, Agata poprosiła przez interkom o szklanek wody i diabelnie mocne podwójne espresso, a potem ukryła twarz w dłoniach. Gdy przyniesiono jej kawę, wypila ją niemal duszkiem.

– Chcesz mnie wmieszać w jej zabójstwo? – spytała. – Po dwudziestu latach nie masz szans. Przedawnienie, nawet jeśli zachowałam się wtedy jak suka.

Max nie dał po sobie poznać, że nawet mu się spodobała ta nuta

samokrytycyzmu.

– Nie chcę ci szkodzić. Tego, co się stało, nie można już cofnąć. Chcę, żebyś sobie uświadomiła, że ktoś cię wykorzystał w złym celu. Nie winię cię. Zaczynałaś pracę w telewizji. Ciężka harówka, bez nadziei na kokosy. Rozumiem. Jednak w tym kraju pociągają za sznurki ludzie, którzy potrafią wykorzystać takie sytuacje jak twoja wtedy. Wiesz, kim są ci ludzie?

– Ty mi powiedz.

– Ci sami esbecy, którzy zabili mi żonę, skurwili ojca Moniki, zniszczyli Andrzeja, a dziś są w Polsce nietykalni.

Nastąpiła chwila milczenia. Agata powoli odzyskiwała spokój.

– Dobrze – rzuciła w końcu. – Pomogę ci, choć może mnie to kosztować karierę. Wiesz, dla kogo to robię? Dla Moniki. Zbliży się Boże Ciało, nasz reporter zapyta arcybiskupa o artykuł księdza Skotnickiego. Nie oskarżamy. Po prostu zapytamy. To nam wolno.

– Dziękuję – powiedział Max. – Zaczyna mi się podobać nasza współpraca.

– A to jest współpraca?

– To temat na bombę dziennikarską, nie mam co do tego wątpliwości.

– Skąd ta pewność?

– Instynkt detektywa. Wiesz czym może być ta sprawa?

– Czym.

– Polskim Watergate.

★

Pierwsze symptomy kryzysu światowego pojawiły się latem 2008 roku, kiedy zbankrutował wielki amerykański bank Lehman Brothers. Na Wall Street wybuchła panika, firmy brokerskie padały jedna po drugiej. Potem przyszedł Obama i zrobił coś dokładnie odwrotnego niż Hoover w roku

1929, mianowicie zwiększył podaż pieniądza. Amerykański Bank Rezerw Federalnych zaczął codziennie drukować miliony dolarów. Zasypać rynek pieniędzmi. Co z tego, że nie miały pokrycia w złocie. Rząd USA udzielił gwarancji i Ameryka w końcu zaczęła wychodzić z kryzysu. Tak samo uczyniła Europa, choć jej działania były utrudnione. Istniała unia walutowa bez unii gospodarczej i politycznej, więc zakres oddziaływania Europejskiego Banku Centralnego był ograniczony. Ale prezes Mario Draghi znalazł wyjście. Zaczął drukować miliardy euro, żeby pożyczyć je na zero procent innym bankom, które utopiły aktywa bankrutujących krajów jak Włochy, Hiszpania czy Grecja.

W roku 2014 prezes wielkiego banku z siedzibą w Genewie, Geobanku, miał inny kłopot. Kilka lat wcześniej musiał wyłożyć gigantyczne pieniądze dla rosyjskiego Gazpromu na budowę gazociągu pod Morzem Bałtyckim. Bank przetrwał to dzięki bardzo wysokim cenom ropy naftowej sięgającym stu dwudziestu dolarów za baryłkę. Katastrofa przyszła dopiero teraz.

Prezes Geobanku, obywatel Szwajcarii Peter Vogel, siedział w swoim gabinecie z wystrojem z drewna mahoniowego. Patrzył na ceny ropy Brent na giełdzie nowojorskiej. Monitor nie kłamał. Cena wynosiła siedemdziesiąt cztery dolary za baryłkę. Ani centa więcej. A tymczasem Arabia Saudyjska oznajmiła, że zwiększy wydobycie, więc cena na pewno jeszcze pójdzie w dół.

– Niech to szlag trafi! – zaklął głośno i cisnął filiżanką z miśnieńskiej porcelany o ścianę, rozbryzgując espresso.

Sekretarki usłyszały ten hałas i gdyby prezes mógł je widzieć, zobaczyłby, jak wymieniają kąśliwe uwagi w stylu: „To już trzecia filiżanka dziś rano”, „Pan prezes nie ma dzisiaj dobrego dnia”. Tyle że „dobrych dni” ostatnio naprawdę nie miał zbyt wiele. Akcje Gazpromu zaczęły pikować



w dół. Rosyjskie złoża, z których czerpał Gazprom, były wprawdzie bardzo bogate w surowiec, ale jego cena spadała, a zatem i aktywa banku zaczęły topnieć. Dziś rano prezesa zirytował telefon od jednego z wierzycieli banku, amerykańskiego funduszu inwestycyjnego. Przedstawiciel funduszu spytał, czy w związku z rozpalającym się konfliktem rosyjsko-ukraińskim aktywa Geobanku są bezpieczne. Agencja FED, oceniając w tym tygodniu wiarygodność różnych podmiotów ekonomicznych, obniżyła prognozę dla banku do poziomu B minus. A to było już bardzo źle. I do tego jeszcze e-mail na doskonale zabezpieczoną prywatną skrzynkę. Jej adres znał tylko krąg najbardziej zaufanych osób pozostających z Voglem w bliskiej relacji towarzysko-biznesowej.

Ten e-mail był jak list z za grobu. Nadawca z Polski przesłał mu plik PDF z artykułem pewnego księdza, który oskarżając swojego biskupa o współpracę z SB, połączył jego działalność jako TW z operacją Lunatyk.

W artykule tym padły nazwiska dwóch esbeków.

★

Ksiądz Andrzej Skotnicki został w wynajętym przez szwagra mieszkaniu sam. Max pojechał spotkać się z dawną koleżanką Moniki. Tego akurat dnia Andrzejowi było wyjątkowo trudno pogodzić się z decyzją, że nie może odprawić mszy. Mimo pełnego przekonania o moralnej słuszności swojej walki modlił się do milczącego ukrzyżowanego Boga, w którego wierzyło coraz mniej osób. Pragnął w jakiś cudowny sposób wrócić do swojego dawnego życia.

Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy. Andrzej przesunął palcem po ekranie dotykowym i odebrał połączenie. Gdy rozpoznał głos, ugięły się pod nim nogi.

– Czytałem artykuł księdza – powiedział arcybiskup Morawski. –

Oskarżył mnie ksiądz o rzecz straszną i nieprawdziwą. Nie byłem agentem esbecji. W tamtych trudnych czasach służyłem Bogu, Kościołowi i ojczyźnie. Zraniłeś mnie, ale jestem gotów ci wybaczyć.

Andrzej znał nowomowę, jaką posługiwał się arcybiskup, lecz był zaskoczony, że zadzwonił osobiście. Nigdy wcześniej tego nie robił. Wszystkie spotkania były zawsze wyznaczane za pośrednictwem kolegi Andrzeja z seminarium, który został sekretarzem Jego Ekscelencji i nosił za arcybiskupem teczkę.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie wierzę księdzu arcybiskupowi – odparł odważnie. – Bóg mi świadkiem, że pragnąłem tej rozmowy od wielu miesięcy.

– Właśnie dlatego, synu, chcę cię zaprosić na spotkanie. Pokażę ci dokumenty, które poświadczą, że nie zdradziłem, choć musiałem uczestniczyć w tych przykrych dla mnie rozmowach, żeby chronić Kościół. Chcę, mój synu, wytłumaczyć ci wszystko osobiście.

– Miło mi, że Ekscelencja zmienił zdanie. Doceniam to. Kiedy ksiądz arcybiskup chce się spotkać?

– Najlepiej dzisiaj. Klasztor kamedułów na Bielanych. Zna ksiądz to miejsce. Będę tam na księdza czekał.

– Dobrze. Dotrę tam za godzinę, może półtorej.

– Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, synu. Wiem, że jest ci ciężko – przekonywał arcybiskup. – Nie masz teraz żadnych dochodów. Wyślę po ciebie samochód. Gdzie jesteś?

W Andrzeju obudziły się podejrzenia; arcybiskup nigdy nie był taki miły.

– Wolałbym, aby nikt nie wiedział, gdzie jestem.

– Rozumiem, że mi nie ufasz. Masz prawo. Zbyt wiele zła wydarzyło się

między nami – powiedział Morawski. – Umówmy się w takim razie w jakimś konkretnym miejscu, skąd zabierze cię mój samochód.

– Pod Empikiem na Nowym Świecie.

– Dobrze, za godzinę.

Andrzej poczuł się niezmiernie szczęśliwy. Bóg go wysłuchał. Skruszył serce zatwardziałego grzesznika. Nie zastanawiał się nad śledztwem, nad Moniką. Ona na pewno chciałaby, żebym się pogodził z arcybiskupem. Tak myślał Andrzej, który w sercu nie przestał być wiernym księdzem. Spakował się. Wziął sto złotych z tych, które zostawił w mieszkaniu Maxa. Potem oddam, pomyślał. Odświeżył się, włożył nową koszulę. Wysłał do Maxa SMS-a z informacją, że jedzie na Bielany na spotkanie z arcybiskupem, i wyszedł z mieszkania.

## Rozdział szesnasty

### **MÓJ BRAT KAIN**

Max odebrał SMS-a od Andrzeja w chwili, kiedy opuszczał gabinet Agaty Wróblewskiej. Treść wiadomości go zaniepokoiła. Arcybiskup wydawał się jeszcze bardziej umoczonej we współpracę z SB, niż Andrzej mógł przypuszczać. Max, w przeciwieństwie do szwagra, zachował sporo dystansu wobec instytucji Kościoła. Postanowił jak najszybciej wrócić do wynajętego squatu, ale nie zastał w nim Andrzeja. Czekał przez cały dzień, lecz on się nie pojawił.

Następnego dnia rano również go nie było, więc Max zadzwonił do Agaty, która dała mu numer swojej komórki. Ksiądz, wyklęty przez arcybiskupa oskarżonego przez niego o współpracę z bezpieką w czasach PRL-u, znika. To bardzo dziwne. Max oczywiście łudził się, że zniknięcie szwagra można jakoś logicznie wyjaśnić. Tak też tłumaczyła mu Agata, która zdecydowała się na puszczenie w głównym wydaniu serwisu informacyjnego o godzinie dziewiętnastej materiału o sprawie arcybiskupa oraz zniknięciu Andrzeja.

Był to news!

Tego wieczoru w redakcji rozzwoniły się telefony. Ktoś widział księdza lub kogoś podobnego do niego w jakimś klubie nocnym. Ktoś inny na lotnisku. Jeszcze ktoś spotkał go w Blok Barze przy Alejach Jerozolimskich w towarzystwie bardzo młodego chłopaczka.

– Tak samo było, kiedy Urban kłamał po zniknięciu Popiełuszki – powiedziała Agata.

W serwisie publicystycznym była ostra jak brzytwa. Mówiła, że sprawa zniknięcia księdza Andrzeja musi zostać wyjaśniona, w przeciwnym bowiem razie na dobrej opinii Kościoła katolickiego pojawi się skaza. Za radą Maxa skierowała rozmowę gości w studio na lustrację; chodziło o to, żeby jak najwięcej było o teczkach i esbekach, którzy je kolekcjonowali. Wstrzymała się jednak z ogłoszeniem wiadomości, że Andrzej zniknął, jadąc na spotkanie z arcybiskupem.

Max nie chciał jeszcze wychodzić z cienia, choć wrogowie pokazali już swoją siłę.

Zaczęła się burza medialna.

★

Arcybiskup Morawski wiedział, co się stało z księdzem Andrzejem. Ale nie to było teraz najważniejsze. Arcypasterz leżał krzyżem przed swoim Panem i modlił się żarliwie. Czyż nie prowadził owczarni bożej do zbawienia? Czyż nie dbał o to, by Kościół rósł w siłę?

– Panie, Ty mnie nigdy nie okłamałeś – modlił się – lecz ja czasem muszę kłamać, ponieważ nie wolno osądzać ludzi, którzy okazali się słabi. Ja jestem bardzo słaby. Dałem się złamać wiele lat temu, ale co komu przyszyłoby z mojego przyznania się do winy? Ilu ucierpiałoby ludzi, którzy wierzą we mnie, tak jak ja wierzę w Ciebie, Panie. Nie można gorszyć maluczkich, bo przecież sam powiedziałaś, że kto by zgorszył jednego z maluczkich, lepiej by mu było, by uwiązać mu kamień młyński u szyi i rzucić go w morze. To są przecież Twoje słowa, Panie. Wiem, co one znaczą. Wiem, że mi wybaczyłeś, że zaparłem się Ciebie w godzinie próby wiele lat temu. Oznaką tego, że mi wybaczyłeś, jest to, że zostałem arcybiskupem mazowieckim. Ty tego chciałeś. Ja nie prosiłem o tę łaskę. Ileż złego chciał uczynić mnie, Twojemu arcybiskupowi, i Twojemu

świętemu Kościołowi ten nieposłuszny ksiądz. Ileż dusz zwiódłby na zwątpienie o Twoim Kościele! Nie mogłem dopuścić do tego grzechu. O nie!

Arcybiskup, leżąc krzyżem, na przemian łkał i groził swemu milczącemu niewidzialnemu Bogu, a jego wierny sekretarz, siedząc na tylnej ławce kościoła Świętego Jana w Warszawie, nie mógł już zrozumieć niczego, co działo się, odkąd ta ohydna liberalna stacja podała, że zaginął ksiądz Andrzej Skotnicki i jego zniknięcie ma związek z artykułem, w którym padło oskarżenie, jakoby szlachetny arcybiskup miał współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa.

Tymczasem ksiądz arcybiskup modlił się dalej:

– Wiesz dobrze, Panie, dlaczego musiałem to zrobić. Ty wprowadziłeś wybaczyłeś Judaszowi i łotrowi na krzyżu, ale ja nie mogę tak wybaczać, bo Twój Kościół oparty jest na posłuszeństwie, dyscyplinie i wierze w mądrość przełożonego, ponieważ to Ty ustaliłeś hierarchię. Ty sam powiedziałeś do Piłata podczas Twojego sądu, że ma on władzę daną mu z góry. Ja też mam władzę, którą Ty mi dałeś, Panie, i dlatego, w imię jej zachowania, w imię jedności Kościoła Bożego w Polsce, musiałem to zrobić. Wiem, że mi wybaczysz, bo Ty zawsze wybaczasz, Panie!

Ostatnie zdanie niemal wykrzyczał. Nagle arcybiskup wstał z klęczek. Otarł łzy. Przeżegnał się. Był pewien, że jego Bóg go wysłuchał, a on, arcypasterz mazowiecki, nie pozwoli się zaszczyć tej liberalnej hałastrze dziennikarzy.

★

Dwa dni później, gdy cała Warszawa szukała księdza Andrzeja, pewien wędkarz wybrał się na ryby nad Wisłę. Miał ochotę powalczyć z jakąś silną brzaną lub dużym drapieżnym boleniem. Przygotował sobie stanowisko na

wysokości północnej Pragi, rzucił zanętę – woblera idealnego na bolenia – i rozpostarł długie wędzisko. Miał się już zamachnąć, gdy nagle zauważył jakiś przedmiot w wodzie, dobre dwadzieścia metrów od niego, zaplątany w konary drzewa, które Wisła podmyła i kilka tygodni wcześniej zwała do wody. Było to coś o jasnym kolorze prześwitującym z mętnej rzeki. Mężczyzna odłożył na bok wędkę i poszedł zbadać intrygujący kształt.

Gdy się do niego zbliżył, strach ścisnął go za gardło.

W konary drzewa zaplątany był człowiek – nagi mężczyzna z twarzą zwróconą w dół. Na plecach widniały krwawe ślady.

Przerażony wędkarz natychmiast zadzwonił z komórki na policję.

★

Maxa zbudziła komórka.

– Tak, słucham.

– Max – rozpoznał głos Agaty i usłyszał jej ciężki oddech – bardzo mi przykro. Dwie godziny temu jakiś wędkarz znalazł w Wiśle ciało Andrzeja.

– Niemożliwe... – Jeszcze to do niego całkiem nie dotarło.

– Przyjadę po ciebie. Nie zostawimy tego. Trzeba dopaść tych skurwieli – powiedziała poruszona Agata.

Nacisnął przycisk kończący połączenie. Był przerażony, ale nie przybity jak dwadzieścia lat wcześniej po śmierci żony. Nie miał wątpliwości, że Andrzeja zabili ci sami sprawcy, ludzie związani z operacją Lunatyk. Nie przypuszczał, że wzmianka o niej w artykule wywoła tak natychmiastową reakcję.

Wiedział, że nie poradzi sobie sam. Prędzej czy później tamci go dopadną. Zadzwonił do Elisabeth.

– Mam kłopoty, zabili mojego szwagra. Mogłabyś przylecieć?

Nie trzeba było jej prosić dwa razy. Powiedziała, że wsiada

w popołudniowy samolot z Brukseli do Warszawy. Odetchnął z ulgą. Będzie miał przy sobie jedną przyjazną duszę.

Kiedy zginęła Monika, był zrozpaczony i bezradny. Teraz było inaczej – czuł przede wszystkim wściekłość.

★

Andrzej nie dotarł na spotkanie z arcybiskupem. Samochód, który wysłał po niego Morawski, był prowadzony przez jednego z ludzi Gozdawy. Pułkownik oczywiście odwiedził wcześniej swego byłego podopiecznego z SB, ale nie zdradził mu niczego, co dotyczyło operacji Lunatyk. Arcybiskupa zresztą niewiele to obchodziło; dbał głównie o własną skórę i był gotów na wszystko, by chronić swoją reputację. Gozdawa obiecał mu, że włos nie spadnie z głowy księdza Andrzeja, i być może w swej naiwności arcybiskup w to uwierzył.

Człowiek Gozdawy, Rosjanin służący wcześniej w wojskach wewnętrznych Federacji Rosyjskiej, odurzył Andrzeja działającym miejscowo gazem usypiającym, po czym zupełnie nieprzytomnego przewiózł do opuszczonego zakładu produkcyjnego na północ od Warszawy, na granicy Kampinosu.

Gdy Andrzej się obudził, wisiał na łańcuchu, którym skrupowano mu ręce.

– I co, jezuito, dobrze ci? – spytał Rosjanin, kalecząc język polski.

– Nie jestem jezuitą – wycharczał Andrzej.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Obchodzi mnie tylko to, żebyś nie pchał mordy w nie swoje sprawy.

– Dlaczego tu jestem?

– Po co, pierdolony klecho, piszesz o lunatykowaniu, skoro możesz pisać kazania? – spytał morderca, ale niespecjalnie czekał na odpowiedź.



Andrzej czuł, że nie wyjdzie stąd żywy. Modlił się, by Bóg pomógł mu znieść to, na co pozwolił.

– Wiesz co? – odezwał się Rosjanin. – Mój zleceniodawca kazał ci coś powiedzieć, zanim umrzesz.

Ksiądz spojrzał badawczo na swojego zabójcę.

– Twoje ciało zostanie odnalezione w tym samym miejscu, w którym przed dwudziestoma laty powiesiłem twojego ojca – oznajmił Rosjanin spokojnie.

Andrzej zawsze czuł, że ojciec nie popełnił samobójstwa, teraz to wiedział. Zawył z wściekłości. Ten wydobywający się z jego gardła dźwięk był nieczłowiecki, przypominał wycie hieny lub szakala. W tym ostatnim akordzie swojego życia Andrzej chciał wykrzyknąć prośbę do Boga, by ich rodzina została pomszczona. Niebo nie odpowiedziało.

Zobaczył, że Rosjanin sięga po łopatę. Zwykła sztychówka może być też narzędziem udręki. Zabójca miał również inne narzędzia – duży drewniany drąg przypominający kij bejsbolowy, imadło, młotek.

Gdy Andrzej krzyknął po raz pierwszy, z dachu rudery zerwały się gołębie. Jego krzyki słyhać było przez dwie godziny, dopóki morderca nie skończył pracy.

★

Agata odebrała Maxa sportowym mini cooperem. Pojechali natychmiast do policyjnego prosektorium, gdzie znajdowało się ciało Andrzeja. Policja nie robiła problemów Agacie; wszyscy bali się ciętej dziennikarki, która niejednego polityka przyprawiała o dreszcz. Interesowało ich natomiast, kim dla denata jest czarny Amerykanin, którego przywiozła ta „jędza” z telewizji.

– Jestem jego szwagrem – powiedział czysto po polsku, wprowadzając w osłupienie oficera policji.

– To denat ma siostrę? Dlaczego nie przyjechała? Identyfikację musi przeprowadzić ktoś z rodziny.

– Moja żona nie żyje od wielu lat – odparł Max. – Jestem członkiem jego rodziny. Jedynym polskim członkiem rodziny. – Położył nacisk na „polskim”.

Policjant zanotował wszystkie podane przez niego szczegóły i zaprowadził go do anatomopatologa. Na prośbę Maxa towarzyszyła im Agata. Przed salą, w której przechowywano zwłoki, policyjny lekarz rzucił:

– Pani dalej nie idzie.

Max podziękował dziennikarce i wszedł do przestronnego wnętrza wyłożonego białymi kafelkami. Świetlówka rzucała upiorne białe światło. Lekarz wyjął z dużej lodówki zwłoki w czarnym foliowym worku.

– To nie będzie przyjemny widok – uprzedził beznamiętnie.

– Jestem gotowy.

Zdecydowanym, szybkim ruchem lekarz otworzył worek. W zasadzie tylko twarz Andrzeja zdradzała, że to on. Jego ciało było sine. Nie było ani jednego fragmentu, który nie zostałby zmiażdżony.

– Jezu Chryste – wyrwało się z ust Maxa.

– Śmierć nastąpiła wczoraj w godzinach popołudniowych – mówił anatomopatolog beznamiętnym głosem jak z taśmy. – Plamy opadowe wskazują na szybko postępujący proces pośmiertny. Przyczyną zgonu był silny, rozległy uraz wielonarządowy połączony z gwałtownym krwotokiem wewnętrznym. Ktoś wiedział, jak bić, żeby uszkodzić każdy narząd i złamać każdą kość tak, żeby ten człowiek czuł każdy cios.

– Jak długo to trwało? – chciał wiedzieć Max.

Lekarz popatrzył bez emocji na ciało.

– Około dwóch godzin.

Max potwierdził tożsamość Andrzeja i poprosił, by ciało zostało w kostnicy przy prosektorium, dopóki nie przyjedzie firma pogrzebowa.

Anatomopatolog nie oponował.

★

Agata długo płakała, gdy Max przekazał jej, co zrobili Andrzejowi.

– Jego ciało znaleziono pod tym samym drzewem nad Wisłą, na którym powiesił się ich ojciec – dodał. – Władysław Skotnicki oficjalnie popełnił samobójstwo po tym, jak oskarżono go o współpracę z SB. Wiemy dziś, że współpracował, ale Andrzej i Monika nie wierzyli, że to było samobójstwo.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Agata.

– Jak to co?! Dopaść skurwieli, którzy zabili Monikę i Andrzeja, bo nie masz chyba złudzeń co do tego, że to ci sami ludzie. Oni celowo zostawili ciało Andrzeja tam, gdzie znaleziono jego ojca. To jest znak dla tych, którzy mogą go odczytać, czyli dla nas.

– Tylko o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi? – Agata była przerażona.

– Nie o to, co Andrzej napisał o tym draniu arcybiskupie, lecz o wzmiankę w artykule o operacji Lunatyk – odparł wzburzony Max. – O której nic nie wiemy.

– Ale co z tą operacją mogli mieć wspólnego Monika, Andrzej czy ich ojciec? – dociekała Agata.

– Oni nic, był z nią w jakiś sposób powiązany oficer SB, który prowadził Władysława Skotnickiego. I właśnie nazwisko tego oficera, Wiśniaka, padło w artykule Andrzeja. Pojawiło się też inne, pułkownika Gozdawy, który prawdopodobnie był przełożonym Wiśniaka. Musiał być jakąś esbecką szycią.

– Przypuszczalnie ci sami ludzie zmusili mnie, żebym naciskała na

Monikę, by dała sobie spokój z prowadzeniem śledztwa dziennikarskiego – powiedziała Agata.

– Cieszę się, że nie wypierasz się tej prawdy.

– Zachowałam się wtedy jak szmata – przyznała z przekonaniem. – Ale teraz poruszę niebo i ziemię, żeby ich dopaść. Jakie masz konkretnie plany?

– Muszę złożyć wizytę księdzu arcybiskupowi.

– Nie przyjmie cię. A ze mną nie będzie rozmawiał z definicji, bo jestem liberalną wściekłą suką.

Max się zastanowił.

– Użyję fortelu. Ale musisz mi pomóc w zdobyciu kilku dziennikarskich gadżetów.

– Sprzęt ekipy jest do twojej dyspozycji.

★

Jego Ekscelencja Tymoteusz Morawski przebywał w siedzibie arcybiskupstwa. Siedział nad rekolekcjami dla duchowieństwa, których mottem były słowa „Jestem posłuszny przełożonemu, jak Syn był posłuszny do końca Ojcu Niebieskiemu”, gdy sekretarz zaanonsował gościa.

– Kto to taki? – spytał arcybiskup.

– Ksiądz z Ameryki. Chciałby porozmawiać z Jego Ekscelencją na temat kazań, które chce głosić w Polsce.

– A cóż to za cudak? Niech sobie je głosi u siebie. Mamy własnych dobrych i zdolnych księży – odparł arcybiskup pochylony nad stosem papierów na swoim wspaniałym dwustuletnim biurku w stylu Napoleona.

Sekretarz nie dał jednak za wygraną.

– Księżę arcybiskupie, ale on jest czarny i doskonale mówi po polsku. To może być hit do telewizji. Pokażemy, że murzyńscy księża z Ameryki

uczają się po polsku, żeby mówić o naszym świętym Janie Pawle. Możemy puścić materiał o nim w radiu Prawda.

Ta myśl zachwyciła Jego Ekszelencję i zgodził się przyjąć gościa od razu.

Sekretarz wprowadził Maxa przebranego w sutannę Andrzeja, którą znalazł w walizce szwagra. Byli tego samego wzrostu, więc pasowała jak ulał. Max wiedział, jak się zachować, po tym, jak matka tyle razy ciągała go do polskiego kościoła w Nowym Jorku. Podszedł do arcybiskupa, uklęknął, po czym z czcią ucałował pierścień na jego palcu.

– Jestem ksiądz Michael – przedstawił się.

– Ale chyba nie ten Jackson – zażartował arcybiskup. – Ten pedofil.

Max roześmiał się rubasznie. Porozmawiali o pogodzie oraz o locie ze Stanów Zjednoczonych. Gdy sekretarz pożegnał ich, Max zaproponował wspólną modlitwę z arcybiskupem. Wybijała właśnie godzina nieszpórów.

– Świętny pomysł – przyznał arcybiskup. – Zapraszam do mojej osobistej kaplicy z Najświętszym Sakramentem.

– Wstańcie, chodźmy – odparł Max, używając celowo słów z tytułu książki Jana Pawła II.

– Zna ksiądz dzieła Ojca Świętego? O, to wspaniale!

– Mama bez przerwy mi je czytała – odrzekł Max, nie mijając się zasadniczo z prawdą.

Poszli do kaplicy. Max wyglądał na zupełnie spokojnego. Starał się zachowywać naturalnie i odciągnąć arcybiskupa od jego sekretarza i sióstr zakonnych, które widział pracujące w sekretariacie. Gdy weszli do kaplicy, zamknął drzwi i uklęknął przy Tymoteuszu Morawskim, który z zamkniętymi oczami dziękował Panu za znak, jaki otrzymał. Max tymczasem czekał na odpowiedni moment.

Po chwili arcybiskup został ścięty z kłeczek potężnym uderzeniem

łokcia wymierzonym między żebra i przeponę. Max wiedział, jak uderzyć. Arcybiskup zwałił się na podłogę i wił się jak piskorz, próbując zaczerpnąć powietrza, ale obezwładniający ból mu na to nie pozwalał. Spoglądał na napastnika przerażonymi oczami.

– Teraz opowiesz mi wszystko, sukinsynu – wyszeptał ze wściekłością Max, nachylając się nad nim. – I za każdym razem, gdy uznam, że mijasz się z prawdą, uderzę cię w podobny sposób.

Mówiąc to, przycisnął stopą żebro ciężko dyszącego arcybiskupa.

– Kiedy cię zwerbowali?

– Duszę się, chcę usiąść – błagał Morawski.

– Nic z tego. Będziesz odpowiadał w pyle i prochu ziemi, ty żmijo. – Max nie miał dla niego litości. – Kiedy cię zwerbowali?

Arcybiskup westchnął głęboko. Po tylu latach przyznanie się do winy nie było dla niego łatwe.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym – wyrzucił z siebie w końcu. – Byłem wtedy młodym księdzem w Krakowie.

– Kto cię zwerbował?

– W zasadzie było ich dwóch. Pierwszy przyszedł do mnie znany w Krakowie opozycjonista... Władysław Skotnicki. To on wysłał mnie do oficera prowadzącego, kapitana Wiśniaka.

– Powiedz wszystko, co o nim wiesz.

– Prowadził jakąś dużą operację przeciwko Kościołowi w Krakowie. Spotykałem się z nim w umówionych miejscach. Nie chodziłem do siedziby SB. Potem ten Wiśniak zniknął, chyba w osiemdziesiątym szóstym. Mnie przejął ktoś inny.

– Co wiesz o operacji Lunatyk?

– Nic nie wiem, pierwsze słyszę – odparł zdziwiony arcybiskup.

– Pisał o niej Andrzej, ten, którego zabiłeś.

– Nikogo nie zabiłem. Byłem z nim umówiony. Nie wiem, dlaczego nie przyjechał na spotkanie. Czekałem na niego w kurii. Chciałem z nim dojść do porozumienia. Nie mam pojęcia, dlaczego sobie ubzdurał, żeby mnie pogrążyć. Musiałem go suspendować, rozumiesz? Kościół jest oparty na posłuszeństwie i autorytecie. Bez tego wszystko się zawali.

– Mnie uczono, że na miłości bliźniego.

W kaplicy zaległa cisza. Max widział, że Morawski jest bliski złamania się, i nie naciskał, po prostu czekał.

– Nie chciałem jego śmierci – odezwał się w końcu arcybiskup. – Bałem się przede wszystkim o siebie. Kilka dni temu przyjechał do mnie niejaki Gozdawa, szef Wiśniaka w SB. Nie wiem, czym teraz się zajmuje. Kazał mi sprowadzić Andrzeja.

Znów zamilkł, a Max i tym razem go nie popędzał; czuł, że skoro tamten zaczął już mówić, to raczej się nie cofnie. I nie mylił się.

– Bardzo się bałem – powiedział arcybiskup. – Zrobiłem, co kazał, zaprosiłem księdza Andrzeja na rozmowę. Człowiek Gozdawy czekał na niego w samochodzie. Myślałem, że go tylko nastraszy. Nie chciałem jego śmierci, przysięgam!

Max zdał sobie sprawę, że ma przed sobą małego człowieka, któremu skostniała, feudalna instytucja pozwoliła zająć zbyt wysoko. Powinien go nienawidzić, ale nie potrafił. Śmierć Moniki i dwadzieścia lat samotnego życia nauczyły go pokory wobec ludzi, nawet tak nędznych jak arcybiskup. Dostał już to, co chciał uzyskać: ten człowiek był skończony. Cofnął więc stopę, którą cały czas trzymał na piersi duchownego. Ten jednak niespodziewanie przeszedł do ataku:

– Nikt ci nie uwierzy, sukinsynu! Nikt! Wyprę się wszystkiego, a ty

odpowiesz za napaść. Zawołam swojego sekretarza i...

Max nie dał mu skończyć. Nadepnął z całej siły na jego żebra i pokazał mu mały nadajnik, który miał przyczepiony do wewnętrznej strony sutanny.

– To jest gwóźdź do twojej trumny. Wiesz w ogóle, co to jest?

– Nie – z trudem wykrztusił osłupiały Morawski.

– Wyjaśni ci to redaktor Wróblewska – odparł Max, wybierając na komórce numer Agaty. Kiedy uzyskał połączenie, nastawił tryb głośnomówiący.

– Cała wasza rozmowa została zdalnie nagrana przez Twoją Stację – rozległ się głos Agaty Wróblewskiej, który znały miliony Polaków. – Zrobimy z tego materiał o uprowadzeniu i zamordowaniu księdza Andrzeja Skotnickiego. Opinia publiczna wszystkiego się dowie.

Podziękował jej i zakończył połączenie.

– Może to prawda, że zostałeś napadnięty – zwrócił się do arcybiskupa. – Ale zachowuj się grzecznie, bo wkrótce policja wezwie cię w charakterze podejrzanego. Ja teraz stąd wyjdę, a ty nic mi nie zrobisz.

Ruszył do wyjścia, lecz przy drzwiach kaplicy odwrócił się i dodał:

– Masz na rękach krew swego brata, jak Kain. No i jak ty teraz wyglądasz przed tym swoim Bogiem?

Nie czekał na odpowiedź.



## Rozdział siedemnasty

### **RACJA STANU**

Ten dzień przeszedł do najnowszej historii Polski jako jeden z bardziej gorących. Wieczorny materiał Twojej Stacji na temat porwania i zabójstwa znanego warszawskiego księdza obejrzało kilka milionów Polaków. Stacja wyemitowała także nagranie, z którego wynikało, że arcybiskup był świadomym tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Paradoks polegał na tym, że ta współpraca nie skończyła się wraz z transformacją ustroju, za zabójstwem księdza stał bowiem człowiek, którego nazwisko padło w artykule Andrzeja w powiązaniu z operacją Lunatyk.

Nagle wszyscy dziennikarze zainteresowali się, kim jest ów pułkownik Gozdawa. Pod siedzibą stacji w Warszawie ustawiali się ludzie protestujący przeciwko zakłamaniu kleru. Ale stali też „prawdziwi” Polacy broniący arcybiskupa przed „szatańskim spiskiem” liberałów, masonów, gejów i Bóg wie jeszcze kogo.

Max nigdy by się nie spodziewał, że jego powrót do kraju żony stanie się zarzewiem małej wojny domowej.

★

Elisabeth wynajęła pokój w odrestaurowanym hotelu Polonia w Alejach Ujazdowskich. Po śmierci ojca obcięła włosy. Nowa fryzura podkreślała jej delikatne rysy twarzy; szaroniebieskie oczy wydawały się jeszcze większe.

Nie musieli nic mówić. Rozumieli się bez słów. Oboje wychodzili znów ze śmierci ku życiu, ku jego niepowstrzymanemu pędowi. Max, obejmując ją, poczuł ciepło jej ciała.

– Wybacz mi, że wtedy wyjechałam – powiedziała Elisabeth. – Powinnam cię przeprosić.

– Przestań.

– Max... muszę ci się do czegoś przyznać. Kochałam ojca po swojemu, ale... był rasistą. On by cię nie zaakceptował.

– Przywykłem już do wszelkich form rasizmu.

– Nie umiałam sobie z tym poradzić i strasznie mi głupio z tego powodu. Przytul mnie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknił.

Tego dnia nie wychodzili z pokoju. Kolację zamówili przez room service. Szkoda im było każdej chwili.

★

Arcybiskup mazowiecki Tymoteusz Morawski czekał w swojej kaplicy na „wyrok”. W episkopacie przewodził frakcji konserwatywnych, głęboko przywiązanych do przywilejów biskupów, którzy pragnęli zachować status quo. Bronili instytucji rodziny, walczyli o prawa katolickiej rozgłośni radiowej. Po wyemitowaniu przez Twoją Stację materiału o zabójstwie księdza Andrzeja koledzy biskupi Morawskiego publicznie wyrazili oburzenie. Potępili liberalną stację, a w katolickim radiu Prawda natychmiast zrealizowano audycję na żywo w obronie czci opluwanego sługi Bożego. Żaden jednak nie zadzwonił do Morawskiego.

Ani jeden.

Sekretarz, który zawsze mu służył z nieodmienną dozą czołobitności, rano zapytał go wprawdzie o zdrowie i był niezwykle uprzejmy, ale arcybiskup widział w jego oczach to coś.

Czy tak czuł się Judasz, który wydał Pana na ukrzyżowanie? Morawski miał wrażenie, że Pan zamknął przed nim niebo, Jego wszechobecność

znikła. Wiedział, że zdradził Pana, ale nie był w stanie błagać Go o wybaczenie. Zdawał sobie sprawę, co go czeka. Papież na pewno odwoła go ze stanowiska pod pretekstem problemów zdrowotnych, otrzyma tytuł arcybiskupa mazowieckiego seniora, mieszkancko na uboczu, może w jakimś klasztorze, i tak będzie żył w kłamstwie dalej. A czuł, że nie może już kłamać, ponieważ doszedł do granicy kłamstwa.

Całe jego nędzne życie było kłamstwem. Wplątawszy się w sieć Służby Bezpieczeństwa, nigdy nie potrafił się z niej wyzwolić. Nie był w stanie powiedzieć nie. Dość upokorzeń, postanowił. Nie będzie pokuty! On, Tymoteusz Morawski, jest zbyt pyszny, żeby zdobyć się na uczciwą publiczną pokutę. Jakże on umiłował władzę! Kochał ją bardziej od swego Pana na krzyżu. Modląc się, prosił przede wszystkim o to, czego chciało jego serce, a nie o to, czego domagała się od niego nieustająca obecność Pańska. A ona domagała się życia w prawdzie. Skoro nie potrafił żyć w prawdzie, to umrze w niej. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Wyciągnął pasek ze spodni, które nosił pod sutanną. Dobry, mocny pasek ze skóry bawolej. Wstał, przeżegnał się przed Najświętszym Sakramentem, podszedł do drzwi kaplicy i zamknął je na klucz od środka. Nikt nie powinien mu przeszkadzać w nałożeniu na siebie kary. Słusznej kary, pomyślał.

Przywiązał pasek do klamki. Jedna pętla. Porządny węzeł. Kucnął zwrócony plecami do drzwi i założył sobie pętlę na szyję. Potem szarpnął się z całej siły, jak gdyby znajdowała się pod nim zapadnia. Nie obawiał się, że w ostatniej chwili stchórzy i podeprze się rękami, żeby zapobiec uduszeniu – wiedział, że tego nie zrobi.

Zaczęło wyciekać z niego życie. Poddał się umieraniu. Po chwili był już w ciemnej nicości i próbował odnaleźć w niej światło Pana. Jednak On

ukrył się przed duszą arcybiskupa w bezmiarze czasu. Miała ona błądzić w samotności, pustce i rozpacz przez całą wieczność.

★

Max poprosił, by Elisabeth raz jeszcze opowiedziała, jak doszło do napaści na jej ojca.

– Kilka tygodni przed tym zdarzeniem jakiś Małysiak z polskiej ambasady chciał od niego kupić działki roponośne. Ojciec się nie zgodził, ale tamten go brutalnie zaszantażował i ojciec w końcu uległ. Potem do gry wkroczył Newmark reprezentujący amerykańskie koncerny, Exxon, Shell, i Nigeryjczycy najprawdopodobniej zmienili front. Wygląda na to, że Polak się wściekł i wyeliminował konkurencję. Znalazłam coś ciekawego w nigeryjskiej prasie. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ojciec został postrzelony, a Newmark zaginął bez wieści, do Lagos przybył duży transport sprzętu na wyposażenie nigeryjskiej armii.

Max dostrzegał logikę w tym, co mówiła Elisabeth, ale jakoś nie mógł uwierzyć, że za tym wszystkim stali Polacy. Pamiętał przecież doskonale lata osiemdziesiąte w Polsce – to był biedny kraj. Skąd mieliby mieć pieniądze na działki roponośne, na wspomaganie sprzętem wojskowym afrykańskiego kraju?

– Niemożliwe, żeby to byli Polacy – powiedział. – Musieliby dysponować dobrze działającym wywiadem. Nie twierdzę, że polskie służby w czasach komunistycznych nie były sprawne, ale były nastawione na zupełnie co innego, na walkę z opozycją albo z Kościołem. Jesteś pewna, że to był Polak?

Elisabeth, która spędziła długie godziny na mozolnych próbach porozumienia się z ojcem, wiedziała, że nie kłamał. Zerknęła do odręcznych notatek z rozmów z nim.

– Polak, pracownik ambasady, Małysiak – powtórzyła. – Ojciec pamiętał tylko to nazwisko.

– Masz jakieś jego zdjęcie?

– Nie, nie zachowało się żadne. Pomyśl, Max, musi istnieć jakiś związek między tym amerykańskim biznesmenem, którego śmierć masz wyjaśnić, a postrzeleniem mojego ojca. To Newmark stanowi klucz do rozwiązania tej zagadki. Nie mam na to dowodu, po prostu czuję to swoim dziennikarskim nosem.

– Podobno jest też coś takiego jak nos detektywa, ale czasem mnie zawodzi.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytała Elisabeth.

– Trzeba zwrócić się do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z zapytaniem.

– Myślisz, że tego nie próbowałam?

– Trzeba to zrobić inaczej. Przez kogoś, kto ma znajomych w ministerstwie.

– Dlaczego w tym kraju wszystko jest załatwiane w ten sposób?! – oburzyła się. – Dlaczego nie można po prostu zadać urzędnikowi pytania?

Max popatrzył rozbawiony na piękną Belgijkę.

– Zadałem kiedyś takie samo pytanie Monice. Wiesz, co mi odpowiedziała?

– Nie.

– Bez znajomości w Polsce nie można załatwić nawet dobrego miejsca na cmentarzu.

★

Na polecenie Gozdawy Rosjanin po zabiciu księdza jeszcze tego samego dnia, nieniepokoiony przez polską straż graniczną, wjechał do Obwodu

Kaliningradzkiego i tam czekał na dalsze zlecenia. Stary pułkownik był pewny, że arcybiskup Morawski poradzi sobie z nagonką medialną, z którą radził sobie zawsze. Z tym większym zażenowaniem przyjął informację o jego samobójczej śmierci, podaną przez Telewizję Polską w wieczornych *Wiadomościach* – na drugi dzień po sensacyjnym materiale Twojej Stacji na temat zabójstwa tego klechy, Andrzeja Skotnickiego.

– Nawet pierdolnąć w kalendarz trzeba umieć! – rzucił wściekły.

Śmierć Morawskiego mogła być mu na rękę, bo martwy świadek to niemy świadek. Kłopot polegał jednak na tym, że arcybiskup, zanim na dobre zaniemówił, chlapanął nazwisko Gozdawy. Twoja Stacja już się nim interesowała. Jakieś pismaki robiły zdjęcia i próbowały się dostać do willi pułkownika na Mazurach, ale na szczęście był wtedy w Warszawie.

– Mordochlap już więcej nie sypnie – mruknął pod nosem.

Gozdawa zdawał sobie sprawę, że jego nazwisko stało się problemem dla interesów, które prowadził. Był szefem spółki pośredniczącej w tranzycie gazu w Polsce PolEnergo i miał udziały w nitce gazociągu jamalskiego, który przechodził przez Polskę. Nigdy wprawdzie nie ukrywał swojej działalności w organach państwa w czasach PRL-u, ale zostać wymienionym w kontekście morderstwa i samobójstwa arcybiskupa to coś zupełnie innego. Wiedział, że jego szefowie nie lubią, gdy o ich interesach mówi się zbyt dużo albo stawia się ich w złym świetle. Uświadomił sobie, że dla dobra sprawy musi zniknąć – szybko i bez specjalnego rozgłosu.

Poinformował e-mailem radę nadzorczą spółki PolEnergo, że z dniem dzisiejszym rezygnuje ze stanowiska z powodów zdrowotnych. Jest zmęczony pracą i pragnie udać się na zasłużoną emeryturę. Prosił, by tego e-maila potraktowano jako ostateczną rezygnację.

Tego samego dnia, korzystając ze swojego drugiego paszportu –

cypryjskiego przedsiębiorcy – odleciał samolotem rejsowym z Okęcia do Nikozji. Paszport był legalny. Przyjaciele z cypryjskich banków bez większych problemów załatwili mu obywatelstwo. Na stare lata polubił cieplejsze klimaty, a Cypr był mekką ludzi, którzy mieli coś za uszami i woleli nie mieszkać w swoich krajach. Jakiś czas temu kupił więc tam dom.

★

Kiedy Max i Elisabeth wracali ze Starówki do hotelu Polonia, zadzwoniła jego komórka. Na ekraniku wyświetliła się Agata Wróblewska.

– Co się stało, Agato?

– Arcybiskup popełnił samobójstwo.

– Co?!

– Ciało znalazł jego sekretarz. Policja stwierdziła, że powiesił się na pasku od spodni w kaplicy, gdzie zmusiłeś go do mówienia. Policja już mnie pytała, kim jest informator stacji, który nagrał jego przyznanie się do winy. Oczywiście nie powiedziałam im o tobie. Jesteś moim źródłem, a źródła mam obowiązek chronić do końca i ode mnie się nigdy tego nie dowiedzą. Ale jeśli policja trochę poszpera, znajdą cię. Musisz wyjechać z Polski.

– Nie mam nic do ukrycia – oznajmił Max.

– Ale ktoś inny chce coś ukryć. Na stronie internetowej spółki PolEnerg, której szefem rady nadzorczej był Gozdawa, pojawiła się informacja, że złożył rezygnację z powodów zdrowotnych. Moje chłopaki z programu wyśledziły, że widziano go na Okęciu. I teraz uważaj, bo zaraz wybuchnie bomba.

– Mów! – rzucił zaintrygowany Max.

Agata Wróblewska wzięła głęboki oddech.

– Według listy członków rady nadzorczej Gozdawa jest też obywatelem cypryjskim. Ustawa o radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa nakłada na te gremia obowiązek transparentnego ujawniania takich informacji. Wyobraź sobie, że on jest teraz na słonecznej plaży w Famaguście albo grzeje dupę na piaskach Nikozji. Ekstradycja z Cypru to nie jest łatwa sprawa.

Maxa dosłownie zatkało. Kto jeszcze stał za tymi esbeckimi powiązaniem? Jak daleko sięgały?

– W rządzie jest zadyma – ciągnęła Agata. – NIK już wysłał pilne pismo do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z zapytaniem, jak to się stało, że szef rady nadzorczej spółki o szczególnym statusie dla bezpieczeństwa państwa ma podwójne obywatelstwo. Wcześniej nikt na to nie zwracał uwagi. Myślę, Max, że otworzyłeś puszkę Pandory. Ludzie, których interesy naruszyliśmy, nie darują nam tego.

– Chcesz się wycofać?

Agata chwilę się zastanawiała; słyszał jej miarowy oddech.

– Nigdy – odparła w końcu. – Żeby wyczyścić polską stajnię Augiasza, trzeba wpuścić do niej nie strumień, ale Wisłę. Mam pewien pomysł, jak wyprzedzić naszych wrogów. Jestem z tobą... i z Moniką.

Rozpoznał po jej głosie, że jest poruszona. Była dziennikarką bezkompromisową. Wiedział, że będzie walczyła do końca.

– Dziękuję ci – odparł.

★

Na pogrzeb księdza Andrzeja przyszyły setki ludzi. Jego parafianie mimo nałożonej na niego za życia suspensy sami zorganizowali pogrzeb, który stał się manifestacją nie tylko przeciw zakłamanemu hierarchii kościelnej, ale i przeciw elitom władzy, wciąż powiązanym z ludźmi z reżimu PRL. Nie



zabrakło też podburzanych przez katolicko-narodowe media „prawdziwych” Polaków, którzy oskarżali rząd i spisek masonów o zamordowanie księdza i upozorowanie samobójstwa.

Andrzej spoczął w grobie razem z siostrą, matką i ojcem, Władysławem, od którego to wszystko się zaczęło. Max postanowił się ujawnić i wygłosił krótką mowę.

Po pogrzebie podeszło do niego dwóch tajniaków.

– Max Kwietniewski?

– Tak – odparł spokojnie. – O co panom chodzi?

– Proszę z nami – powiedział jeden z nich.

– Tak może pan mówić do polskich obywateli. Ja jestem obywatelem USA i jeśli chce mnie pan aresztować, musi pan zawiadomić amerykańską ambasadę. Żądam natychmiast adwokata poleconego przez ambasadę, więc lepiej powiedzcie mi, chłopaki, o co wam chodzi.

Tajniacy popatrzyli po sobie, nie wiedząc, jak zareagować. Stojąca obok Maxa Elisabeth ścisnęła jego dłoń.

– Nie zamierzamy pana aresztować – rzekł jeden z nich. – Chcemy pana na razie przesłuchać w charakterze świadka.

– Proszę bardzo.

★

Już samo pełnienie funkcji w radzie nadzorczej spółki Skarbu Państwa przez osobę, która miała podwójne obywatelstwo, stanowiło ewidentne naruszenie prawa. W przypadku Gozdawy sytuacja była tym bardziej poważna, że wpływał on także na kluczowe decyzje rządu. Jak choćby ta o budowie polskiego gazoportu w Świnoujściu – robił, co mógł, by doprowadzić do opóźnienia realizacji tej inwestycji. Twierdził, że Jamał może przesyłać z Rosji dwa razy więcej gazu i że będzie on tańszy od

zakupionego w krajach Zatoki Perskiej. Premier Tomasz Potocki – w prostej linii potomek Stanisława Potockiego, jednego z twórców Konstytucji 3 maja – nie wrodził się w swoich przodków z czasów targowicy i zdecydowanie obstawał za budową gazoportu. Tyle że stał na czele rządu koalicyjnego, w którego skład wchodziło także Zjednoczenie Ludowe, partia z definicji chłopska, w praktyce zaś reprezentująca interesy establishmentu partyjnego. Jej prezes został ministrem spraw wewnętrznych, ale było tajemnicą poliszynela, że on i premier zupełnie nie mogą się dogadać.

Pan prezes i zarazem szef MSW z głębokim niepokojem obejrzał materiał Twojej Stacji o zabójstwie księdza, potwornie torturowanego przed śmiercią. Nazwisko pułkownika Gozdawy nie było mu obce, ale to drugie, wymienione w artykule nazwisko zabitego księdza, nic mu nie mówiło. Najbardziej zaniepokoiła go wzmianka o operacji Lunatyk. Minister sporo o niej wiedział. Jego polityczna kariera była po części wynikiem zaangażowania przed laty w tę operację.

Z Gozdawą spotykał się przy okazji posiedzeń Polskiej Rady Biznesu, ale najlepiej rozmawiało im się przy wódce w znanej warszawskiej restauracji. Tyle że teraz nie wchodziło to w rachubę. Gdyby ci wścibscy dziennikarze namierzyli go z Gozdawą, zaczęliby węszyć i w końcu zwietrzyliby Nigerię.

A to byłby gwóźdź do jego trumny politycznej. Zatuszowanie tej sprawy to jego racja stanu. Na samą myśl o „racji stanu” wypręzał instynktownie kręgosłup. Minister Henryk Kudzia bardzo się bał przeszłości i starannie zacierał po niej ślady.

## Rozdział osiemnasty

### **WIEŻA BABEL**

#### Zjednoczone Emiraty Arabskie, Dubaj

Prezes Peter Vogel lubił Dubaj nie dlatego, że był fanem miast budowanych na pustyni za miliardy dolarów, tylko dlatego, że w jego przekonaniu to miasto miało swój styl. Uwielbiał po spotkaniach biznesowych wsiąść do jeepa i pojechać na pustynię, żeby zanurzyć stopy w piasku. Dubaj był zbudowany przez ludzi bajecznie bogatych z myślą o innych bogatych. Nie dla japiszonów, ale dla ludzi naprawdę bogatych, dla których przegranie miliona dolarów w pokera to jak kupienie gazety w kiosku.

Peter Vogel wydawał w Dubaju mnóstwo pieniędzy, przede wszystkim na wyroby ze złota, dzięki którym zjednywał sobie biznesowych przyjaciół. Szejkowie lubią blask złota, szelest dolarowych plików i szybkie samochody. Vogel przez lata żył w poczuciu całkowitej bezkarności gwarantowanej przez nieformalne układy potężnych bankowców. Pierwszą odsłonę wielkiego krachu z roku 2008 jego Geobank przetrwał bez większych problemów, ponieważ nie udzielał ryzykownych kredytów hipotecznych. Był to bank inwestycyjny działający głównie w sektorze energetycznym. Inwestował przede wszystkim w firmy handlujące ropą naftową z Zatoki Perskiej oraz w Rosji i Afryce. Geobank współkredytował rosyjskiemu gigantowi Gazpromowi budowę rurociągu pod Bałtykiem, nie szczędził też pieniędzy na przedsięwzięcia promowane przez zachodnich polityków – głównie francuskich i niemieckich – którzy w ciepły sposób wypowiadali się

o Rosji. Mówiło się nad Sekwaną, że to Geobank wyłożył pieniądze na kampanię polityków francuskiej skrajnej prawicy, tym samym osłabiając jeden z głównych krajów Unii Europejskiej.

Geobank był dla zachodnich mediów instytucją o najwyższym stopniu wiarygodności. Oparty na kapitale zachodnim, zaczął inwestować w sektor energetyczny pod koniec lat osiemdziesiątych. Posiadał ponad sześćdziesiąt procent złóż ropy naftowej w Nigerii, a był to przecież kraj siedzący na ropy. To, że Lagos miał najstraszniejsze slumsy na Czarnym Kontynencie, nie obchodziło prezesa Vogla. Wyznawał zasadę, że to, co jest cenne, powinno się znajdować w rękach pięciu lepszych procent ludzkości, do których sam się zaliczał.

Wszystko zaczęło się psuć po zimowej olimpiadzie w Soczi w lutym 2014 roku. Geobank otworzył dla rosyjskiego rządu linię kredytową, lecz następujący po olimpiadzie gwałtowny kryzys na Ukrainie sprawił, że rosyjski rząd poinformował bank o jednostronnym odroczeniu spłaty zobowiązań. Vogel mimo swoich kontaktów w Moskwie nie mógł nic zrobić. Przykład pewnego Francuza był wystarczającą przestrożą. W lutym 2014 roku szef największej francuskiej firmy naftowej, który sprzeciwiał się dumpingowej polityce Kremla w obrocie rosyjskim gazem w Europie, wybrał się do Moskwy na negocjacje z Gazpromem. Na lotnisku Wnukowo jego mały odrzutowiec zderzył się ze śnieżnym pługiem obsługiwanym przez pijanego pracownika. Francuz zginął na miejscu.

– Tak działają ludzie z dawnego GRU – mruknął do siebie Peter Vogel, oglądając w CNN relację z wypadku.

Nie miał złudzeń co do tego, że jeśli będzie naciskał na Rosjan, by spłacali zobowiązania, czeka go podobny los. Wypadek samochodowy (uwielbiał nowe modele Maserati) albo skończy jak Borys Bieriezowski,

główny przeciwnik Kremla, który utonął we własnej wannie po zawale serca. Nie mogąc naciskać na Rosjan, próbował więc odzyskać inne pieniądze, głównie od mniejszych firm z Emiratów Arabskich. Tylko częściowo udało mu się zażegnać kłopoty i zapewnić na kilka miesięcy płynność finansową. Geobank miał wiele spółek córek, między innymi na Węgrzech, w Polsce oraz innych krajach postkomunistycznych. W razie czego było więc skąd zaczerpnąć gotówki na bieżące zobowiązania.

Vogel ukrył przed radą nadzorczą skalę pomocy banku dla rosyjskiego rządu podczas ukraińskiej awantury, kiedy to w wyniku sankcji Rosja straciła kredytodawców na Zachodzie i gwałtownie poszukiwała źródeł świeżej gotówki. Dziesiątki miliardów dolarów płynęły z Geobanku na Kreml za pośrednictwem założonych przez rosyjski wywiad wojskowy spółek córek.

Tym razem prezes nie miał w Dubaju dobrego humoru. Szejkowie poinformowali go, że żadnych interesów z Rosją już nie będzie. Amerykanie sobie tego nie życzą, i koniec. Poirytowany Vogel wrócił do jednego z najbardziej luksusowych hoteli, wziął prysznic, zjadł lunch, po czym zasiadł do pracy. Otworzył laptop w wersji VIP, przygotowany na zamówienie przez Apple'a, inkrustowany dwudziestoczterokaratowym złotem. Otworzył pocztę. Lista nazwisk. Arabowie, giełda w Londynie, znajomi maklerzy z Frankfurtu, kolekcjonerzy sztuki (lubił inwestować w malarstwo), aż wreszcie jego wzrok zatrzymał się na jednym nazwisku, oczywiście bardzo dobrze znanym.

Polski minister spraw wewnętrznych Henryk Kudzia przysłał mu e-maila.

Szanowny Panie Prezesie,

mleko się rozlało. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale dziennikarze Twojej Stacji są na tropie Gozdawy i Małysiaka. Wie Pan dobrze, co to znaczy. Muszę mieć spokój, zanim zrezygnujemy z gazoportu dla Polski. Szum wokół spółki PolEnerg, której prezesem rady nadzorczej był Gozdawa, jest zbyt wielki. Jestem między młotem a kowadłem. Wydaje mi się, że sprawę rezygnacji z polskiego gazoportu należy przesunąć na jakiś spokojniejszy czas. Czy mógłby Pan wpłynąć na Rosjan (wiem, że Pan to potrafi) w tej materii?

Byłbym wdzięczny za pomoc.

Henryk Kudzia

★

Tymczasem w Warszawie policja przesłuchiwała Maxa. Był specjalistą w swoim fachu i nie musiał się obawiać, zwłaszcza że policja nie zdecydowała się postawić mu żadnych zarzutów, lecz występował w roli świadka. Od razu się zorientował, że przesłuchania nie prowadzą policjanci z dochodzeniówki – potrafił rozpoznać specyficzne gesty, styl, zachowanie. Sam przez wiele lat był psem tropiącym, więc nie mogli go zaskoczyć niczym szczególnym.

Było ich dwóch. Eleganckie garnitury, drogie zegarki.

– Żądam obecności prawnika – powiedział po polsku.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł szczupły blondyn. – Przesłuchamy pana w charakterze świadka.

– Świadka czego? Morderstwa mojego szwagra, księdza Andrzeja Skotnickiego, czy samobójstwa arcybiskupa? Nie mogę nic powiedzieć na okoliczność żadnej z tych spraw, ponieważ nie byłem świadkiem tych zdarzeń.

Tajniacy popatrzyli na siebie.

– Po co pan przyleciał do Warszawy? – zapytał jeden z nich, krępy, z początkami łysiny.

– Zanim ja odpowiem na to pytanie, chciałbym wiedzieć, skąd jesteście, bo to, że nie z dochodzeniówki, jest dla mnie jasne.

– Myli się pan, jesteśmy policjantami – rzucił ten szczupły.

– To pokażcie mi, chłopcy, swoje odznaki.

– Dlaczego interesował się pan arcybiskupem Morawskim?

– Chcę się widzieć z adwokatem poleconym przez ambasadę USA. Nie odpowiem na żadne pytanie – oświadczył Max.

– Dlaczego nie chce nam pan pomóc w dotarciu do zleceniodawców zabójstwa pańskiego szwagra? – zapytał ten krępy.

– Ponieważ najprawdopodobniej opuścił już Polskę. To prezes firmy PolEnerg, pan Gozdawa, były wysoki funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, obywatel Polski i Cypru. Jego nazwisko ja i Andrzej znaleźliśmy w teczce mojego nieżyjącego od wielu lat teścia, Władysława Skotnickiego. Gozdawa stoi za dużo grubszymi sprawami niż samobójstwo arcybiskupa, który był umoczony we współpracę z dawną bezpieką. Tym się zajmijcie.

– Skąd pan wie, że to pan prezes Gozdawa zlecił zabójstwo księdza Andrzeja?

– Bo to jest oczywista oczywistość, jak powiedziałby klasyk waszej polskiej polityki, panowie. Nie mam nic więcej do dodania. Czy zamierzacie postawić mi zarzuty?

Tajniacy popatrzyli po sobie.

– Nie, to nie jest konieczne. Wobec odmowy zeznań zostanie pan wezwany pisemnie na przesłuchanie przez prokuraturę.

– Proszę bardzo. Mój adres to róg sto Czterdziestej Szóstej i Glenwood,

Brooklyn, Nowy Jork. Na pewno się stawię.

– Proszę podać adres polskiego zameldowania – poprosił blondyn.

– Kpi pan sobie ze mnie. – Max parsknął śmiechem. – W żadnym naprawdę wolnym kraju nie ma czegoś takiego jak zameldowanie. Jest w Rosji i na Białorusi. Jestem wolnym człowiekiem, a ponieważ nie postawiliście mi zarzutów, wobec tego chcę stąd wyjść. Natychmiast.

Gdy wyszedł, dwaj funkcjonariusze ABW poczuli się jak idioci. Wściekły minister dziś rano kazał zatrzymać Amerykanina, ale nie dał im do ręki nic, co mogłoby zmusić Maxa Kwietniewskiego do mówienia. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Nieobeznani ze sprawą, nie zadali sobie trudu, by zwrócić się do policji prowadzącej śledztwo dotyczące samobójstwa arcybiskupa Morawskiego. Gdyby to zrobili, dowiedzieliby się, że tamci szukają czarnoskórego księdza, który, jak zeznał zrozpaczony sekretarz, odwiedził Jego Ekscelencję.

★

Elisabeth i Max poczuli się z całą tą pogmatwaną sprawą strasznie samotni; jako sprzymierzeńca mieli jedynie znakomitą dziennikarkę. Polskie władze zachowywały się tak, jakby nie chciały powiązać kilku prostych faktów, a to dało im do myślenia. Zdali sobie sprawę, że Gozdawa musi mieć dobrze postawionych przyjaciół. Max wpadł na pewien pomysł, ale nie chciał o nim mówić Elisabeth. Sam nie rozumiał swojego zachowania: kochał tę kobietę, powiedział jej o sobie niemal wszystko, ale czuł, że ona coś przed nim ukrywa. Zastanawiał się, jak to się właściwie stało, że zaczęli ze sobą być.

Zleceniodawca... Czuł, że źródła całej tej zagadki tkwią po uszy w polskim szambie, ale klucz do rozwiązania znajduje się poza granicami Polski. Wyciągnął smartfon, wszedł w tryb tajny i wpisał swoje hasło.



Natychmiast pojawiło się menu, które pozwalało mu wejść na jego konto. Ktoś utworzył dla niego folder z dokumentami. Kliknął zawartość. Przeczytał protokół z sekcji zwłok człowieka zamordowanego w Nigerii w 1988 roku. Max natychmiast skojarzył, że w tym samym czasie strzelano do ojca Elisabeth, ale nie widział jeszcze głębszego związku między tymi zdarzeniami. Folder założony na serwerze z Bermudów zawierał także moduł przesyłania informacji, przypominający klasyczny czat, ale działający jedynie między dwiema osobami – Max założył, że między nim a zleceniodawcą. Kim mógł być ten facet? W zasadzie wkręcił go w sprawę, w którą Max teraz i tak chciał być wkręcony, ponieważ wiązała się zabójstwem Moniki i Andrzeja.

Kliknął ikonkę „Wyślij wiadomość”. Wiedział, że zleceniodawca musi mieć powód, by nie wyjawiać swojej tożsamości. Ale tak się akurat złożyło, że stali po tej samej stronie, i Max postanowił to wykorzystać. Zaczął pisać:

MAM POWAŻNE KŁOPOTY. ZABILI MOJEGO SZWAGRA. POLSKA POLICJA NIE CHCE SIĘ ZAJĄĆ SPRAWĄ SIĘGAJĄCĄ WŁADZY, JAKIEGOŚ UKŁADU, KTÓREGO NIE POTRAFIĘ ROZSZYFROWAĆ. POTRZEBUJĘ PANA POMOCY.

Wysłał. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

NIECH PAN POMYŚLI.

Max raz jeszcze zaczął składać całą układankę. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach jak podczas partii szachów o mistrzostwo świata. Skoro jego zlecenie dotyczyło zabójstwa amerykańskiego biznesmena w Nigerii, a ojciec Elisabeth został także postrzelony w tym afrykańskim kraju, to właśnie tam musi się znajdować klucz do rozwiązania sprawy.

Polska ambasada w Nigerii! To musi być to, pomyślał Max. Jeśli to, co mówiła o swoim ojcu Elisabeth, było prawdą, ambasada w Lagos powinna być dla Maxa punktem zaczepienia.

Napisał na dotykowej klawiaturze telefonu:

AMBASADA PRL W NIGERII.

Po chwili przyszła odpowiedź:

ZDOLNY CHŁOPCZYK! MOJE ŚLEDZTWO TAM UTKNĘŁO. MUSI PAN POPROWADZIĆ JE DALEJ, BO ZNA PAN POLSKĘ LEPIEJ ODE MNIE. PROSZĘ TERAZ UWAŻAĆ – LUDZIE, KTÓRZY ZABILI PANA ŻONĘ I SZWAGRA, SĄ DZIŚ WAŻNYMI GRACZAMI NA RYNKU NAFTY I FINANSÓW. JA ZROBIĘ WSZYSTKO, ŻEBY POPRZESZKADZAĆ IM W INNY SPOSÓB.

Podziękował aniołowi stróżowi za ten szczególny rodzaj opieki. Pracował dla człowieka, któremu zależało na tym, by się nie ujawniać. Do czasu.

Najważniejsze, że Max miał już jakiś punkt zaczepienia.

★

Od czasu kryzysu krymskiego prezes Geobanku odnosił wrażenie, że Rosjanie są coraz trudniejsi w bezpośrednich kontaktach. Nigdy nie miał problemów w rozmowach z prezesem Gazpromu czy innej wielkiej rosyjskiej firmy. Teraz stawiali twarde warunki. Żądali przelania aktywów do Rosji. Prezes Peter Vogel domyślał się dlaczego: jeśli sankcje Zachodu w związku z ukraińską wojną będą coraz ostrzejsze, może przyjść dzień, w którym Rosja zostanie wyłączona z systemu SWIFT i stanie się po prostu czarną dziurą w bankowo-finansowym krwioobiegu świata. Sama nie będzie w stanie przelać najmniejszej nawet sumy, ale nikt też nie będzie mógł

wysłać przelewem pieniędzy do Moskwy. Dla banku tak mocno powiązanego z Rosją jak Geobank okazałoby się to katastrofą, nawet jeśli od ponad dwudziestu lat był samodzielny i miał własny kapitał zбитy na handlu ropą naftową. Działki roponośne zakupione pod koniec lat osiemdziesiątych i dokupione w latach dziewięćdziesiątych dzięki milionowym łapówkom tereny w delcie rzeki Niger dały bankowi jedną z najpoważniejszych kart przetargowych w dialogu z takimi potentatami światowymi jak British Petroleum, Exxon czy Shell. Potem, na początku XXI wieku, kiedy ceny ropy osiągnęły niebotyczny szczyt, Geobank mógł sobie pozwolić na dofinansowanie rosyjskiego gazociągu pod Bałtykiem, tłoczącego z Rosji do Niemiec błękitny węgiel. Inwestycja była na granicy opłacalności, ale nie o zyski chodziło, lecz o cele polityczne Kremla. Geobank przekazał na gazociąg oficjalnie dwa miliardy dolarów w ramach kredytu dla Gazpromu. Wielu członków rady nadzorczej uważało, że prezes Vogel szasta pieniędzmi, i zarzucało mu to na posiedzeniach, podobnie jak to, że popiera interesy Rosji.

– No i co z tego? – odpowiadał. – Rosja jest partnerem Zachodu, a gazociąg pod Bałtykiem przyczyni się do stabilności cen gazu w Europie. Inwestujemy w bezpieczeństwo, a to przyniesie nam zysk nie jutro, pojutrze, lecz za kilka lat.

Niestety, jesienią 2014 roku za euro płacono w Moskwie prawie siedemdziesiąt rubli, a cena za baryłkę ropy spadła do niecałych pięćdziesięciu dolarów. Vogel nagle stracił trzy miliardy dolarów, ponieważ nikt nie chciał inwestować w nigeryjskie złoża, podstawę interesów banku. W Nigerii szalała wojna religijna prowadzona przez muzułmańskich ekstremistów z Boko Haram. Vogel próbował się ratować, wystawiając na sprzedaż działki roponośne w delcie Nigru, ale Amerykanie chcieli

zaoferować jedynie czterysta milionów. Arabia Saudyjska chętnie kupiłaby te tereny, byle tylko finansować sunnicki ekstremizm. Vogel był pod ścianą. Po raz pierwszy w życiu.

## Cypr, Limassol, 2014

Prezes Peter Vogel znał Cypr doskonale. Wiele razy robił na tej podzielonej między Greków i Turków wyspie doskonałe interesy, bo Geobank inwestował w cypryjski system bankowy. Dlaczego? Powód był prosty: bogaci Rosjanie otwierali tu konta, dzięki czemu KGB – teraz Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji – mogło swobodnie przelewać pieniądze i prac miliony dolarów zarobionych na nielegalnym eksporcie ropy i gazu. Geobank wszystko to firmował, aranżując transakcje za trefny towar między dziesiątkami swoich spółek córek. Vogel stał na czele tej pajęczyny.

Teraz jednak jego wizyta miała inny charakter, bardziej prywatny: jego dawny przyjaciel był w potrzebie i Vogel musiał go ratować. Z treści e-maila, który od niego dostał, wynikało, że sprawa jest bardzo poważna.

Z lotniska pojechał do hotelu Continental, do którego miał słabość. W pokoju czekał na niego gość.

Pułkownik Gozdawa nerwowo palił papierosa na przeszklonym tarasie widokowym, z którego można było podziwiać panoramę Limassol i Morza Śródziemnego.

– Co za okropne nawyki! – odezwał się prezes Vogel. Jego język polski był bez zarzutu. – Nie znoszę, gdy ktoś pali mi papierochy w pokoju hotelowym.

Gozdawa natychmiast drgnął na dźwięk głosu dawnego podwładnego, a teraz jednego z największych bankowców Europy, często widywanego

w towarzystwie prezesa Europejskiego Banku Centralnego, Maria Draghiego, z którym miał ratować bankrutujące kraje przed krachem finansowym. Tyle tylko, że Geobank sam był na krawędzi bankructwa. Ale o tym nikt nie wiedział. I Peter Vogel nie miał również zamiaru mówić o tym swojemu staremu znajomemu.

– Pierdolę to – rzucił Gozdawa. – Musisz mnie ratować, Kazik. Mam nóż na gardle.

Peter Vogel, dzięki swojemu doświadczeniu w pracy w Służbie Bezpieczeństwa, przeszkoleniu GRU, a także – po zmianie tożsamości – studiom z bankowości na London School of Economics oraz z zarządzania zasobami bankowymi na Sorbonie, mistrzowsko opanował techniki behawioralne. Wiedział, jak udawać przyjaciela, jak uspokoić kogoś, kto znajduje się na krawędzi paniki.

– Spokojnie, co się stało?

– Jakiś klecha, zdaje się, że syn twojego TW, napisał artykuł, w którym padły nasze nazwiska, moje i twoje. Musiałem zareagować.

Peter Vogel odwykł od swojego prawdziwego nazwiska i polskiej tożsamości. Zepchnął ją do najgłębszego zakamarka. Mało brakowało, a całe jego doświadczenie z technikami behawioralnymi poszłoby na marne, w końcu jednak udało mu się zapanować nad sobą i nie okazać, że jest wystraszony.

– Co zrobiłeś? – zapytał spokojnie.

– Stiopa był na miejscu, więc przy pomocy arcybiskupa Morawskiego ściągnąłem księżulka i go uciszyłem. – Gozdawa zapalił następnego papierosa.

– Jak to uciszyłeś?

– Stiopa zrobił z nim porządek jak z pierdolonym Popiełuszką. –

Gozdawa parsknął makabrycznym śmiechem.

– To nie jest śmieszne – powiedział Vogel. – Miałeś dopilnować, żeby polski rząd wstrzymał inwestycję w gazoport. Poszły na to milionowe łapówki.

– Musiałem, kurwa, działać sam. Sprzątnąłem księdza w twoim interesie – odparł roztrzęsiony Gozdawa. – Rozumiesz, że nie mogą cię powiązać z twoim dawnym nazwiskiem.

W tej chwili prezes Geobanku zrozumiał, że jego stary znajomy stracił nie tylko instynkt, ale i zdrowy rozsądek. Voglowi zostało tylko jedno wyjście. Na szczęście poprosił kierownika recepcji, który dostał od niego niemało napiwków, by nie meldował go w hotelu. Zdawał sobie sprawę, że nie może stracić głowy. Opanowanie, zimna kalkulacja, skuteczność – to były wartości, które wyznawał.

– Na razie zostań kilka dni w hotelu – powiedział. – Uspokoję sytuację, w razie czego pojedziesz do jednego z moich mieszkań, może do Singapuru, może na Kubę.

– Kuba odpada, nie lubię komunistów. Może być Singapur.

A niby kim ty, skurwielu, jesteś, jeśli nie komuchem, takim samym jak ja? – przemknęło Voglowi przez głowę.

– Dobrze, dostaniesz konto i lokum – rzucił.

– Odwiedź mnie kiedyś z tą swoją blond pięknnością z Holandii – powiedział Gozdawa, mając na myśli przyjaciółkę Vogla, nieznaną mu bliżej dziewczynę, z którą prezes był związany przez kilka ostatnich lat.

– Ona nie była z Holandii, zresztą nie jesteśmy już razem.

Żegnając się, Vogel powiedział: „Do następnego razu”, a Gozdawa nie zauważył, że były podwładny, zważając przy tym oczy, skupił na nim spojrzenie jak na zwierzęciu przeznaczonym do odstrzału. Po wyjściu

z hotelowego pokoju Vogel ze swojego drugiego telefonu blackberry – nie do namierzenia przez amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Narodowego – zadzwonił do Stiopy. Kazał mu zająć się kolejnym zleceniem: Cypr, Limassol, hotel Continental, pokój 245. Rosjanin miał w Kaliningradzie wsiąść do samolotu do Moskwy, a stamtąd polecieć na Cypr.

Vogel pojechał na lotnisko i wynajętym odrzutowcem wrócił do Szwajcarii.

★

Gozdawa przez kilka dni nie ruszał się z pokoju. Posiłki zamawiał przez room service. Na laptopie śledził wiadomości z Polski, przeglądając strony internetowe kilku najważniejszych polskich gazet i telewizji. Cała Polska żyła sprawą zabójstwa księdza Andrzeja i samobójstwa arcybiskupa Morawskiego. W oskarżeniach celowała Agata Wróblewska, która kilkakrotnie wymieniła nazwisko Gozdawy i wyraźnie sugerowała, że zabójstwo księdza może mieć związek ze sprawą gazoportu.

– Co za suka! – zaklął.

Miał ochotę zhejtować tę dziwkę z Twojej Stacji na jednym z portali społecznościowych. Postanowił jednak wziąć prysznic. Gdy wyszedł z łazienki owinięty białym ręcznikiem, w pokoju czekał na niego Stiopa.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – spytał zdziwiony Gozdawa.

– Jak to co? – odpowiedział Rosjanin łamanym polskim. – Pracuję.

Wyciągnął z kieszeni pistolet gazowy i strzelił Gozdawie w twarz. Pułkownik, obezwładniony działaniem gazu, zwałił się na dywan. Stiopa podszedł do niego, podniósł i ułożył na łóżku. Instrukcje Vogla były jasne: pułkownik ma zejść na zawał, a GRU stosowało mieszankę pawuloniu oraz środków nasercowych, które wywoływały objawy do złudzenia przypominające naturalny zawał serca. Rosjanin włożył rękawiczki,

odwrócił Gozdawę na bok i ściągnął z jego bioder ręcznik. Z aktówki wyjął zestaw do robienia lewatywy, po czym wprowadził jeden koniec rurki do odbytu nieprzytomnego mężczyzny. Do drugiego końca podłączył małą kroplówkę zawierającą mieszanę leków. Po piętnastu minutach Gozdawa cicho jęknął. Stiopa posprzątał i zostawił nagiego trupa na łóżku. Wiedział, że cypryjska obsługa znajdzie pułkownika martwego najpóźniej jutro, gdy sprzątaczką wejdzie, by ogarnąć pokój. Po tylu godzinach leki rozłożą się w organizmie i nikt nie zauważy, że obywatel Polski umarł z innej przyczyny niż zawał serca.



## Rozdział dziewiętnasty

# ARCHIWISTKA

Max w Warszawie jeszcze nic nie wiedział o kolejnej śmierci związanej z operacją Lunatyk.

Po namyśle uznał, że powinien pójść za radą swojego zleceniodawcy, już choćby dlatego, że nic innego nie przychodziło mu do głowy. Powiedział o tym Elisabeth, nie wspominając, skąd ten pomysł. Poprosił, by pomogła mu znaleźć kogoś, kto umożliwiłby im dostęp do Archiwum Akt Nowych, gdzie trafiały wszystkie akta z ministerstw i innych agend rządowych, również te z czasów PRL-u. Max nie znał nikogo takiego, a jedyny historyk, który mógłby ich wprowadzić w temat, nie żył. Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Promotor Andrzeja nie przyjął jego pracy doktorskiej. Ciekawe dlaczego.

– Musimy mu złożyć wizytę – bez wahania powiedziała Elisabeth.

Udali się na dworzec centralny i stamtąd pojechali pociągiem pospiesznym do Lublina. Profesor Aleksander Gągolewski był historykiem zajmującym się dziejami XIX i XX wieku. Max z wrodzonym wdziękiem i uprzejmością przedstawił się jako amerykański doktorant polskiego pochodzenia, który pisze pracę z dziejów Solidarności. Profesor zaprosił go na rozmowę na uniwersytet, na którym wykładał. Przyjął jego i Elisabeth, która podała się za żonę Maxa, w swoim gabinecie na wydziale. Elisabeth miała się nie odzywać, ale wzięła ze sobą włączony dyktafon, na wypadek gdyby profesor mijał się z prawdą.

– Inaczej sobie pana wyobrażałem – powiedział Gągolewski na widok Maxa; oczywiście chodziło mu o kolor skóry.

– Prawda, że to zaskakujące? – odrzekł z przekąsem Max. – Ja też wyobrażałem sobie pana inaczej.

Profesor był średniej postury, w okularach, dość otyły, ale ubrany w szyty na zamówienie garnitur. Wyraz ciemnych oczu skrytych pod grubymi oprawkami okularów zdradzał zaciętego i upartego człowieka. Max od pierwszego wejrzenia poczuł do tego człowieka wyjątkową antypatię. Wyczuwał, że pod jego uprzejmością kryje się wstrętny rasizm, jak żywcem wyjęty z polskiego kościoła na Brooklynie.

– Chciałbym z panem porozmawiać o doktoracie księdza Andrzeja Skotnickiego.

Profesor natychmiast się zmieszał. Spoglądał nieufnie na Elisabeth. Nie podobało mu się, że został zaskoczony przez tych dwoje na jego wydziale.

– A dlaczego?

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego odrzucił pan jego pracę i zrujnował go jako naukowca.

– Czy należy pan do jego rodziny? – zapytał profesor z uprzejmością typową dla osób, jakie spotyka się w zasadzie wyłącznie na polskich uniwersytetach.

– Owszem. A Andrzej nie żyje. Został zamordowany w bardzo brutalny sposób przez nieznanego sprawcę. Myślę, że pan profesor mógłby rzucić cenne światło na tę kwestię, tak to się chyba mówi w żargonie naukowym.

Gągolewski najwyraźniej jednak nie miał zamiaru na nic rzucać światła.

– Proszę wyjść, bo zawołam straż – zażądał.

– Jaką straż, może pożarną? – zapytał Max, prosząc po angielsku Elisabeth, by zamknęła na klucz od wewnątrz drzwi.

Nie czekając, aż to zrobi, wymierzył naukowcowi potężny cios pięścią w brzuch. Profesor zwinął się z bólu. Max chwycił go, podniósł i posadził na krześle.

– Myślisz, ty habilitowany gnoju, że to jest zabawa? Człowiek nie żyje, a ty odrzuciłeś jego pracę doktorską, nawet jej nie czytając. Po prostu wysłałeś mu e-maila. Kto ci kazał to zrobić? Byłeś kolegą arcybiskupa Morawskiego? On też nie żyje, powiesił się po tym, jak wyszła na jaw jego esbecka przeszłość, ale o tym pewnie wiesz już z telewizji. Ciekawi mnie jedno: czy z ciebie też esbecja zrobiła swojego psa?

Profesor był przerażony. Zapewne nikt nigdy nie potraktował go tak jak Max, i to jeszcze w jego gabinecie, na jego wydziale. Widział determinację napastnika. Przez wiele lat Gągolewski bał się, że dopadnie go historia, i ten dzień właśnie nadszedł.

– Nie rób mi krzywdy. Powiem wszystko.

– Tylko nie mów mi, że cię szantażowali!

Naukowiec zupełnie się rozkleił.

– O arcybiskupie wiedziałem wcześniej – wydusił z siebie. – Zresztą wielu go podejrzewało o współpracę z SB, bo w czasach, kiedy wyjazdy na Zachód nie były takie proste, on nie miał żadnych problemów z otrzymaniem paszportu.

– Nie o Morawskiego pytam – rzekł z naciskiem Max.

– Zadzwonili do mnie miesiąc temu – wyznał profesor niemal z płaczem. – Powiedzieli, że mam uwalić doktorat Andrzeja, bo inaczej wyjdzie wszystko...

– Jakie wszystko? – Max spojrzał na Elisabeth, dając jej dyskretnie znak, by nie przestawała nagrywać.

– W połowie osiemdziesiątego piątego roku mnie złamali. Miałem na

boku dziewczynę – powiedział Gągolewski. – Moja żona była wtedy w ciąży. Zrozumcie, mam pięcioro dzieci i jestem katolickim ojcem rodziny. Musiałem się wtedy zgodzić na współpracę. Mieszkaliśmy kątem u rodziców żony.

– Rzygać mi się chce, jak tego słucham – wycedził Max. – I dlatego uwalileś doktorat Andrzejowi?!

Teraz już po twarzy profesora ciekły łzy.

– Zadzwonili do mnie i powiedzieli, że mojateczka wypłynie w jakiejś prawicowej gazecie. A w niej jest wszystko, raporty, kwity, bo brałem od esbeków pieniądze... nie mieliśmy z żoną z czego żyć, a czasy były takie, że nie starczało na nic. Boję się, rozumie pan? Z nimi nie ma żartów. Byłem pewien, że mojateczka została zniszczona podczas brakowania akt Służby Bezpieczeństwa w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Myliłem się.

– Gdyby tateczka wypłynęła, zrujnowałaby ci życie? – zapytał Max.

Gągolewski popatrzył mu w oczy. Przez jedną chwilę jego wzrok wydawał się Maxowi ludzki. Naukowiec wyglądał jak zbity pies przyłapany na kradzieży jedzenia.

– Tak.

Nastąpiła chwila milczenia. Max musiał odpowiednio zagrać, żeby Gągolewski nie złożył doniesienia o napaści.

– Nie obchodzi mnie, co robiłeś za komuny – powiedział spokojnie, zbliżając twarz do jego twarzy. – Chcę znaleźć ludzi, którzy zabili Andrzeja i moją żonę. Ty pomożesz mi, a ja pomogę tobie.

– Jak?

– Moim milczeniem. Jeśli zdobędę twojąteczkę, zwrócę ci ją.

– Skąd taki... Skąd może pan wiedzieć, gdzie ona jest? – Gągolewski ponowił zapytanie.

– Taki czarnuch, co? Nie lubicie w Polsce czarnych, prawda? Otóż dowiedz się, profesorku, że wiem, gdzie jest twoja teczka.

Max blefował, ale niezupełnie. Domyślał się, że za szantażem stał Gozdawa. Trzeba tylko dobrać się do jego mieszkania. Był pewien, że będzie tam można znaleźć wiele esbeckich materiałów. Ale znając Polskę, wiedział, że przeszukanie mieszkania zabitego esbeka wykracza poza jego możliwości. Andrzej miał rację, pomyślał, takiej władzy nad ludźmi się nie niszczy.

– Oddasz mi ją? – wybąkał Gągolewski, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– Tak, ale musisz mi pomóc dostać się w jedno miejsce.

– Jakie?

– Do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Nie jestem naukowcem, nie dadzą mi ot tak materiałów Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Nie dadzą, ale ja mogę...

– Otóż to, profesorku, ty możesz.

– Mam znajomych w tym archiwum, zrobią dla mnie wszystko – zapewnił Gągolewski, wycierając nos. – Co pana interesuje?

– Ambasada PRL w Nigerii, od osiemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego ósmego roku. Wszystko, skład osobowy, akta, meldunki wywiadu gospodarczego PRL.

Max chwycił za słuchawkę służbowego telefonu na biurku profesora.

Gągolewski zadzwonił do szefowej działu badawczego archiwum i poprosił kobietę, która odebrała, o przygotowanie dokumentów wymienionych przez Maxa. Zakończył połączenie i spojrzał na Maxa.

– Zrobione, będą za trzy godziny – oznajmił.

– Doskonale. – Max wziął od Elisabeth dyktafon cyfrowy. – Jedziesz z nami do Warszawy. Nie mogę pozwolić, żebyś poszedł na policję.

– Muszę zadzwonić do żony.

– Dzwoni. – Max podał mu swoją komórkę. Była przełączona na tryb cichy, nie zauważył więc, że od dłuższego czasu ktoś próbuje się do niego dodzwonić.

★

W tym samym czasie do Polski dotarła wiadomość, że na Cyprze w Limassol znaleziono w pokoju hotelowym ciało polskiego obywatela, Janusza Gozdawy, znanego w kraju jako szefa firmy energetycznej, która zajmowała się budową polskiego gazoportu i nie mogła go dokończyć. Pierwsza dowiedziała się o tym Agata Wróblewska i natychmiast zadzwoniła do Maxa, ale ten nie odbierał.

W wieczornym serwisie Twojej Stacji podano informację o śmierci Gozdawy. Ogłoszono też, że na Cyprze przeprowadzono sekcję zwłok, która jako najbardziej prawdopodobną przyczynę zgonu wykazała zawał serca.

Zanim jednak ta wiadomość dostała się do dziennikarzy, dowiedział się o niej minister spraw wewnętrznych Henryk Kudzia, który był żywo zainteresowany tym, by prawda o operacji Lunatyk nigdy nie ujrzała światła dziennego. Jeszcze tego samego dnia nakazał swoim ludziom z ABW założenie podsłuchu wszystkim, którzy mogli być zamieszani w tę sprawę. Redaktor Wróblewska była pierwsza na liście.

Choć ABW miała swoje procedury, zgodnie z którymi założenie podsłuchu wymagało zgody sądu, zaufani ludzie Kudzi, którzy zaczynali karierę w służbach PRL-u, nie przejmowali się takimi drobiazgami jak przestrzeganie prawa.

– Chcę być informowany o posunięciach tej dziwki o każdej porze dnia i nocy – nakazał im minister, w duchu zaklinając rzeczywistość, by nikt

nigdy nie powiązał go z Gozdawą i jeszcze jednym oficerem SB, którego znał bardzo dobrze.

★

Ludzie z ABW zaparkowali w nieoznakowanej furgonetce przed domem Wróblewskiej na Saskiej Kępie. Gdy wyjechała do pracy, wysiadło trzech mężczyzn przebranych za pracowników firmy telekomunikacyjnej. Bez problemów, za pomocą elektronicznego urządzenia przypominającego wielofunkcyjny śrubokręt otworzyli drzwi i weszli do środka. Włożyli rękawiczki, by nie zostawić żadnych śladów.

– Pięć minut – powiedział jeden z nich.

Założyli podsłuch w telefonie, w każdym z pokoi, w ubraniach dziennikarki. W zakietach jej eleganckich kostiumów, płaszczach, w butach. Pluskwy włożono także do piór wiecznych i długopisów. Po pięciu minutach dom Agaty Wróblewskiej był naszpikowany elektroniką. Podsłuch miał rozpocząć się wieczorem, po jej powrocie z pracy.

ABW nie mogła wejść oficjalnie do Twojej Stacji, ale można przecież dokonać przeglądu sieci teleinformatycznych. Przed południem w serwerowni spece z ABW odnaleźli sygnał z komórki Agaty, który został przekierowany także do aparatury w mieszkaniu ministra Kudzi.

★

Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajduje się na ulicy Hankiewicza, niedaleko szpitala na Banacha. Max, Elisabeth i Gągolewski przyjechali samochodem i zaparkowali koło archiwum, weszli do budynku i skierowali się do czytelnicy naukowej.

Kobieta – zastępca dyrektora archiwum – która przyjęła rewers od profesora, łypnęła na dwoje jego dziwnych gości, czarnoskórego mężczyznę

ubranego jak hipster i bardzo elegancką kobietę o krótko obciętych blond włosach.

– To moi zagraniczni doktoranci – wyjaśnił Gągolewski.

Akurat, pomyślała, nie masz zagranicznych doktorantów, ale co mnie to obchodzi.

– Zamówione przez pana akta czekają na miejscu, profesorze.

Gągolewski podszedł razem z Maxem i Elisabeth do biurka, na którym stało kilkanaście pożółkłych teczek. Max nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Pamiętał, że esbkiem, który razem z Gozdawą prowadził ojca Andrzeja i Moniki, był niejaki kapitan Wiśniak, ale nie sądził, że tutaj znajdą jakiś ślad.

– Interesuje mnie, kto pracował w polskiej ambasadzie w Nigerii w latach od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego do ósmego – powiedział.

Gągolewski sprawnie zaczął przeglądać dokumenty. Po jego ruchach i opanowaniu widać było, że spędzał w miejscu takim jak to dziesiątki godzin. Po chwili wydobyl ze stosu to, czego Max szukał. Teczki osobowe. Max zaczął je przeglądać: ambasador, docent Janusz Jazowy. Jako przyczynę odwołania go do Warszawy podano alkoholizm. Ciekawy powód w kraju, w którym w roku 1981 przeciętny mieszkaniec wypijał czternaście litrów wyrobów spirytusowych rocznie, pomyślał Max. Zatrzymał się na dokumencie z Warszawy, z którego wynikało, że pełniącym obowiązki ambasadora został Andrzej Małysiak zatrudniony w MON. Co ma, do licha, Ministerstwo Obrony Narodowej do ambasady? Ale kiedy pomyślał o latach dziewięćdziesiątych – wtedy właśnie dowiedział się najwięcej o kraju swojej żony i matki – uznał, że w PRL-u wszystko było możliwe.



Inne teczki okazały się równie ciekawe. Na przykład ta zatrudnionego w ambasadzie Henryka Kudzi.

– To przecież minister spraw wewnętrznych w rządzie premiera Potockiego – powiedział profesor Gągolewski, patrząc na zdjęcie.

Max oczywiście nie znał nazwisk obecnych polskich ministrów, ale fakt, że szef resortu spraw wewnętrznych pracował kiedyś w ambasadzie w Nigerii, wydał mu się niezwykle istotny. Najwyraźniej zleceniodawca Maxa wiedział, co robi. Że też, cholera, nie wiem, dla kogo pracuję, pomyślał.

Najciekawsza była jednakteczka Andrzeja Małysiaka. Nie było w niej nic, ani jednego papierka, ani jednego świstka, o zdjęciu nie mówiąc. Kompletnie nic.

– Ktoś to wyczyścił – stwierdził Gągolewski. – Macie pecha, cholernego pecha.

– Kto to zrobił? – zapytał rozzłoszczony Max.

– Esbecja. Była wystarczająco omnipotentna, by wyczyścić teczki wszystkich swoich najbardziej zasłużonych ludzi – odparł profesor, wzruszając ramionami.

– Czy to nie jest dziwne, że ktoś wyczyścił teczkę faceta, o którym wiemy, że został pełniącym obowiązki ambasadora?

– To rzeczywiście dziwne – przyznała Elisabeth, która już na widok nazwiska napisanego na teczce zbladła. – Małysiak... Właśnie o nim mówił mój ojciec. To on zaaranżował spotkanie, na którym zginął Amerykanin, Turek, a ojciec został postrzelony.

Max czuł swoim „nosem” detektywa, że mają faceta, że Andrzej Małysiak jest powiązany z Gozdawą i Wiśniakiem, lecz nie miał pojęcia,

w jaki sposób. Niestety, nie widział nawet nitki, po której mógłby dojść do kłębka. Sprawa wymyka mi się z rąk, pomyślał zrezygnowany.

Elisabeth tymczasem przeglądała dalej teczki w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, wzmianek o strzelaninie, w której został poszkodowany jej ojciec, ale niczego nie znalazła.

Jedynym punktem zaczepienia było nazwisko Henryka Kudzi.

Wstali i ruszyli do wyjścia.

– Czyżby jakiś nowy grant, profesorze? – zapytała wicedyrektor archiwum.

Widząc zakłopotanie Gągolewskiego, Max odpowiedział za niego.

– Tak, konkretnie mój i mojej koleżanki z Uniwersytetu Columbia. Prowadzimy badania z dziejów dyplomacji w krajach komunistycznych.

– O, bardzo ciekawe. Jeśli wolno zapytać, dlaczego interesuje was akurat Nigeria? Chociaż stosunki PRL-u z tym krajem były rzeczywiście bardzo ożywione. Za Gierka, w latach siedemdziesiątych, przyjeżdżało do nas na studia mnóstwo Nigeryjczyków.

Max popatrzył bezradnie na Gągolewskiego i Elisabeth, mimo że akurat ona nie mogła mu pomóc, bo nie znała polskiego. Musiał jakoś sam wybrnąć z sytuacji.

– Zajmuję się Nigerią z powodu...

– Pochodzenia, rozumiem – wyratowała go z opresji kobieta. – To typowe. Pańscy rodzice musieli się poznać w czasach, o których mówiłam. To się często zdarzało.

Ku jego rozbawieniu sama sobie stworzyła historię rodziny Maxa. Jednak po chwili powiedziała coś, co sprawiło, że zyskał podstawy do tego, by inaczej definiować słowo „przypadek”.

– Myślę, że będę mogła panu pomóc. Nazywam się Anna Jazowy –

powiedziała. – Jestem doktorem historii ze specjalizacją afrykanistyczną. Mój mąż, docent Jazowy, był pionierem badań kulturoznawczych krajów Czarnej Afryki. Zadałam panu pytanie o powód zainteresowania Nigerią, bo wiedziałam, że państwo znajdą w papierach teczkę mojego nieszczęsnego męża... – Kobieta westchnęła. – Mąż, niestety, nie żyje już od dziesięciu lat.

– Była pani żoną ambasadora Jazowego? – zapytał Max, nie wierząc w swoje szczęście.

– Właśnie to powiedziałam – odparła, podając mu rękę.

– Jest pani w takim razie moją najlepszą przyjaciółką – rzucił Max z całym swoim wdziękiem, po czym polskim zwyczajem pocałował ją w dłoń. – Max Kwietniewski, bynajmniej nie Nigeryjczyk. Czy poświęci mi pani chwilę?

– Oczywiście.

– Kiedy?

– Choćby dziś po pracy. Zapraszam pana i pańską koleżankę do mnie do Wilanowa.

– Z przyjemnością przyjdziemy.

★

Max i Elisabeth nie zauważyli, że profesor Aleksander Gągolewski ulotnił się jak kamfora. Czym prędzej wrócił do Lublina, na swój mały wydział na małym uniwersytecie, i odtąd żył w strachu, żeby ktoś kiedyś przez przypadek – lub całkiem nieprzypadkowo – nie odkrył tego, co powinno być skrywane. Podobno dalej wykłada na uniwersytecie.

★

Dzień był niesłychanie intensywny. Max czuł, że jest na właściwym tropie, a Elisabeth dzieliła jego entuzjazm. Gdy doktor Anna Jazowy

skończyła pracę, odwieźli ją do domu. Max znał trochę Warszawę z lat dziewięćdziesiątych.

– Czy to nie tę dzielnicę nazywano Zatoką Czerwonych Świń? – zapytał.

Anna Jazowy popatrzyła na niego spod okularów w grubych oprawkach szczerze rozbawiona.

– Wiem, do czego pan zmierza. Oczywiście, że ja i mąż byliśmy członkami partii. Nie moglibyśmy bez tego wyjechać na placówkę, nawet w jakimś odległym i mało ważnym kraju. Chociaż tak naprawdę Nigeria była dla ówczesnych władz ważna z powodów ideologicznych.

– Czy moglibyśmy przejść na angielski? – zaproponował Max, gdy weszli do mieszkania. – Moja przyjaciółka nie mówi po polsku.

– Oczywiście. Siadajcie. Zrobię kawę, mam słabość do ziaren z Czarnego Łądu.

– Z Etiopii?

– Nie, z Kenii, kenijska jest łagodniejsza.

Kiedy gospodyni zniknęła w kuchni, Max rozejrzał się po mieszkaniu. Miało prawie trzysta metrów powierzchni, a na nich mnóstwo pamiątek z Afryki – masek bóstw, rzeźb, ceramiki – wszystko starannie dobrane i dobrze zakomponowane.

– A teraz proszę mi zdradzić, kim pan naprawdę jest – powiedziała Anna Jazowy, stawiając na stoliku tacę z kawą i filiżankami. Zapaliła podgrzewacz i postawiła na nim żeliwny dzbanek. – Bo w to, że pisze pan doktorat o dyplomacji PRL-u w Afryce, nie wierzyłam ani przez chwilę.

– Jest pani inteligentna – zauważył Max. – Prowadzę śledztwo.

Płomień pod żeliwnym naczyniem palił się równomiernie.

– Wiedziałam, że ten dupek Gągolewski będzie miał kłopoty.

– To pani wie?

– O czym? O tym, że współpracował z SB, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale wyczułam to wczoraj, kiedy do mnie zadzwonił. A dzisiaj, gdy pana zobaczyłam, to przeczucie jeszcze się nasiliło. Skąd pan tak dobrze mówi po polsku?

– Moja mama jest Polką.

– Jest pan z Chicago?

– Nie, z Nowego Jorku, z Brooklynu – odparł Max.

Nalała bardzo aromatycznej kawy do maleńkich filiżanek. Max czuł, że lubi tę kobietę i że ona wie coś, co może mu pomóc. Skosztował kawy, bez kropli mleka, jedynie z łyżeczką cukru trzcinowego z ekologicznej plantacji. Smak był niezwykły. Przebijały nuty pieprzu, wanilii, przyjemna gorycz zlewała się z naturalną łagodnością. Max poczuł się doceniony.

Opowiedział o „samobójstwie” Władysława Skotnickiego, śmierci Moniki i wreszcie o śledztwie Andrzeja i jego zabójstwie.

– To pan jest krewnym księdza Andrzeja? – zdziwiła się Anna Jazowy. – Straszna tragedia.

Elisabeth, która do tej pory przysłuchiwała się wymianie zdań i popijała kawę, opowiedziała o postrzeleniu jej ojca w Nigerii.

– To, co stało się z pani ojcem, musiało się zdarzyć już po moim wyjeździe z Nigerii. Mąż został odwołany... miał kłopoty z...

– Pił? – ułatwił jej odpowiedź Max.

Anna Jazowy na moment się zawahała.

– Tak, nasze małżeństwo od pewnego momentu było fikcją. Mąż zatracił się zupełnie w nałogu. Nie była to dla mnie prosta sytuacja. Nie jest łatwo być żoną alkoholika i udawać, że wszystko jest w porządku. Janusz rozpił się po stanie wojennym, po śmierci jego syna z pierwszego

małżeństwa, i nigdy nie wrócił już do równowagi. Nie to jednak pana interesuje, prawda?

– Owszem. Interesuje mnie Andrzej Małysiak. W jego teczce nie ma żadnych papierów. Nic.

Twarz kobiety wykrzywił grymas, na sekundę, może dwie.

– Oczywiście zauważyłam to, przygotowując dla was materiały – powiedziała Anna Jazowy na pozór spokojnym głosem, ale Max nie zarobiłby na chleb jako detektyw, gdyby nie widział i nie słyszał tego, czego mniej wprawne oko i ucho nie rejestrują. – Co pan chce o nim wiedzieć?

– A co pani chce mi o nim powiedzieć? – Max spoglądał na nią badawczo.

Wydała mu się bardzo zakłopotana – jakby włożyła maskę – ale tylko przez chwilę. W Polsce tylu ludzi je nosi, pomyślał.

– Małysiak przyjechał do Nigerii w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Miał dużo wyższe kwalifikacje niż wszyscy inni pracownicy ambasady. To znaczy, że nie wyglądał na dyplomatę, bo ten sort ludzi w PRL-u poznałam dobrze na innych placówkach. Przed Nigerią ja i mąż byliśmy w Egipcie, a potem w Maroku. Znam ich. Wiem, jakie są ich ograniczenia. On był, jak by to powiedzieć... z innej bajki.

– To znaczy? – wtrąciła Elisabeth.

– Miałam wrażenie, że zakres jego obowiązków służbowych był inny niż ten oficjalny, miał być chargé d'affaires. Nigeryjczycy planowali przenieść stolicę do Abudży położonej w głębi lądu, a placówka w Lagos miała się stać konsulatem. Nie wiem, co się stało z Małysiakiem po naszym wyjeździe.

Max po raz pierwszy miał wrażenie, że kobieta nie jest szczerą. Nie chciał jednak naciskać. Pierwsza podstawowa zasada w obchodzeniu się ze świadkami, jaką wyniósł z pracy w nowojorskiej policji, brzmiała: nie

spłoszyć go, nie nastraszyć idiotycznymi pytaniami. Dać mu czas. Postanowił się do niej zastosować.

– Coś panu pokażę. – Anna Jazowy wstała i wyszła z salonu.

Po chwili wróciła z albumem ze zdjęciami. Wyjaśniła, że to pamiątki, a tych nie pokazuje się przecież byle komu.

– To nasze zdjęcie. Jesteśmy na nim mąż, ja i Małysiak. On bardzo nie lubił być fotografowany. Tę zrobił chyba Henryk Kudzia, który wtedy pracował w ambasadzie. Pewnie dlatego nie ma go na zdjęciu. W ambasadzie trzymaliśmy się dość blisko.

Max poczuł mrowienie. Po raz pierwszy miał okazję zobaczyć twarz Małysiaka. Elisabeth była równie podekscytowana jak on. Zbliżyli się do Anny Jazowy, która trzymała w obu dłoniach dość duży i nieporęczny album pełen starych fotografii.

Bez trudu poznali ją na zdjęciu; była bardzo atrakcyjną kobietą. Obok niej, po prawej, stał mężczyzna przed czterdziestką, który trzymał ją za ramię, a po lewej znacznie starszy, dalej stali młodszy pracownicy ambasady, dwaj nigeryjscy służący, sprzątaczką. Socjalizm to socjalizm, wszyscy razem.

– Byliście bardzo atrakcyjną parą, pani i mąż – powiedział Max.

Anna Jazowy znów się zakłopotowała.

– To nie mój mąż, tylko właśnie Andrzej Małysiak – sprostowała cicho.

Max popatrzył na nią badawczo. Dopiero teraz zauważył, że ten po lewej, to ten sam, którego wcześniej widział na zdjęciu na komodzie, ambasador.

Elisabeth nagle zakrztusiła się kawą. O mały włos nie rozlała aromatycznego płynu na starych rodzinnych pamiątkach.

– Bardzo przepraszam – rzuciła cicho.

– Chyba już pójdziemy – powiedział Max.

– Tak, bardzo dziękujemy za zaproszenie – zwróciła się do gospodyni Elisabeth, wycierając chusteczką higieniczną kawę z parkietu.

Anna Jazowy nie wiedziała, czym tak zaskoczyła tę młodą kobietę, ale uznała, że tych dwoje niczego nowego się od niej nie dowiedziało. Poprosiła jednak Maxa o numer komórki, na wypadek gdyby sobie jeszcze coś przypomniała. On i Elisabeth pożegnali się, po czym opuścili mieszkanie. Gdy wsiadali do wypożyczonego samochodu, mini coopera z silnikiem 2.4, Max zauważył, że w oknie mieszkania Anny Jazowy poruszyła się firanka. Zadzwoni, pomyślał, nie powiedziała mi całej prawdy.

★

W squacie, gdy jedli kolację, kręcący się po mieszkaniu anarchiści poinformowali ich, że była policja, ale niczego nie wskórała. „Nic się od nas nie dowiedzą!”, powiedzieli gromkim chórem. Max podziękował im.

W drodze do domu wymieniali się z Elisabeth uwagami o Annie Jazowy, ale nie zapytał, dlaczego tak się spłoszyła, widząc tamto zdjęcie. Zamierzał to zrobić, kiedy wchodzili do pokoju, lecz nie zdążył, bo zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do jego warg. Była namiętna jak nigdy, zachowywała się tak, jakby zupełnie zapomniała o współlokatorach, od których oddzielała ich tylko ściana.

Gdy spali obok siebie, a inni mieszkańcy squatu – poza kilkoma wariatami uzależnionymi od internetu – też już dawno zasnęli, Max poczuł wibrację komórki, która cały czas była nastawiona na tryb cichy. Na ekraniku zobaczył informację o mnóstwie nieprzeczytanych wiadomości i nieodebranych połączeń. Głównie od Agaty Wróblewskiej.

Wstał bezszelestnie jak kot, żeby nie obudzić Elisabeth. Przeszedł na drugi koniec pokoju i wybrał połączenie.

– No, wreszcie się odzywasz! – zawołała Agata, która odebrała po



pierwszym sygnale. – Zgadnij, gdzie jestem.

– W łazience. Bierzesz kąpiel i myślisz o mnie.

– Maxie Kwietniewski, gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że to wstrętny seksistowski żart samotnego i napalonego samca. Ale rozczaruję cię. Jestem w pracy.

– Minęła północ.

– Pracuję nad porannym serwisem. Dzieją się arcyciekawe rzeczy. Gozdawa nie żyje.

– Co takiego?! – Zerknął w stronę łóżka, bo obawiał się, że jego podniesiony głos obudził Elisabeth, ale tylko odwróciła się na drugi bok i spała dalej.

– Właśnie z tym próbowałam się do ciebie dodzwonić przez cały dzień – powiedziała Agata. – Zszedł na zawał w jakimś cypryjskim hotelu. Sprawa jest śmierdząca. To już czwarty trup. A ty czegoś się dowiedziałeś?

– Widziałem zdjęcie Małysiaka, tego dyplomaty z Nigerii.

Chyba nie od razu skojarzyła to nazwisko.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Mam informacje, że nasza sprawa może być powiązana z zaginięciem i prawdopodobnym zabójstwem amerykańskiego lobbysty w Nigerii przed wieloma laty. Czy mogłabyś sprawdzić wszystkie doniesienia z agencji prasowych, w których pojawia się to nazwisko. Zapisz sobie: Andrzej Małysiak.

– Robi się. Skąd je masz?

– Od żony ambasadora Jazowego z Nigerii. Ona jest zastępcą dyrektora Archiwum Akt Nowych.

– Nigeria... powiadasz... ciekawe. A wracając do Gozdawy, to od razu po jego śmierci prokuratura na Pradze wszczęła śledztwo w sprawie spółki

nadzorującej budowę polskiego gazoportu. Kontrola NIK wykazała, że firma odpowiada za wielomiesięczne opóźnienia w budowie. Zgadnij, komu firma Gozdawy co rok przelewała okrągłą sumkę na działalność charytatywną.

– Nie jestem dobry w zgadywankach.

– Arcybiskupowi Morawskiemu. Dwa miliony złotych. To sitwa, Max, rozumiesz? Ty i Andrzej nacisnęliście czuły punkt powiązań i układów. Musimy się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi.

– Gozdawa już nie żyje i nic nie powie.

– Policja na wniosek prokuratury przeszukała jego dom. Jak tylko się czegoś dowiem, zadzwonię.

– A, mam dla ciebie ciekawostkę – powiedział Max, zanim Agata zdążyła przerwać połączenie.

– Cała zamieniam się w słuch.

– Dowiedzieliśmy się dziś, że w ambasadzie w Nigerii pracował niejaki Henryk Kudzia.

Usłyszał w komórce, jak Agata zagwizdała z wrażenia.

– Minister spraw wewnętrznych! Kurwa, ta sprawa to polskie Watergate, miałeś rację. Miej rękę na pulsie. Na razie to za mało, żeby rzucić tego wszechwładnego człowieka na pożarcie. Musimy być piekielnie ostrożni. A poza tym jeszcze nie widzę związku między twoim nigeryjskim tropem a naszą sprawą. Mówi się, że ABW ma wejść do firmy Gozdawy, żeby zabezpieczyć dokumentację. Po tym spodziewam się najwięcej. Dobrze, że się wreszcie odezwałeś, wpadnij jutro. Cześć, jest późno, a czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy.

Max pomyślał, że jeśli się ma po swojej stronie znanego, ciętego i wpływowego dziennikarza, nie można przegrać. Położył się obok Elisabeth

i przytulił się do niej, ale nie mógł zasnąć.

Tej nocy w Warszawie jeszcze jeden człowiek nie mógł spać. Minister Henryk Kudzia słyszał całą rozmowę. Wiedział, że na kontratak ma mało czasu.

## Rozdział dwudziesty

### **KWERENDA**

Z chwilą kiedy Kudzia usłyszał z ust znieawidzonej redaktor Wróblewskiej oraz nieznanego mu z imienia rozmówcy, nazywanego przez nią Max, swoje imię i nazwisko, wiedział, że musi działać szybko. Tamci byli niebezpiecznie blisko prawdy. Po śmierci Gozdawy był jedynym człowiekiem, który wiedział, że Andrzej Małysiak i prezes Geobanku, Peter Vogel, to ta sama osoba. Kudzia uznał, że czas najwyższy przypomnieć o tym Małysiakowi. Umiał wykorzystać swoją wiedzę tak, by przyniosła mu jak największe korzyści. Zdawał sobie sprawę, jak potężny jest bank, który sfinansował w Polsce budowę rurociągu jamalskiego. Geobank jeszcze do niedawna miał ochotę na kupienie polskiego KGHM, ale pismaki wywęszyły, że finansował rosyjską rurę pod Bałtykiem, i choć nie było bezpośrednich dowodów, że szwajcarski gigant bankowy jest powiązany z kapitałem rosyjskim, premier wstrzymał podpisanie kontraktu, który pachniał uzależnieniem się od wroga. Kudzia już w Nigerii wiedział, że za Małysiakiem stoją Rosjanie. Na samo wspomnienie tej wścieklej rosyjskiej morderczyni, która udawała Brazylijkę Jasmine dos Santos, przechodził go dreszcz. Smutno mu się zrobiło, gdy w podsłuchanej rozmowie padło nazwisko żony ambasadora, Anny. Miał na nią ochotę w Nigerii, ale do jej łóżka wszedł Małysiak, który zawsze brał to, co najlepsze. Teraz jednak Kudzia miał asa w rękawie. Doszedł do wniosku, że Gozdawa na pewno jakoś się zabezpieczył. Taki szczywany esbek musiał coś mieć na Małysiaka, skoro wiedział o nim to, co wiem ja, wydedukował Kudzia. Od kilku dni

intensywnie analizował całą sprawę, wszystkie doniesienia prasowe. W artykule niezującego klechy obok Gozdawy wymieniono jeszcze jedno nazwisko.

★

Henryk Kudzia był na swój sposób romantyczny. Anna Jazowy kiedyś bardzo mu się podobała i nie przestała mu się podobać. Teraz był ministrem spraw wewnętrznych i zdobycie jej adresu nie nastęczało problemu. Kazał się tam zawieźć rządową limuzyną Audi A8.

Gdy zadzwonił z domofonu, przez chwilę wahał się, czy warto rozgrzebywać stare rany. Wiedział przecież, że Małysiak dość obcesowo porzucił w Nigerii kobietę, która była w nim zakochana. On by tak nie zrobił. On kupiłby jej diamenty z Konga. Teraz, kiedy Anna Jazowy zdecydowała, że go wpuści, czuł się przez chwilę jak uczeń, którego nauczycielka złapała na małym świństewku.

Otworzyła mu drzwi. Kudzia wszedł do mieszkania sam, ochroniarze zostali przy aucie.

- Nie zmieniłaś się.
- Ty też nie. Czego ode mnie chcesz?
- Może zaproponowałabyś mi kawę?
- Za późno na kawę o tej porze.

Nie zważał na jej chłód. Na swój sposób podkreślało go to bardziej. Zdobyć kobietę, która go nie lubi. To jest coś! Rozejrzał się po mieszkaniu i wspaniałej kolekcji afrykańskich przedmiotów.

– Piękne uwiłaś sobie gniazdeczko! Chciałbym pogadać o starych sprawach – powiedział, opadając na stylowy fotel.

Anna Jazowy nie lubiła, gdy ktoś rozsiadał się niezaproszony w jej domu, ale postanowiła się dowiedzieć, czego Kudzia chce.

– Pamiętasz Małysiaka? – spytał.

Z uwagą śledził każdy grymas na jej twarzy. Pomyślał, że wspaniale zagrała obojętność, ale wyczuwał, że pod tą maską kryje się gorąca lawa.

– Pamiętam.

– Czy nie uważasz, że zachował się wobec ciebie podle?

– Nie gorzej niż ty, kiedy przyszedłeś z butelką do naszego pokoju, gdy spaliśmy.

– Och, nie bądź taka przeczulona na punkcie swojej nagości, moja droga – powiedział z przekąsem minister. – Miałaś wtedy naprawdę wspaniałe ciało. Pozwól jednak, że zadam ci następne pytanie.

Nie zdzierzę tego buca, pomyślała Anna, zaciskając pięść z wściekłości.

– Miałabyś ochotę się na nim odegrać?

– Nie – odparła z godnością. – Nie interesuje mnie, kim teraz jest i co robi.

– A to szkoda, wielka szkoda, bo ja miałbym dla ciebie propozycję. Ty powiesz mi wszystko o Małysiaku, poszperasz tu i ówdzie... w końcu jesteś archiwistką, a ja ci wynagrodzę to dawne upokorzenie i zaopiekuję się tobą. Co, umowa stoi?

Robiąc karierę w polskiej polityce, Kudzia nauczył się wyższego poziomu arogancji, nie docenił jednak Anny. Była wprawdzie kobietą zdradzoną, ale miała swoją klasę.

– Nie interesuje mnie twoja propozycja. Czy mógłbyś wyświadczyć mi uprzejmość i wyjść z mojego mieszkania? – poprosiła z całym wdziękiem, na jaki było ją stać w tej sytuacji.

Kudzia zrozumiał, że nic nie osiągnie. Szkoda, pomyślał, wydajesz na siebie wyrok.

Wstał, po czym wyszedł. Anna odetchnęła z ulgą.

★

Kiedy następnego dnia rano Kudzia dotarł do swojego gabinetu, chwycił słuchawkę bezprzewodowego telefonu i połączył się z ABW.

– Proszę z szefem. Tak, to pilne.

Po chwili usłyszał głos szefa Agencji.

– Znaleźliście coś w mieszkaniu Gozdawy? – spytał Kudzia.

– Trwają czynności na miejscu, panie ministrze.

– Ile mogą trwać te czynności?!

– Interesuje pana coś konkretnego?

– Proszę przeszukać dobrze... Sejf, na pewno miał w domu sejf... Jakieś zapiski, może odręczny testament. Szukajcie.

– Zwrócimy na to uwagę. Jak tylko coś chłopaki znajdą, natychmiast zadzwonię.

– W porządku.

Minister Kudzia miał na razie przewagę nad dziennikarką, jej pomagierem – jak nazywał Maxa, nie wiedząc, z kim ma do czynienia – oraz nad samym prezesem Voglem. Już wcześniej wysłał do niego e-maila, ale teraz sytuacja zrobiła się naprawdę poważna. Połączył się z bezpiecznego aparatu telefonicznego z centralą Geobanku w Zurychu. Gdy nie bez pewnych kłopotów dodzwonił się do sekretariatu prezesa, natychmiast go z nim połączono. Był ciekawy, jak po latach brzmi głos człowieka, który umożliwił mu zrobienie kariery w polskiej polityce. To dzięki zastrzykom finansowym na kampanię w zamian za ustawione przetargi, dające wyłączność na obsługę polskiego sektora energetycznego, Kudzia znalazł się tam, gdzie był. Wszystko odbywało się tak, że on i Vogel nie musieli się wcale spotykać. Kudzia nie miał nawet jego prywatnej komórki.

– Peter Vogel przy telefonie.

– Twój niemiecki jest idealny – powiedział minister. – Andrzej, mamy poważny problem i sędzę, że musisz wpaść do Warszawy.

Nastąpiła chwila ciszy. Vogel odzwyczaiał się już od polskiego.

– Co się stało? – zapytał.

– Gozdawa nam zszedł na zawał, nie wiedziałeś? – zapytał Kudzia, po czym starał się ocenić reakcję rozmówcy.

– Skąd miałem wiedzieć? Mam naprawdę dużo pracy, ale skoro już dzwonisz, to powiedz, o co chodzi.

Kudzię zirytował jego ton. W Nigerii inaczej rozmawiali, jak równy z równym. Prezes obrósł w piórka! Stał się ważny. Nie to co minister spraw wewnętrznych tak nic nieznaczącego kraju jak Polska.

– Gozdawa nie żyje, a dziennikarka Twojej Stacji jest na twoim tropie. Andrzej, znaleźli twoje akta w Archiwum Akt Nowych. Nie uwierzysz, prezesie, kto pomógł im je odnaleźć.

– Oświeć mnie.

– Nasza mała Ania, żona ambasadora. Jest zastępcą dyrektora Archiwum Akt Nowych – oznajmił minister.

– Zajmę się nią. Moje papiery z czasów nigeryjskich są czyste jak łąza – odpowiedział Vogel. – Poza tym Andrzej Małysiak zginął w Nigerii. Sam wysyłałeś do MSZ-etu akt zgonu, prawda?

– Owszem.

– No to możemy spać spokojnie, ty i ja, i nasze interesy.

– Wydaje mi się, że powinniśmy to omówić w cztery oczy – nalegał Kudzia. – Rozumiesz... chodzi o lunatykowanie.

Usłyszał w słuchawce śmiech. Rechet. Przeszły go ciarki.

– Dobrze, przylecę do Warszawy przez Berlin – powiedział po chwili Vogel. – Zaaranżuj spotkanie, ale bez żadnej nawalanki. Wiadomość zostaw



w moim sekretariacie.

– Zrobi się, prezesie. Jesienią są wybory – dodał Kudzia.

Po odłożeniu słuchawki pomyślał, że ma mało czasu, by znaleźć coś, co przekonałoby Małysiaka, że musi się z nim liczyć. Zadzwoił więc raz jeszcze do ABW i zrugął pułkownika, zastępcę szefa. To odpowiednio motywuje do działania.

★

Max obudził się w łóżku sam. Elisabeth nie było obok niego. Rozespany, po upojnej nocy, przez moment myślał, że wyszła do wspólnej kuchni, ale po chwili przypomniał sobie, że kiedyś już się obudził i jej nie było. Wstał i ubrał się szybko. Nie miał pojęcia, co się stało. Nie rozumiał tego. Kochał ją i miał wrażenie, że z wzajemnością.

Chwilę później zauważył napisaną na kartce wiadomość. Jej treść zmroziła go.

*Kochanie,*

*wybacz mi proszę, że robię Ci to po raz drugi. Nie będziemy razem. Zdecydowałam. Opuuszczam sobie walkę o duchy zmarłych. Po odejściu ojca czuję, że jestem wolna. Nie miej mi tego za złe. Dobrze mi z Tobą było. Po prostu w moim życiu jest za dużo chaosu, a Ty, z całą sympatią, nie jesteś facetem dla kobiety, która pragnie stabilnego związku. Jesteś w ciągłym ruchu. Nie potrafię tak żyć.*

*Twoja na zawsze Elisabeth*

Poczuł się tak, jak gdyby ktoś mu podciął nogi. Nie potrafił zrozumieć postępowania tej dziewczyny. Tak się nie robi. Wezbrała w nim wściekłość. Zmiał kartkę i z całej siły rzucił nią o ścianę. Wystawiła go po raz drugi. To boli. Sprowadza do poziomu podłogi. Po czymś takim w Nowym Jorku potrafiłby pić na umór przez tydzień, ku rozpaczy pani Chiang i matki gładzącej mu przez telefon o religii. Miał ochotę spuścić Elisabeth lanie. Po

chwili jednak opanował emocje, które nigdy – nie tylko w miłości – nie są dobrym doradcą. To śledztwo, ta „walka o duchy zmarłych” – jak zauważyła poetycko Elisabeth – nadawały jego życiu sens. Miał cel i nie zamierzał odpuścić, bo śmierć Andrzeja rozdrapała na nowo ranę po utracie Moniki. Z Elisabeth przeprowadzi rozmowę później, po wszystkim. Zresztą, mimo że znów go zostawiła, był jej nawet wdzięczny – przyleciała przecież do Warszawy i pomogła mu w ciężkich chwilach po pogrzebie Andrzeja. Cóż, nie każdemu Polska służy, pomyślał i w tym momencie zadzwoniła komórka. Rzucił się, by ją odebrać. Oczami wyobraźni widział na wyświetlaczu zdjęcie Elisabeth, ale był to numer komórkowy z Polski. Przesunął palcem po ekranie dotykowym.

– Słucham, Max Kwietniewski.

– Anna Jazowy.

– Miło, że pani dzwoni. Jeszcze czuję smak pani kawy – próbował zażartować.

– Kokietuje mnie pan, chociaż to ja powinnam, bo chciałabym się z panem spotkać. Nie powiedziałam panu wszystkiego.

– Tak przypuszczałem. Bardzo chętnie się z panią zobaczę. Miło mi.

– A mnie wcale nie jest miło. Jestem wściekła na pana, ale głównie na siebie. Głupio mi było wczoraj, bo właściwie pana okłamałam.

– Kiedy możemy się spotkać? – zapytał Max.

– Za godzinę, Rozdroże Cafe, Aleje Ujazdowskie.

– To centrum?

– Nigdy pan tam nie był? – zapytała oburzona Anna Jazowy. – To ulubiona kawiarnia Kisiela, każdy warszawiak w wieku pięćdziesiąt plus wskaże panu to miejsce. Aleje Ujazdowskie sześć.

– Będę na pewno.

★

Prezes Vogel doskonale pamiętał Annę Jazowy. Pamiętał wszystkie swoje kochanki. Kiedy sięgał po telefon komórkowy, żeby wysłać namiary niezawodnemu Stiopie, było mu nawet przykro. Do pewnego momentu było mu z Anną nieźle w łóżku, ale potem zaczęła go nudzić, stała się namolna, musiał więc uciąć ten romans, i nie zadał sobie trudu, żeby załatwić to delikatnie. Gdy przekazywał Rosjaninowi zlecenie, wyraźnie mu nakazał:

– Nie chcę, by cierpiała. To ma być czysty strzał w głowę, jak z Politkowską.

Nawiązanie do zabójstwa słynnej rosyjskiej dziennikarki było aż nadto zrozumiałe dla takiego zawodowca jak Stiopa.

– Zrobi się – odparł.

Vogel poczuł się tak jak po spełnieniu dobrego uczynku. Jego kobiety – nawet byłe – nie powinny niepotrzebnie cierpieć.

★

Max stawił się w umówionym miejscu punktualnie. Kawiarnia była elegancka, ale jakby z innej epoki. Anna Jazowy, w szykownym tweedowym kostiumie, zjawiła się z kilkuminutowym opóźnieniem.

– To miejsce jest w starym stylu, prawie tak jak ja – rzuciła z autoironią.

– Pani jest pewnie w wieku mojej mamy – powiedział Max. – Czyli w kwiecie wieku.

– Bardzo pan miły, ale ja wiem, że lustro, w które codziennie spoglądam, nie kłamie. Przychodziłam tu z mężem. Zawsze w niedzielę, na kawę i napoleonkę.

– Na co?

– To takie polskie ciastko z kremem. Ja i mąż mieliśmy peerelowskie

przyzwyczajenia. – Anna Jazowy rozejrzała się dyskretnie. – Zauważył pan, że wszyscy na nas ukradkiem spoglądają?

– To źle? – zapytał rozbawiony.

– Za czasów PRL-u nie lubiono u nas ludzi o pana kolorze skóry. Polska to mimo transformacji ustrojowej kraj pod pewnymi względami wciąż zaskakująco zaściankowy – odparła z uśmiechem. – Już słyszę moje koleżanki, które spotkam za kilka dni w Zachęcie albo w jednej z prywatnych galerii, mówiące, jak bardzo mi zazdroszczą czekoladowego kochanka.

Max zaśmiał się.

Wymienili jeszcze kilka zdań o pogodzie, wystawie sztuki Dalekiego Wschodu w znajdującym się nieopodal Zamku Ujazdowskim, a potem Anna Jazowy przeszła do rzeczy:

– Nie powiedziałam panu całej prawdy – przyznała się, mieszając łyżeczką kawę w filizance. – Nie mogłam. Nie byłam na to gotowa.

– Rozumiem i dlatego nie naciskałem. Od wielu lat prowadzę śledztwa. Spotykam różnych ludzi. Znam życie.

– Nie, nie może pan rozumieć, jak czuje się porzucona kobieta. Od tamtego czasu minęło prawie trzydzieści lat. To dużo, lecz to dalej boli, nie tak intensywnie jak dawnej, ale jednak.

Dopiero po chwili do Maxa dotarł sens jej słów.

– Nie układało się nam z mężem – wyznała. – Byłam znudzona i, jak każda kobieta, miałam swoje potrzeby. Ujął mnie swoją powierzchownością, nie użyłabym dziś słowa „wdzięk”, bo jak się szybko okazało, brakowało mu go. Wiem, że on i Kudzia mieli jakieś brudne interesy, ale nie wiem jakie. Zdaję sobie sprawę, że to mogłoby panu pomóc.

Max łyknął kawy i opowiedział jej o sobie, o śmierci Moniki i jej ojca, którego do współpracy z SB nakłonił jakiś kapitan Wiśniak, ale nie wspomniał słowem o swoim tajemniczym zleceniodawcy.

– Właśnie to mi nie pasuje – dodał na koniec. – Tych dwóch: Małysiak i Wiś...

Przerwał tak nagle, że kobieta spojrzała na niego z niepokojem.

– Coś się stało? – spytała, bo jego milczenie się przedłużało.

– Wszystko w porządku – odezwał się w końcu. – Ale coś mi przyszło do głowy. Mój teść został zwerbowany do Służby Bezpieczeństwa przez kapitana Wiśniaka. Ten esbek potem przepadł jak kamfora. Znajdujemy w Archiwum Akt Nowych akta polskiej ambasady w Lagos z czasów PRL-u. Nowy dyplomata, którego pani poznała... W jego teczce z aktami personalnymi z MSZ-etu nie ma ani jednego dokumentu. Niczego. To dwa zbiory zerowe, posługując się metaforą z matematyki. Rozumie pani?

Anna Jazowy upiła kawy i odpowiedziała:

– Nie byłam dobra z matematyki.

– To proste. Dwa zbiory zerowe można połączyć w jeden, zero plus zero to jest zero. Proszę pomyśleć: a może Wiśniak i Małysiak.. to jedna i ta sama osoba?

– Co? – rzuciła Anna Jazowy, jakby nie zrozumiała, co do niej mówi. Przez chwilę zastanawiała się ze zmarszczonym czołem, wreszcie skinęła głową. – Gdybym miała zdjęcie tego Wiśniaka... – powiedziała i uśmiechnęła się. – W Instytucie Pamięci Narodowej powinno jakieś być! – Rozejrzała się po sali w obawie, że jej podniecony głos mógł na nich ściągnąć uwagę.

– Na tym właśnie polega problem, że ja i mój szwagier naprawdę dobrze to sprawdziliśmy. Nie zachowała się żadna fotografia tego człowieka. Był

etatowym pracownikiem SB w latach osiemdziesiątych, zbliżonym do grupy generałów Ciastonia i Płatka.

– Tej, z której wywodzili się zabójcy księdza Popiełuszki – zauważyła.

– Otóż to. W osiemdziesiątym szóstym roku Wiśniak zniknął, po prostu rozpułnął się w powietrzu. Potem pojawia się w Nigerii Andrzej Małysiak, któregoteczka osobowa z MSZ-etuzostała wybrakowana. To bardzo dziwne... Jak gdyby władze PRL-u chciały wymazać pamięć o tym człowieku.

Anna Jazowy ożywiła się i powiedziała:

– To były ich normalne praktyki. Jeśli ktoś z partii coś przeszkrobał albo nakradł tyle, że nie można było już tego ukryć, to wszystko było skrupulatnie opisywane. Pan nie był nigdy w Pezetpeerze. Partia była szalenie pruderyjna, biurokratyczna i nie tolerowała wolnych ptaków. Takich ludzi tępiono albo wysyłano w odstawkę do dalekiego kraju, jak mojegomęża. Jeśli materiały tego Wiśniaka wybrakowano, to mogły to zrobić osoby, które z nim były w jakiś sposób związane. Albo zrobił to ktoś z MSW już po transformacji ustrojowej. Pan tego może nie wiedzieć, ale zarządu Mazowieckiego ministrem spraw wewnętrznych był niejaki Kozłowski. On pozwalał hasać po teczkach MSW ludziom z zewnątrz, na przykład Michnikowi. Esbecy wynosili wtedy różne materiały i zapewniam pana, że ich nie niszczoneo.

– Dlaczego? – zapytał Max.

Anna Jazowy tym razem popatrzyła na niego rozbawiona.

– Bo teczki to jest władza, rozumie pan? Władza, która przekracza ramy demokratycznego państwa i przekracza również granice epok historycznych, bo jeśli ktoś został umoczony w PRL-u, to w naszej Trzeciej

Rzeczpospolitej prawdopodobnie się z tego nie wyplątał. Wszystkiemu winny jest brak lustracji.

– Czyli jest pani zdania, że materiały Małysiaka i tego zaginionego kapitana SB, Wiśniaka, mogły trafić w ręce jakiegoś esbeka? – zapytał Max.

– Oczywiście.

– Operacja Lunatyk – powiedział Max. – Ma pani dużą wiedzę na temat materiałów archiwalnych. Czy słyszała pani o takiej operacji SB?

Anna Jazowy na chwilę się zamyśliła.

– Nie, nigdy – odparła w końcu. – Jak pan się o niej dowiedział?

– Zachowała się o niej jedna notatka, przypadkowo, ktoś musiał popełnić błąd i włożył ją do teczki tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa, o kryptonimie Augustyn, do której zaprowadziły nas informacje znalezione w teczce innego TW, Iluminatora, ojca mojej żony.

– Rozumiem, poszperam w archiwum. Jeśli zachowało się cokolwiek, znajdę to – powiedziała z przekonaniem. – Przed wieloma laty obiecałam komuś zemstę.

– A zemsta jest słodka – dodał Max.

Rozmawiali jeszcze o wielu sprawach. Na koniec Max dał jej adres e-mailowy, na który miała wysłać materiały, gdyby jemu coś się stało. Nie żyło już tylu ludzi, arcybiskup, Gozdawa, Monika, Andrzej... Ilu jeszcze musiało umrzeć, żeby można było dostrzec to, co do tej pory było zakryte?

★

Ekipa ministra Kudzi weszła do domu pułkownika Gozdawy w Mikołajkach. Esbek przed śmiercią doskonale się urządził. Agenci ABW znali się na swojej robocie, ale żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, że sejf, czyli archiwum Gozdawy, jest ukryty w piwniczce obok domu. Wejście

do niej znajdowało się pod psią budą, a dwa owczarki niemieckie, które go pilnowały, nie były skore do współpracy.

Zostały zastrzelone z broni z tłumikiem. Agenci, którzy po przetrząśnięciu domu od strychu po parter niczego nie znaleźli, wkroczyli w końcu na teren psów, odsunęli włącz i zeszli do środka. Było to małe pomieszczenie – głębokie na cztery, szerokie dwa na dwa metry – w którym znajdowały się kasa pancerna oraz metalowa wodoszczelna szuflada zewnętrzna, taka jak te wykorzystywane w skrytkach bankowych. Obydwie przetransportowano do Warszawy i otworzono w służbowym mieszkaniu ministra, w jego obecności.

– Wiedziałem – mruknął Kudzia, gdy tylko ujrzał teczki osobowe różnych TW, teczkę oficera SB, kapitana Kazimierza Wiśniaka, spreparowaną przez speców z GRU teczkę Andrzeja Małysiaka i materiały z operacji Lunatyk. – No to sobie porozmawiamy, panie kapitanie Wiśniak – powiedział do siebie, zadowolony.

W stalowej szufladzie zewnętrznej znajdowały się papiery wartościowe, biżuteria oraz dwadzieścia tysięcy dolarów w używanych banknotach. Chłopcy z ABW pracujący na prywatne zlecenie ministra dostali ekstra premię za milczenie. Kudzia dbał o swoich ludzi. Miał coś znacznie cenniejszego – papiery na prezesa Vogla.

★

Anna Jazowy zabrała się do pracy. Znała Archiwum Akt Nowych jak własną kieszeń, a wiedza o tym, gdzie należy szukać, jest wśród historyków bezcenna. W tym przypadku jednak poszukiwania okazały się trudniejsze, niż się spodziewała. O operacji Lunatyk nie zachował się żaden dokument, ale znając nazwiska, Anna mogła szukać w zbiorach dokumentów osobowych. Jeśli Andrzej Małysiak lub kapitan Kazimierz Wiśniak mieli ze



sobą coś wspólnego, to prędzej czy później trafi na jakiś ślad. Zdjęcie Małysiaka miała, zresztą doskonale pamiętała byłego kochanka. Musiała jedynie znaleźć fotografię Wiśniaka, tylko dzięki niej można będzie dojść do prawdy, nawet jeśli za tę prawdę zginęło już wielu ludzi.

Anna przeprowadziła małe archiwistyczne śledztwo. To, że Max i jego nieżyjący szwagier nie znaleźli niczego w archiwach IPN-u, o niczym jeszcze nie świadczyło. Ona, mając nieporównywalnie większe doświadczenie archiwalne, wiedziała, że zbiór IPN-u jest zbyt duży dla osób nieznających techniki poszukiwania dokumentów. Ci dwaj nie mogli tego znaleźć, pomyślała. Zastanowiła się, gdzie mogłaby natrafić na kapitana Wiśniaka. Skoro był oficerem esbecji, musiał kończyć Wyższą Szkołę Oficerską im. Feliksa Dzierżyńskiego, którą kończyli wszyscy oficerowie tajnej policji. Anna pamiętała, że przed przeniesieniem owej szkoły do Świdra w roku 1986, znajdowała się ona w Legionowie koło Warszawy. Z pracy zatelefonowała do koleżanki z archiwum MSW. Ta wyjaśniła jej, że akta szkoły zostały przeniesione do IPN-u. Na pytanie, dlaczego nie mateczki osobowej pewnego kapitana SB, koleżanka powiedziała, że nie wie. Poszukiwania Anny znalazły się w impasie. Gdzie można szukać akt osobowych kapitana Wiśniaka ze szkoły esbecji? Gdzie jest utajniony zasób archiwalny? Po chwili przyszło olśnienie. Zbiór zastrzeżony IPN-u, gdzie nie każdy może wejść. Na szczęście Anna знаła prawie wszystkich archiwistów w Polsce. Chciała przejrzeć tylko kilka zdjęć poszczególnych roczników esbeckiej uczelni. Z tym akurat nie było problemu. Po załatwieniu specjalnej przepustki mogła zobaczyć te zdjęcia. Fotografię tego, którego szukała, znalazła w roczniku 1976.

Nie miała żadnych wątpliwości, że to ten sam człowiek. Kapitan Kazimierz Wiśniak i Andrzej Małysiak to jedna i ta sama osoba. Operacja

Lunatyk musiała mieć zatem jakiś związek z Nigerią, a zważywszy, że w latach osiemdziesiątych ten kraj przyciągał głównie tych, którzy interesowali się jego działkami roponośnymi, być może chodziło o ropę. W archiwum Anna zeskanowała obie fotografie i wysłała je Maxowi e-mailem z pozdrowieniami.

Zadowolona wyszła z pracy, zrobiła w Śródmieściu małe zakupy, pojechała metrem do stacji Wilanowska, a potem autobusem do Wilanowa. Wchodząc do apartamentowca, nie zauważyła, że przy wejściu do piwnicy stoi mężczyzna. Był to Stiopa, który w chwili, gdy minister Kudzia powiedział o Annie prezesowi Voglowi, otrzymał kolejne zlecenie. Był zawodowym zabójcą, wcześniej wykonującym w Moskwie wyroki na niepokornych dziennikarzach albo ludziach, którzy chcieli dojść do prawdy, bardzo metodycznym i profesjonalnym. Przed sfinalizowaniem sprawy rozeznał się w nawykach Anny Jazowy; wiedział, kiedy mniej więcej wraca do domu. Teraz ruszył za nią bezszelestnie po schodach. Gdy kobieta zatrzymała się przed drzwiami swojego mieszkania, wyciągnął pistolet z tłumikiem i strzelił jej w tył głowy. Martwa osunęła się na drzwi. Stiopa zabrał łuskę i pospiesznie wyszedł z budynku. Żaden z sąsiadów niczego nie zauważył.

Sąsiadka znalazła zastrzeloną Annę Jazowy pół godziny później, gdy schodziła, żeby wyrzucić śmieci. Jej przeraźliwy krzyk zaalarmował wszystkich mieszkańców. Po kwadransie przyjechała policja.

★

Max otrzymał e-maila od Anny Jazowy półtorej godziny przed jej śmiercią. Otworzył obydwie pliki. Była to najlepsza wiadomość, od kiedy zaczął śledzić esbeków z operacji Lunatyk. Kolejna tajemnica została

wyjaśniona: Kazimierz Wiśniak, oficer SB, oraz Andrzej Małysiak z polskiej ambasady w Nigerii to ta sama osoba.

– Śmierć Andrzeja i Moniki nie pójdzie na marne – powiedział do siebie.

Miał jednak świadomość, że jego możliwości są ograniczone. Mógł rozpowszechnić tę informację i czekać na to, co się stanie. Wysłał obydwie pliki z aplikacji pocztowej na smartfonie. Pierwszym adresatem była Agata Wróblewska, drugim – jego zleceniodawca, ale do tego celu użył bezpiecznego serwera, który służył do wymiany plików. Miał nadzieję, że zleceniodawca, kimkolwiek był, wykorzysta te fotografie, by odnaleźć Wiśniaka alias Małysiaka.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### PLUSKWA

W Polsce to określenie ma wielorakie znaczenie i zastosowania. Od czerwca 2014 roku pluskwa stała się w kraju nad Wisłą sposobem uprawiania polityki.

Wiadomość o śmierci Anny Jazowy trafiła do Agaty Wróblewskiej za pośrednictwem rzecznika policji, z którym miała bardzo dobre relacje służbowe. Zadzwoił do niej na telefon domowy, budząc ją ze snu. Kiedy usłyszała, co się stało, była wstrząśnięta. Kolejna śmierć. Cień śmierci ciągnął się za wszystkimi, którzy szukali śladów kapitana SB, Kazimierza Wiśniaka. Agata miała nieokreślone wrażenie, że coś jest bardzo nie tak. Nie sądziła, żeby Max należał do ludzi specjalnie rozmownych, zwłaszcza że walczyli z potężnym przeciwnikiem, a każdy nieprzemyślany ruch lub słowo mogły sprowadzić śmierć. Nie spodziewała się więc, że dowie się od niego wszystkiego. A tymczasem ktoś eliminował świadków jednego po drugim, tak że gdyby doszło do procesu, nie miałby kto zeznawać. Agacie wydawało się w tym momencie, że najważniejsze jest ustalenie, gdzie przebywa Wiśniak alias Małysiak. Sięgnęła po komórkę. Na ekranie dotykowym szybko odnalazła numer Maxa i nacisnęła klawisz połączenia.

– Cześć, Agata.

– Max, czy mógłbyś przyjechać do redakcji?

– Coś się stało?

– Nie wiem, jak to powiedzieć, więc powiem bez ogródek, nie żyje Anna Jazowy. Ktoś zastrzelił ją przed jej mieszkaniem w Wilanowie.

Przez chwilę słyszała jego ciężki oddech.

– Dobrze, przyjadę – powiedział w końcu Max.

★

Jadąc do redakcji Agaty, Max zastanawiał się, jako to się mogło stać. Nie trzeba było mieć szczególnie analitycznego umysłu, by dojść do wniosku, że człowiek, który bał się prawdy, czyli Wiśniak alias Małysiak, musiał się dowiedzieć o jego spotkaniu z Anną Jazowy. Tylko dwie osoby o nim wiedziały – Elisabeth i Agata – i tylko jeden człowiek miał jakiś interes w eliminacji świadków, którzy mogli coś powiedzieć na temat operacji Lunatyk: minister spraw wewnętrznych Henryk Kudzia.

– Ale byłem głupi! – powiedział do siebie Max.

Do siedziby Twojej Stacji pojechał okrężną drogą, komunikacją miejską. Dotarł na miejsce w półtorej godziny. Obawiał się, czy po drodze ktoś do niego nie strzeli, w końcu czarnych w Warszawie nie było aż tak wielu, by drogą eliminacji nie doszli do niego. Postanowił zaryzykować, żeby przerwać ciąg zabójstw. Najpierw jednak musiał przekonać Agatę, by dokładnie przeszukała swoje ubrania, komórkę, gabinet w pracy i mieszkanie.

Nie była zadowolona, że zjawił się tak późno. Dziennikarze w redakcji już pracowali nad zabójstwem wicedyrektor Archiwum Akt Nowych. Agata walczyła ze sobą, by wstrzymać się jeszcze z podaniem w wiadomościach informacji o Małysiaku alias Wiśniaku, która rozpęta piekielną nagonkę na niego. Max nie odezwał się słowem, kiedy wkroczył do jej gabinetu; podszedł do biurka, chwycił karteczkę firmową i napisał:

MASZ PLUSKWE.

– Co ty opowiadasz?! – zawołała.

Nie otworzył ust. Wziął kolejną karteczkę.

MUSISZ PRZESZUKAĆ CAŁY GABINET, GARDEROBĘ,  
MIESZKANIE, TABLET, SMARTFON.

Gwałtownie pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, że ktoś ją podsłuchuje. Polska jest demokratycznym państwem prawa, takie rzeczy dzieją się w Rosji, niewątpliwie na Białorusi, w Kazachstanie, ale na pewno nie w jej gabinecie.

Kolejna karteczka.

TYLKO TAK MOGLI DOWIEDZIEĆ SIĘ O ANNIE.

Powoli opór Agaty kruszał. Po raz pierwszy od wybuchu całej afery była autentycznie i na serio przerażona. Kto śmiał? Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Max tymczasem napisał na następnej karteczce:

POKAŻ MI SWOJE BUTY.

Tym razem Agata posłuchała go. Podała mu swoje ulubione buty, kupione za trzysta sześćdziesiąt euro w mediolańskim butik. Ku jej przerażeniu Max odłamał oba obcasy. Po chwili z jednego z nich wyjął malutkie szpejo przypominające dużą pinezkę. Podał jej pluskwę, urządzenie elektroniczne wykorzystywane przez policję i służby specjalne do nagrywania bandytów, aferzystów, handlarzy narkotyków. Coś takiego ktoś założył dziennikarce, szefowej najpopularniejszego serwisu informacyjnego w dużej komercyjnej telewizji w kraju należącym do Unii Europejskiej. Niewyobrażalny skandal.

– Ktoś mi, kurwa, za to zapłaci – rzuciła Agata.

★

To była kwestia zaufania i tego, co Agata z tym zrobi. Oczywiście mogli już teraz powiadomić prokuraturę, która przyjedzie, rozwali im redakcję, bo jaki polski prokurator z politycznego nadania – obojętnie jakiej partii rządzącej – nie pokusi się o to, by dokładnie sprawdzić newsroom stacji telewizyjnej, która tak bardzo dała już w kość sędziom, prokuratorom i politykom? Wróblewska stanęła przed najtrudniejszymi decyzjami w całej swojej karierze dziennikarskiej. Sprawa Lunatyka przekroczyła wszelkie granice, ale znając nieudolność polskich władz, Agata – po odnalezieniu przez Maxa pozostałych pluskiew w jej ubraniu i telefonie komórkowym – doszła do wniosku, że nie powiadomi prokuratury ani policji. Bo co by to zmieniło?

– W tym kraju, o czym możesz nie wiedzieć, nie rozliczono żadnej wielkiej afery od dwudziestu pięciu lat – zwróciła się do Maxa. – Najpierw był Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, gdzie umoczeni byli politycy, sędziowie oraz na pewno nasi przyjaciele z SB, potem afera spółki Art-B, dalej w kolejności afery Rywina, starachowicka i hazardowa. Po drodze był też Amber Gold. Nic nie zostało wyjaśnione i długo jeszcze tak będzie.

– Co zamierzasz? – zapytał Max.

– To już nie jest tylko twoja sprawa – powiedziała zdecydowanie. – Założyli mi podsłuch i tego gnojom nie wybaczę. Anna Jazowy zginęła z powodu tego podsłuchu. Kto to zrobił? Kto jeszcze był na tym zdjęciu zrobionym w ambasadzie w Lagos?

Agata popatrzyła mu w oczy. Widział, jak bardzo jest wściekła.

– W ambasadzie polskiej w Nigerii pracował Henryk Kudzia. On musi znać tego Wiśniaka, Małysiaka czy jak mu tam – powiedział Max spokojnie.



– Pojedźmy do niego na rozmowę. Jak Michnik nagrał Rywina, to my możemy nagrać Kudzię, zwłaszcza jeśli on podsłuchiwał ciebie.

– A dlaczego ciebie nie namierzili? Przecież masz telefon komórkowy.

– Mnie? – Max uniósł swój blackberry. – Tego nie można podsłuchać. Moje cacko ma swoje tajemnice, ale nie czas i miejsce, by o tym rozmawiać.

Agata przez chwilę sprawiała wrażenie nieobecnej, jakby nad czymś głęboko rozmyślała.

– To nie jest głupi pomysł – powiedziała.

– Więc jedźmy od razu do niego.

– Nie o tym mówię – rzuciła. – Lubisz, Max, przebieranki? Już raz się udało.

– Mam iść do niego jako ksiądz? Wykluczone! Nie włożę więcej sutanny.

– Zobaczysz. Ale najpierw musisz się z kimś spotkać.

– Z kim?

– Z moim byłym mężem.

★

Prezes Peter Vogel w drodze do Warszawy zatrzymał się w Berlinie, jak zawsze w Pokoju Cesarskim w hotelu Adlon Imperial. Nie lubił Unter den Linden, zwłaszcza że najbardziej reprezentacyjna ulica w Berlinie od lat była niekończącym się placem budowy. Umówił się z kimś w dużej galerii handlowej przy Potsdamer Platz, w bardzo popularnym miejscu spotkań w Berlinie. Na pierwszym piętrze mieściła się restauracja australijska.

Udo Genske już czekał na prezesa Vogla. Kiedy rozpoczynali operację Lunatyk, był oficerem Stasi i łącznikiem odpowiedzialnym za przekazywanie większych zamówień i pieniędzy między Moskwą i nowo powstającą firmą finansową. Teraz był prawdziwą szychą niemieckiej filii

Geobanku. Był też udziałowcem, ale oczywiście nie większościowym, Dresdner Banku. Vogel przeczuwał kłopoty w Polsce i chciał zabezpieczyć interesy banku.

– Co pan je, panie prezesie? – zapytał beznamiętnie Genske.

Vogel pomyślał sobie, że ten skurwiel wygląda i gada tak samo jak wtedy, kiedy był w Stasi.

– Stek z kangura – odpowiedział. – Średnio wypieczony. Do tego australijski pinotage, rocznik dziewięćdziesiąty siódmy.

– Oczywiście. Cieszę się, że pana widzę w doskonałym zdrowiu. A tak w ogóle, to muszę przyznać, że uwiódł mnie pan swoim procesem transformacji w Szwajcara – powiedział z przekąsem Niemiec. – Nie ma pan w sobie za grosz polskości, jeśli istnieje coś takiego jak polskość.

Vogel nie czuł żadnego emocjonalnego związku ze swoim dawnym krajem. Genske należał do grona niewielu osób, które wiedziały, kim był kiedyś.

– Za to pan, panie prezesie, ani krzty nie wyzbył się swojej niemieckości.

– Tego nie da się wyzbyć. To jest jak skóra, ściśle przylega do człowieka. Co pana sprowadza do Berlina? – spytał Genske.

– Udo, sytuacja banku się zmieniła, nasze aktywa zostały zablokowane w Rosji – zaczął z troską w głosie Vogel.

Genske zmarszczył brwi. Nie spodziewał się tego.

– Proszę kontynuować – rzucił.

– Chciałbym, by niemiecka filia naszego banku spieniężyła kanadyjskie złoża łupków, które kupiliśmy dziesięć lat temu. To powinno przynieść dwa, trzy miliardy.

– Nie ma na to dobrej koniunktury. Z powodu tego przekłętą kryzysu ukraińskiego dostaniemy najwyżej miliard, może półtora. I oczywiście kupi

Exxon albo inny amerykański gigant. Myślałem, że nie lubimy Amerykanów – powiedział Genske.

– Potrzebuję gotówki. Muszę spłacić szejków. Wróciłem z Dubaju. – Prezes Vogel pociągnął spory łyk australijskiego pinotage z winnicy nad rzeką Murray. – Nie mam dobrych wiadomości. Nie udało mi się uzyskać przesunięcia terminu płatności.

– Jeśli sprzedamy kanadyjskie złoża, polecimy kilka procent w dół na Wall Street. Rynek natychmiast wyczuje, że sprzedajemy pod przymusem.

– Wiem, że to ryzyko, ale żeby zażegnać niewypłacalność, warto przymknąć oko na czasowy spadek cen akcji. Za kilka tygodni inwestorzy się odkują. Chodzi o to, że nie mam już rezerwy. Musiałem przekazać do Moskwy przez cypryjskie banki jedenaście miliardów euro.

– Matuszka Rosja potrzebuje gotówki. Rozumiem – powiedział smutno Genske, który należał do ścisłych współpracowników prezesa Vogla.

To on w 1989 roku pomógł mi uzyskać niebudzące niczyich podejrzeń niemieckie obywatelstwo. Peter Vogel był oficjalnie Niemcem, a w drugiej kolejności naturalizowanym Szwajcarem. Genske przekazał mi jeden z ostatnich doskonale spreparowanych wschodniemieckich paszportów, na których agenci Stasi z fałszywą tożsamością przekraczali granicę w Berlinie Zachodnim. Po upadku muru Vogel po prostu wymienił stary paszport na nowy. Był obywatelem zjednoczonych Niemiec. Genske w nagrodę został szefem niemieckiej filii Geobanku.

– Tak, Rosja była naszą matką, a teraz nas zarzyna. Nie potrafię porozumieć się z Moskwą. Zawsze byli elastyczni.

– Teraz mają na głowie sankcje – wyjaśnił Genske. – Po aneksji Krymu z Rosji wyparowało sto, może nawet sto trzydzieści miliardów dolarów.

– Spienięży pan te złoża w Kanadzie?

– Oczywiście – zapewnił były oficer Stasi. – Jeśli tylko znajdą się na nie chętni.

– Ja postaram się spieniężyć wszystkie nasze nieruchomości w Nowym Jorku, Londynie, Dubaju i Moskwie – powiedział z determinacją Vogel. – Sprzedam też hotele na Florydzie oraz pola golfowe w Anglii. Dostaniemy koło miliarda dolarów.

– Tak, musimy spróbować wyprowadzić bank na prostą. – Genske uniósł kieliszek. – Wypijmy za to.

Wznieśli toast doskonałym ekologicznym winem.

– A właśnie! – rzucił Genske. – Miałem pana zapytać. Przeczytałem w korespondencji z Warszawy, że nie żyje pułkownik Gozdawa. Niewielu nas z Lunatyka zostało. Słyszał pan o tym?

Zauważył, że oczy prezesa Vogla nieprzyjemnie się zwięziły. Trwało to może sekundę, ale biegły w odczytywaniu mowy ciała oficer Stasi doskonale to zrozumiał i wyciągnął wnioski. Geobank był jak *Titanic*, zbyt wielki i niesterowny, a góra lodowa zbliżała się niebezpiecznie szybko.

– Tak, obito mi się o uszy – odparł Vogel, wkładając do ust kęs wybornego mięsa kangurzego. Stek był perfekcyjnie ugrillowany. Idealne *medium*. – Jak to zwykle bywa, za dużo uciech, za dużo dobrego żarcia. Jednym słowem, Gozdawa zapadł się pod ciężarem swoich grzechów.

★

W Warszawie tymczasem zadzierzgnął się spisek.

– Mam zostać barmanem? – zapytał zdumiony Max.

– Zawsze w życiu jest czas, by nauczyć się nowego fachu – odparła Agata; jechali jej mini cooperem Marszałkowską.

Skręciła w Świętokrzyską, a potem wjechała na plac Powstańców Warszawy, w pobliżu którego mieściła się słynna warszawska restauracja

prowadzona przez jej byłego męża, Krzysztofa Wróblewskiego. Kiedyś próbował być finansistą, ale rzucił to w diabły. Teraz prowadził wykwinłą restaurację, którą lubiły VIP-y. Agata też czasem tam jadała. Osobliwy dobór dań śródziemnomorskich, nie tylko owoce morza i delikatne ryby, lecz także świetnie przyrządzana jagnięcina z Chorwacji. Restauracja nosiła nazwę Wróbel i Przyjaciele. Jadąc do tego lokalu, Agata przyznała, że rozeszła się z Krzysztofem, ponieważ, niestety, zbyt często zaglądał do kieliszka. On poznał młodszą kobietę, ona spełniała się w pracy. Cierpiał na tym syn Dominik, ale Agata dbała, by miał z ojcem dobre relacje.

Teraz Krzysztof też się spełniał. Miała nadzieję, że zgodzi się na przeprowadzenie akcji, którą zaplanowała.

– Co ty chcesz zrobić? – dopytywał się Max.

– Nie marudź. Chodź na spotkanie z Wróbelkiem.

Wyszli z samochodu i skierowali się na zaplecze restauracji, gdzie Krzysztof rządził w kuchni. „Zawsze najlepsze produkty, zawsze najlepsze dania”. Tam wcielał tę zasadę w życie. Zastali go nad marynowaniem udźca jagnięcego.

– Witaj, Krzysztof! – zawołała Agata.

Były mąż spojrział na nią i na rosnącego eleganckiego czarnoskórego faceta.

– Nareszcie się pocieszyłaś – rzucił złośliwie.

– Nie zaczynajmy znowu. Jesteś mi winny przysługę.

– Za co?

– Po rozwodzie nie miałeś grosza przy duszy. Wyłożyłam kasę na tę knajpę.

– I kto tu zaczyna awanturę? Będziesz mi teraz wypominać? Mamy syna i byliśmy ze sobą dwadzieścia lat. Chyba jesteśmy kwita.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

– Tak lepiej – powiedział. – Słucham cię. Może przedstawiś mi swojego chłopaka?

Max, przysłuchując się tej scenie eksmałżonków, zastanawiał się, czy on i Monika też tak by się kłócili, gdyby żyła. Postanowił ubiec Agatę.

– To ja, Max Kwietniewski. Mąż Moniki Skotnickiej. Nie poznajesz mnie? I nie jestem facetem twojej byleji.

Krzysztof w końcu rozpoznał Maxa i rozchmurzył się. Agata i Max opowiedzieli mu pokrótce, z czym przyjechali. Krzysztof zadziwiająco szybko się zgodził. Po części dlatego, że oboje z Agatą czuli się strasznie po śmierci Moniki, a po części, bo wyjątkowo nie znosił ministra Kudzi.

– To okropny bufon – rzucił. – A mojej knajpie przyda się darmowa reklama. On tutaj zjawia się dwa, trzy razy w tygodniu.

– To może być antyreklama – ostrzegła Agata.

– Przetrzymam. Ja niczego nie wiem, mogę przecież przyjąć Maxa do pracy. Znasz się na robocie w barze?

– Oczywiście – odparł Max. – Co on zwykle zamawia?

– Zapiekane przegrzebki. Uwielbia je. – Krzysztof spojrzał na byłą żonę i jej towarzysza. – Ale co konkretnego chcecie zrobić w mojej restauracji? – spytał, akcentując wyraźnie, że to on jest tutaj właścicielem.

Gdy Agata wytłumaczyła mu, co zamierza, jej były mąż z wrażenia musiał wypić podwójną szkocką.

★

Max, współpracując z wybranym przez Agatę technikiem z Twojej Stacji, starannie przygotował podsłuch. Dezaktywowane pluskwy znalezione u Agaty były najnowszymi cackami produkcji izraelskiej. Razem z technikiem przestroili je cyfrowo na inną bazę, która była zwykłym laptopem z odpowiednim oprogramowaniem. Głos nagrywany w restauracji

był przekazywany do routera na dachu lokalu, a stamtąd do Twojej Stacji. Max przy pomocy technika zakodował sygnał, żeby chłopcy z ABW nie namierzyli tych cacek. Sieć została zarzucona i czekała, aż wpadnie w nią ryba, a Max, który przemienił się w barmana, szybko zyskiwał sobie uznanie warszawiaków nienagannymi manierami i doskonałym językiem polskim.

Sam nie mógł uwierzyć, że polski minister spraw wewnętrznych jest tak skończenie głupim człowiekiem. Dwa dni po zastawieniu pułapki Kudzia przyszedł do restauracji ze swoją koleżanką partyjną, minister gospodarki. Max odsłuchał nagranie i chociaż nie do końca czuł się Polakiem, bardzo się zirytował. Dwoje ministrów swobodnie wymieniało się uwagami o wielkości przyrodzenia polskich polityków i kpiło sobie z prekariuszy. Wszystko w cenie tysiąca sześciuset złotych za kolację składającą się z zupy z owoców morza i polędwicy z argentyńskiej wołowiny plus osiemset złotych za dwie butelki burgunda.

Próba wypadła zadziwiająco dobrze. Agata, wiedząc, że żenujący poziom tej rozmowy może Polaków zainteresować, miała się zastanowić, co z tym nagraniem zrobić. Wciąż się nad tym głowiła, kiedy zadzwonił Max z kolejną dobrą wiadomością.

– Kudzia zamówił na jutrzejszy wieczór stół w prywatnym saloniku. Ma być z jakąś zagraniczną szychą. Zadzwonił do Krzysztofa na komórkę i powiedział, że jego gość życzy sobie stek z toskańskiego bawołu i hiszpańskie wino Rioja z jakiejś małej winnicy, po czterysta euro za butelkę. Mamy to sprowadzić samolotem na jutro do Warszawy.

Nawet na Agacie poziom oderwania ministra Kudzi od rzeczywistości w Polsce zrobił odpowiednie wrażenie.

– Domyślam się, że to ja mam się dowiedzieć, kto jest tą szychą? – zapytała.

– Jesteś przecież dziennikarką śledczą.

★

Przyjazd prezesa Vogla do Warszawy nie był tajemnicą. Szef Geobanku wziął udział w Warszawskim Forum Ekonomicznym, gdzie miał wykład dla dyrektorów polskich banków. Nadziane warszawskie japiszony nabożnie słuchały odczytu, w którym Vogel uczył polskich bankowców etyki w zarządzaniu produktami bankowymi. Wykład, symultanicznie tłumaczony z niemieckiego, transmitowano w internecie. Peter Vogel zażartował nawet, że próbował nauczyć się kilku słów po polsku, ale niestety „wasz język jest za trudny”, jak wyjaśnił zebranym, za co dostał oczywiście od rozbawionych tym dyrektorów banków gromkie brawa.

Zatrzymał się w warszawskim Continentalu naprzeciw Pałacu Kultury i Nauki. Gdy podstawiony przez organizatorów forum samochód z kierowcą wiozł go przez Warszawę, w której ostatnią taką przejażdżkę odbył jako oficer Służby Bezpieczeństwa, udając się na spotkanie z innymi oficerami z Lunatyka, prezes Vogel miał poczucie nieograniczonej satysfakcji, że dosłownie nikt nie rozpoznaje go we własnym kraju. Z ostatnią osobą, która wiedziała, miał się dziś spotkać na kolacji w restauracji Wróbel i Przyjaciele. Co to w ogóle za nazwa?! – przemknęło mu przez głowę. Jadać u Wróbla, też coś! Kudzia miał przyjechać prosto z ministerstwa służbowym samochodem z kierowcą. Prezes Vogel wysiadł z limuzyny i powiedział szoferowi, że nie musi na niego czekać. Ochroniarze poprowadzili go do eleganckiego saloniku w restauracji, gdzie już czekał Kudzia. Max Kwietniewski jako barman znajdował się kilkanaście metrów od zarezerwowanego na ten dzień saloniku dla VIP-ów. Bar skryty był w cieniu i ani minister Kudzia, ani dostojny prezes nie zauważyli nowego pracownika restauracji.



– Bardzo miło widzieć cię znowu, Andrzej – przywitał dawnego znajomego Henryk Kudzia.

– Nie używaj tego imienia. Odzwyczaiłem się – odpowiedział po polsku Vogel.

– Pewnie musiałeś się ubawić, dając dziś po niemiecku wykład dla bankowców.

– Nie, niemiecki stał się moim językiem. Byłoby mi trudno po polsku wyjaśniać te zawile kwestie finansowe.

Akurat ci wierzę, hipokryto, pomyślał Kudzia. Zasiedli obaj do stołu. Na przystawki podano marynowane ośmiorniczki w oliwie, winie i z suszonymi pomidorami.

– Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego musiałem przyjechać do Warszawy – zaczął Vogel.

– Sądzę, że mamy kłopoty.

– Ty masz kłopoty, mój drogi.

– Mam podstawy przypuszczać, że wypłynęło nazwisko Małysiak. Niestety, Anna Jazowy prawdopodobnie zdradziła to, co wiedziała, jakiemuś policjantowi czarnuchowi, którego nie możemy namierzyć. Wiemy tylko tyle, że przyleciał do Polski trzy tygodnie temu z Nowego Jorku.

– Jak to nie możecie?

– Używa telefonu poza naszymi możliwościami nasłuchu, a sprzęt, uwierz mi, mamy naprawdę dobry. Poza tym nie jest łatwo faceta znaleźć. W Warszawie mieszka dwa miliony ludzi, jest wielu czarnoskórych imigrantów, nie możemy ich sprawdzać, ponieważ podniesie się krzyk, że polskie władze praktykują jawny rasizm.

– Macie zbyt miękkie serduszka. – Vogel nałożył sobie na talerz porcję

ośmiorniczek.

Te słowa podziałały na Kudzię jak czerwona płachta na byka.

– To nie jest śmieszne – rzucił. – Jeśli Anna Jazowy powiedziała coś tej wściekłej dziennikarskiej suce z Twojej Stacji, to będziemy mieli kłopoty, rozumiesz? Skończyła się, kurwa mać, twoja sjesta na najlepszych plażach, w hotelach rekinów finansjery!

– Nie pozwalaj sobie – ostrzegł go spokojnie Vogel. – Zawdzięczasz mi karierę polityczną. To mój bank przekazał miliony marek na rozkręcenie tego europejskiego biznesu, jakim jest twoja partia.

– Siedzimy na tej samej gałęzi – odparł Kudzia, nie mając ochoty na zmianę tonu. – Wiem, że twoja teczka została wyczyszczona. W materiałach MSW nie ma nic, ale oni znaleźli coś w Archiwum Akt Nowych. Wiem to z podsłuchu, który moi ludzie założyli tej dziwce Wróblewskiej.

– Założyłeś podsłuch?

– Naturalnie, za kogo mnie uważasz? Jestem profesjonalistą i wiem, że Anna Jazowy zginęła za późno.

– Niestety, mój człowiek od mokrej roboty musiał tutaj przylecieć z wakacji – powiedział Vogel, nalewając sobie z karafki wina. – Nie mógł się zjawić wcześniej. Stara Ania chciała się na mnie odegrać za Nigerię.

Kudzia zarechotał jak za dawnych czasów.

– Dogodziłeś jej wtedy.

– Nie bądź trywialny. Wypraszam sobie. Co jeszcze wiesz z podsłuchu?

– Nic więcej. Ta suka chyba znalazła nasze pluskwy, bo nie możemy ich namierzyć.

– Znowu nie możecie ich namierzyć? Ten czarny jej pomaga. Mówisz, że jest z Nowego Jorku?

– Nie wiem, skąd jest – odparł Kudzia. – Przyleciał stamtąd. ABW

odnalazła jego dane w bazie LOT-u. Nazywa się Max Kwietniewski. Ma polskie nazwisko, ale jest czarny.

W tej samej chwili stojący za barem Max mający w uchu słuchawkę zsynchronizowaną z urządzeniem podsłuchowym w saloniku dla VIP-ów poczuł nagły przyływ adrenaliny. Wiedział, że powinien jak najszybciej opuścić Polskę.

– Dobrze, zajmę się tym – powiedział Vogel. – Jeśli przyleciał z Nowego Jorku, nie może być policjantem, tylko amerykańskim agentem, z CIA albo z innej agencji. To tłumaczyłoby, dlaczego używa telefonu poza waszym zasięgiem. Ma telefon satelitarny najnowszej generacji. Czy to wszystko?

– Nie, panie prezesie Wiśniak. – Kudzia, mając pewność, że jego ulubiony lokal jest sprawdzony, postanowił przejść do ataku. – Jeśli ja utonę na śmierci Anny Jazowy, ty też pójdziesz na dno.

Na dźwięk swojego prawdziwego nazwiska Vogel drgnął. Rzucił Kudzi wściekłe spojrzenie. Nie doceniłem tego prostaka, pomyślał.

– Skąd wiesz? – zapytał spokojnie, bo wiedział, że musi zachować maksimum opanowania.

– Zdobyłem gwarancję. Gozdawa trzymał ją w swoim sejfie w domu. On też ci nie ufał, mimo że razem z Ruskimi planowaliście operację Lunatyk. Wyrolowałeś go. Zostałeś prezesem jednego z największych banków inwestycyjnych świata, a on co miał z życia, willę w Mikołajkach?

– Reprezentował nasze interesy w Polsce.

– Co ty mi pierdolisz, Wiśniak? Żadna posada w Polsce nie jest atrakcyjna, ponieważ Polska to chuj, dupa i kamieni kupa. Ja jednak nie popełnię tego błędu. Ja mam wszystkie materiały na twój temat i od tego, czy będziesz grzeczny, zależy, czy w jakiejś gazecie nie wypłynie historia

o esbeku, który wszystkich zrobił w konia. Chcę dostać coś wymiernego, coś, co masz ty, a co ja też chcę mieć.

– A co konkretnie cię interesuje?

– Willa z piwnicą pełną kolekcjonerskich win gdzieś, gdzie jeszcze nie byłem. Na przykład w Prowansji, bo lubię, kurwa, przyjemny klimat. Chcę sypiać z najlepszymi dziwkami, z którymi ty sypiałeś. Chcę grube konto w banku i wolność od wszelkich trosk doczesnych i wiecznych.

– Chyba pomyliłeś firmy. O to musisz prosić papieża – zadrwił Vogel, nie przerywając jedzenia. Świeżo podana polędwica z bawołu hodowanego w Toskanii była warta więcej niż groźby Kudzia.

– Czy ja cię, kurwa, śmieszę? Mogę cię w każdej chwili aresztować.

– Nic nie możesz – rzucił prezes Vogel, dokładnie przeżuając kęs mięsa. – Jestem w Polsce nietykalny, a wiesz dlaczego? Bo każdy pieprzony rząd je nam z ręki, skamłając, ponieważ mój bank skupował polskie papiery dłużne. Ja finansuję, kurwa, polski dług publiczny, używając twojego języka. Twoją propozycję przyjąłem do wiadomości i rozważę ją w stosownym czasie. O swojej decyzji pozwolę sobie pana powiadomić, ministrze Kudzia.

– Ty jaja sobie robisz?! – zawołał Kudzia, nie panując nad sobą.

– Nie, przeciwnie, odpowiedziałem, że zastanowię się nad twoją propozycją. Nie masz żadnego poważnego dowodu łączącego mnie z Wiśniakiem i Małysiakiem. Ci ludzie nie żyją. Sam mnie pochowałeś w Nigerii. Jeżeli cokolwiek wypłynie, dostaniesz kulkę w łeb. Możesz otrzymać jakąś formę gratyfikacji tylko i wyłącznie wtedy, jeśli będziesz trzymał swój chamski jęzor za zębami. Ale to zależy ode mnie, więc bądź grzeczny. Wiem, że prawdziwy powód twojej nienawiści do mnie wiąże się z twoją niemocą.

– Z czym, kurwa? – dopytał się Kudzia.

– Pamiętasz tę scenę, kiedy tak po chamsku wszedłeś do pokoju Anny Jazowy. Byliśmy wtedy w jej łóżku. Przyniosłeś butelkę szampana. Wiem, że miałeś ochotę przelecieć Annę i gdybyś mógł, pewnie byś to zrobił, ale nie sędzę, żebyś mógł cokolwiek, impotencie – wycedził ze spokojem i powagą prezes Vogel, a na odchodne rzucił: – Ośmiorniczki i polędwica z bawołu doskonałe. Nie wiedziałem, że można w Warszawie tak dobrze zjeść. Zapamiętam to miejsce. Rachunek płacisz ty.

Pozostawił osłupiałego Kudzię samego. Wyszedł bezszelestnie i delikatnie zamknął za sobą drzwi saloniku dla VIP-ów. Wychodząc, podziękował właścicielowi restauracji. Krzysztof był wniebowzięty. Prezes Vogel był w tak dobrym nastroju, że obdarzył uśmiechem przystojnego czarnoskórego barmana. Ten pomachał mu na pożegnanie.

★

Krzysztof Wróblewski tymczasem poszedł do saloniku dla VIP-ów i zastał tam ministra Kudzię z niedbale rozwiązany krawatem, spoconego i najwyraźniej czymś bardzo przybitego.

– Panie ministrze, może szklanę wody?

– Tak poproszę. Gorąco tu.

– Mam dla pana rachunek.

– Co?

– Pozwoliłem sobie przynieść rachunek dla pana ministra. Pan prezes wyszedł, więc uznałem, że zechce pan uiścić należność. Płaci pan kartą?

– Tak.

Krzysztof położył na stole eleganckie etui z rachunkiem. Minister zapłacił za kolację trzy tysiące czterysta złotych. Oczywiście służbową kartą.

★

Peter Vogel złapał taksówkę i wrócił do hotelu po rzeczy. Postanowił

natychmiast polecieć do Berlina, żeby omówić z Genskiem nową strategię. Kudzia musiał zostać szybko wyeliminowany. To musi zrobić Stioipa, pomyślał Vogel, on się na tym naprawdę zna. Zadzwoił do pilota małego odrzutowca i powiedział, żeby na niego czekał. Nie miał oczywiście własnego samolotu, ale korzystał, po bardzo atrakcyjnych cenach, z floty prywatnych austriackich przewoźników, którzy mieli najlepszą ofertę dla VIP-ów.

★

Max, który miał w uchu słuchawkę zsynchronizowaną z mikrofonem kierunkowym, słyszał całą rozmowę na żywo i wywarła ona na nim porażające wrażenie. I chodziło nie tylko o to, że jego życie było bezpośrednio zagrożone – o tym przecież wiedział już wcześniej.

Zadzwoił ze swojego blackberry do Agaty.

– Słyszałaś to samo co ja? – zapytał.

Technik Twojej Stacji zestroił sprzęt w ten sposób, że dźwięk nagrywany w saloniku dla VIP-ów był przekazywany do routera na dachu restauracji, a stamtąd biegł do Twojej Stacji. Agata słyszała wszystko na żywo.

– Oczywiście. Mamy ich! Materiał pójdzie jutro w głównym wydaniu naszego programu, nagranie zamieścimy też w internecie. Usmażą się.

I tak czarnoskóry detektyw mający na poły polską duszę dokonał rzeczy niemożliwej. Polska miała przeżyć polityczne tsunami.

## Rozdział dwudziesty drugi

# AFERA PODSŁUCHOWA

### Waszyngton, 2014

Z chwilą gdy zleceniodawca, który wysłał Maxa Kwietniewskiego do Polski, żeby znalazł mordercę jego ojca, otworzył na tajnym serwerze agencji pliki ze zdjęciami, natychmiast zadał sobie pytanie: Kim właściwie jest człowiek, w którego grobie został pochowany mój ojciec? Nie miał oporów, żeby wykorzystać najnowsze oprogramowanie Centralnej Agencji Wywiadowczej, gdzie pracował od ponad dziesięciu lat. Aplikacja Hunter była najnowszym dziełem ich informatyków. Potrafiła z setek tysięcy zdjęć twarzy w internecie wyłowić tę jedną i porównać ją z inną, aby ustalić punkty styczne ludzkiej twarzy, rozwartość oczu, umiejscowienie nosa. Identyfikowała ludzi, którzy z jakichś powodów pragnęli zniknąć.

Zleceniodawca wprowadził zdjęcia przysłane przez Maxa do programu, a ten rozpoczął szukanie. Dość szybko znalazł odpowiedź.

– O cholera! – zaklął mężczyzna.

Peter Vogel, prezes Geobanku!

Amerykanin wiedział, niestety, że zatrzymanie tego człowieka nie będzie proste. Nie popełnił żadnego przestępstwa na terenie Stanów Zjednoczonych, jak wynikało z rejestru, który otrzymał od służb kontroli granicznej. Vogel był w USA kilkakrotnie. Zleceniodawca kojarzył jego twarz z programów w amerykańskiej telewizji, poświęconych ekonomii. Zdawał sobie sprawę, że postawienie przed sądem prezesa tak wielkiego

koncernu jak Geobank, przy jego międzynarodowych koneksjach i biznesowych zależnościach, może być niemożliwe.

Trzeba będzie to zrobić poza prawem, pomyślał.

W tym samym czasie w Warszawie rozpętała się prawdziwa polityczna burza.

★

Na drugi dzień po rozmowie, która przebiegła tak nie po myśli Kudzi, minister rano zjawił się w pracy. Ofuknął pracownice sekretariatu, ale nie zauważył, że wszystkie patrzą na niego inaczej niż zwykle. Zazwyczaj w ich spojrzeniach kryła się niechęć do wrednego prostackiego szefa, ale tego dnia w ich wzroku było coś więcej: niemal jawna pogarda. Koło dziesiątej szef gabinetu politycznego ministra zebrał się na odwagę. Poszedł do przełożonego i oznajmił:

- Proszę włączyć telewizor.
- A co, zamach jakiś, kurwa, jest czy co? – odpowiedział minister.
- Gorzej. Zamach na pana.

Kudzia włączył duży płaski telewizor wiszący na ścianie naprzeciw wielkiego biurka, który zazwyczaj służył do telekonferencji, i włączył Twoją Stację. Dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi. Na ekranie właśnie ukazał się zapis jego wczorajszej rozmowy z prezesem Voglem.

★

Każda telewizja w Polsce, niezależnie od swoich politycznych sympatii czy antypatii, wyświetlała za Twoją Stacją zapis rozmowy ze wszystkimi jej pikantnymi szczegółami. Wiadomość, że szefowej najpopularniejszego programu informacyjnego założono podsłuch, wywołała szok w środowisku dziennikarskim. Zwykłych obywateli bulwersował ordynarny język ministra. Największe oburzenie opinii publicznej wzbudziły jednak słowa



Kudzi, że „Polska to chuj, dupa i kamieni kupa”. Dziennikarze, sprawnie ze sobą współdziałając, zażądali dymisji ministra Kudzi. Premier Tomasz Potocki zwołał w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów konferencję prasową, na którą stawiły się tłumy reporterów. Posypały się pytania wymierzone w polskiego szefa rządu:

- Czy pana nie szokuje zachowanie ministra spraw wewnętrznych?
- Czy minister Kudzia zlecił zabójstwo księdza Andrzeja Skotnickiego?
- Czy według pana premiera, minister nakazał zabójstwo wicedyrektor Archiwum Akt Nowych Anny Jazowy?
- Jaki związek miał minister ze śmiercią szefa firmy PolEnergo, Janusza Gozdawy, zmarłego na zawał serca w cypryjskim kurorcie?
- Czy pan premier wiedział o podsłuchach dziennikarzy?
- Czy pan premier zamierza zdymisjonować ministra Kudzię?
- Czy rząd zrobi coś z funkcjonariuszami byłej SB w swoim otoczeniu?
- Czy Polska to... hm... kupa kamieni? Panie premierze, proszę odpowiedzieć.

To ostatnie pytanie było retoryczne. Premier Tomasz Potocki, potomek sławnego hetmańskiego rodu, lubiący polowania, wystawny tryb życia, rządzący Polską od dwóch kadencji, przywódca nie lubiany, ale przewidywalny, spokojnie odczekał, aż dziennikarze zadadzą swoje pytania, po czym złączył przed sobą dłonie, formując z nich trójkąt, i poinformował, że zamierza wygłosić oświadczenie.

– Jak państwo wiedzą, mój rząd stanął dziś przed obliczem poważnego kryzysu politycznego. Nie mam pojęcia, jakim alfabetem pisana jest ta intryga podsłuchowa, ale wiemy jedno: została podsłuchana prywatna rozmowa ministra Henryka Kudzi, przyznając, że prowadzona w mało wyszukany sposób. Jest mi niezmiernie przykro, że z ust mojego ministra

padły słowa, które wielu rodaków ma prawo uznać za uwłaczające zajmowanemu przez niego stanowisku, co jednak nie zmienia faktu, że była to prywatna rozmowa i nagranie jej jest przestępstwem. Nie można podsłuchiwać ludzi. Minister Kudzia, kontaktując się dzisiaj ze mną telefonicznie, wyraził ubolewanie z powodu stylu tej rozmowy, ale nie stało się nic, podkreślam, nic, co mogłoby doprowadzić do jego dymisji. Zdaję sobie sprawę, że mimo jego niewinności trudno będzie mu kontynuować karierę polityczną, ale na razie minister Kudzia zostaje na swoim stanowisku. Ma jedno ostatnie zadanie: wyjaśnić aferę podsłuchową. Dziękuję państwu za uwagę.

Gdy premier wyszedł, osłupiali dziennikarze popatrzyli jeden na drugiego, zadając sobie to samo pytanie: Czy on zwariował, czy to my jesteśmy w domu wariatów? Od dnia, kiedy premier Potocki stanął w obronie ministra spraw wewnętrznych, stał się wrogiem mediów numer jeden. Media potrafią wybaczyć politykom wiele – chciwość, głupotę, błędy, czasami nawet zdradę interesów kraju – ale przenigdy nie wybaczą tego, że minister nakazał podsłuchiwać znaną dziennikarkę.

★

Agata Wróblewska była nie mniej zszokowana słowami premiera niż inni dziennikarze, ale świetnie zagrała swoją rolę w tej medialnej burzy. Koledzy z innych stacji przeprowadzili z nią rozmowę, w której ze szczegółami opisała, jak minister Kudzia założył jej podsłuch i dlaczego przez kilka ostatnich tygodni pomagała amerykańskiemu prywatnemu detektywowi prowadzić śledztwo w sprawie operacji Lunatyk. Wyjaśniła też mechanizmy zabójstw, które na pewno miały związek z działaniami byłych esbeków. Dzień w dzień stacje telewizyjne, Polskie Radio, rozgłośnie komercyjne oraz wszystkie tygodniki i wysokonakładowe gazety codzienne

mełły aferę podsłuchową. Rozważono każde słowo, które padło w czasie rozmowy ministra Kudzi z prezesem Voglem. Obraz Polski, jaki się z tego wyłaniał, był przerażający. Oczywiście dla wszystkich obywateli, którym zależało na ich kraju, ale nie dla polityków. Tydzień później, widząc nastawienie rządu, Agata Wróblewska sama poprowadziła wydanie wieczorne programu informacyjnego Twojej Stacji i na zakończenie pozwoliła sobie na komentarz, który obejrzały miliony ludzi, a kolejne miliony zobaczyły go na YouTube i skomentowały w mediach społecznościowych.

– Drodzy państwo, nagranie rozmowy ministra Kudzi i prezesa Vogla było jedynym sposobem, by poinformować państwa o morderstwach i nielegalnych interesach, jakie ci ludzie ze sobą prowadzili. Skoro polski premier twierdzi, że skandaliczne jest podsłuchanie prywatnej rozmowy, a nie ma nic złego w podsłuchiowaniu dziennikarzy oraz w zleceniu zabójstwa polskiej archiwistki Anny Jazowy, to pytam pana, panie premierze: Czy posiada pan jeszcze tę rzadką cechę, jaką jest odróżnienie prawdy od kłamstwa? Czy nie jest skandalem, że człowiek będący szefem jednego z największych banków na świecie jest byłym oficerem komunistycznej Służby Bezpieczeństwa zamieszany w morderstwa? Jeśli polscy politycy nie są w stanie wyciągnąć konsekwencji z tych faktów, to czas zadać sobie pytanie, w jakim my kraju żyjemy, proszę państwa. Liczę, że pan premier pomoże nam odpowiedzieć na to oraz inne pytania.

Po tym wystąpieniu w rankingu zaufania notowania Agaty Wróblewskiej poszły w górę o kilka punktów.

★

Minister Kudzia dostał od premiera polecenie wyjaśnienia sprawy i zaczął ją wyjaśniać. Przedstawiciele prokuratury pojechali zatem do

siedziby Twojej Stacji celem dokonania przeszukania. Agata Wróblewska była w swoim gabinecie, gdy do gmachu stacji weszli ludzie z prokuratury w towarzystwie policjantów. Dziennikarze zostali zaalarmowani przez ochronę, która nie mogła nie wpuścić przedstawicieli polskiego państwa mających nakaz przeszukania.

Agata miała tylko kilka minut. Zdołała wysłać esemesa do Maxa. Mogła zmobilizować zespół redakcyjny do stawienia oporu władzom, ale nie chciała na to narażać swoich współpracowników. Prokuratora, szpakowatego mężczyznę pod czterdziestkę, przyjęła w swoim gabinecie. Nawet się nie przedstawił, po prostu oświadczył:

– Zatrzymujemy pani laptop i wszystkie nośniki, na których jest nielegalne nagranie rozmowy ministra Kudzi z prezesem Geobanku.

– A nie macie ochoty zająć się Peterem Voglem? – zripostowała Agata.

– Ta osoba nie popełniła żadnego przestępstwa, w przeciwieństwie do pani – powiedział chudy asystent prokuratora z młodzieńczym trądzikiem na twarzy; prawdopodobnie dopiero co skończył prawo.

– Do mnie mówisz, synku? – Agata spiorunowała go wzrokiem.

– Nagranie jest efektem przestępstwa, żądamy wydania nośników. Natychmiast – powiedział prokurator tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Akurat!

Chwyciła swojego laptopa. Z restauracji Max zabrał wszystkie pluskwy, żeby nie ściągnąć kłopotów na Krzysztofa. Agata nie miała złudzeń, że następnym zatrzymanym będzie właśnie Max.

– Proszę mi to oddać – odezwał się asystent.

– Paweł! – zawołała.

Paweł Szydłowski, jeden z kolegów Agaty stojący w grupie dziennikarzy tłoczących się przed gabinetem szefowej – bo do środka prokurator nie

pozwolił im wejść – machnął ręką do operatora z kamerą, która przekazywała obraz tego, co działo się w Twojej Stacji, prosto do internetu. Polacy mogli więc zobaczyć działanie organów państwa na żywo. Szydłowski otworzył drzwi, dziennikarze się rozstąpili, żeby zrobić przejście, i kamerzysta wszedł do gabinetu dokładnie w chwili, gdy prokurator i jego asystent szarpali się z kobietą, próbując jej wyrwać laptopa.

Agata krzyczała i broniła się, zapierając się nogami o solidne rzeźbione biurko. Kilku dziennikarzy nie wytrzymało i rzuciło się jej na pomoc. I w jednej chwili wszyscy zaczęli się szamotać i popychać. Policjanci towarzyszący prokuratorowi postanowili zainterweniować. Niejedna marynarka została rozerwana, niejedne okulary rozbito. Wszystko *all inclusive* w internecie. Asystent prokuratora, nie mogąc pokonać oporu kobiety, przydusił ją kolanem. Któryś z dziennikarzy nie zdzierzył tego, zdzielił go pięścią w twarz i odciągnął od swojej szefowej. Agata, kaszląc, przyciskała do piersi laptopa. Oddanie go policji oznaczałoby wydanie informatora, Maxa, a do tego nie mogła dopuścić.

★

Max oglądał nagranie z próby przejęcia komputera Agaty w telewizji. Siedział w barze nieopodal squat, w którym mieszkał.

– Sukinsyny! – wyrwało mu się. – Co za kraj!

Na ekranie właśnie było widać asystenta prokuratora ze śliwką pod okiem. Krzyczał histerycznie, że dziennikarze próbowali go zamordować. Agata oczywiście nie oddała laptopa. Prosto z siedziby Twojej Stacji pojechała do szpitala na obdukcję. Wiedziała, że kiedy przyjdzie do sprawy w sądzie, będzie musiała udowodnić, że została napadnięta. Miała rozerwaną bluzkę i podrapaną twarz, bo cherlawy asystencik, nie

dysponując wystarczającą siłą, musiał się uciekać do mniej męskich sposobów stosowania przemocy.

Max za zgodą właściciela baru przeskoczył na inny kanał – na telewizję publiczną. Ta sama relacja. Władza przekroczyła wszelkie granice, a atak na niezależną stację telewizyjną został przez dziennikarzy wszystkich opcji uznany za skandaliczny zamach na wolność słowa.

- Jak tak dalej będzie, rząd upadnie!
- To metody dyktatorskie.
- Kudzia musi odejść.

Słyszając to, Max nie miał wątpliwości, że władza przegrała. Oczywiście Twoja Stacja nie podała jego imienia i nazwiska. Po raz pierwszy od wielu miesięcy odczuwał coś na kształt zadowolenia. Zapłacił za piwo i wrócił do domu. Współlokatorzy anarchiści traktowali go jak brata.

★

Mieszkańców squatu obudziło walenie w drzwi. Max spał tej nocy wyjątkowo płytko, bo zdawał sobie sprawę, że skoro nie udało im się z Agatą, to spróbują z nim. Poprosił ludzi, z którymi mieszkał, żeby nie stawiali oporu policji, i spokojnie się ubrał. Zdołał jedynie wysłać do zleceniodawcy wiadomość, że potrzebuje natychmiastowej pomocy.

W końcu otworzono drzwi i weszła policja.

- Max Kwietniewski! – zawołał od drzwi jeden z nich.

Max się zgłosił i postąpił parę kroków do przodu. Był spakowany; rzeczy przywiezione do Polski zmieściły się w torbie, którą można było mieć w samolocie jako bagaż podręczny. Anarchistom podał wcześniej numer komórki Agaty i poprosił ich, żeby przekazali jej, co trzeba.

- Jesteśmy z tobą, bracie! – zawołali teraz.

Policjanci poinformowali go, że zostaje zatrzymany w związku

z podejrzeniami o udział w zorganizowaniu nielegalnego podsłuchu, spisku wymierzonego w demokratyczny ustrój Rzeczypospolitej, napaść na nieżyjącego arcybiskupa – prokuraturę zawiadomiono o odwiedzinach u Morawskiego „Murzyna podszywającego się pod katolickiego kapłana” – oraz o napaść i zastraszenie profesora Gągolewskiego z Lublina.

– Nie dziwi mnie, że ten typ na mnie doniósł – powiedział Max.

– Wyjaśni pan to prokuratorowi.

Stanął przed tym samym prokuratorem, który próbował odebrać laptopa Agacie. Ten suchym tonem odczytał mu zarzuty i poprosił o podpisanie oświadczenia, że Max rozumie zarzuty.

– Niczego nie podpiszę.

– W takim razie będę wnioskował do sądu o zastosowanie środka zapobiegawczego, jakim jest areszt tymczasowy na okres trzech miesięcy.

– Nie macie prawa. Jestem obywatelem amerykańskim.

– Popełnił pan w Polsce przestępstwa – odezwał się asystent prokuratora. – Nagrał pan nielegalnie rozmowę ministra spraw wewnętrznych.

– Idź napić się mleka. Podobno siniaki wtedy schodzą – poradził mu Max, uśmiechając się bezczelnie.

Asystent zaczerwienił się jak burak.

Max wiedział jednak, że nie ma zbyt wielu powodów do śmiechu, bo jego sytuacja nie wyglądała najlepiej. Elity polityczne w Polsce wpadły w panikę i zrobią wszystko, by się z tego wywinąć, a on mógł się stać kozłem ofiarnym.

Na wszystkie pytania dotyczące okoliczności nagrania odmawiał odpowiedzi. Nie mógł się jednak powstrzymać przed wyrażeniem komentarza – co zostało zaprotokołowane – na temat rozmowy ministra

Kudzi z prezesem Geobanku, która, według niego, była ewidentnym dowodem na istnienie przestępczego układu. Z ust Maxa padły wyraźne oskarżenia pod adresem Petera Vogla, byłego oficera Służby Bezpieczeństwa, z którego powodu przed laty zginęła Monika i Władysław Skotnicki.

– Te sprawy nie mają nic wspólnego z popełnionym przez pana przestępstwem – powiedział asystent prokuratora, gdy przejął prowadzenie przesłuchania od szefa, który musiał udać się do sądu. – Zadałem panu pytanie i chcę usłyszeć na nie odpowiedź. Kto kazał nagrać rozmowę pana ministra Kudzi? – krzyczał poirytowany.

– Tracisz czas, synku – rzucił Max. – Kategoriecznie żądam, by o moim zatrzymaniu powiadomiono amerykańską ambasadę.

– Wszystko w swoim czasie.

Tak wyglądała ta rozmowa. Następnego dnia, kiedy mijало przepisowe czterdzieści osiem godzin, Max otrzymał postanowienie sądu rejonowego Warszawa-Śródmieście o tymczasowym aresztowaniu na okres trzech miesięcy. Został przewieziony policyjnym samochodem do aresztu śledczego.

★

Tymczasem minister Henryk Kudzia w swoim służbowym warszawskim mieszkaniu łykał środki uspokajające. Zdawał sobie sprawę, że jego kariera polityczna w obozie rządzącym jest skończona. Wprawdzie premier zostawił go na urzędzie, ale tylko po to, by pokazać dziennikarskiej hałastrze, że to nie czwarta władza będzie obalała członków rządu. Kiedy sprawa przycichnie, minister spraw wewnętrznych będzie musiał odejść.

Tyle że Henryk Kudzia nie miał ochoty odchodzić. Zbyt lubił władzę i przywileje, jakie dawała. Jest przecież cenny. Ma wiedzę o przeszłości



Trzeciej Rzeczypospolitej, którą można sprzedać.

I nie pomylił się. Wkrótce zadzwonił do niego na komórkę Zbigniew Sieradzki, o którym wszyscy wiedzieli, że jest prawą ręką szefa największej prawicowej partii opozycyjnej, Sławomira Gęsickiego.

– Pan prezes ma dla pana propozycję – oznajmił.

Kudzia natychmiast zgodził się na spotkanie. Żeby uniknąć rozgłosu, umówili się w jednym z podwarszawskich klasztorów, gdzie nie ma podsłuchów i dziennikarzy.

– My damy panu nietykalność, stanowisko, a pan pomoże nam zatopić rząd premiera Potockiego – powiedział prezes partii Gęsicki.

Kudzia uśmiechnął się swoim najszczerzym uśmiechem. Wiedział, że spada właśnie na cztery łapy jak kot skaczący z dachu, po największym swoim osobistym upadku.

– Bardzo się cieszę, panie prezesie – odparł uniesienie. – Razem dokonamy w Polsce dobrej zmiany.

Wypili za to toast miodem pitnym. A klasztorne miody, jak wiadomo, są najlepsze.

★

Max przeszedł całą procedurę. Paszport, blackberry i karty płatnicze Mastercard oraz American Express zostały przekazane do depozytu więziennego. Odebrał koc, ręcznik i przydział mydła. Wylądował w celi z drobnymi przestępcami: złodziejem rowerów, damskim bokserem i napakowanym testosteronem kibolem stołecznego klubu. Cella miała sześć na trzy metry. Dwa piętrowe łóżka po jednej i drugiej stronie. Na ścianach mnóstwo zdjęć pornograficznych. Przy wejściu, po lewej, ubikacja za kotarą.

Max był jednak twardy. Jego pojawienie się w celi wywołało poruszenie.

Złodziej rowerów od razu się przedstawił, damski bokser rzucił: „Coś, kurwa, w celi pociemniało”, ale jedyną osobą, na którą Max spojrzał z pewną obawą, był kibol. Pod obcisłym T-shirtem przylegającym do ciała rysowały się mięśnie. Z nim będą problemy, pomyślał.

– Ty mi się, kurwa, zdaje masz miejsce tam! – Mięśniak wskazał na kotarę.

– To sam tam idź, jak chcesz się wysrać – odparł spokojnie Max, po czym jak gdyby nigdy nic położył swoje rzeczy na wolnym łóżku.

– To zabrało moje łóżko! – powiedział kibol, wstając.

Obaj pozostali więźniowie natychmiast wycofali się w stronę brudnego okna. Mięśniak podszedł do nowego lokatora celi, zaciskając pięści, po czym zaczął uważnie mu się przypatrywać.

– My się znamy? – zapytał Max.

Kibol badawczo patrzył na jego twarz.

– Bywasz w okolicach ronda Wiatraczna na Pradze? – zapytał w końcu.

Maxowi zaczęło coś świtać w głowie. Przed laty spotkał się na Pradze z kilkoma fanami piłki nożnej. I to spotkanie raczej nie zakończyło się dla nich dobrze.

– Byłem tam wiele lat temu. Zdaje się, że w dziewięćdziesiątym drugim.

– Dobrze kumasz – odparł kibol. – Dwadzieścia lat, kurwa, czekałem na tę chwilę, brudasie jeden!

Rzucił się na Maxa, ale ten, znacznie zwinniejszy, zrobił unik i wycelował dwa wyciągnięte palce w nasadę nosa kibola. To było błyskawiczne uderzenie. Mięśniak, wyjąc z bólu, zwałił się na podłogę celi. Ryczał przez kilka minut, zanim przybiegli zaalarmowani krzykami strażnicy.

Tego samego dnia Max został przeniesiony do izolatki. Do końca

pobytu w więzieniu nie naprzykrzał mu się żaden „prawdziwy Polak”.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### **BANKIER**

Dwa dni po osadzeniu Maxa w areszcie śledczym na Mokotowie do jego celi przyszedł rano strażnik.

– Kwietniewski, wychodzisz! – zawołał. – Rusz dupę!

Rozespany Max zwłókł się z więziennego wyra i ruszył za klawiszem po metalowych schodach. Nad piętrami została rozciągnięta siatka, aby uniemożliwić skazanym samobójczy skok. Na parterze strażnik poprowadził go długim korytarzem do pokoju, w którym tymczasowo aresztowani mogli spotykać się z gośćmi.

W pomieszczeniu paliła się tylko jedna, dość upiorna żarówka. Za stołem siedział nieznajomy mężczyzna.

– Proszę się tak nie dziwić – powiedział. – Jestem pana adwokatem.

– Nie pamiętam, bym pana zatrudniał – rzucił Max.

– Bo to nie pan mnie zatrudnił. Ma pan niezwykle przekonujących przyjaciół – odparł prawnik. – Właśnie wyciągnąłem pana z tego więzienia.

– Agata Wróblewska to bardzo dobra koleżanka.

– Ta dziennikarka? Nie ona mnie wynajęła. Pana zwolnienie zostało załatwione na najwyższym szczeblu. Rząd zmiękł w sprawie afery, ma być sejmowa komisja śledcza. Wygląda na to, że doprowadził pan do przesilenia politycznego w Polsce.

– Chciałem tylko odnaleźć zabójców żony – powiedział skromnie Max.

Prawnikiem popatrzył na niego z nieukrywanym zdumieniem.

– Czeka pana jeszcze długa droga do tego. Mam pana zawieźć na spotkanie z osobą, której zawdzięcza pan zwolnienie. Proszę tylko podpisać te papiery.

Max podszedł i złożył zamaszty podpis na wszystkich dokumentach, które tamten mu podsunął.

– Mam tylko nadzieję, że nie okaże się, że wziąłem w Geobanku kredyt na sto milionów.

Następnie z pomocą adwokata, który najwyraźniej miał doświadczenie w kontaktach z polskim systemem karnym, Max zabrał swoje rzeczy z depozytu. Smartfon był na miejscu, ale paszportu nie dostał. Otrzymał natomiast dwadzieścia złotych ryczałtu przysługującego osobom zwalnianym z aresztu. Wyszli z budynku, przeszli kawałek do Wiśniowej, wsiedli do zaparkowanego tam wypasionego lexusa i odjechali.

Była poranna godzina szczytu, więc poruszali się w żółwym tempie. Na szczęście nie musieli jechać daleko. Na rogu Gagarina i Alei Ujazdowskich prawnik wjechał do zatoczki na przystanku autobusowym.

– Mały spacer dobrze panu zrobi – powiedział, podając Maxowi rękę. – Łazienki. Pałac Na Wodzie. Tam na pana czeka.

– Kto?

– Zobacz pan. Ma pana paszport. Musieliśmy go wyciągnąć, żeby załatwić formalności. Do widzenia.

Lexus szybko odjechał.

★

Monika lubiła Łazienki. Max obawiał się tego miejsca; bał się, że rozdrapie ranę, która zaczęła się zasklepiać. Poczul dreszcz, gdy przekraczał główną bramę, i nie do końca wiedział, czy to wynik przebudzenia się wspomnień o zmarłej żonie, czy podenerwowanie związane z tym, kto na

niego może czekać. Idąc w dół w cieniu zielonych drzew, w kilka minut dotarł do pałacu Na Wodzie i zaczął się rozglądać nerwowo. Wokół niego krążyły dzieci, które razem z młodymi matkami karmiły duże, tłuste i wiecznie głodne karpie. Raz po raz wielki paw usadowiony na jednej z rzeźb krzykliwie dopominał się zainteresowania ludzi.

– Znów pana podchodzę, jak w Nowym Jorku.

Max usłyszał znajomy głos. Odwrócił się. Za nim stał zleceniodawca.

– Pan tutaj?

– Otrzymałem pana wiadomość. Wsiadłem w pierwszy samolot z Nowego Jorku do Warszawy. Różnica czasu jest naprawdę wykańczająca, nie sądzi pan? – odparł mężczyzna, patrząc na zaskoczonego Maxa.

– Nie spodziewałem się pana tak szybko.

– Aresztowano pana poniekąd z mojej winy. To ja wrobiłem pana w tę sprawę. Chciałbym panu podziękować. Osiągnął pan więcej, niż przypuszczałem. Dlatego do trzydziestu tysięcy dolarów, które panu przekazałem, dodam siedemdziesiąt tysięcy. Być może będzie jeszcze premia.

– Jest pan bardzo hojny – przyznał Max.

– Mogę sobie na to pozwolić – odparł zleceniodawca z tajemniczym uśmiechem. – Wezmę te pieniądze od prezesa Vogla. Przejdźmy się. To jedno z moich ulubionych miejsc w Warszawie.

– Jaki pan ma właściwie interes w tej sprawie? – zapytał Max, bardzo ciekawy, kim jest ten tajemniczy człowiek.

– Powinienem się przedstawić. Jestem to panu winny. – Mężczyzna uścisnął jego dłoń.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Nazywam się Patrick Newmark i jestem synem zamordowanego

w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym Johna Newmarka, amerykańskiego przedsiębiorcy i lobbysty rynku naftowego. Pyta mnie pan, co mam wspólnego z tą sprawą? To samo co pan. Naszych najbliższych zabił ten sam człowiek. Peter Vogel, a właściwie, jak pan doskonale wie, były oficer Służby Bezpieczeństwa, Kazimierz Wiśniak. To jego ścigałem przez dwadzieścia ostatnich lat. Moja rodzina nigdy nie odpuściła.

– Wendeta rodzinna?

Newmark się zaśmiał.

– Nie jesteśmy z Sycylii. Oczywiście wyszło to poza zwykłe rachunki do wyrównania. Vogel zasługuje na proces i wyrok, ale nie taki jak Bernard Madoff, który oszukał ludzi na wielkie pieniądze, tylko na krzesło elektryczne. Wydaje mi się, że jeśli go złapiemy, nasz rząd wystąpi o ekstradycję do USA.

– Dla kogo pan pracuje?

Newmark wyciągnął ze srebrnego etui wizytówkę. Max przeczytał:

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA  
DYREKTOR DEPARTAMENTU  
PRZETWARZANIA DANYCH  
LANGLEY, WIRGINIA

Niżej był adres e-mailowy i służbowy telefon.

– Cały czas pomagałem CIA? – zapytał zdumiony.

– Niekoniecznie, prowadziłem własne śledztwo, ale nie mogłem mieszkać do tego agencji. Prywata jest karana. Nie ma na nią miejsca. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Pożyczyłem tylko gadżet, to znaczy pana telefon. Długo szukałem człowieka, który zmierzy się z tą sprawą.

– Jak mnie pan znalazł?

– Przez wyszukiwarkę, algorytm pokazał, że mamy podobne

zainteresowania. Od polityki, przez sprawy polskie...

Max myślał jak detektyw. Miał to we krwi.

– Elisabeth?

Newmark popatrzył na niego z czymś, co mogło być politowaniem.

– Pracowała dla nas w redakcji „Economist”. Załatwiliśmy jej stypendium w Nowym Jorku. Proszę się nie obrażać, ale musiałem mieć pewność, że zajmie się pan sprawą.

– Dlaczego akurat ona?

– Nie domyśla się pan? – Newmark przystanął nad brzegiem stawu. – Wiedziałem, że się panu spodoba. Sprawa z Elisabeth nie jest jeszcze zakończona. Musimy odbyć z nią rozmowę.

– Dlaczego akurat ona? – powtórzył Max. – Nie miał pan zdjęć mojej zmarłej żony, nie mógł pan wiedzieć, że była do niej podobna.

– Wiedziałem, że pan się nią zainteresuje, z algorytmu profilu pana zainteresowań... pornografią w sieci. Była dokładnie w pana typie. Proszę się nie gniewać. Mężczyźni są po prostu samcami – powiedział Newmark bez cienia hipokryzji.

Max poczuł nagle, że robi mu się gorąco. Wygląda na to, że facet z CIA podstawił mu kobietę, w której on naprawdę się zakochał. Kilka lat wcześniej powiedziałby, że to skurwysyństwo, i pewnie tym było. Ale dzięki temu dowiedział się, dlaczego zginęła Monika. Warto było zapłacić cenę kolejnego nieudanego związku. Max miał jednak jeszcze mnóstwo pytań, które wymagały odpowiedzi.

– Co to jest Lunatyk? Nie rozumiem tego? Dlaczego papiery Wiśniaka zostały wyczyszczone?

Newmark rozejrzał się, czy przypadkiem ktoś ich nie podsłuchuje. Max pomyślał, że taka szychta jak on z pewnością ma przy sobie aparat



z zabezpieczeniem uniemożliwiającym podsłuchiwanie z mikrofonu kierunkowego.

– Lunatyk – zaczął cicho Newmark – był operacją wpływowej grupy oficerów GRU i innych służb bloku sowieckiego. Wiedzieli, że reformy Gorbaczowa doprowadzą do rozpadu Związku Radzieckiego, i chcieli się zabezpieczyć. Wybrali Polaka, ponieważ nie ufali sobie nawzajem, a zsovietyzowany Polak, wystarczająco cyniczny i bezwzględny, będzie dbał o ich interesy lepiej niż niejeden Rosjanin. Wyłożyli duże pieniądze i wysłali gościa do Nigerii, żeby wykupił tamtejsze udziały w polach naftowych. Na tej bazie powstał bank nowego typu, mający całkowicie zachodni kapitał, bo pieniądze sowieckie zostały naprawdę dobrze wyprane. Ten bank inwestował przez dwadzieścia ostatnich lat w sektor energetyczny, ropę naftową, głównie w złoża, i stał się światowym gigantem na rynku. To z nim toczyliśmy wojnę, i teraz mamy punkt zwrotny, musimy wykonać kontratak. Chciałbym, by wziął pan w tym udział.

– Mam pracować dla CIA?

– A dlaczego nie? Będzie miał pan stałe zlecenia, przejdzie pan doskonale przeszkolenie i zostanie agentem do spraw trudnych.

– Muszę to rozważyć – powiedział Max.

Newmark zaśmiał się beztrąsko.

– Dobrze pana znamy, Max. Z samego internetu wiemy o panu o wiele więcej, niż pan wie o sobie samym. Jest pan idealnym kandydatem do tej niełatwej roboty. Poza tym z wywiadu się nie odchodzi. To układ na długie lata.

– Co pan teraz zamierza? – zadał pytanie Max.

– Zapraszam na wycieczkę do Berlina.

– Muszę się zobaczyć z Agatą Wróblewską.

– Niech pan nie będzie sentymentalny. Najpierw Berlin. Poza tym w Polsce nie ma pan czego szukać. Wypuścili pana z aresztu, ale wbili do paszportu, że ma pan zakaz wjazdu na terytorium ich państwa.

– Dlaczego?

– Nagrał pan nielegalnie rozmowę ich ministra – powiedział Newmark.  
– Dziś rano, jeszcze przed pana zwolnieniem, Kudzia złożył dymisję. Wszystko dzięki panu i tej dziennikarce. To nie jest miłosierny kraj. Polacy mają szczególne upodobanie do trudnej historii. Jeden z nich, niejaki Aleksander Wielopolski, powiedział w dziewiętnastym wieku o swoich rodakach, że warto czasem dla nich zrobić coś dobrego, ale z nimi nigdy. Więc niech pan sobie daruje ten kraj.

– Chyba nie potrafię już tego zrobić – przyznał się Max. – Nie po tym, co wydarzyło się ostatnio.

– Hm... tylko że oni pana tutaj nie chcą. Nie dlatego, że jest pan Afroamerykaninem, tylko dlatego, że pokazał im pan, jacy są naprawdę. Nikt tego nie lubi.

★

Max czuł gorycz. Chciał się spotkać z Agatą i powiedzieć jej, że bez niej jego walka byłaby niemożliwa, ale w paszporcie rzeczywiście umieszczono mu adnotację, że władze Rzeczypospolitej Polskiej nie życzą sobie jego posiadacza w swoich granicach. Zadzwoił do Agaty. Natychmiast odebrała.

– Wygraliśmy, Max! – zawołała do słuchawki. – Kudzia złożył dziś dymisję.

– Właśnie się o tym dowiedziałem. Chciałbym ci podziękować. Zostałem dziś zwolniony z aresztu.

– Co takiego? Z jakiego aresztu?

– Kudzia kazał mnie zapuszkować.

- Nie mówisz poważnie?! – rzuciła oburzona. – Co to za kraj!
- Wyszedłem po tym, jak wstawili się za mną... amerykańscy przyjaciele. – Nie chciał zdradzać szczegółów. – Niestety, muszę opuścić Polskę. Uznali, że brałem udział w nielegalnym nagrywaniu urzędującego ministra. Muszę opuścić Polskę – powtórzył z wyrzutem.
- Nie przejmuj się. Odwiedzę cię w Nowym Jorku, jak to wszystko się skończy. Zostałam wezwana do prokuratury w charakterze świadka. Prokuratura zabiera się do tej sprawy jak pies do jeża. Nie wie, z której strony ugryźć.
- Będę czekał na twoje odwiedziny... Ale to jeszcze nie jest koniec.
- Dlaczego?
- Prezes Geobanku, Vogel... musimy go znaleźć.
- My, czyli kto? – zapytała podejrzliwie Agata.
- To skomplikowane.

★

W genewskiej siedzibie Geobanku zwołano konferencję prasową. Rzecznik banku, elegancki szwajcarski urzędnik, poinformował zebranych dziennikarzy, że rada nadzorcza zawiesiła prezesa w pełnieniu obowiązków. Dziennikarze pytali, czy ma to związek z aferą podsłuchową w Polsce, interesowali się jego przeszłością oficera komunistycznej tajnej policji. Szwajcar z kamienną twarzą przeczytał raz jeszcze lakoniczny komunikat rady nadzorczej.

Tak naprawdę Peter Vogel zniknął i żaden z pracowników banku nie wiedział, gdzie jest. Zatrudnieni w szwajcarskiej siedzibie ekonomiści, analitycy i menedżerowie nie mieli pojęcia o przeszłości prezesa ani o jego koneksjach z sowieckim GRU.

W ramach kontraktaku, o którym mówił Newmark, w „New York

Timesie” ukazał się artykuł o Peterze Voglu; zainstalowany w redakcji gazety człowiek CIA dobrze wykonał swoją robotę. To wystarczyło, by akcje Geobanku notowane na Wall Street poszły w dół o sześć i pół procent. To już było katastrofą, a zniknięcie prezesa Vogla jeszcze pogłębiło niepewność inwestorów. Akcje poleciały w dół o dalsze cztery procenty, a potem o kolejne trzy. Cena ropy również zaczęła spadać, po tym jak ogłoszono, że Geobank sprzedał złoża łupków roponośnych w Kanadzie. Spadły też notowania banku na parkiecie frankfurckim i pekińskim. Moskwa w ogóle zawiesiła handel akcjami banku do odwołania. Nad Geobankiem, dziełem sowieckich służb specjalnych, zaczęły się zbierać naprawdę czarne chmury.

## Berlin, sierpień 2014

W berlińskiej komórce CIA w amerykańskiej ambasadzie, usytuowanej między Bramą Brandenburską i pomnikiem ku czci pomordowanych Żydów, trwało przesłuchanie prezesa Uda Genskego. Niemcy zatrzymali go pod zarzutem malwersacji finansowych, a niemiecka służba wywiadowcza *Bundesnachrichtendienst* od dawna obserwowała niemiecką filię Geobanku. Nie dalej jak kilka tygodni wcześniej Rosjanie zestrzelili nad wschodnią Ukrainą samolot pasażerski, i to wydarzenie oznaczało punkt zwrotny w postrzeganiu przez Niemców Rosji oraz jej instrumentów wpływu. BND śledziła, w jaki sposób Rosja zachowuje możliwość przelewu środków przez rosyjskie banki. Skandal w Polsce, który zmusił prezesa Geobanku Petera Vogla do wzięcia nóg za pas i zniknięcia zachodnim służbom z widoku, miał wpływ również na to, co działo się w Niemczech.

Ostatecznie Niemcy zgodzili się, by Amerykanie prowadzący śledztwo w sprawie Geobanku mogli przesłuchać Uda Genskego w charakterze

świadka. BND przywiozła go Amerykanom do ambasady. Przesłuchanie odbyło się w specjalnie skonstruowanym pomieszczeniu, wytłumionym korkiem, z weneckim lustrem umożliwiającym obserwowanie zachowania podejrzanego podczas rozmowy z amerykańskimi śledczymi. Przesłuchanie prowadził mówiący biegle po niemiecku Patrick Newmark. Genske zachowywał się spokojnie.

– Co taki człowiek jak pan, walczący w latach osiemdziesiątych o socjalizm, robi w Geobanku? – zapytał Newmark.

Były agent Stasi podniósł na niego zmęczony wzrok. Został aresztowany przez BND, która szykowała przeciw niemu dowody. Zdawał sobie sprawę, że jego kariera jest skończona. Mógł się oczywiście wybronić, miał na to dużo pieniędzy, ale życie bez władzy... Cóż to za życie?

– Zarabiałem mnóstwo pieniędzy – odparł szczerze.

– Jest pan z pewnością rozsądnym człowiekiem – ciągnął Newmark. – Moglibyśmy wstawić się za panem do BND, jeśli tylko pan wykazałby odpowiednią elastyczność.

– Słucham.

– Gdzie jest Peter Vogel?

– Sam chciałbym to wiedzieć. Widziałem się z nim tutaj, w Berlinie, dwa dni temu. Był mocno poruszony, że tak to ujmę, stylem, w jakim polski minister, *Herr Kudzia*, próbował nakłonić go do swoich racji – powiedział flegmatyczny Niemiec. – Bez Vogla, którego Geobank mógłby rzucić na pożarcie mediom, Interpolowi i komu tam jeszcze pan chce, nasz bank czeka prawdziwa katastrofa. Chcę go uratować, bo jego krach doprowadzi do kolejnego krachu, nie wiem nawet, czy nie poważniejszego od tego po upadku waszego Lehman Brothers.

Niemiec miał jasny cel. Amerykanin też.

– Pan znał Vogla najlepiej. To pan załatwił mu niemieckie obywatelstwo po jego powrocie z Afryki. – Newmark grał w otwarte karty.

– Nie zaprzeczę – odparł spokojnie Genske.

– Znajdziemy go albo my, albo Rosjanie. Proszę nam powiedzieć wszystko, co pan wie, o związkach Geobanku z Moskwą.

Na sam dźwięk słowa „Moskwa” wypowiedzianego w języku niemieckim były oficer Stasi drgnął.

– To jest wiedza warta mojej wolności.

– Da się to jakoś załatwić.

– Zawsze lubiłem Kalifornię – rzucił były agent Stasi, zanim zaczął opowieść o dziesiątkach spółek córek, przez które Moskwa mogła przekazywać pieniądze na przykład niemieckim komunistom lub nacjonalistom Marie Le Pen we Francji. Moskwa używała Geobanku jako instrumentu nacisku i wpływu na rządy państw zachodnich. Robiła to od co najmniej 1990 roku. Przeszło dwadzieścia lat złodziejstw, zbrodni i wielkich brudnych pieniędzy.

Max wysłuchał tego z obrzydzeniem.

– Wypuście go? – zapytał po zakończeniu przesłuchania, które oglądał przez lustro weneckie.

– My nie – powiedział Newmark. – Niemcy to zrobią, ale nie martwiłbym się na twoim miejscu. Rosjanie zadbają o to, by porządnie odpoczął.

★

Wiedział, co mówi. W Moskwie kłopoty Geobanku odebrano z największą troską. Na Kremlu odbyło się spotkanie w ścisłym gronie doradców Putina, którzy wiedzieli o operacji Lunatyk. Nadieżda Kuzniecowa odebrała przed kilkoma tygodniami patent generalski od

samego Władimira Władimirowicza. Stała się tym samym pierwszą kobietą w resortach specjalnych Federacji Rosyjskiej, która miała tak wysoki stopień oficerski. Zmieniła entourage. Nosiła blond włosy, krótko obcięte jak wokalistka szwedzkiego duetu Roxette. Do tego okulary w oprawkach od Gucciego za tysiąc dolarów, od najlepszego optyka w Moskwie.

Gospodarz Kremla nie przyszedł. Nie spodziewano się wizyty aż na takim szczeblu. Jego wolę wyrażała Nadieżda Wassilijewna. W gabinecie z bursztynowymi zdobieniami znaleźli się też dwaj byli oficerowie komunistycznych służb KGB i GRU. Twierdzenie, że te dwie służby kiedykolwiek miały sprzeczne interesy, można włożyć między bajki. I to samo dotyczyło powstałej na ich bazie postkomunistycznej Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej i Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Owszem, nie przepadały za sobą, ale obydwaj płuca bezpieczeństwa Związku Radzieckiego, a teraz putinowskiej Rosji, miały jeden cel: ochronę jej interesów.

Nadieżda Wassilijewna rozumiała to dosłownie. Ludzi niewygodnych dla Kremla i jego geostrategicznych interesów trzeba usuwać. Boris Bieriezowski dostał zawału we własnej wannie, Aleksandrowi Litwinience, fakt, trzeba było podać radioaktywny pierwiastek, żeby czuł, że umiera – ale zasadę zachowano. Geobank miał być strategicznym zabezpieczeniem interesów Moskwy, prowadzonym przez zaufanego człowieka. Póki bank działał dobrze i przynosił Kremlowi profity polityczne i finansowe, zaufany człowiek miał pewną swobodę. Moskwa była jednak bardzo krótkowzroczna. Wraz z pogłębiającym się kryzysem ukraińskim i sankcjami władze na Kremlu doiły dojną krowę do ostateczności. I krowa zdechła.

– Za bankructwo banku powinien ktoś odpowiedzieć – oświadczyła Nadieżda Wassilijewna. – Czy wiemy, gdzie przebywa prezes Vogel?

– Chwilowo nie, ale to kwestia czasu – odparł jeden z wyższych oficerów FSB.

– Musimy mieć pretekst – powiedział drugi oficer. – Ten Vogel chyba jest Polakiem, prawda?

– I co z tego? – Nadieżda spojrzała zza swoich modnych okularów na oficera. – Wtedy byliśmy w jednym obozie.

– My, w resorcie, wiemy co nieco na temat przebiegu tej operacji. Podobno ten Polaczek zabił syna generała Uljanowa, sami rozumiecie, towarzyszko, że co jak co, ale czegoś takiego raczej nie powinniśmy darować. To była rodzina Lenina.

Wszyscy troje mieli w głębokim poważaniu krewnego Lenina, zemstę za doznane krzywdy i każdy rodzaj niepraktycznego idealizmu. Czyż jednak Krym nie został przywrócony rosyjskiej ojczyźnie dzięki wykorzystaniu właśnie tego niepraktycznego idealizmu? Krym był symbolem.

– Ojciec mi wspominał – rzuciła Nadieżda Wassilijewna, dając znak, że rozumie standardy podwójnego myślenia. – Kiedy to było?

– Stambuł, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy. Za długo pozwalamy skurwielowi żyć – powiedział oficer. – Stary generał jeszcze żyje.

– Naprawdę? – zdziwiła się Nadieżda. – Gdzie jest?

– W Tule, w naszym specjalnym szpitalu dla dygnitarzy, ale ponoć trudno z nim porozmawiać. Oszalał z żalu po śmierci syna – odrzekł oficer FSB.

– Kto się zajmie Voglem? – dociekała szefowa.

– Jest pewien znakomity fachowiec. Prezes chyba korzystał z jego usług.



Stiopa Jakowlew, dziś wyślemy mu zlecenie – powiedział ten z wywiadu wojskowego.

– Doskonale – skwitowała Nadieżda Wassilijewna, która nie lubiła być ignorowana przez swoich ekskochanków, nawet tych, którzy byli jej kochankami prawie trzydzieści lat temu.

Nikt tak nie nienawidzi jak wzgardzone kobiety.

## Rozdział dwudziesty czwarty

# PIĘKNI CZTERDZIESTOLETNI

Pogoń za Voglem dopiero się zaczynała. Informacje, które przekazał Genske, były bezcenne. Wymienił ulubione miejsca prezesa – hotele, sklepy z biżuterią, kasyna, posiadłości należące do Geobanku (które jeszcze nie poszły pod młotek) i mieszkania Vogla. Tymczasem szwajcarska centrala Geobanku ogłosiła zawieszenie realizowania przelewów między oddziałami banku i zewnętrznymi kontrahentami. Oznaczało to jedno: bankructwo. Prokuratura i nadzór bankowy Szwajcarii uznały, że upadek Geobanku nie leży w interesie ich kraju, i natychmiast rozpoczęto śledztwo.

Newmark i Max polecili z Berlina do Genewy. Ponieważ Stany Zjednoczone wystosowały do szwajcarskich władz wnioski o zatrzymanie Vogla, Amerykanie mogli, przy asyście szwajcarskiej policji i miejscowych służb wywiadowczych, wejść do luksusowego mieszkania prezesa w apartamentowcu nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Lokum miało ponad czterysta metrów kwadratowych.

– Nie sądzę, żeby Szwajcarzy cokolwiek tu znaleźli – zwrócił się Newmark do Maxa, kiedy policja przeszukiwała mieszkanie. – Vogel jest na to zbyt sprytny.

Max, który spokojnie się rozglądał, musiał przyznać, że prezes miał gust. Zauważył nie tylko eleganckie gobeliny z fantastycznymi zwierzętami, ale i kolekcję antycznych waz. Nie wątpił, że to autentyki. Vogel miał dość pieniędzy na zaspokajanie najbardziej wyrafinowanych zachcianek. Niejedno muzeum nie powstydziliby się takiej kolekcji. Newmark zwrócił

uwagę, że wiszące w kuchni *Stoneczniki* są z pewnością oryginalnym dziełem van Gogha. Holender namalował ich kilkanaście, a każdy z nich warty jest wiele milionów euro.

W pewnym momencie Newmark zwrócił uwagę, że Max bardzo długo przypatruje się stojącej na kominku fotografii w eleganckiej ramce.

– Co się stało? – spytał, podchodząc do Maxa.

Ten był wyraźnie zdenerwowany. Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętego prezesa na jachcie w Monako; obok niego stała młoda ładna blondynka... Elisabeth. Nie to jednak zaszokowało Maxa najbardziej, lecz to, że już kiedyś widział tego człowieka. Przypomnił go sobie z balu charytatywnego w Nowym Jorku. Elisabeth wspomniła wtedy, że jest z finansistą. Jak mogłem tego wcześniej nie skojarzyć, wyrzucał sobie Max. Vogel na fotografii na kominku wyglądał zupełnie inaczej niż Małysiak na zdjęciu, które przed swoją śmiercią zdołała mu wysłać Anna Jazowy. No ale przecież te dwie fotografie dzieliły dziesięciolecia, a do tego Vogel musiał zadbać o to, by zmienić swój wygląd i prawdopodobnie skorzystał z możliwości chirurgii plastycznej.

Tylko dlaczego Elisabeth związała się z tym człowiekiem? Tego nie potrafił zrozumieć. Nabrał jednak podejrzeń, że Newmark mógłby mu odpowiedzieć na to pytanie.

– Co to jest? – zapytał, pokazując mu zdjęcie na kominku.

– To było konieczne – odparł Newmark. – Musieliśmy mu kogoś podsunąć, jeśli chcieliśmy się czegoś dowiedzieć. Elisabeth była z nim związana przez dwa ostatnie lata. Naprawdę nie spodobało mi się to, że przez pana z nim zerwała. Zawrócił jej pan w głowie w Nowym Jorku.

– Wiedział pan o Voglu od dawna?

– Nie mieliśmy pewności, nie wiedzieliśmy, że jest Polakiem. To ustalili

pan ponad wszelką wątpliwość.

– Elisabeth opuściła mnie nagle w Warszawie – powiedział z wyrzutem Max.

– W jakich okolicznościach?

Max szybko sobie przypomniał.

– Byliśmy w mieszkaniu Anny Jazowy. Elisabeth dość dziwnie się zachowała, kiedy zobaczyła zdjęcie Andrzeja Małysiaka, zrobione w polskiej ambasadzie w Nigerii.

– Czy to możliwe, że nie wiedziała, kim był? – spytał Newmark. – My też tego do końca nie rozgryźliśmy, choć agencja od dłuższego czasu przypatrywała się działalności Geobanku w Stanach i Europie. Śledziliśmy powiązania między Geobankiem i FIFA w związku z Mistrzostwami Świata w Piłce Nożnej w dwa tysiące osiemnastym. Z pewnością będziemy mieli podstawę, żeby przymknąć Vogla.

– Muszę się z nią zobaczyć – rzucił z determinacją Max i ruszył do drzwi.

– Dobrze, ale niech pan weźmie ze sobą to. – Newmark podał mu mały przedmiot wielkości guzika.

Max wiedział, do czego to coś służy. Wybiegł z mieszkania, zjechał windą na parter, a na ulicy złapał taksówkę i kazał się zawieźć na genewskie lotnisko.

★

Odnalezienie mieszkania Elisabeth van Kerkhoven w Brukseli nie było trudne. Wprawdzie Max nigdy w nim nie był, ale znał adres, ponieważ Elisabeth przysłała mu kiedyś tradycyjny list.

Był na siebie wściekły, że nie zorientował się wcześniej, kim był kochanek jego dziewczyny. Jej drugie zniknięcie – podobne w stylu do tego

pierwszego, w Nowym Jorku – wzbudziło w nim pewne podejrzenia. Teraz już wiedział, że ktoś tu kimś manipuluje. Pytanie brzmiało tylko, czy to Elisabeth manipulowała nim, czy Newmark nimi obojgiem. Czy nie stali się pionkami w prowadzonej przez niego grze? Zdawał sobie sprawę, że cała ta afera z prezesem Geobanku z perspektywy Newmarka, szycy z CIA, musi wyglądać inaczej, niż widział ją on. Vogel był jednym z najpotężniejszych bankierów na świecie o pozycji porównywalnej z szefem amerykańskiej rezerwy federalnej, Europejskiego Banku Centralnego czy szefowej Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Upadek Geobanku będzie miał międzynarodowe konsekwencje. Max w to nie wątpił i coś mu podpowiadało, że powinien się spieszyć.

Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać po rozmowie z Elisabeth, poza tym, że nie mogła być przyjemna. Gdy ludzie się rozstają, to drugie przeważnie staje się wrogiem, tym niebezpieczniejszym, że znającym najbardziej intymne sekrety naszego życia. Max musiał odbyć tę rozmowę nie po to, by cokolwiek ratować, lecz żeby mieć całkowitą jasność.

Na lotnisku kupił pudełko czekoladek z belgijskiej manufaktury. Elisabeth mieszkała w centrum Brukseli, przy ruchliwej promenadzie Tervueren. Dojechał tam z lotniska taksówką. Gdy wcisnął guzik domofonu z jej nazwiskiem, ktoś akurat wychodził z budynku. Max wykorzystał to, wszedł na klatkę schodową, szybko wspiął się na pierwsze piętro eleganckiej kamienicy i znalazł drzwi z metalową tabliczką z wrytym „E. van Kerkhoven”. Były uchylone. Piękne mieszkanie, prawie dwieście metrów kwadratowych powierzchni.

Zastał ją siedzącą w kuchni ze szklanką whisky.

– Niedobrze pić samemu – powiedział.

– Daruj sobie. Wiedziałam, że przyjdiesz. Czekałam na ciebie. Tylko

mi nie praw kazań.

– Myślę, że mnie nie doceniasz. Nie mam o niego pretensji.

– Jak się zorientowałaś?

– Znalazłem wasze zdjęcie w jego mieszkaniu w Genewie.

– Myślałam, że wiesz. Przecież widziałeś go w Nowym Jorku.

Max usłyszał ironię w jej głosie, ale trudno by mu było mieć o to pretensje, ponieważ jego głos też ociekał sarkazmem.

– Jedno tylko nie daje mi spokoju. Powiedz mi, dlaczego tak zareagowałaś, kiedy Anna Jazowy pokazała to zdjęcie? To była zazdrość?

Elisabeth nie było do śmiechu.

– To on zajął się moim ojcem. Wiesz, jakie są koszty opieki nad człowiekiem w tak ciężkim stanie? Setki tysięcy euro rocznie. Z własnych pieniędzy nigdy nie byłoby mnie na to stać, a Belgia, kochanie, uwierz mi, to nie jest państwo opiekuńcze.

– Dobry Samarytanin – prychnął Max. – Cóż za wspaniałomyślność! A nie przyszło ci do głowy, że gdyby nie on, twój ojciec nie potrzebowałby opieki.

Przez chwilę sprawiała wrażenie skonsternowanej, ale szybko odzyskała rezon.

– Takie jest życie – rzuciła, wzruszając ramionami. – Takie są prawa dżungli, silniejszy zwycięża. I ważne jest, żeby trzymać ze zwycięzcami.

– I uważasz, że Peter Vogel jest zwycięzcą? Nawet po tej aferze w Polsce. Nie widzisz, co się dzieje z Geobankiem.

Znów wzruszyła ramionami.

– Zwycięzcą się jest, a nie bywa. Niektórzy po prostu się z tym rodzą. A niektórzy rodzą się ze skazą, która zmusza ich do taplania się w przeszłości. Lubię pieniądze i dobre życie. Jestem nieodrodną córką

swojego ojca, handlarza diamentów i niewolników w czarnej Afryce, prawie tak czarnej jak ty, mój drogi.

Te ostatnie słowa naprawdę Maxa zaboląły. Wiedziała, jak bardzo jest przeczulony na wszelkie przejawy rasizmu. Przypomnił sobie, że ma w ręku prezent. Małe eleganckie pudełeczko. Wpadł na pomysł, że będzie idealne na zakończenie ich romansu.

– To chyba wszystko, co mamy sobie do powiedzenia. To dla ciebie.

– Co to jest? – Elisabeth wyglądała na zadowoloną, że mu dogryzła.

Zdobył się na czarujący uśmiech.

– Belgijska czekolada. Taka, jaką lubisz. Pięćdziesięcioprocentowa z domieszką cynamonu i morskiej soli. Żebyś mogła sobie powspominać.

Wychodząc, usłyszał, jak czekoladki rozbijają się o ścianę.

To do niego należało ostatnie słowo.

★

Po wyjściu od Elisabeth Max zapragnął pójść na cholernie długi spacer. Nic przy sobie nie miał. Marynarkę i koszulę, parę dżinsów, wytarte ulubione mokasyny. Zateśknił za swoją norą w New Jersey.

– Pieprzyć to wszystko – mruknął pod nosem.

Wpakował się w kolejny związek z nieodpowiednią kobietą, i był o to na siebie wściekły. Uszedł zaledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy usłyszał klakson. Odwrócił się i zobaczył w zaparkowanej przy chodniku furgonetce Newmarka. CIA dalej prowadziła sprawę, której on miał już dość. Po chwili wahania wsiadł do samochodu. Newmark nie był sam. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Jeden siedział za kierownicą.

– Warto było? – zapytał Newmark z miną wszystkowiedzącą.

– To moja sprawa.

– Bez urazy. To się tak nie skończy. Ona nas do niego doprowadzi.

– Naprawdę chce go pan aresztować? – zapytał Max. – Dlatego że prawie trzydzieści lat temu zabił pańskiego ojca? Przecież to jest mściwe i chore.

– Gdybym miał go aresztować jedynie z tego powodu, żaden sąd w Stanach nie wydałby nakazu tylko na podstawie wątpliwych dowodów. Jedyne co mam, to wyniki sekcji zwłok ekshumowanych z grobu Andrzeja Małysiaka, które ponad wszelką wątpliwość potwierdziły moje przypuszczenia. Na cmentarzu w Lagos pochowano nie polskiego dyplomata, lecz mojego ojca. Ale nie o to teraz chodzi. Geobank i jego upadek jest frontem niewypowiedzianej wojny między Stanami Zjednoczonymi i Rosją. Toczymy tę wojnę już nie własnymi rękami. Tak jest na Ukrainie, tak było w Gruzji, w sektorze ropy naftowej zbiliśmy cenę baryłki z ponad stu dolców do sześćdziesięciu i chcemy, by jeszcze spadła, chcemy, żeby ten skurwiel na Kremlu, car Władimir, udusił się swoją ropą i gazem. Za chwilę dogadamy się z Iranem, i cena ropy jeszcze pójdzie w dół. Proszę mi wierzyć, że prezydent Obama jest człowiekiem lubiącym metody niebezpośredniej konfrontacji. On jest długodystansowcem. Chcemy wygrać tę wojnę i pan jest po naszej stronie.

Przemówienie Newmarka zrobiło na Maxie wrażenie. Nikt tak jasno nie wytłumaczył mu, o co chodzi rządowi USA.

– No, dobra, więc co teraz? – zapytał Max.

– Teraz pojedziemy tam, gdzie ona. Chcemy być przed Rosjanami, którzy pewnie nie wybaczą Voglowi. Gdybyśmy go dostali żywego, mógłby nam powiedzieć bardzo dużo o Moskwie i jej newralgicznych finansach.

★

Max i Newmark zamienili się w tropiących, a zwierzyną była Elisabeth.

Wyszła ze swojego mieszkania godzinę po Maxie z podręczną walizką.



Wsiadła do czekającej już na nią taksówki i pojechała na brukselski dworzec kolejowy.

– Jest sprytna. Będzie chciała zgubić ogon – wycedził przez zęby Newmark.

Na jego znak jeden z agentów poszedł na dworzec. Miał wsiąść do tego samym pociągu co ona, zakładając, że w ogóle zamierzała gdzieś jechać. Po dwudziestu minutach zadzwonił na blackberry Newmarka.

– Jedzie TGV do Paryża. Jestem w tym samym wagonie co ona.

– Doskonale. My ruszamy na lotnisko. Nie dogonimy tego pociągu samochodem. Masz jej nie zgubić.

– Nie ma obaw. Rozłączam się.

Na lotnisku wsiedli do amerykańskiego boeinga C17 globemastera, przystosowanego do długodystansowych lotów wywiadowczych. Gdy maszyna nabrała już wysokości i skierowała się nad Francję, odezwała się komórka Newmarka.

– Ona jedzie następnym pociągiem TGV do Marsylii – powiedział, wysłuchawszy meldunku agenta. – Ale jestem gotów przysiąc, że jej celem jest Monako. Vogel na pewno tam się zaszyl.

– Skąd ta pewność? – zapytał Max.

– A gdyby pan był prezesem wielkiego banku, to gdzie kupiłby pan sobie dom?

★

Tymczasem w Polsce afera podsłuchowa uruchomiła lawinę dymisji. Po tym, jak na początku premier i minister spraw wewnętrznych szli w zaparte, opinia publiczna gwałtownie dała wyraz swojej dezaprobacie, domagając się dymisji. Na początek z ministerialną teką musiał się rozstać Henryk Kudzia. Złożył dymisję na ręce premiera, a ten ją przyjął. Kudzia nadal jednak

pozostawał posłem. Prokuratura w Warszawie postawiła mu zarzut nakłaniania do zabójstwa Anny Jazowy, lecz zasłonił się immunitetem. Agata Wróblewska wpadła w szal, kiedy o tym usłyszała. Poświęciła więc Kudzi kolejny program. Po emisji nawet posłowie jego partii głosowali za tym, żeby odebrać mu immunitet.

Minister Kudzia wcale się tym jednak nie przejmował. A niech się na nim wyżywają dziennikarze, niech sobie wycierają twarz jego nazwiskiem. On i tak wróci. Tacy jak on są dla polskiej polityki niezbędni. Kudzia wiedział już, że za parę miesięcy, gdy dojdzie do zmiany rządu, będzie wspólnie z prezesem największej partii opozycyjnej zmieniał Polskę. Być człowiekiem dobrej zmiany, jak to pięknie brzmi!

## Rozdział dwudziesty piąty

### **NAJLEPSZA LOKATA**

Stiopa Jakowlew, który znał przyzwyczajenia prezesa Vogla, nie dochrapał się jak inni wysokiej szarży w GRU. Został specjalistą od brudnej roboty i z czasem to polubił. Strach w oczach człowieka, na którego wydano wyrok śmierci, uważał za coś niezwykle podniecającego, a potem uwielbiał patrzeć, jak z roztrzaskanej kulą głowy bryzgają mózg i krew. Zahartował się. Zabicie człowieka znaczyło dla niego tyle co zabicie świni. Więc informacja, że następną ofiarą ma być sam Pan Prezes Vogel, nie wywarła na nim specjalnego wrażenia.

Był moim najlepszym pracodawcą, pomyślał tylko, wzdychnąc. No i przyszło mu do głowy, że po odejściu Vogla z pewnością nie będzie miał tylu zleceń. Vogel działał w biznesie bankowym, ale kiedy natrafiał na obiektywne trudności, zawsze prosił o pomoc starego, dobrego Stiope, a dobry Stiopa nigdy nie odmawiał, bo takiemu człowiekowi jak Pan Prezes się nie odmawia. Po tym zleceniu Stiopa miał ochotę prysnąć i zacząć gdzieś od nowa – znaleźć sobie partnera, kupić dom w ciepłym kraju i wieść spokojne życie.

Szybko się spakował do podręcznej walizki. Nigdy nie podróżował z bronią, ale pobierał zawsze zestaw likwidacyjny – jak go nazywał profesjonalnie – ze skrytek pocztowych w różnych częściach Europy. W USA było jeszcze łatwiej, bo mając trefny, ale znakomicie podrobiony przez specjalistów z rosyjskiego wywiadu wojskowego amerykański

paszport, mógł kupić sobie każdą broń, dostosowaną do wymagań zleceniodawcy oraz sytuacji, w jakiej miał wykonać pracę.

Podróż Petera Vogla na tamten świat miała umożliwić nie trucizna czy pierwiastek radioaktywny (Litwinience podał izotop polonu w herbacie w kawiarni w Londynie), lecz posrebrzany pocisk dum-dum, który wchodząc w ciało, dokonuje w nim okrutnych i nieodwracalnych spustoszeń. Niezwykły pracodawca, ale obiekt taki jak inni. Mocodawcy tym razem zaopatrzyli Stiopę w tablet z zainstalowaną aplikacją śledzącą w sieci wypłaty dokonywane z kart płatniczych. Prezes z pewnością wiedział dużo o metodach działania Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej – następcy GRU – dlatego też Stioipa zdawał sobie sprawę, że zlokalizowanie go zajmie trochę czasu.

★

Elisabeth była w kontakcie ze swoim mężczyzną, jak nazywała Vogla. Max włożył pluskwę do jej ulubionego płaszcza kupionego w Mediolanie. Wiedział, że go ze sobą weźmie. Pluskwa nie tylko służyła do podsłuchu, lecz również spełniała funkcję lokalizacyjną. Newmark musiał wziąć pod rozwagę możliwość, że ta dziewczyna ich przechytrzy i zdoła zgubić. Nic takiego się jednak nie stało. Nadajnik pokazywał miejsce, które trafnie odgadł Newmark.

– Są w Monako. To ułatwia sprawę – poinformował Maxa.

– Dlaczego?

– Ponieważ Monako od czasów księżnej Grace Kelly, która była przecież Amerykanką, postawiło na luźniejsze relacje z Francją, do tego stopnia irytując tym Paryż, że de Gaulle chciał je nawet zająć. Mamy z Monako umowę o ekstradycji. Gdyby byli na terenie Francji, o ekstradycji moglibyśmy zapomnieć.

Max nie miał pojęcia, jak to się stanie, ale czuł, że aresztowanie Vogla alias Wiśniaka alias Małysiaka będzie aktem sprawiedliwości. Był to winny Monice i Andrzejowi, dwojgu najbliższym ludziom, do których śmierci tamten się przyczynił.

– Chcę być przy jego aresztowaniu, ale nie jestem pracownikiem CIA – powiedział do Newmarka.

– Nie ma sprawy. Nie musi pan być agentem. Współpracuje pan z Firmą. Jest pan, że się tak wyrażę, wolontariuszem. Musimy się tylko dowiedzieć, gdzie jest pan prezes i co teraz porabia.

★

Vogel był w Monte Carlo w kasynie. Nie miał dobrej passy. Przegrał w pokera trzydzieści tysięcy euro, ale pieniędzy miał pod dostatkiem. W Monte Carlo wszyscy go znali i wiedzieli, że stary lis na pewno i tym razem się wywinie. Zachowywał się pewnie i specjalnie się nie krył. Wprawdzie szwajcarska prokuratura na wniosek Amerykanów wszczęła postępowanie, lecz w Monako nic mu nie groziło. Miał osobisty majątek warty dziesiątki milionów euro i niczego nie musiał się obawiać.

Do stołu w sali, w której gra toczyła się o wysokie stawki, podeszła kobieta w czerwonej sukni. Klasyczna piękność.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała, zatrzymując się obok Vogla.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął promiennie.

– Proszę państwa, jestem przekonany, że teraz mi się poszczęści – powiedział głośno. – Cieszę się, że wróciłaś.

Pocałowali się na oczach wszystkich. W pokerze ważna jest taktyka i koncentracja. Piękna kobieta potrafi rozproszyć grającego na duże stawki faceta. Nastąpiło rozdanie. Dwóch gości spasowało. Chińczyk z Hongkongu miał parę dam, a Voglowi się poszczęściło – poker od czwórki

w górę. Zgarnął piętnaście tysięcy euro, czyli wszystko, co było na stole. Podziękował graczom i poszedł ze swoją kobietą do baru na drinka. Nie zauważył, że przy stole do ruletki siedzi rosyjski konsul w Monako. Ten jeszcze tej samej nocy powiadomił odpowiednie organy w Moskwie, że prezes Vogel jest w Monte Carlo i zachowuje się dość niefrasobliwie.

Elisabeth i Peter Vogel miesiali trudne chwile, ale zasadniczo się rozumieli. Ona chciała złapać bogatego faceta i mieć z nim dziecko, a on, dobrze po sześćdziesiątce, zaczął sobie zdawać sprawę, że czegoś mu w życiu brakuje – może właśnie żony i dziecka. Nawet gdyby zakończyło się to rozwodem, co wydawało się prawdopodobne, byłoby dziecko, któremu mógłby zostawić to, co miał. A miał naprawdę dużo: jego wspaniały trzydziestometrowy jacht cumował teraz w porcie w Monako, a jego willa była położona na łagodnym zboczu ponad portem.

– Nie śledzili cię? – zapytał.

– Przyjechałam pociągiem, tak jak uzgodniliśmy – powiedziała Elisabeth. – Przez Paryż i Marsylię.

– W porządku. Jak ci poszło z tym czarnym Amerykaninem?

– Dobrze – skłamała Elisabeth, a była w tym naprawdę dobra. – Spławiłam go. Tak jak podejrzewałam, skamlał o moje względy.

– Teraz ty będziesz skamlać o moje. Jak mogłaś się puścić z czarnuchem?

Elisabeth wiedziała, że Vogel jest rasistą, i chwilę się zastanawiała, zanim odpowiedziała:

– Lubię urozmaicenie w łóżku, ale się przeliczyłam. Głupia byłam.

– I teraz chcesz do mnie wrócić?

Pokiwała głową.

– A jeśli nasłali cię Amerykanie? Już raz mnie ktoś, kurwa, podsłuchał

w Polsce, i patrz, co z tego wyszło. – Skrzywił się na wspomnienie tej historii, ale zaraz się uspokoił, bo na szczęście tutaj, w Monako, nikt nie rozumiał polskiej historii związanej ze Służbą Bezpieczeństwa. Kogo dziś obchodziło, że Peter Vogel był kiedyś jakimś Wiśniakiem?!

– Nikt mnie nie nasłał – odparła Elisabeth, obejmując go. – Sama wróciłam. – A po chwili szepnęła mu do ucha: – Zabierz mnie do łóżka.

★

Na komórkę Stiopy Jakowlewa przyszła wiadomość. Spojrzał na nadawcę. Wiadomość z samej góry. Brzmiała krótko: „Obiekt jest w Monako”. Stiopa właśnie przyleciał z Sankt Petersburga do Paryża, gdzie przesiadł się na samolot do Nicei. Zamierzał spędzić kilka dni w tym cudownym kurorcie nad Morzem Śródziemnym; tam właśnie zamierzał odebrać broń, z której miał zginąć Vogel. Stiopa pamiętał, że Pan Prezes ma w Monako nie tylko willę, ale i jacht.

To podsunęło mu pewną myśl. Posługując się spreparowanym przez rosyjski wywiad wojskowy paszportem obywatela Ukrainy, biznesmena z Kijowa Dmitra Chewczuka, zameldował się w hotelu w Nicei. W pokoju hotelowym zostawił – również spreparowane przez wywiad wojskowy – dokumenty, z których wynikało, że Chewczuk miał obsesję na punkcie szefa Geobanku: zdjęcia, nienawistne listy, wydrukowane manifesty z internetu pełne czystego hejtu. Francuska policja miała znaleźć ślad po Ukraińcu, co w obecnej sytuacji politycznej mogło się przydać propagandowo.

Wybrał się do portu do wypożyczalni motorówek.

- Chciałbym dopłynąć do Monako – powiedział do właściciela.
- Oczywiście, to bardzo ciekawy rejs. Ma pan licencję?
- Naturalnie – odparł Stiopa po francusku, okazując dokument.

Tamten zapisał dane z ukraińskiego paszportu, na który wypożyczono motorówkę z silnikiem 5.0 V10 od Audi RS6. Potężna moc silnika gwarantowała zawodowemu zabójcy szybkie przemieszczanie się po morzu. Stiopa zapłacił gotówką i poinformował właściciela, że wypłynie następnego dnia. Prosił, by do tego czasu motorówce zrobiono przegląd. Zależało mu na bezpieczeństwie, tak powiedział. Zamówił także dodatkowy zbiornik paliwa.

– Ma być pełny.

Tego samego dnia na promenade des Anglais, szerokim bulwarze nadmorskim w Nicei, Stiopa odebrał od rosyjskiego konsula, którego oczywiście spotkał „przypadkiem”, dużą szarą kopertę. Jeden podał ją drugiemu w tłumie ludzi, gdzie absolutnie nikt nie zwrócił na to uwagi. Po powrocie do hotelu Stiopa sprawdził jej zawartość. Znajdował się tam w woreczku dwunastostrzałowy glock wykonany z włókna polimerowego. Superlekka broń, strzelająca też w wodzie. Pełny zapas pocisków dum-dum. Egzekucja Vogla – kara adresowana także do innych pożytecznych idiotów, jak mawiał Lenin, w Europie – miała być spektakularna. Średnio inteligentny człowiek zrozumie jej znaczenie.

Następnie Stiopa kupił zestaw do nurkowania. Lubił nurkować, poza tym właściciel motorówki widział, jaki ukraiński biznesmen zabiera sprzęt. A to może się przydać w śledztwie francuskich władz.

Przygotowawszy się do pracy, Rosjanin postanowił się trochę zabawić. W Nicei jest tyle ciekawych klubów nocnych i ładnych, młodych chłopców.

★

Newmark szybko zabrał się do pracy. Amerykanie mieli bardzo dobre relacje z rządem księstwa Monako, a minister spraw wewnętrznych od razu zrozumiał, że jakiegokolwiek związki Vogla z kasynami w Monte Carlo mogą



przynieść poważne szkody jego reputacji. Czym innym jest gościć mafiosów incognito, a czym innym jest przyjmować w kasynie faceta mającego na sumieniu wiele zabójstw, oszustwa finansowe na międzynarodową skalę, powiązania z komunistycznymi służbami specjalnymi oraz z Moskwą, i to w czasie, gdy ta dokonała hybrydowej agresji na Ukrainę.

– Proszę się pospieszyć – poradził minister Amerykaninowi.

Kiedy Newmark wrócił ze spotkania, Max po raz pierwszy ujrzał go w stanie bliskim euforii.

– Mamy tego skurwiela!

Operacja została starannie przygotowana. Amerykanie bez udziału miejscowej policji otoczyli willę i jacht bankiera. Przez kilka dni Vogel był obserwowany z największą dyskrecją. Newmark nie chciał go spłoszyć. Max widział przez obiektyw wysokoczułego aparatu, że Elisabeth jest z Voglem. Nie potrafił zapanować nad zazdrością. Zależało mu na tej kobiecie tak jak na Monice. Musiał jednak poskromić własne emocje, jeśli nie chciał popełnić błędu. Vogel nie mógł umknąć sprawiedliwości.

W końcu nadszedł ten dzień. Amerykanie obezwładnili prywatnych ochroniarzy prezesa i weszli na jacht, który przypominał raczej prywatny pałac. Vogla zastali w jadalni. Jadł ostrygi i pił białe wino. Elisabeth krzyknęła i posłała Maxowi, który wszedł z agentami CIA, długie i pełne nienawiści spojrzenie.

Max, nawet jeśli jeszcze miał jakieś złudzenia, to teraz je stracił.

Vogel nie wyglądał na wystraszonego.

– Ma pan ochotę na ostrygi? – zwrócił się do Newmarka, po czym spojrzał na Maxa. – Widziałem cię w Warszawie, w restauracji.

– Ma pan doskonałą pamięć – przyznał Max. – Ale to już koniec, kapitanie Wiśniak.

- Koniec czego? – zapytał prezes, otwierając nożykiem kolejną ostrygę.
- Pańskiej kariery – odparł Newmark.
- Panowie raczą żartować. Władze Francji nic mi nie zrobią.
- Jesteśmy na terytorium Monako – wyprowadził go z błędu Newmark.
- I co z tego? – zadrwił Vogel.
- Nazywam się Newmark – przedstawił się. – Myślę, że pamięta pan to nazwisko.

Vogel na moment przymrużył oczy, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Nie mógł nie pamiętać amerykańskiego lobbysty z Lagos. Pierwsze zabójstwo, które utorowało drogę do powstania Geobanku. Pierwsze zyski do kasy banku popłynęły z nigeryjskich złóż.

– Jest pan synem tego Johna Newmarka? Moje kondolencje. Proszę mi wierzyć, że nie było to nic osobistego. Po prostu polski dyplomata musiał zniknąć w grobie pana ojca i dać mi nowe życie. To było bardzo sprytne, przyzna pan?

– To się jeszcze okaże – odparł Newmark, nakładając mu kajdanki.

Bankier został zabrany na przesłuchanie do siedziby policji w Monako.

★

– Chcemy, by powiedział nam pan wszystko o kontaktach banku z Moskwą – zaczął Newmark.

– Żartuje pan? Niczego się ode mnie nie dowiedziecie. I tak zaraz stąd wyjdę.

– Nie rozumie pan swojej sytuacji. Geobank ogłosił upadłość, pańscy wierzyciele nie darują panu, Moskwa zresztą też nie.

Vogel zbagatelizował słowa Amerykanina.

– To, co wiem, jest moją najlepszą lokatą. Mam ją właśnie w Moskwie. Tyle dla nich zrobiłem, że nie ośmielią się mnie ruszyć. Wie pan dlaczego?

– Nie wydaje mi się, żeby pańska bajeczka zrobiła na kimkolwiek wrażenie – powiedział zdecydowanie Newmark.

– Największe wrażenie wywrze na rządzie Stanów Zjednoczonych, któremu pomagałem i pomagam w wykrywaniu kont terrorystów, w tym Państwa Islamskiego. Pomoże mi Unia Europejska, ponieważ skupowałem papiery dłużne bankrutujących państw członkowskich. Mówi pan o tym, że Geobank ogłosił niewypłacalność... To tylko częściowo prawda. Europejski Bank Centralny przejmie aktywa Geobanku i powoła zarząd komisaryczny. A właśnie o to mi chodziło. Moskwa nie będzie mogła nic zrobić. A pan, panie Newmark, czy jak się tam pan nazywa, powinien nauczyć się nowego słowa.

– Tak? Jakiego?

– Nietykalność.

★

Stało się dokładnie tak, jak powiedział Vogel. Wprawdzie po przesłuchaniu musiał zostać w areszcie śledczym księstwa, ale następnego dnia wkroczyły czynniki francuskie, które nazwały zatrzymanie obywatela Unii Europejskiej „niebywałym skandalem”, „haniebną kpina z demokracji i praw człowieka”.

Kiedy Max spotkał się z Newmarkiem, był zdumiony, że ten nie okazywał żadnych emocji.

– Wypuścili go! – rzucił wściekły Max.

– Tak się musiało stać – powiedział zagadkowo Newmark. – Chcę tak samo jak pan, żeby ten sukinsyn poniósł karę, ale w obecnie obowiązującym nas systemie społeczno-ekonomicznym nie jest to możliwe. Trzeba sięgnąć do metod... hm... pozaprawnych.

– Jak pan to sobie wyobraża?

– A jak pan myśli? Kto wydał na niego wyrok? – spytał Newmark najspokojniej w świecie.

Max chwilę pomyślał i odpowiedź nasunęła się sama.

★

Po zwolnieniu z aresztu Vogel udał się do swojej willei, gdzie czekała na niego zamartwiona Elisabeth. Przebrali się i pojechali do portu, żeby popływać w okolicach Monako, Saint-Tropez oraz innych cudownych miejscowości na Riwierze Francuskiej. Gdy wychodzili w morze, pogoda była wspaniała, a tafla wody zadziwiająco spokojna.

Prezes nalewał sobie do szklanki przedniej whisky, Elisabeth brała właśnie prysznic, kiedy w oddali zamajaczyła za nimi bardzo szybka motorówka. Vogel zauważył ją i wyszedł na pokład. Dryfowali właśnie na morzu, dobrą milę morską od nabrzeża Saint-Tropez. Wokół nich znajdowało się kilka jednostek, ale w dość znacznej odległości, a tymczasem motorówka zbliżała się zabójczo szybko. Pomyślał, że to znów policja, i trochę się zirytował.

Gdy motorówka zbliżyła się jeszcze bardziej, zauważył mężczyznę w kapoku i w okularach przeciwsłonecznych. Przemknęło mu przez głowę, że zna tego człowieka. Po chwili miał już pewność; rozpoznał go i uśmiechnął się. Mężczyzna z motorówki sprawnie przeskoczył na jacht i ściągnął okulary.

– Stiopa, co ty tutaj robisz?!

Rosjanin westchnął.

– Pracuję – odparł bardzo spokojnie.

Tego Vogel się nie spodziewał. Zgubiły go pycha i wiara w to, że jest nietykalny. Było jednak za późno. Stiopa wyjął zza paska szortów glocka

i wpakował Panu Prezesowi kulę w głowę. Siła wystrzału rzuciła Voglem o ścianę nadbudówki jachtu. Tłumik całkowicie wygłuszył strzał.

– Pozdrowienia od Nadieżdy Wassilijewnej – powiedział Rosjanin.

Po czym najobojętniej w świecie przeszedł obok trupa Vogla i beżowo-czerwonej plamy jego mózgu na białej powierzchni nadbudówki. Miał rozkaz nie zostawiać żadnych świadków. Szybko zeskoczył pod pokład. Elisabeth, która wyszła spod prysznic, miała właśnie zawołać swojego kochanka, gdy zobaczyła w jadalni Rosjanina. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Pocisk dum-dum wystrzelony z bliskiej odległości roztrzaskał jej głowę i rzucił ciało na drzwi łazienki. Stiopa dokładnie się rozejrzył. Nikogo innego nie znalazł. Opuszczając jacht, zabrał tylko butelkę z dwudziestoletnią szkocką whisky. Wiedział, co dobre.

★

Nadieżda Wassilijewna otrzymała od zabójcy SMS-a, że załatwione. Zadowolona, kazała się wieźć do szpitala w Tule, gdzie przebywał generał Uljanow. Szpital dla starszych oficerów pracujących kiedyś dla GRU oraz KGB miał wszelkie wygody, nieosiągalne dla zwykłych Rosjan. Pojechała tam z oficjalną wizytą. Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej – następczyni KGB – musiała przestrzegać standardów praworządności, jak za władzy radzieckiej. Nadieżda znajdowała się w samym środku putinowskiego reżimu i wiedziała, że zmienił się jedynie szyld, wewnątrz gmachu pozostało takie samo.

Gdy wysiadła z samochodu, czekali na nią lokalni oficjele partii Jedna Rosja i putinowska młodzieżówka Nasi. Skandowali hasła patriotyczne. Rozeszła się wieść, że generał Nadieżda Kuzniecowa przywiozła decyzję o przyznaniu pośmiertnego orderu dla syna jednego z generałów. Zebrani wznosili okrzyki:

– Chwała bohaterom Rosji!

Nadieżda Wassilijewna weszła do budynku, a obsługa poprowadziła ją do pokoju generała Uljanowa. Nawet ona, choć miała serce z kamienia, bardzo się wzruszyła. Podeszła do starca, z czułością ujęła jego pomarszczone dłonie i powiedziała:

– Zabiliśmy mordercę waszego syna.

Na słowo „syn” stary generał ocknął się z półsnu. Miał obsesję związaną ze śmiercią jedyne go syna i ostatniego potomka rodziny wodza rewolucji.

– Oni mi go zabili... – odezwał się, nie bardzo rozumiejąc to, co usłyszał.

– Zabiliśmy mordercę waszego syna – powtórzyła głośniej. – Na rozkaz prezydenta. Pan prezydent Władimir Władimirowicz nie zapomniał o bohaterach Związku Radzieckiego. Na święto wygnania Polaków z Kremla wasz syn dostanie pośmiertnie order.

– Kto to był? – zapytał wzruszony staruszek, który tyle lat czekał, aż ktoś pomści jego syna.

– Polak – odparła Nadieżda Wassilijewna.

– Mojego syna zabił Polak... To dobrze, że go zabiliście. Polskę trzeba bić i patrzeć, czy równo puchnie.

– Jeszcze przyjdzie dzień, w którym Polacy zapłacą nam za wszystko, towarzyszu generale.

Ucałowała starca i nakazała lekarzom i pielęgniarce, by niczego mu nie zabrakło. Jego syn był bohaterem Związku Radzieckiego.

★

Plaża Copacabana ma sławę największego miejsca do tańczenia samby oraz niezobowiązującego seksu dla wszystkich, którzy pragną dobrej zabawy. Marzeniem Stiopy Jakowlewa, który był gejem i w Rosji, gdzie za

homoseksualizm wciąż można było wylądować w więzieniu, nie mógł oficjalnie spotykać się z mężczyznami, był wyjazd do Rio de Janeiro.

To jest coś dla mnie, pomyślał. Za wykonanie wyroku na prezesie Voglu przelano mu na konto sto tysięcy dolarów. Teraz mógł używać życia. Poleciał do Brazylii, nie wiedząc, że w samolocie z Paryża siedzi inny zabójca, który dostał na niego zlecenie. Tego człowieka niemającego imienia i nazwiska, posługującego się, w zależności od potrzeby, ośmioma różnymi paszportami, wynajął Newmark.

Kiedy Stiopa zmierzał na plażę Copacabana, marząc o jednej z tych oszałamiająco pięknych brazylijskich drag queen, zabójca podążał w ślad za nim. Wiedząc o upodobaniach Stiopy, przeistoczył się w drag queen o imieniu Monika. Stiopa był pijany i mało uważny. Gdy wieczorem, przy muzyce i zachodzącym słońcu, Monika usiadła mu na kolanach, Rosjanin poczuł lekkie ukłucie.

Umarł natychmiast. Monika ułożyła go na wiklinowym leżaku i przykryła czule swoją piękną chustą. Na głowę nałożyła mu słomkowy kapelusik. I zniknęła.

Brazylijska policja znalazła ciało Stiopy rano następnego dnia.

★

Newmark zawsze płacił rachunki do końca. Siedemdziesiąt tysięcy euro w gotówce, które udało mu się wynieść ze skrytki w mieszkaniu prezesa Vogla w Genewie, przelał na konto założone dla Maxa w banku na Bermudach. Nie uważał tego za kradzież, uznał po prostu za rozsądne, by prezes Vogel sam zapłacił za to, że został odnaleziony.

★

Max ocknął się na pokładzie airbusa 380 lecącego z Frankfurtu na nowojorskie lotnisko Johna Fitzgeralda Kennedy'ego. Obudziła go urocza

młoda stewardesa i powiedziała, że właśnie wylądowali.

Razem z innymi pasażerami opuścił wielki samolot. Po przejściu przez bramki amerykańskiej straży granicznej wyszedł z terminalu na postój taksówek. Wsiadł do żółtej taksówki i kazał się zawieźć na Manhattan, gdzie starym zwyczajem zamierzał wsiąść do kolejki transferowej z Penn Station do New Jersey. Miał mało bagażu. Przed odlotem Newmark zapewnił go, że wszystkie rachunki zostały uregulowane, a na koncie Maxa była wystarczająca suma, żeby mógł zacząć nowe życie. Planował przenieść się na Brooklyn, gdzie matka kupiła nowy dom. Rodzeństwo postanowiło sprezentować mu duże mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy.

Po drodze kupił od ulicznego sprzedawcy „New York Timesa”. Na pierwszej stronie gazeta zamieściła artykuł o zabójstwie prezesa wielkiego banku w Europie, Petera Vogla, którego znaleziono z przestrzeloną głową na dryfującym nieopodal Saint-Tropez luksusowym jachcie wartym kilka milionów euro. Napisano, że razem z bankierem zginęła jego przyjaciółka, belgijska piękność, której nazwiska nie podano. Według dobrze poinformowanych źródeł „New York Timesa”, najbardziej prawdopodobnym motywem zabójstwa Vogla był odwet sfrustrowanego ukraińskiego biznesmena, który postanowił się zemścić na bankierze Moskwy, jak prasa zachodnia nazywała Vogla. O tym, że denat był Polakiem i byłym oficerem SB, nikt tutaj nie wspominał.

Max myślał o Elisabeth z goryczą, ale w końcu doszedł do wniosku, że jeszcze spotka kobietę swojego życia. W zasadzie już ją znalazł, tyle że traktował ją wyłącznie jak partnerkę w śledztwie. Szybko odszukał jej numer w książce adresowej swojego niezawodnego blackberry. Mimo różnicy czasu – w Europie zbliżał się świt – postanowił zadzwonić.

Zniknął gdzieś w tłumie na Times Square.



# Epilog

## Stany Zjednoczone, Utah, kilka tygodni później

Terenowy dodge z czterocylindrowym silnikiem zatrzymał się na rozstaju dróg. Phoenix znajdowało się o dobre trzysta kilometrów na zachód. Wokół żywej duszy. Ziemia była zbyt sucha, by jakakolwiek roślina mogła tu przetrwać. Na gorącym kamieniu obok szosy leżała nieruchomo jaszczurka. Na dźwięk silnika czmychnęła między inne rozgrzane kamienie.

Otworzyły się drzwi auta. Wyszedł z nich elegancki mężczyzna o skórze w kolorze opalizującego kakao. Poczł na twarzy podmuch gorącego wiatru. Zamknął oczy. Minęło sporo lat, odkąd znów miał wrażenie, że jego życie należy do niego. Tym razem znalazł się na pustyni w stanie Utah. Pociągała go pustka amerykańskiego interioru. Wielka otwarta przestrzeń i wolność, owo niczym nieograniczone poczucie, że nikt i nic nie może go zatrzymać. Pomyślał, że dla takich chwil warto żyć.

Zostawił stary kraj za sobą. Kochał go i jednocześnie nienawidził. Próbował go zrozumieć, ale nie potrafił. Zostawił grób Moniki, jej brata i ich ojca uwikłanego w trudną przeszłość Polski. Zmarli milczą. Ale zostawił też żywych.

Agata siedziała w samochodzie. Nie chciała wyjść na ten straszny upał. Uśmiechała się do niego przez szybę.

Po chwili Max wszedł do samochodu i ruszył przed siebie. Mieli przed sobą przyszłość, niezapisaną kartę, tak pustą jak autostrada w Utah.

# Podziękowania

Pragnę podziękować Aleksandrze Sałudze oraz Renacie Kuryłowicz za niezmierną dla mnie życzliwość i przyjaźń i Marzenie Wasilewskiej-Ginalskiej za mrówczą pracę nad tekstem i profesjonalizm.

# Przypisy

[1](#) GRU – *Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenie*, Główny Zarząd Wywiadowczy, radziecki kontrwywiad wojskowy.

[2](#) Mt 6, 23.